

# JADOWSKA

ANETA



SZAMAŃSKA SERIA 1

# SZAMAŃSKI BLUES

fabryka słów®

# Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Thorn Universe](#)

[Szamański blues](#)

[Bossa nova dla szamana](#)

[Aneta Jadowska](#)

[Książki Anety Jadowskiej](#)

[Fabryka Słów poleca](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Okładka](#)





# JADOWSKA

ANETA

SZAMAŃSKA SERIA

## SZAMAŃSKI BLUES

Tom pierwszy przygód Witkaca



THORN UNIVERSE

Ilustracje  
Magdalena Babińska

fabryka słów®

Lublin 2016





## SERIA O DORZE WILK

1. Złodziej dusz
2. Bogowie muszą być szaleni
3. Zwycięzca bierze wszystko
4. Wszystko zostaje w rodzinie
5. Egzorcyzmy Dory Wilk
6. Na wojnie nie ma niewinnych

1. Ropuszki

1. Szamański blues





# Szamański blues



**G**dyby ktoś zapytał, jaka pensja byłaby wystarczająca za to, co dziś robiłem, zaśpiewałbym naprawdę grubą kasę. Nie mniej niż potrójną pensję policyjną. Pewnie dlatego nikt mnie o to nie zapytał. Bycie szamanem to przywilej i obowiązek, bardziej to drugie. No i to nie tak, że się zgłaszasz do roboty. Jesteś wybrańcem. Jasne. To bardzo ładna śpiewka, która w rzeczywistości sprowadza się do tego, że masz spieprzone DNA, bo w twoim genotypie są pewne recesywne geny odziedziczone po Bóg wie jak odległym przodku, i generalnie masz przesrane. Niemal się zaćpałem, zanim się dowiedziałem, czym jest ta potrzeba we mnie – przymus szukania przejścia do innego świata – i czym są te wszystkie dziwne rzeczy, które widziałem – świadectwami, że magia istnieje, że istnieją duchy, a ja, tak się składa, mam dar ich widzenia. Nie, to tylko w teorii jest fajne. W praktyce oznacza, że miałem za sobą kolejny ciężki dzień. Nie żebym ostatnimi czasy miewał lekkie. Jest określona masa kłopotów, które facet może wziąć na klatę, nim zacznie go łamać w kościach. I teraz cóż, przeholowałem.

Wtoczyłem się do mieszkania poobijany i zmordowany. Czuję się jak zmęczony życiem sześćdziesięciolatek, czyli facet starszy ode mnie blisko ćwierć wieku. To też zaczynało podejrzanie przypominać normę. Zrzuciłem z grzbietu beżowy niegdyś prochowiec, dziś kłęb szmat pokrytych kurzem, olejem silnikowym, ptasim gównem i jeden Bóg wie czym jeszcze, w każdym razie czymś cuchnącym. Intensywny deszcz, który mnie złapał po drodze, tylko pogorszył sprawę, wzbogacając ten niepowtarzalny bukiet subtelną wonią mokrego kundla. Gdybym miał fundusz reprezentacyjny, tobym sobie doliczył za nowy płaszcz, ale do takich jak ja nikt nie spieszy z honorariami. Już widzę reakcję Starszyny, gdybym im wystawił rachunek za pralnię albo za nowe ubrania. Widać wyglądam zbyt szlachetnie, by kalać swoje niewinne oblicze pieniędzmi czy choćby darmowym obiadem. Jakbym się żywił wyłącznie dobrymi chęciami i blaskiem słonecznym.

To mi przypomniało, że minęło kilkanaście godzin, odkąd cokolwiek jadłem, i poczułem dotkliwe ssanie w żołądku. Przez chwilę rozważałem splądrowanie lodówki przed prysznicem, ale jednak pomysł jedzenia w smrodzie, którego sam byłem źródłem, wydał mi się nieco zbyt ekstremalny. Wolałem, by zapaszek nie rozniósł się po całym mieszkaniu, więc jeszcze w przedpokoju zrzuciłem sztywne od brudu portki i sweter zajeżdżający rzeczonym mułem i kibelem. Zwinąłem wszystkie ubrania w tłumok i zostawiłem na wycieracze. Może były do odratowania, ale nie miałem ochoty dotykać ich nigdy więcej. Nagi dowlokłem się do łazienki. Przed powrotem do życia musiałem zmyć z siebie ostatnie dwa dni.

Sycząc z bólu, szorowałem otarcia na czole i dłoniach. I tak niezły wynik, biorąc pod uwagę to, z czym się użerałem. Wyobraźcie sobie nastolatkę, te wszystkie hormony, histerie, emocje o przesadnie wychylonej amplitudzie. Dajcie jej sterydy, które uczynią ją silniejszą od Hulka. A potem odbierzcie jej cielesność, tak by nie można jej było zranić. Nie możesz zabić kogoś, kto już nie żyje. Za to ona mogła zaszkodzić tym, którzy wtargnęli na jej terytorium. I machnąłbym ręką, gdyby straszyla sobie w jakiejś

szopie na odludziu, ale dziunia była złośliwą jędrą. Straszyla w miejscu, w którym pożegnała się z życiem, a popełniła samobójstwo, skacząc z mostu. Jedyne mostu w okolicy, przez który każdego dnia muszą przejeżdżać tysiące kierowców, stojąc w korkach dłuższych niż kolejki do spowiedzi przed Wielkanocą. To dlatego zresztą była taka silna.

Widzicie, duchy powstają, kiedy śmierci towarzyszą gwałtowne emocje, przemoc, agresja – energia, która się wówczas wytwarza, sprawia, że dusza nabiera „masy” i staje się duchem. Na początku jest słaba, ale może dalej gromadzić energię, budować swój potencjał cegiełka po cegiełce, aż osiągnie poziom, na którym w taki czy inny sposób może wpływać na świat materialny. Dziunia przez trzydzieści lat wchłaniała emocje (czy muszę dodawać, że głównie negatywne?) kierowców przejeżdżających mostem samochodów. Cóż, pomyślcie o tym następnym razem, rzucając soczystą wiązanek za kółkiem. Na moje, jeśli do kurw dodacie klakson, efekt będzie jeszcze bardziej spektakularny. Tą się już zająłem, ale nie ona jedna skakała z mostu w ostatnim półwieczu.

Oparłem się o ścianę kabiny, wystawiając głowę i plecy pod silny strumień prawie wrzącej wody. Tylko taka mogła splukać cały syf, jakim obrosłem, łażąc po filarach i spodnim ożebrowaniu mostu. Zwyczajny kurz i śmierdzący osad spalin to jedno, ale miałem szczęście wdepnąć w więcej niż jeden wychodek skrzydlatych szczurów, kałuże smaru, gnijące wodorosty, truchła ptaków i gryzoni, a nawet guano nietoperzy. Tak, poziom obrzydliwości i smrodu okazał się wysoki nawet dla policjanta z dziesięcioletnim stażem. Zresztą trupy śmierdzą, ale zwykle nie muszę w nie wsadzać rąk. I tak, zapomniałem rękawiczek. Nie myślałem, że cała ta gonitwa pod mostem będzie konieczna. W swoim naiwnym optymizmie nie przewidziałem, że dziunia nie zechce współpracować i że nie jest już niewinną, zagubioną dziewczyną, która ucieszy się z tego, że ktoś ją widzi, słyszy i wie, jak zrobić, by E.T. trafił do domu. Ona miała niezły ubaw, widząc pełne przerażenia miny kierowców, zgniecione zderzaki, ludzi wytraconych z równowagi, kiedy ich pojazd przestawał służyć poleceń. Nie widzieli jej, bo nie każdy może zobaczyć ducha, ale wyobraźcie sobie, że kierownica waszego wozu nagle skręca, pedał gazu dociska się do dechy, przeskakuje wajcha skrzyni biegów, włączają się wycieraczki... Jeszcze nikt nie zginął, ale nie dlatego, że nie próbowała nikogo zabić – po prostu auta na moście upakowane były na tyle gęsto, że nie mogła się rozpędzić. Jeszcze rok, może dwa i stałaby się dość silna, by opuścić most, ale nie chciała czekać. Na szczęście dla mnie była niecierpliwa. Ale za ten rok czy dwa może i ja umiałbym więcej i wiedziałbym, jak ją odesłać z mostu bez wdrapywania się nań, by namalować pod spodem odpowiedni sigil odesłania, a później zwabić ducha w jego krąg. Na razie nie wychodziły mi próby otwierania portali bez użycia symboli. Odesłałem ją w końcu, ale teraz czułem się jak starzec, zmęczony, poobijany i posiniaczony. Mówcie, co chcecie, ale to nie robi dobrze na męską ambicję, kiedy sponiewiera cię duch wyglądający jak ładniutka szesnastolatka w letniej sukience. Mocno natarłem włosy szamponem, aż piana spłynęła mi po twarzy i karku. Zmyłem zaschniętą krew i ranka z tyłu głowy znów się otworzyła, szczypało niemiłosiernie. Po skroni i łuku brwiowym popłynęła wąska strużka krwi. Pewnie przydałoby się szycie.

– Niech spoczywa w pokoju w najciemniejszym zaułku piekła, jaki jej przypadnie – warknąłem mściwie.

Woda powoli robiła się coraz chłodniejsza. Junkers miał ograniczoną pojemność, więc szybko splukiwałem pianę, by nie zaserwował mi lodowatego prysznica. Dość wymarzęłem na deszczu. Kiedy się wycierałem, rozległ się dzwonek u drzwi.

Nie spodziewałem się gości. Moja dziewczyna, jeśli wciąż uważa, że nią jest, była w Bonn na jakichś targach rzemiosła artystycznego. Dora, czy, jak wolę ją nazywać, Ti, moja do niedawna partnerka z policji łamane na mentorka w świecie, do którego dała mi przepustkę, rozprawiała się z jakimiś swoimi pokręconymi sprawami w Trójmieście. Niektórzy pomyśleliby, że wiodę samotniczy żywot, skoro te dwie kobiety zamykają listę osób, które mogłyby chcieć mnie odwiedzić. Ja nazywam to uregulowanym trybem życia. Nie nawiązuję zbyt łatwo przyjaźni – niekoniecznie z własnej winy. Większość ludzi to po

prostu osły, na które szkoda czasu, a ja nie jestem dobry w gadaniu o niczym i oglądaniu zdjęć z wycieczki do Turcji czy rozkosznych fotek nowo narodzonych potomków.

Nawet gdybym mógł strzelać do pięćdziesięciu razy sztuka, nie wpadłbym na to, że za drzwiami będzie stać ona. Bo tak, rozpoznałem ją na pierwszy rzut oka. Mogło minąć piętnaście lat, ale wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem. Może nawet lepiej. Wciąż była ciemnowłosa i nieco zbyt szczupła. Jej oczy były tak ciemne, że nie widziałem źrenic. Nigdy nie miałem pewności, czy właśnie prześwieśla mnie na wskroś, czy jest podniecona. A teraz, cóż, jak wtedy czułem, że przepadłem i zrobię dla niej wszystko. Pojawienie się kobiet z przeszłości, zwłaszcza tych pięknych, które kochaliście najbardziej szczeniacką miłością z możliwych, zawsze oznacza kłopoty. Ona nie była wyjątkiem. Stała na moim progu, z mokrymi włosami przyklejonymi do twarzy, a ja niemal czekałem, aż z offu pobiegnie jakaś smętna ballada o kochankach spotykających się po latach. Koniecznie z partią saksofonu. Nic nie rozdziera serca tak bardzo jak dźwięk saksofonu.

– Wpuścisz mnie czy będziesz szczuł widokiem swojego nagiego ciała? – zapytała, a ja mocniej chwyciłem ręcznik, którym owinąłem się w pasie.



Miała chropowaty, przydymiony głos – wprost stworzony do tego, by zanuciła jazzowy kawałek albo wyszeptała mi na ucho kilka sprośnych życzeń. To też się nie zmieniło. Wpuściłem ją, zastanawiając się,

czy za jakiś czas nie będę snuł opowieści zaczynającej się właśnie od słów: „Na moim progu stanęła kobieta, którą otaczała subtelna woń cielesnej pokusy i kłopotów. Nie wątpię, że ulegnę obu”.

– Rozgość się, a ja, pozwolisz, ubiorę się, żeby nie wystawiać cię na zbyt wielką próbę charakteru. Przynajmniej nie od razu – rzuciłem lekko. Kółko teatralne w liceum nie poszło na marne.

Zaśmiała się cicho, ale bez trudu wychwyciłem w tym śmiechu napięcie. Dobrze wiedzieć, że nie ja jeden czułem się... zmieszany. W jej osobie łączyło się wspomnienie największego szczęścia i największego bólu, jakich kiedykolwiek doświadczyłem. I wielu odcieni emocji pomiędzy. A moje zdradliwe ciało przypomniało sobie stare czasy, kiedy ja i ona poznawaliśmy się z entuzjazmem gorliwych talmudystów. Cóż, wtedy miałem nieco ponad dwadzieścia lat i kondycję maratończyka. I dużo wolnego czasu. I ją w tym samym pokoju.

Wszedłem do łazienki, zamknąłem za sobą drzwi i włożyłem bieliznę i spodnie. Przez dwie czy trzy minuty myślałem o całkowicie niebudzących rzeczach, jak ptasie odchody, którymi niedawno byłem pokryty, aż w końcu czułem się gotów, by wejść do pokoju i z pełną nonszalancją, na jaką mnie stać, zapytać:

– Kawy, herbaty? Pozwolisz, że zrobię coś do jedzenia, kiedy będziesz wyjaśniać, co cię tu sprowadza?

Nie odpowiedziała. Pod moją nieobecność znalazła jakiś ręcznik i wytarła nim włosy. Były potargane i lekko naelektryzowane, jakby dopiero wstała z łóżka. Mokra kurtka i cienki żółty sweterek wisiały na oparciu krzesła, a ona stała nieco speszona w moim swetrze.

– Wybacz, bez pytania pożyczyłam twój sweter, moje rzeczy są całkiem przemoczone... i uznałam, że to lepsze niż koszula, mniej... no wiesz. – Zarumieniła się.

– Zawsze chętnie kradłaś moje ubrania...

– Ładnie pachniały... – urwała spłoszona, jakby powiedziała zbyt wiele.

– Nie martw się, ten sweter dawno na nikim nie leżał tak dobrze.

Nie wiem, na czym polegał jej fenomen. Nigdy tego nie rozgryżłem, ale nawet teraz, mokra i potargana, w za dużym na nią o kilka rozmiarów swetrze, wyglądała idealnie. Jak mała Francuzka, która jakąś boską opatrnością trafiła do Polski, by zawracać w głowie chłopakom nad Wisłą. Spojrzała na mnie tymi oczkami spłoszonej sarenki i nagle nie była już uwodzicielką znad Sekwany, ale dziewczynką, która nie wie, co robi w domu złego wilka.

Nie usiadła. Spacerowała po niewielkiej przestrzeni mojej kawalerki i robiła coś, co w policji nazwalibyśmy profilowaniem. Sporo się można dowiedzieć o człowieku, przeszukując jego mieszkanie. I ona właśnie to robiła. Nie posuwała się do wybebeszania mi szuflad, ale całą resztę obejrzała niczym najnowszą wystawę w CSW. Miała ten sam zamyślony wyraz twarzy, który widziałem u osób oglądających instalacje zwane sztuką nowoczesną. Kilka sznurków, plastikowe butelki i czerwony lizak serduszko kiwający się na żyłce przymocowanej do sufitu. Po trzydziestu minutach przyglądania się wiesz już wszystko o kondycji związków w dzisiejszych czasach – jednorazowe i nadające się do recyklingu, ale zwykle trafiające na śmietnik.

Z uwagą czytała tytuły książek na półkach, głównie kryminałów i reportaży. Cenne księgi magiczne przechowywałem w skrytce, by nie wpadły w niepowołane ręce. Przeglądała płyty leżące na kupce koło odtwarzacza – trochę bluesa, jazzu, muzyki filmowej i medytacyjnej, których używałem podczas tripów, jakieś starocie z lat młodości. Oglądała zdjęcia wiszące na ścianie w metalowych ramkach. Było za późno, kiedy sobie przypominałem, że jest wśród nich i tamto. Przekląłem cicho, miesząc jajka na patelni. Istniał cień szansy, że go nie zauważy, ale nikły. Im bardziej nie chciała patrzeć na mnie, tym wnikliwiej przyglądała się fotografiom.

Cholerna Ti, nawet takim drobiazgiem potrafi mnie wpakować w kłopoty. Dostałem od niej te cholerne ramki jako prezent, w każdej było miejsce na pięć fotografii formatu dziewięć na trzynaście. Jedyna zielona roślina w tym mieszkaniu też była od mojej byłej partnerki. I poduszki na kanapie, i zasłony.

Uznała, że mieszkam w norze niewiele różniącej się wystrojem od więziennej celi, więc zabawiła się w dekoratorkę wewnątrz. Nie przeszkadzało mi to, jak i nie przeszkadzał mi wystrój więziennej celi, póki mogłem wyjść z mieszkania, a za drzwiami nie było strażnika.

Te ramki wisiały puste przez jakieś dwa miesiące, aż Ti zapytała, czy zamierzam coś w nie wsadzić, czy będą tak wisieć kolejny rok. To było jedno z tych podchwytliwych pytań, jakie zadają kobiety. Tylko pozornie możesz odpowiedzieć: „Dokładnie tak, nie zamierzam nic z tym robić”. Więc wsadziłem w nie zdjęcia, które akurat miałem pod ręką. I oczywiście musiało się wśród nich trafić to z naszych czasów świetności. Para dzieciaków wystylizowanych na przedstawicieli francuskiej bohemy, ja i Konstancja. Na jednej z pierwszych randek, w kinie studyjnym, obejrzelismy „Męski, żeński” Godarda. Nie pamiętam, o czym był film, i gdybym nie próbował obmacać dziewczyny siedzącej obok, pewnie bym zasnął. Ale jej się podobał. Ja widać też, skoro nie dała mi po łapach. Uważała, że para aktorów wygląda jak my, czy raczej my jak oni. Faktycznie, była równie śliczna jak Chantal Goya, miała podobną fryzurę – z ciemną grzywką – ciało chude, ale wciąż kobiece, i wielkie, sarnie oczy. Ja nosiłem szalik i płaszcz, tyle było mojego podobieństwa do Léauda, ale podobał jej się ten pomysł. Na jakiś bal przebierańców ubrała nas odpowiednio i któryś z jej kolegów zrobił nam to zdjęcie. Wygląda na nim na rozmarzoną i świeżą. Ja krzywię się nieco mniej niż zwykle. Gdyby nie Ti i ta cholerna ramka... Wyciągnąłem wszystkie zdjęcia, jakie miałem w szufladzie, a i tak ledwie starczyło na wypełnienie tych ramek. Po cholere ich tyle? Gdybym wiedział, że istnieje choć cień ryzyka, że Konstancja przyjdzie do tego mieszkania...

– Nie wyrzuciłeś go... – powiedziała cicho.

Jej głos drżał od emocji, które mnie zmartwiły – niezbitnie wskazywały na to, że skupia na tym pieprzonym zdjęciu zbyt wiele uwagi.

– Jedno z nielicznych, na których wyglądam jak człowiek, szkoda było się go pozbywać. Muszę mieć jakiś dowód, że też potrafię – rzuciłem chłodno.

– Mogłeś mnie odciąć.

– Zgubiłby się format i nie pasowałoby do ramki. Zjesz ze mną? – zapytałem, nakładając jajka na talerz.

– Nie, jadłam już.

Nie nalegałem. Jadłem sam, zastanawiając się, kiedy wreszcie powie, z czym przychodzi, i kiedy całe to gówno się zacznie. Bo przecież nie przyszła powiedzieć mi, że mnie kocha i że po szesnastu latach odmawiania sobie szczęścia postanowiła do mnie wrócić.

– Jeśli wpadłaś, żeby się pożegnać, jesteś szesnaście lat za późno. Wtedy czekałem na jakieś słowa, dziś mam to w głębokim poważaniu – wypaliłem. Zawsze potrafiła mnie przetrzymać.

– Masz rację, zasłużyłam na baty i chętnie je przyjmę. Ale najpierw... potrzebuję twojej pomocy. Wiem, że pracujesz w policji...

– I co? To już ten moment, kiedy zażyczysz sobie, żebym pomógł ci odnaleźć czarnego ptaka?

Odczytałem z jej twarzy, że nie załapała aluzji. Może wciąż oglądała nudne francuskie filmy zamiast porządnej klasyki.

– Niczego nie szukam... poza kilkoma odpowiedziami.

Opanowałem pokusę. Musiałem zachować cień złudzenia, że nie prowadzi mnie na postronku, jak robiła to kiedyś. Jadłem jajecznicę, zagryzając ją podeschniętym nieco chlebem i popijając herbatą. Ona swojej nie tknęła. Podeszła bliżej i znów posłała mi to wymowne spojrzenie damy w opresji.

– Krwawisz – szepnęła.

– Co? A, tak – otarłem wierzchem dłoni zadrapanie na skroni i czole – nic mi nie będzie. No chyba że masz ochotę zabawić się w słodką pielęgniarkę, która położy mnie do łóżka i ukoi mój ból. Wtedy rana jest poważna, a także mam kilka innych, których jeszcze nie widziałas.

Zaśmiała się chrapliwie. Zawsze lubiłem jej śmiech.



– Niezłe. Zwłaszcza że faktycznie jestem pielęgniarką.

Uniosłem brwi zaskoczony. Kiedy byliśmy razem, chciała zostać psychologiem klinicznym, miała wielki plan rozpisany na całą dekadę. To, że ja z niego wypadłem, nie zdziwiło mnie tak jak to, że wypadła z niego jej kariera.

– Pracuję w szpitalu, na oddziale noworodków i intensywnej terapii neonatologicznej.

– Gdzie?

– W Toruniu, na Bielanach.

Nic nie powiedziałem, przez chwilę po prostu jadłem. Pracowała kilka przecznic od mojego mieszkania. Pewnie mieszkała równie blisko. Kiedy odeszła, szukałem jej. Trop urwał mi się gdzieś w okolicach czeskiego Cieszyna. Miała jakichś krewnych w Austrii, pomyślałem więc, że pojechała do nich, ale nie miałem adresu. Zresztą zrozumiałem przekaz – odchodzę od ciebie najdalej, jak mogę, i nie chcę być znaleziona. Tymczasem teraz się dowiaduję, że Bóg wie od jak dawna mieszka po sąsiedzku. Wyciągnąłem papierosy i zapaliłem jednego, potrzebowałem czegoś, czym mógłbym zająć ręce. Czegoś innego niż jej wiotka szyja.

– Piotrze, ja... – Wciągnęła głośno powietrze, jakby zbierała się na odwagę. Zaczęła jeszcze raz: – W szpitalu miała miejsce seria tajemniczych zgonów. Giną dzieci, noworodki. Trójka w ciągu zaledwie dwóch tygodni. To nie powinno się wydarzyć, statystycznie nie miało prawa się wydarzyć. W całej Polsce umiera z powodu śmierci łóżeczkowej sto sześćdziesięcioro dzieci rocznie. A tu trójka, jedno za drugim? Urodzone w odstępie tygodnia? Mało prawdopodobne.

– Podzieliłaś się swoimi obserwacjami z władzami szpitala?

– Oczywiście. Przeprowadzono dochodzenie. Dzieci były zdrowe, nie ma śladu działania osób trzecich, nie było powikłań poporodowych ani zakażenia. Piotrze, zdrowe dzieci nie umierają tak po prostu...

– To tragiczne, zgadzam się. Ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

– Bo wiem, że będziesz wiedział, że nigdy nie zrobiłabym krzywdy dziecku. A dochodzenie wykazało, że jestem jedyną pielęgniarką na oddziale, która miała dyżur akurat we wszystkie trzy noce, kiedy te dzieci umarły. I jeśli nie dowiem się, co się stało, utrata pracy będzie najmniejszym z moich zmartwień.

– Rozumiem, dlaczego potrzebujesz śledczego, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego muszę to być ja. – Zaciągnąłem się ostatni raz i zgmiotłem kciukiem niedopałek w ciężkiej szklanej popielniczce. Niemal automatycznie odpaliłem następnego papierosa.

– Nadal tyle palisz?

– Moje nawyki nie są przedmiotem tej rozmowy, Konstancjo. Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Jest pewnie kilku policjantów, którzy chętnie by się tym zajęli.

– Ale im nie będę mogła powiedzieć wszystkiego. – Zagryzła wargi. – Nie wiem, czy nawet tobie zdołam, ale obcym nie potrafiłabym na pewno.

– Zaciekawiłaś mnie... choć to nie tak, że mnie potrafisz powiedzieć więcej niż innym. Na przykład słowa: „Do widzenia, odchodzę” nie przeszły ci przez gardło. Skąd mam mieć pewność, że teraz będzie lepiej?

– Jesteś złośliwy, ale zasłużyłam. Gdyby chodziło tylko o mnie, wyszłabym już stąd i nigdy nie wracała. Ale muszę się dowiedzieć, co zagraża noworodkom. Wczoraj prawie straciliśmy kolejne... Byłam tam wtedy, rozumiesz? Byłam za szybą i widziałam, że zaczyna się dusić i płacze. Od razu do niego podbiegłam, był siny, żył, ale musiał spędzić noc pod tlenem. Boję się, że to coś wybrało go na kolejną ofiarę. – Łzy zaszklily się w jej oczach.

– To coś? – zapytałem ostrożnie. Bo w ostatnich miesiącach przekonałem się, że „to coś” to czasem najbardziej precyzyjne określenie dla cholernie wielu zjawisk.

– Nie wiem, czym to jest. Czułam je, było przy chłopcu, kiedy zaczęłam go reanimować. Było złe i zimne. Bardzo zimne. Nie umiem tego dokładniej określić. – Potrząsnęła głową. – Wiem, to, co mówię,

brzmi jak szaleństwo, ale nie wymyśliłam sobie tego, to prawie zabiło noworodka, a wcześniej zabrało trójkę dzieci... Tylko tobie mogę zaufać. Pomóż mi, Piotrze, błagam cię!

Jak na kobietę, która z całą pewnością coś ukrywała – w co najmniej trzech momentach tej rozmowy mentalnie gryzła się w język, by nie powiedzieć za dużo – sporo mówiła o zaufaniu. Mogłem chwilę poczekać, by zobaczyć ją na kolanach. Kiedyś wiele bym dał za ten widok. Ale to wyglądało jak coś z mojej działki. Mniej więcej. Wciąż mi się krystalizowało, co jest moją działką.



Nie została na noc. Nie żebym przegapił okazję, by zapytać. Spojrzała na mnie chłodno i oświadczyła, że mieszka niedaleko, a nawet gdyby mieszkała w Bukareszcie, nie przysłała tu w tym celu. Przyjąłem to spokojnie, zwłaszcza że nie wiem, czy byłem gotowy na sytuację, w której powiedziała, że chętnie. Wciąż miałem niewyjaśnioną sprawę z Katią. Chyba tylko ona wiedziała, czy zerwaliśmy, czy nie. To była jedna z tych zawiłych rozmów, w których ona mówiła o swoich potrzebach, oczekiwaniach i przyszłości, a ja głównie siedziałem cicho, zastanawiając się, jak, u diabła, miałbym sprostać jej wymaganiom. Prosty na początku układ skomplikował się i oboje czuliśmy, że ona zasługuje na więcej, niż ja mogę jej dać, i podświadomie zaczyna tego szukać. Nie protestowałem. Była kochaną i słodką dziewczyną, choć była też nekromantką. I może powinienem się zdobyć na męską decyzję, powiedzieć jej, że droga wolna, ale cieszyłem się tym, co miałem. A to, że coraz więcej czasu spędzała na wyjazdach, nie zmieniało faktu, że przeżyliśmy razem kilka pięknych miesięcy. Jeśli miałbym być ze sobą szczerzy, musiałbym przyznać, że to, co czuję do Katii, to sympatia, zauroczenie, tak mające się do miłości, jaką kiedyś czułem do Konstancji, jak wiosenny deszczyk do huraganu. Na pewno miłszy i mniej destrukcyjny, ale nie zapadający w pamięć. A Katia? Przymierzała mnie do makiety domu i rodziny, o których marzyła. I gdzieś w głębi już wiedziała, że nie pasuję, ale nie miała odwagi, by mi o tym powiedzieć. Tak to widziałem. Co nie znaczy, że nie miałbym oporów, by przespać się teraz z inną. Nawet z Konstancją, która bez wątpienia była pierwsza we wszystkim. Pierwsza miłość, pierwszy seks, pierwszy cios. Kolejny zgubny efekt przebywania z Ti – za dużo wałkowania swoich emocji. Co czasem się przydaje, skoro nie mogę po ludzku schlać się do nieprzytomności i zapomnieć, zwykle jednak tylko pogarsza i bez tego męczący zamęt.

Umówiłem się z Konstancją przed szpitalem o dziewiątej. Istniała szansa, że nas wpuszczą, choć w subtelny sposób wymuszono na niej wzięcie zaległego urlopu. Jakkolwiek strasznie to brzmi, byłoby lepiej, gdyby podczas jej nieobecności doszło do jakiegoś incydentu, który oczyściłby jej imię...

Nie zamierzałem się dziś pojawiać w pracy, zadzwoniłem więc do szefowej. Anita nie protestowała, zaproponowała, bym zrobił sobie wolne, skoro wciąż mam zaległy urlop z zeszłego roku – a to przecież psułoby wizualne aspekty sprawozdania.

– I mam nadzieję, że chodzi o jakąś atrakcyjną kobietę, a nie butelkę wódki. A jeśli o coś innego, to nawet nie chcę wiedzieć! – rzuciła na koniec.

Parsknąłem cichym śmiechem.

– Masz nosa, szefowo, jak zawsze. Choć nie wiem, w czym kobieta miałaby być lepsza od wódki.

– W sumie racja, alkohol, kobieta, na jedno wychodzi, to i to używka. Ale wolę, żebyś zażywał je w tej formie, bo mało prawdopodobne, że będę musiała o tym pisać raport. Nie chcę cię widzieć do końca tygodnia. Nie wracaj bez opalenizny!

– Skąd ja ci wezmę opaleniznę na początku kwietnia?

– Zaskocz mnie! – Jej głos był wysoki, ale miły dla ucha. Zakończyła połączenie.

Pewnie bym ją zaskoczył, gdybym jej powiedział, że odwyk, na którym byłem jesienią, to ściema na

resorach, bo w rzeczywistości byłem w magicznym odpowiedniku Sopotu i przechodziłem szkolenie. I że od dwóch lat nie piję, bo uznałem, że szkoda tracić kasę na porządną gorzałę, skoro nie ma efektu znieczulenia, a dość pieniędzy wydaję na narkotyki, które też nie działają na mnie tak jak na innych. Zaskoczyłbym ją, ale później mnie zaskoczyłby jakiś cyngiel, który raz-dwa rozprawiłby się ze mną jako tym, który nie potrafi trzymać języka za zębami i zdradza tajemnice magicznego zwykłemu człowiekowi. Jestem nowy, więc mają mnie na oku. Plus Anita zadzwoniłaby do Ti, by ją opieprzyć za wciągnięcie mnie w to gówno. Bywała dość nadopiekuńcza. Może dlatego, że jej syn wygląda jak młodsza wersja Léauda i ma tendencję do popadania w tarapaty.

Miałem więc kilka dni, by odkryć, co zagraża dzieciom na oddziale noworodków. I co tak naprawdę spowodowało do mnie Konstancję. Bo że miała jakąś tajemnicę, nie ulegało wątpliwości. I może nadszedł czas, żeby mi jasno powiedziała, dlaczego wtedy odeszła w środku nocy. To tak na początek.



Znów padało. Nie tak intensywnie jak wczoraj, ale wystarczająco, by zimno przenikało przez zbyt lekką kurtkę, która miała mi zastąpić zniszczony płaszcz. Niebo zasnuwała ołowiana kurtyna chmur. Gdybym był pesymistą, nie uwierzyłbym, że jeszcze kiedyś zobaczę choć jeden promyk słońca. Byłem jednak umiarkowanym optymistą, dostrzegałem więc cień szansy, że kiedyś nie będzie mokro, zimno i szaro, a ja, być może, doczekam tego dnia. „Być może” to wszystko, na co mnie stać, ale nie mówcie, że nie próbowałem wykrzesać z siebie radości istnienia. Wiosny zwyczajnie nie było widać. Był początek kwietnia, tymczasem drzewa straszyły nagimi gałęziami, a ziemia wciąż pamiętała o mrozach.

Dla równowagi czekająca na mnie przy bramie szpitalnej Konstancja – w czerwonej pelerynie i pasujących kaloszach – wyglądała jak personifikacja Dnia Świętego Walentego. Kiedy ściska cię w dołku na widok kobiety w kaloszach, wiesz, że masz kłopoty. Powinienem się wycofać, póki jeszcze nie posunąłem się do bycia żalonym idiotą pełzającym u jej stóp. Ale najwidoczniej jestem na to za głupi.

– Musimy się pospieszyć – powiedziała zamiast przywitania – koleżanka nas wpuści, ale jeśli pojawi się ordynatorka, będziemy mieć problemy.

– Potrzebujemy tylko kilku minut – odpowiedziałem. Spojrzała zdziwiona, jakby zastanawiała się, co, u diaska, wskóram w kilka minut. Możliwe, że nie wskórałbym nic, ale nie zamierzałem się dzielić tą wiedzą.

Nie lubię szpitali. Pomijając to, że śmierdzą równie mocno środkami odkażającymi co śmiercią i chorobą, jest w nich coś bezbrzeżnie depresyjnego, nawet na moje standardy. Może to kwestia oświetlenia, kolorów, może emocji, jakimi emanują ludzie, którzy się tam znajdują. Oddział położniczy mnie zaskoczył – był inny. Nie zaglądałem tu dotąd, jakoś nie było okazji. I niby na pierwszy rzut oka przykuwały uwagę same kiepskie jarzeniówki, sprawiające, że wszyscy wyglądali na chorych i niewyspanych, te same blade i nijakie ściany, ale coś się tu nie zgadzało. Może to kwestia tego, że tu się ludzie rodzili, nie umierali. Przynajmniej do niedawna nie umierali.

Koleżanka Konstancji wprowadziła nas do sali noworodków. Tobołki w kolorowych flanelkach leżały w osobnych łódeczkach. Było ich niewiele i wyglądały zdrowo. Cięższe przypadki, wcześniaki czy te, które urodziły się chore, leżały w innych salach, znacznie mocniej odizolowane i zwykle umieszczone w inkubatorach czy ledwie widoczne spod płataniny rurek. Widziałem je przez przeszkłone drzwi mijane na korytarzu. Te tutaj wyglądały lepiej. Jak zdrowe dzieci. I moja w tym głowa, by tak pozostało. Ktokolwiek na nie polował, był sprytny. Na oddziale neonatologicznym śmiertelność pewnie z zasady jest wyższa, skoro trafiają tu kobiety z ciążą zagrożoną czy komplikacjami. Nawet przez dłuższy czas

proceder mógł pozostać niezauważony.

Niektóre niemowlaki spały, inne popiskiwały jak kocięta. Konstancja poprowadziła mnie prosto do jednego z nich.

Chłopiec leżał tak cicho, że nawet mnie, choć nie mam pojęcia o dzieciach, wydało się to nienaturalne. Miał takie same granatowe ślepka jak wszystkie niemowlaki, ale na ich dnię czaiła się jakaś... sam nie wiem, wiedza? Jakby widział zbyt wiele i to go zmieniło. Pochyliłem się niżej, by lepiej mu się przyjrzeć, i wyciągnąłem rękę, aby odchylić kocyk, którym był okryty. Złapał mój palec i ścisnął z siłą, o jaką nie podejrzewałbym takiego malca. Wyswobodziłem się i wziąłem go na rękę. Pielęgniarka zaprotestowała, ale Konstancja ją uspokoiła.

Był taki lekki, jakby nic nie ważył. Ręce mi drżały i bałem się, że go upuszczę, ale z jakichś powodów chciałem go chwilę potrzymać. Coś mi mówiło, że powinienem. Ułożyłem go w zgięciu łokcia, tak jak kiedyś uczyła mnie znajoma, nim pozwoliła wziąć na rękę swoją córeczkę Maję. Dziecko nie wydawało z siebie żadnych dźwięków. Żadnego płaczu, gaworzenia, popiskiwania. To było nienaturalne. Wypowiedziałem bezgłośnie słowa widzenia, które pozwalały mi dostrzec pozostałości po użyciu magii. Nie spodziewałem się wiele, a na pewno nie tego, co pojawiło się natychmiast na twarzy i szyi dziecka – wyraźny czerwony ślad dłoni, niedużych, znacznie mniejszych niż moje czy nawet dłonie Konstancji. Sapnąłem zaskoczony i pogłaskałem policzek niemowlęcia w miejscu, gdzie widniał ślad. Mały poruszył się nerwowo, jakby poczuł ból. Wciąż jednak nie wydał z siebie dźwięku. Popatrzyłem na czerwone pręgi na jego szyi i zastanawiałem się, czy w ogóle może z siebie wydobyć głos. Zakołysałem nim delikatnie, wydając te charakterystyczne pomruki, których dorośli używają do porozumiewania się z dziećmi. Nie wyglądasz wtedy zbyt inteligentnie, ale dzieci zdają się to lubić. Mały nie reagował. Wciąż wpatrywał się we mnie oczami wielkimi jak spodki, a ja zaczynałem nabierać przekonania, że jakaś poważna szkoda już się dokonała.

Miałem już pewność, że Konstancja nie kłamała. Naprawdę czuła obecność czegoś bardzo złego, co czyhało na życie tego dziecka. Spojrzałem na nią, odkładając chłopca do łóżeczka. Wydawała się poruszona. Coś w jej twarzy się zmieniło, oczy wydawały się szkliste, a ramiona ciasno oplatały tułów, jakby coś ją bolało. Możliwe, że wyczuwała jakieś ślady po istocie, która zraniła dziecko. Miała z nią bezpośredni kontakt. Jeśli wśród jej przodków był ktoś obdarzony magią, mogła być na nią wrażliwa, mimo że sama nią nie władała. Miałem jednak wrażenie, że jest w tym coś więcej. Poprawiłem kocyk, by szczelnie otulał nienaturalnie nieruchome ciało. Nie wiedziałem, czy da się pomóc temu maluchowi, czy już jest stracony, nawet jeśli to coś po niego nie wróci.

Nie dezaktywując słów widzenia, wyszedłem z sali, by poszukać śladów, które mógł po sobie zostawić sprawca. Poczułem tylko chłód, o którym mówiła Konstancja. Chłód, który mógł znaczyć bardzo wiele, ale który równie dobrze mógł się okazać ślepym zaułkiem. Nie zdołałem wychwycić nic więcej – albo nie miałem dość umiejętności, albo tego czegoś nie było już w pobliżu.

Idąc korytarzami szpitala, zauważyłem jeszcze jedną dość dziwną prawidłowość: nie było tu duchów. Zwykle działałem na duchy jak magnes – taki urok bycia szamanem. Szpital jest miejscem, gdzie zawsze jest ich sporo. Jasne, nie na oddziale położniczym, ale nie było ich nawet przy ostrym dyżurze i w izbie przyjęć. Karetki zwożą tu ofiary wypadków drogowych, przemocy domowej, ciężko rannych i wielu z nich nie przeżywa. Gwałtowna śmierć, ból, przemoc – to wszystko sprawia, że dusza dostaje swoją porcję energii i może się zamienić w ducha. Tu powinno się więc roić od duchów – nie tak silnych jak dziewczyna z mostu, ale dość silnych, bym je zobaczył. Ich brak był nienaturalny. Pokonałem kilkadziesiąt metrów korytarza na dwóch piętrach i żaden się nie napatoczył ze zwyczajowym: „Stary, wiem, że mnie widzisz”...

Konstancja szła za mną, zamyślona, jakby nieobecna. Nie komentowała tego, że zamiast zmierzać do wyjścia najkrótszą drogą, tułam się po korytarzach, ryzykując, że wpadniemy na panią ordynator. Dopiero kiedy wyszliśmy z budynku, zrównała ze mną krok. O ile nie zmieniła się diametralnie, znałem ją

wystarczająco dobrze, by rozpoznać to napięcie, które zwykle towarzyszyło jakiemuś trudnemu do zadania pytaniu.

– Lubisz dzieci? – zapytała, nieco mnie zaskakując. Spodziewałem się raczej pytania o to, co robiłem przez ostatni kwadrans.

– A ktoś ich z zasady nie lubi? – odpowiedziałem. Ewidentnie oczekiwała nieco bardziej elokwentnej wypowiedzi. Takiej z uzasadnieniem. – Mam z nimi niewiele kontaktu, ale jak większość przedstawicieli naszego gatunku, jestem wrażliwy na te wielkie oczka i pucułowate buźki. Są szczerze, w przeciwieństwie do większości dorosłych. Ich potrzeby są oczywiste i dość łatwo je zaspokoić. Ale jeśli myślisz, że gdybym ich nie lubił, nie zdecydowałbym się ci pomóc, mylisz się.

Zaczerwieniła się po czubki uszu. Urocze.

– Nie, nie pomyślałabym, ja tylko... nieważne.

Przyspieszyła i po chwili widziałem jej czerwoną pelerynę i kalosze spory kawałek przede mną. Już miałem ją dogonić, kiedy poczułem powiew zimna na karku, a instynkt podpowiedział mi, że jednak nie wszystkie duchy zniknęły z tego miejsca.

– Musisz ją powstrzymać – usłyszałem tuż przy uchu – zabija nas wszystkich i wciąż jej mało...

I tyle. Uczucie chłodu zniknęło i stałem sam na chodniku przed oddziałem pulmonologii. Konstancja czekała na mnie za bramą szpitala, zagadywana przez strażnika. Przyspieszyłem.



Śledztwo dotyczące czegoś ewidentnie nadprzyrodzonego prowadzone w towarzystwie kogoś, kto o istnieniu sił nadprzyrodzonych nie ma pojęcia i kogo nie powinienem w tych kwestiach uświadamiać, to trudne, jeśli nie niewykonalne zadanie. Musiałem spławić Konstancję i zabrać się do roboty po swojemu. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Nie, Piotrze! Muszę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. I nie wystarczy, że zdasz mi oględną relację, kiedy skończysz. Widzę, że już teraz wiesz więcej, niż mi mówisz. Muszę wiedzieć, że nie zwariowałam, że to wszystko dzieje się naprawdę. Tkwię w tym po uszy, rozumiesz!?

– Gdyby nie nasza wspólna historia, pomyślałbym, że szukasz powodu, żeby spędzić ze mną trochę czasu, moja piękna. – Uniosłem sugestywnie brew, licząc, że się nieco przestraszy i skapituluje. Widać kiedyś poddawała się łatwiej, bo teraz tylko zacisnęła gniewnie usta.

– Możesz sobie myśleć, co chcesz. Tu chodzi o dzieci, które powierzono mojej opiece, i o pracę, którą kocham. Nie będę siedziała beczynnie, kiedy ty odwalasz całą robotę.

– Konstancjo, zaufaj mi, nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie sądzę też, żeby wspólne spędzanie czasu wyszło nam na zdrowie. Ja wiem, co robię, będziesz mi tylko przeszkadzała.

– Chodzi o to, czego nie możesz lub nie chcesz mi powiedzieć?

– Skąd taki pomysł? – zablefowałem.

– Widziałam cię z tym dzieckiem. Wiem, że coś mu dolega i ty wiesz co. Widziałam cię w tym szpitalu, miałeś ten swój błędny wzrok, wpadałeś na ludzi, jakby twój umysł był zupełnie gdzie indziej. Oboje wiemy, że to coś, co zagraża dzieciom, nie jest normalne. Próbowaleś to wyczuć, przyznaj się! Zawsze podejrzewałam, że jesteś medium. Albo że jesteś szalony. Ale skoro pracujesz w policji, to raczej nie jesteś wariatem, prawda?

– To dość odważne założenie. Raz w miesiącu odwiedzam w psychiatryku kolegę z wydziału.

– Nie oszukasz mnie, Piotrze. Może minęło kilkanaście lat, ale wciąż cię znam. A ty też znasz mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie mogę siedzieć w domu i umierać ze strachu.

Nie miałem argumentów. A może nie chciałem mieć. Mimo niedogodności, jakie wiązały się z jej

towarzystwem, myśl o spędzeniu z nią paru godzin nie była mi niemiła. Może i ja uzyskam odpowiedzi, których szukałem latami? Ale najpierw musiałem coś załatwić. Coś, czego nie mogłem zrobić z nią.

– Muszę się z kimś spotkać. Nie będzie ze mną rozmawiał, jeśli przyprawdżę obcą kobietę. Ale żeby nie było, że czekasz bez zajęcia, mam dla ciebie zadanie specjalne. Dowiedz się dyskretnie, czy na innych oddziałach nie wzrosły statystyki zgonów, czy nie umierają ludzie, którzy powinni wyzdrowieć, czy nie było dziwnych wypadków, na przykład awarii sprzętu podtrzymującego życie. Czy nie pojawiły się jakieś niezwykle komplikacje pooperacyjne, takie rzeczy.

Spoglądała na mnie nieufnie, ale w końcu skinęła głową.

– Dowiem się. Myślisz, że to szerszy problem?

– Śmierć niemowląt rzuca się w oczy bardziej niż na przykład śmierć starego człowieka czy pacjentów ostrego dyżuru, bo tam jest niejako w granicach ryzyka, łatwiej ją ukryć. Gdy umiera dziecko, a później kolejne, ludzie odbierają to jako coś bardziej nienaturalnego, bo nie tak miało być. Zapisz też wszystko, co wiesz o dzieciach, które zmarły: zestaw daty, płeć, imiona, dane rodziców, wszystko, co pozwoli nam zobaczyć jakiś wzór, jeśli taki istnieje. Poradzisz sobie z tym?

– Będę miała te dane. Pojawię się u ciebie jutro rano i lepiej, żebyś był w mieszkaniu.

– Będę na ciebie czekał. Jak mógłbym zrezygnować ze śniadania z tobą?

Miałem kilkanaście godzin, by się dowiedzieć, co jest grane w szpitalu i z kim mam do czynienia – czy jest to duch, czy coś innego. Nie widziałem dotąd ducha, który zdołałby zostawić po sobie taki ślad na ciele dziecka albo zabić inne w ten sposób. A jeśli duch, to czyj – bez znajomości imienia nie zdołam go przeprowadzić.



Mogłem iść do biblioteki w Thornie, przerzucać przez resztę dnia opasłe i zakurzone księgi, ale cenię sobie ekonomię czasu. Zawsze jeśli mogę się dowiedzieć czegoś w inny sposób, próbuję to zrobić. W szybkim wybieraniu miałem dwa numery, pod które mogłem zadzwonić, by uzyskać jakieś sensowne informacje, ale tylko decydując się na jeden, nie musiałbym się obawiać pytań, na które wciąż nie miałem odpowiedzi. Problem polegał na tym, że dodzwonienie się do niektórych wymaga więcej cierpliwości niż dodzwonienie się do innych. Bez większych nadziei wybrałem numer Ti. Mogła przebywać w Trójjprzymierzu, a tam, podobnie jak w Thornie, nie było zasięgu, żywiłem jednak nadzieję, że wychyli nos poza magiczne miasto i zauważy nieodebrane połączenie. Miałem więcej szczęścia, niż zakładałem – zamiast komunikatu o tym, że abonent jest czasowo niedostępny, usłyszałem zwykły sygnał oczekiwania na połączenie. Po kilku sekundach usłyszałem:

– Dora Wilk, słucham?

– Cześć, Ti, tu twój porzucony partner.

– Witkacy! Miło cię słyszeć, ratujesz mnie właśnie przed nadmierną socjalizacją ze stadem wilków. Co u ciebie? – zapytała radośnie.

– Mam sprawę, która wygląda na jedną z tych, o jakich kilka miesięcy temu nie miałem pojęcia.

– Potrzebujesz pomocy? Mogę być w ciągu kilku godzin...

– Nie wiem, z czym mam do czynienia, dzwonię do ciebie jak do podręcznej encyklopedii nadnaturalnego syfu.

– Mów, zobaczymy, czy zadzwoni mi dzwonek – jej głos już nie brzmiał tak radośnie jak przed chwilą.

– Pytanie za sto punktów: co poluje na niemowlęta i jednocześnie potrafi przerazić duchy?

– Inny duch?

– Nie słyszałem o duchach, które potrafiłyby zostawić na ciele dziecka odciski rąk, czerwone, jakby

wypalone na skórze. To wymagałoby więcej energii, niż duch jest w stanie zebrać. Mogą zabić, ale nie zostawią odcisków palców.

– I dotyczy to tylko małych dzieci?

– To coś rezyduje na oddziale noworodków i intensywnej opieki neonatologicznej w szpitalu na Bielanach. Na razie nie wiem, czy poluje też na innych pacjentów. Trzy maluchy nie żyją, czwarty był blisko. Wygląda to na śmierć łóżeczkową.

Przez chwilę milczała. Niemal słyszałem, jak trybiki przekręcają jej się w głowie.

– Czytałam ostatnio trochę... Jest demon, który interesuje się wyłącznie niemowlętami i małymi dziećmi. Nazywa się Lamasztu, pochodzi z Babilonii, choć zwykle nie zabija. Zakrada się do nich, karmi piersią, sprawia, że chorują. Coś jak demoniczna wersja zespołu Münchhausena. Zwykle chorują też prawowite matki dzieci. To coś jak kara za to, że to one, a nie Lamasztu je urodziła.

– Jak sprawdzić, czy to ona, i jak się jej pozbyć, jeśli okaże się, że tak?

Potarłem nerwowo czoło. Demony to zupełnie nie moja liga, głowa zaczynała mnie boleć na samą myśl, że miałbym się mierzyć z mieszkanką piekieł.

– Tego nie wiem, ale znam kogoś, kto wie wszystko o demonach. Oddzwonię do ciebie...

– Masz gorącą linię z piekłem, Ti?

– Coś w tym rodzaju, muszę tylko znaleźć ustronne miejsce, z dala od wścibskich spojrzeń. Oddzwonię za jakąś godzinę.

– Będę czekał.

Rozłączyła się. Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się, czy ze mną będzie jak z nią. Kilkanaście lat temu nie wiedziała, że istnieje coś takiego jak magia i świat nadprzyrodzony. Dziś niewiele ją dziwi, wrosła w to wszystko, zongluje większą liczbą piłeczek, niż powinna być w stanie. To się chyba nazywa wzorcowa aklimatyzacja. Ja byłem na początku tej drogi i nie radziłem sobie nawet w jednej setnej tak dobrze. Gdybym mógł wyrzucić ze swojego DNA te geny, które sprawiają, że jestem inny, zrobiłbym to. To jednak niemożliwe. Ti nieustannie mi powtarzała, że nie powinienem tracić energii na walkę, lecz rozwijać umiejętności, żebym stał się najlepszy w tym, kim jestem, bo nikt tego za mnie nie robi. Jestem wyjątkowy, tak mówiła, stworzony do wyjątkowych czynów. Nie lubię zmian, nie aklimatyzuję się szybko, nie przepadam za sytuacjami, kiedy wszyscy dookoła wiedzą na mój temat więcej niż ja sam. Zupełnie nie podoba mi się myśl, że miałbym zrobić to, co, jak wiem, jest konieczne, bym dysponował pełną mocą, jaką może dysponować szaman. Byłem za stary i chyba zbyt cyniczny, by mierzyć się z przeszkodami z takim entuzjazmem, z jakim robiła to Ti. Ona odkrywała problemy, jakie zmalowali jej przodkowie, i po prostu adaptowała się do okoliczności, rzucała w wir zdarzeń i wszelkie nowości traktowała jako okazję, by działać więcej. Zazdrościłem jej tego, choć nie do końca rozumiałem. Wolałem metodę małych kroczków, nawet jeśli to oznaczało, że jestem słabszy i że aby przeprowadzić ducha w zaświaty, muszę się czołgać w guanie pod mostem. Może gdyby jej inicjacja miała wyglądać jak moja, też byłaby nieco bardziej powściągliwa – a może nie. Kwestia osobowości.

Czekając, aż Ti zadzwoni, uruchomiłem komputer. Przejrzałem bazę danych policji i lokalnych gazet. Nie zapaliła mi się żadna czerwona lampka dotycząca szpitala czy niewyjaśnionych zgonów na jego terenie, ale nie znaczyło to, że ich nie było. Zwyczajnie nikt nie zgłosił przestępstwa ani nie uznał tego za temat dla lokalnych wiadomości. O trójce dzieci też nic nie znalazłem, choć Konstancja wspominała o wewnętrznym śledztwie i kontroli. W dzisiejszych czasach władze szpitala wołają, by takie informacje nie wyciekały. Wystarczy drobiazg i placówka trafia na celownik wszystkich „Spraw dla reportera”, „Uwag” i „Faktów”.

Z ciekawości wrzuciłem dane Konstancji w Google. Mogło nic nie wyjść, przecież nawet jej nie zapytałem, czy nie wyszła za mąż i czy wciąż nosi to samo nazwisko co kiedyś. O dziwo, Google zarejestrowały jej istnienie. Trzy lata temu dostała jakąś nagrodę Fundacji Rodzić Po Ludzku. Pasowało mi to do niej, zawsze przykładała się, aby być najlepszą w tym, co robi, i przejmowała się ludźmi.



Wszystkimi poza mną. Nieprawda, przejmowała się mną, ale do czasu. Mimo poszukiwań nie znalazłem nic więcej. Nie miała kartoteki policyjnej, nie dostała nawet jednego mandatu. Może wciąż nie zrobiła prawa jazdy? Na studiach, kiedy ja robiłem kurs, ona odmówiła. Uważała, że byłaby kiepskim kierowcą, więc nie widziała powodu, by zwiększać zagrożenie na drodze. Lubiła swoją holenderską damkę, którą pomalowała na jaskrawożółto. Mówiła, że tylko kretyn ukradłby rower tak charakterystyczny i rozpoznawalny. To idiotyczne, jakie rzeczy się pamięta po latach. Wciąż nie wiedziałem, czy wyszła za męża. Przez tyle lat mogła się rozwieść i wrócić do nazwiska panińskiego, mogła też nie przyjmować nazwiska po mężu. Nie powinno mnie to interesować. A jednak interesowało.

Telefon przerwał mi niewesołe rozmyślenia. Może dobrze, właśnie fantazjowałem o daniu w mordę potencjalnemu mężowi mojej od bardzo dawna byłej dziewczyny.

– To nie Lamasztu – rzuciła Ti bez wstępów.

– Jesteś pewna?

– Tak. Nie opuszczała piekła w ostatnich miesiącach, jest na czymś w rodzaju warunku, przygarnęła niewłaściwe dziecko i mają ją na oku. Poza tym nie ma mowy, żeby to ona mogła zagrażać duchom. Duchy i demony najwyraźniej nie wchodzą sobie w drogę, nie wiem, z czego wynika ta animozja, ale ponoć to pewne. Więc jeśli twoje duchy boją się tego stworzenia, a ono może je unicestwić, to z pewnością nie jest to demon.

– To właściwie dobra informacja, dzięki, Ti.

– Nadal podtrzymuję ofertę, mogę wrócić i ci pomóc.

– Miałbym ci przeszkodzić w twojej wilczej misji? Przecież naprostowanie stada na prawo i porządek to coś, co całej magicznej społeczności leży głęboko na sercu – zakpiłem.

– Potrafisz być dupkiem, Witkacy, masz szczęście, że cię lubię. – Zaśmiała się cicho.

Nie demon. To już coś. Wciąż nie wiedziałem, z czym mam do czynienia, ale z całą pewnością byłem bliżej prawdy niż rankiem, kiedy opuszczałem szpital. Niestety, jeśli chciałem wiedzieć więcej, musiałem zadzwonić do mojego przewodnika. Mogłem też poszukać rozwiązania sam i uniknąć pytania o to, kiedy gotów jestem pozwolić duchom przodków pokroić mnie na kawałki i ugotować w gorącym oleju. Co prawda tylko na poziomie duchowym, ale jakoś mnie to nie pocieszało.

Mogłem odprawić rytuał Ononharori i pozwolić duchom przemówić do mnie we śnie, co wszakże było utrudnione, skoro od lat cierpię na bezsenność i bez potężnej dawki leków nie jestem w stanie zasnąć, a po lekach na pewno nie obudziłbym się rano na tyle rześki, by powitać w progu Konstancję. Zresztą jeśli istniała szansa, że wystarczą tradycyjne metody, niechętnie odprawiałem rytuały wiążące się z podróżami astralnymi. Miałem powód, by ich unikać. Za każdym razem, kiedy moja dusza wędrowała w zaświaty, mogli mnie dopaść najdrożsi przodkowie i bez pytania zacząć siekać moje mentalne ciało na kawałeczki w poszukiwaniu tej jednej, dodatkowej szamańskiej kości. Z jakichś powodów zdjęcie RTG nie było wystarczające. Jeśli miałbym ryzykować duszę dla jakiegoś rytuału, to raczej nie byłoby to Ononharori, ale Andacwander, wymagający odbycia stosunku seksualnego dla zadowolenia duchów. Zgadnijcie, kogo wytypowałbym jako partnerkę. Powiniennem się trzasnąć w policzek za samo myślenie o tym, ale wyobraźnia podsuwała mi miłe obrazy. No proszę, a mój przewodnik duchowy uważał, że nie potrafię odkryć radości, jaka płynie z magii i bycia szamanem...

Skoro nie chciałem kontaktować się z duchami przodków, zostawały mi księgi. Od czasu studiów nie miałem tylu lektur, co teraz. Zwykle po kilku godzinach odchodziłem od nich z bólem głowy i trudną do zniesienia świadomością, jakie jeszcze stwory kryją się w ciemności i co można uczynić, znając magię. Nie napawała mnie ta wiedza optymizmem ani nie sprawiała, że czułem się bezpiecznie. Czasem naprawdę lepiej pewnych rzeczy nie wiedzieć. Tyle dobrze, że w ostatnich latach powstało sporo przekładów starych ksiąg i nie musiałem odkurzać łaciny, z której pamiętałem niewiele. Księgi, kiedy były napisane w języku polskim i wydane na papierze (wciąż jednak na ręcznej prasie drukarskiej), w twardej, ale nie skórzanej oprawie, nie wyglądały już tak imponująco, spełniały jednak swoje zadanie

i o wiele łatwiej było je ukryć w mieszkaniu czy schować w kieszeni niż stare woluminy w rozmiarze folio.

Jako szaman należałem do kasty psychopompów, byłem przewodnikiem dla dusz kierujących się w zaświaty. Nie potrafiłem leczyć ani przepowiadać przyszłości. Może bym potrafił, gdybym się dał posiekać, ale to raczej ślepy traf. Powiniennem wiedzieć wszystko o duchach, zjawach i wszelkich bytach pomiędzy życiem a śmiercią ziemską. Cóż, nie wiedziałem. Ale dajcie mi dekadę czy dwie.

Kilka godzin przeglądałem „Leksykon istot granicznych”. Tak właśnie nazywano te twory z ektoplazmy i energii, które nawiedzały świat żywych po swojej śmierci. Skoro w szpitalu nie urzędował demon, to musiał to być któryś z nich. Na podstawie tych kilku wskazówek, które miałem, ustaliłem, że nie ma konkretnego stworzenia, które z zasady i przymusu żerowałoby na dzieciach. A więc był to indywidualny wybór sprawcy, co samo w sobie wydało mi się dość przerażające. W końcu zawęziłem pole do konkretnego gatunku i to, co odkryłem, nie spodobało mi się. Istniała jedna istota zdolna do tego, by żerować zarówno na duchach, jak i na ludziach, dość silna, by zabić i zostawić ślad, jaki widziałem. Dobra wiadomość – wiedziałem, jak ją zniszczyć. Zła – nie było to proste, musiałem znać jej dokładne imię, a także znaleźć coś, co ją ogniskuje, pozwala jej zachować materialny kształt. Kolejną złą wiadomością było to, że upiory, w przeciwieństwie do duchów, nie są związane z miejscem swojej śmierci, mogą się przemieszczać i oddalać o całe kilometry od przedmiotu ogniskującego. I o ile bywają duchy dobre, neutralne lub tylko irytujące, ale nieszkodliwe, nie ma dobrych upiorów, bo zostają nimi tylko naprawdę źli ludzie. Głównie mordercy. Hurra, ten dzień stał się właśnie gorszy, niż zakładałem! Skąd, u diabła, miałem wiedzieć, kim jest upiór?



Wyglądało na to, że jednak nie obejdzie się bez rytuału. Musiałem przesłuchać jedyne świadka, jakiego miałem – spanikowanego ducha, który zaczepił mnie po wyjściu ze szpitala. Anita byłaby szczęśliwa, gdyby wiedziała, że to możliwe. Lepiej dla mnie i duchów, by nigdy się nie dowiedziała.

Kiedy zakradłem się na teren należący do szpitala od strony osiedla Świętego Józefa, dochodziła dwudziesta. Wspiąłem się na ogrodzenie z siatki i w ciągu mniej niż minuty byłem w lasku okalającym zabudowania od północy – o ile rzadko posadzone i nieco anemiczne iglaki można nazwać laskiem. Stępnałem ostrożnie, bo pod stopami chrzęściły mi plastikowe strzykawki i szkło. Po tej stronie budynku znajdował się kontener na odpady ze szpitala. Regularnie otrzymywaliśmy zgłoszenia o narkomanach, którzy dostawali się tu tą samą drogą co ja i usiłowali znaleźć leki wyrzucone na śmietnik. Zwykle nic nie znajdowali – bioodpady i przeterminowane lekarstwa miały całkiem inny żywot jako śmieci, ale pasjonaci chemicznych rozkoszy regularnie wracali i robili tu bałagan. Trudno im się dziwić, biorąc pod uwagę czujność strażników.

Budynek szpitala rysował się jasną plamą na tle wieczornego nieba. Kucnąłem na krawędzi lasku, tak że przed sobą miałem spory kawałek zdziczałego trawnika. Byłem na tyle daleko od latarni, by nie wpaść w oko ochronie. Oczyszcziłem kawałek ziemi z kamieni, szorstkich igieł i trawy. Nie było to konieczne, ale skoro zamierzałem palić tu świece i zioła, lepiej, by w zasięgu iskry nie znalazło się nic, co mogłoby się zająć ogniem. Wyjąłem z plecaka kilka niezbędnych akcesoriów: bryłę ametystu, surowy kamień wielkości pięści, białą świecę, mosiężną podstawkę z kolcem do zamocowania świecy (niby nie była niezbędna, ale komu duch raz przewróci świecę, podpalając tym samym spodnie przywołującego, ten będzie raczej ostrożny), woreczek z mieszanką ziół, z których najbardziej intensywnie pachniała bazylia, odganiająca złe duchy (teraz już wiecie, czemu włoskie restauracje są zawsze pełne i ludzie mają tak znakomity apetyt), słoiczek soli i słoiczek wody święconej, płytką miseczkę do spalania ziół i skręty

z moją autorską mieszanką – odprężenie to podstawa przy kontaktach z drugą stroną. Pusty plecak ułożyłem na ziemi jako siedzisko. Ziemia była wciąż mokra, przez cały dzień siało – deszcz nie chciał odejść, zupełnie jak moje wspomnienia o Konstancji, niechciany i nieunikniony. Usiadłem po turecku i zapaliłem świecę. Ustawiłem ametyst tak, by podświetlał go płomyk, wzbudzając na jego powierzchni jasne smugi i cienie, pełzające w rytm niesłyszalnej ludzkim uchem melodii. W miseczce usypałem spory kopczyk ziół i podpaliłem. Słodkawy dym unosił się cieniutką i krętą smugą w wilgotnym powietrzu. Na krawędzi miseczki ułożyłem skręta przeznaczonego na ofiarę. Wierście mi, wszystkie duchy, jakie spotkałem, o wiele bardziej entuzjastycznie podchodziły do ofiary ze skrętów niż do tradycyjnych darów zjadła, napoju czy szklanych paciorków. Na chłopski rozum całkowicie je rozumiałem. Co mi po schabowym, jak nie mogę jeść, co mi po wódce, gdy nie mogę kropli uronić. Dym był na tyle kompatybilny z ich stanem skupienia, że mogły go wchłonąć. Nie wiem, czy dawał im kopa, ale wydawały się bardziej przyjazne już po małej dawce.

Pałiłem i starałem się wyciszyć umysł, ukoić zmysły, koncentrując się jednocześnie na bardzo uprzejmym zaproszeniu ducha na rozmowę. Nie znałem jego imienia, nie przeszedłem inicjacji, która dawałaby mi moc rozkazywania duchom – mogłem więc tylko prosić. Potrafiłem odesłać ducha, odprowadzić go – po dobroci lub nie – w zaświaty, ale nie potrafiłem go z zaświatów przywołać, skoro sam, z wiadomych powodów, nie chciałem się w nich znaleźć. Ale ten duch, jeśli nie padł ofiarą upiora, powinien gdzieś się tu kręcić. Zaciągałem się głęboko, pozwalając, by aromatyczny dym przenikał mi do płuc, wchłaniał się przez krwiobieg i docierał do każdej komórki. Mieszanka nie tylko mnie relaksowała, ale też wzmacniała moją aurę. Fioletowe, frenetyczne pasy jarzyły się mocniej, były dla duchów widoczne z oddali niczym światło latarni morskiej. Stąd sól – na wypadek gdyby zjawily się nie tylko te mile widziane. Oparłem się o pień i zamruczałem melodię, którą nagle usłyszałem. Uderzałem palcami w kolano, wystukując rytm. Miniaturowe dzwoneczki na bransoletce szamańskiej dzwoniły cichutko, wypełniając melodię słodyczą. Przymknąłem powieki. Jasnoszary dym z miseczki i ciemniejszy ze skręta owijały się wokół mnie kłębiastymi serpentynami, unosiły do nieba, chciały zabrać moją duszę ze sobą, na wyższy poziom, na spotkanie z przodkami. Musiałem użyć całych zasobów woli, by nie ulec kuszącym podszeptom w tyle głowy.

Otoczenie lekko rozmyło mi się w szklistej poświacie. Byłem gotowy, by przywołać ducha. Nie znając jego imienia, mogłem się tylko koncentrować na wspomnieniu jego obecności, jaką odczuwałem kilka godzin temu. Mijały minuty i całe kwadransy, dwa razy musiałem dosypywać ziół do miseczki, by podtrzymać wstążeczkę dymu. Moja krew stopniowo się oczyszczała i z każdą sekundą myślałem jaśniej, a uczucie miękkiej, ciepłej dłoni na moim mózgu, całkiem przyjemne, mijało. Nie przyszedł. Nie wiedziałem, czy nie mógł, bo już nie istniał, czy nie chciał, bał się, czy miał mnie głęboko w swoim ektoplazmowym tyłku. Póki jeszcze tliła się kupka ziół, próbowałem przywołać inne duchy. To, że się nie wychylały, nie znaczyło, że ich nie ma – w takich miejscach jak szpital musi ich być mnóstwo. Zwykle nie mogłyby się oprzeć pokusie otarcia się o mnie i ukradzenia mi kilku dzuli – czy w jakiej tam jednostce podaje się energię z aury. Cisza, bezruch i smak porażki. Poczekałem, aż zioła się dopalą, i zdmuchnąłem świecę. Było po dwudziestej drugiej, nieubłaganie zbliżała się północ, najgorsza godzina, jeśli masz na karku upiora czy złośliwego ducha. Spakowałem kłamoty i poszedłem w stronę szpitalnego wejścia. Strażnik nie miał ochoty mnie wpuszczać, ale machnąłem mu przed nosem odznaką i wspomniałem coś o niedostatku ochrony na terenie obiektu. Dostałem się bez większego trudu.

Wjechałem windą na piętro oddziału noworodków. Minąłem pokój pielęgniarek, nie zatrzymując się na pogawędkę. Jediną siostrzyczką, z którą chętnie bym pogwarzył, była Konstancja, a jej z całą pewnością tu nie było. Wziąłem z korytarza plastikowe krzesło, które wyglądało jak wyrok śmierci dla mojego kręgosłupa, a przynajmniej godziny tortur, i wniosłem je do sali, w której leżały dzieci. Przez uchylone drzwi do pomieszczenia wpadało światło z korytarza. Wysypałem na parapecie cieniutką ścieżkę soli, a na szybie mokrymi od święconej wody palcami narysowałem krzyż. Mogłem użyć znaku ochrony każdej

kultury, ale skoro wychowany byłem w wierze katolickiej i upiór najpewniej też – nawet jeśli nie byliśmy szczególnie wierzący (ja nie byłem i zakładałem, że on też nie bardzo, bo niewielu głęboko wierzących katolików zostaje mordercami, a po śmierci przemienia się w upiора) – ten znak był dość naturalny i miał gwarantowaną skuteczność. Na framudze drzwi wiodących do pomieszczenia narysowałem kolejny krzyż. Nie były to pewne metody; jeśli upiór był naprawdę silny – a miałem podstawy, by w to wierzyć – nie powstrzyma go ani sól, ani woda święcona.

Usiadłem przy ścianie, w połowie odległości między drzwiami a oknem, tak by widzieć wszystkie dzieci. Oczywiście szczególną uwagę poświęcałem malcowi, który najpewniej był na celowniku upiора. Większość noworodków spała. On leżał z otwartymi oczami, wpatrzony w cienie pełzające po suficie. Zrobiło mi się zimno, kiedy spoglądałem na tego chłopca. Nic nikomu nie zawinił, a niewykluczone, że jeśli przeżyje, będzie naznaczony do końca życia innością i wiedzą, o której nie zdoła zapomnieć. Wiedzą, że w ciemności czai się coś bardzo złego. Siedziałem tak godzinę, może trochę dłużej, bo była niemal północ, kiedy poczułem, że ogarnia mnie jakaś nienaturalna senność. Wstałem i szeroko otworzyłem oczy. Podeszedłem do łóżeczka napiętnowanego chłopca i wziąłem malca na rękę. Nie zapłakał. Był chłodny i sztywny, na szczęście po chwili zaczął reagować całkiem normalnie. Wtulił się policzkiem w mój sweter, a mała piąstka zacisnęła się na wełnianych splotach. Ze zdziwieniem obserwowałem, jak moja aura zaczyna reagować na dziecko. Początkowo cienkie jak pajęczka nić smugi fioletu przepływające nad jego główką i drobnym ciaikiem stawały się coraz szersze i bardziej śmiałe, aż w końcu cała aura opływała nas jak jedno istnienie. Nie myślałem, że to możliwe. Usiadłem z powrotem na krześle i czekałem. Oddech malca się uspokoił, aż przeszedł w mlaskanie i pochrapywanie – coś, co u małych dzieci jest słodkie, a u dorosłych kończy się spaniem w osobnych sypialniach. Paluszki zbieleły mu od siły, z jaką trzymał sweter, ale gdy próbowałem je rozluźnić, zacisnął piąstkę jeszcze mocniej i zapiszczał ze strachu. Może tego potrzebował. Może miał instynkt samozachowawczy, który wykracza poza nasze rozumowanie. Przesunąłem go lekko, tak że leżał na brzuszku na mojej piersi, i położyłem dłoń na jego drobnych plecach. Cokolwiek zechciałoby po niego przyjść, musiałyby przejść po moim trupie, a nie planowałem dać się łatwo zabić.

Musiałem zasnąć, bo obudziło mnie skrzypnięcie drzwi i przeczucie, że ktoś na mnie patrzy. Przytuliłem mocniej malca, który pochrapywał, wciąż ściskając w piąstkach mój sweter i najpewniej obficie go obśliniając. Małe dzieci produkują zatrważające ilości śliny, równać się z nimi mogą tylko buldogi i mopsy. Nie zmieniając pozycji, rozchyliłem powieki, by zobaczyć, czy dostrzegę gościa. Wpływ ziół dawno minął i jeśli upiór nie chciał, bym go zobaczył, mogłem mieć problem, ale palenie skręta przy noworodkach nie wydawało mi się dobrym pomysłem.

Przekląłem w duchu, widząc postać w progu. Stała w smudze światła, która czyniła jej czerwoną pelerynę krzykliwą i krwistą.

- Co tu robisz? – zapytałem cicho, by nie obudzić dzieci.
- Mogłabym cię zapytać o to samo.
- To nie ja jestem podejrzany o zabijanie niemowląt. Kto cię tu w ogóle wpuścił?
- Ktoś, kto nie zadawał głupich pytań.
- Ochrona jest tu naprawdę beznadziejna – mruknąłem i wstałem z krzesła. Błady świt skradał się już za oknem. – Która godzina?
- Po czwartej.

Godzina duchów i upiórów minęła. Nadal mogły się przemieszczać w naszym świecie, ale nie były tak silne jak o północy i dwie godziny po niej. Nie pytajcie mnie dlaczego – po prostu tak jest. Jeśli chcecie zapolować na ducha, unikajcie tych godzin. Wprawdzie macie większą szansę zobaczenia go, ale z całą pewnością jeszcze większą na to, że skopie wam dupę i możecie nie być w stanie komukolwiek o tym opowiedzieć. A wasze brutalne i pełne przemocy zejście z tego świata może być dla was przepustką do nowej ścieżki kariery zawodowej. Ostrzegam, energię zbiera się jeszcze wolniej niż środki na koncie

oszczędnościowym.

Próbowałem odłożyć małego do łóżeczka, ale wciąż kurczowo trzymał się swetra. Konstancja przyszła mi z pomocą – delikatnie rozwarła piąstki chłopca, a kiedy już leżał, okryła go kocykiem.

– Niesamowite – szepnęła, gładząc go po policzku. – Śpi, a nie spał od trzydziestu godzin. Dla takiego malucha to naprawdę koszmarnie długo. – Spojrzała na mnie wielkimi, sarnimi oczami z takim podziwem, że z trudem powściągnąłem pokusę, by wyprężyć klatę.

– Mamy na siebie dobry wpływ, bo ja też zasnąłem, choć miewam z tym trudności.

Zerknąłem na gładką skórę na twarzączce dziecka. Nawet z użyciem znaku widzenia nie dostrzegałem czerwonych śladów. Uśmiechnąłem się lekko. Magia to jednak cudowna rzecz. Dobrze wiedzieć, że moja aura potrafi coś więcej, niż tylko świecić i wirować jak fioletowe tornado z jagodowych żelków.

– Do twarzy ci z takim malcem – zagadnęła i jej spojrzenie nabrało intensywności, która mnie zaskoczyła.

– Nie mam dzieci i pewnie nigdy nie będę miał. Pewnie lepiej dla wszystkich, że tak jest. – Sięgnąłem po kurtkę i plecak. Przed świtem wciąż była szansa, że uda mi się to, co nie udało się po zmierzchu. Wyciągnąłem z plecaka woreczek pachnący bazylią i wsunąłem między dno łóżeczka a materac. Konstancja nie zadawała pytań. – Zostajesz tu jeszcze?

– Tak, do porannej zmiany. Przypilnuję go.

– Będzie z nim dobrze – powiedziałem, wierząc, że nic się nie stanie – ale gdyby cokolwiek się działo, jakiegokolwiek dziwne przecucia, zimne punkty, hałasy, niepokój dzieci, natychmiast dzwoń.

Skinęła głową i zajęła moje miejsce na krześle.



Tym razem nie poszedłem aż do lasku. Wybrałem ławkę na samym końcu alejki – między drzewami, a więc dość dyskretną i niewidoczną z dziedzińca szpitala. Było zbyt wcześnie, by kręcili się tu odwiedzający pacjentów członkowie rodzin czy nawet personel. Usiadłem i położyłem na ławce miseczkę i świecznik. Zapaliłem nową świecę i kolejnego skręta. Dałem sobie spokój z wchodzeniem w trans czy nuceniem. Już wiedziały, że tu jestem, musiały mnie słyszeć w nocy. Teraz dawałem im i sobie kolejną szansę. Wydmuchiwałem kółeczka dymu, którego zapach działa na duchy jak kocimiętka. Jeśli powstrzymywał je wcześniej strach przed upiorem, teraz był najlepszy czas, by spróbować je przywołać. Duchy mogą być aktywne całą dobę, upiory są najsilniejsze po zachodzie słońca.

Pojawił się po jakichś piętnastu, dwudziestu minutach. Na początku go nie widziałem, poczułem tylko, jak unoszą mi się włoski na karku.

– Z tej odległości raczej sobie nie powdychasz – rzuciłem, wypuszczając kolejne kółeczko z dymu.

– Masz coś więcej czy tylko ziółka? – zapytał, a jego migotliwa sylwetka zamajaczyła metr przede mną.

– Mam różne rzeczy. Powiedz, na co masz ochotę, a dostaniesz.

– I nie będziesz mnie próbował przeprowadzać w zaświaty?

– Nie, jeśli nie masz na to ochoty i za bardzo nie rozrabiasz.

– Jakbym mógł naprawdę narozrabiać – zachnął się.

Wyglądał na sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Łysiejącą głowę otaczała naelektryzowana aureola białych włosów. Szczupłe ciało okrywała piżama w paski, jakie jeszcze kilkanaście lat temu dostawali pacjenci szpitala.

– Nazywasz się jakoś?

– Nie zamierzam ci mówić. A wiem, że bez imienia mnie nie odeślesz.

– Gdybym się uparł, odesłałbym i tak, ale obiecałem tego nie robić. Na pewno nie teraz, prawda?

– Kto by wierzył szamanom. Może wcale nie masz dla mnie nic dobrego.

Na widmowej szyi przesuwano się jabłko Adama. To drżenie rąk i łakome spojrzenie rozpoznałbym wszędzie. Wysypałem na miseczkę nową porcję ziół, zapaliłem zapalką, a kiedy już ładnie zajęły się ogniem i zaczęły dymić, podlałem je więcej niż kilkoma kroplami śliwownicy. Zapach alkoholu rozszedł się szybko, przyciągając ducha jak magnes. Nachylał się nad miseczką i pozwalał, by dym i opary alkoholu przenikały przez niego, osadzając drobinki szczęścia.

– Dobre – uśmiechnął się z błogością – masz więcej?

Zabulgotałem prawie pełną piersiówką.

– Dostaniesz więcej, jeśli sobie pogadamy.

– O czym?

– O upiorze.

– Więc wiesz, czym ona jest... – Skrzywił się. – My nie wiedzieliśmy, jedyne, co było dla nas oczywiste, to że jest inna niż my i potrafi nas zniszczyć. Trzymamy się na dystans, po tym jak zabrała energię kilku z nas... Nikt już nie wchodzi do tego skrzydła. Zabrała nam nasz dom, mieszkamy w lesie albo w starszych skrzydłach...

– Kim ona jest, jak się nazywa?

– Nie mogę ci powiedzieć... Znajdzie mnie i zabierze mi te resztki życia, jakie mi zostały. Nie jest przywiązana do tego budynku, może sobie chodzić, gdzie chce, może nawet przekroczyć przez bramę i wyjść na miasto! Nie tak jak my.

Zamyśliłem się. To komplikowało wiele rzeczy. Miałem nadzieję, że przedmiot ogniskujący jest tu, na terenie szpitala. Ale jeśli mogła go opuścić... obszar poszukiwań znacznie się powiększy.

– Jeśli mi nie powiesz, kim ona jest, nie zdołam się jej pozbyć i będziesz się błąkał po lesie w piżamie. Mało przyjemne.

– Nie czuję zimna, więc co mi zależy.

– A jednak wolałeś się bujać po korytarzach, a nie chaszczech. I już nie musiałbyś się jej bać.

– O ile dasz jej radę, zamiast rozdrażnić jeszcze bardziej.



Bez słowa dolałem alkoholu na tłące się zioła. Inhalował dym z wyrazem błogości na twarzy. Kiedy dorzuciłem szczyptę mojej mieszanki do skrętów, zamruczał jak kot i niemal wsadził twarz w miseczkę. Może narkotyzowanie duchów jest mało etyczne, ale niech mnie, jeśli strach przed reputacją dilerów dla istot granicznych powstrzyma mnie przed uzyskaniem odpowiedzi.

– I jak? Jesteś nieco bardziej skory do współpracy? – zapytałem. – Mam tego jeszcze trochę, jeśli nie ty, to skuszą się inni. – Kiwnąłem głową w stronę drzew. Na granicy lasu unosiły się dwa czy trzy duchy, ale żaden nie był tak silny jak ten, z którym rozmawiałem.



– Oni nic nie wiedzą – parsknął.

– A ty wiesz?

– Ja lubię wiedzieć.

– Co możesz mi powiedzieć?

– Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym trąci, nawet jeśli nie dożyje starości – rzucił sentencjonalnie i spoglądał na mnie ciekaw, czy wyłapię.

– Jest młoda?

Wzruszył ramionami, pozwalając mi zgadywać.

– Nastolatka? – rzuciłem, mając nadzieję, że jednak nie. Zbyt świeże miałem przejścia z jedną taką, na moście. Pokręcił głową. – Dziecko? – zapytałem z niedowierzaniem.

Pokiwał głową.

– Tuzin jajek, po jednym na rok.

– To wciąż za mało szczegółów, żebym mógł ją złapać. Powiedz mi, jak się nazywa.

– Nie mogę ci powiedzieć, ale... możemy się zabawić w szarady!

– I co, weźmiesz długopis i zaczniesz rysować kalambury? – spytałem ironicznie, bo choć był silny, to nie na tyle, żeby stać się poltergeistem czy żeby wpływać na materię. Prychnął oburzony, ale szybko mu przeszło, kiedy nabrał do widmowych płuc kolejną dawkę ziół i alkoholu.

– Zaśpiewam ci jej imię – zachichotał. Był już ewidentnie wstawiony. Kręcił się jak dzieciak z ADHD i rękami wymachiwał w powietrzu, aż pasiasta piżama łopotała na wietrze. I zaczął śpiewać:

*Proszę państwa, raz na tydzień święto bywa,  
Panna Andzia jest szczęśliwa,  
Już od rana się pudruje i się krząta,  
Już nie sprząta dziś!  
Ma na kapeluszu piórko,  
Całe o tym wie podwórko,  
Przez lufciki wyglądają,  
Śpiewają z nią wraz:*

Wciągnął głośno powietrze i całą parą zaintonował refren:

*Dziś panna Andzia ma wychodne,  
Dziś jest sama wielka dama,  
Dziś ma jak pani piórko modne,  
Dziś na Chłodnej będzie bal!  
Już przyszedł Józio i przyniósł pączki,  
Całuje rączki, całuje rączki.  
Wiadomo, damy bywają głodne,  
Chcesz zdobyć serce, z pączkiem wal!  
Więc dziś rozrywki różne godne,  
No i czysta, oczywista.  
Dziś panna Andzia ma wychodne,  
Dziś na Chłodnej wielki bal!*

– Starczy, starczy – przerwałem, kiedy zabierał się do powtarzania refrenu. – To imię, a co z nazwiskiem? Chyba nie myślisz, że dam radę wyegzorcyzmować upióra, wiedząc tylko, że ma na imię Anna. Może jakby Penelopa czy Hiacynta, ale Anna?

– Miałem kiedyś Annę – zachichotał upalony i wstawiony duch – taką słodką, filigranową Annę, małą wróżkę do spełniania życzeń. – Zachichotał jeszcze głośniejsze, unosząc się nad ziemię. – Daj jeszcze gorzałki!

– Za chwilę będziesz urżnięty w sztok.

– A co mi tam, trzydzieści lat się tułam o suchym pysku.

– Nazwisko, a dostaniesz wszystko, co zostało w butelce.

– Panie Janie, panie Janie, rano wstań, rano wstań – zaczął się wydzierać, a jego widmowe ciało kiwało się w rytm melodii – wszystkie DZWONY biją, wszystkie DZWONY biją, bim, bam, bom – zachichotał. – Wyłapałeś te dzwony czy mam ci jeszcze raz zaśpiewać?

– Starczy, starczy, głuchy by zauważył, że w słówko „dzwony” włożyłeś całe wspomnienie przepony. – Uśmiechnąłem się z zadowoleniem.

Spełniłem obietnicę i dolałem alkoholu do miseczek. Miał trudności, by się nad nią utrzymać, zataczał się w powietrzu i niech mnie, jeśli nie zaczął mieć pijackiej czkawki. Nikt się nie oprze mocy śliwownicy. Pakowałem drobiazgi do plecaka, kątem oka obserwując duchy pod lasem. Nie podchodziły bliżej, ale nie uciekały. Nie zdziwiłbym się, jakby osobiście wyznaczyły tego tu na przywódcę grupy. I pewnie cała frajda, jaką miał teraz, zataczając się w locie, czkając i śpiewając frywolne piosenki, była ich zdaniem zapłatą wartą tego heroicznego czynu, na jaki się zdobył. Bo jeśli ja bym zawiódł, on zapłaciłby za to jako pierwszy. To była nowość. Duchy lubią szamanów. Są noce, kiedy nie mogę zmrużyć oka, bo co rusz jakiś mnie nagabuje ze „złotymi przebojami”, czyli „wiem, kto mi to zrobił”, „powiedz mojej rodzinie, że ich kocham” łamane na „powiedz moim bliskim, że nie są warci złotówki ze spadku, który rozpieprzyli na głupoty”, „pomóż mi odejść”. To ostatnie słyszę naprawdę całkiem często, bo ile można wytrwać w takiej połowicznej egzystencji, będąc przywiązany do miejsca lub bez możliwości wpływania na materię, nawiązania kontaktu z kimś, kto nie jest duchem lub szamanem, bez ratunku przed szaleństwem, które dopada duchy częściej niż ludzi. Dotarcie do mojego mieszkania często wiązało się dla nich z pokonaniem wielu przeszkód, bo duchy nie mogą szwendać się po mieście puszczone samopas. Są zorganizowane, mają swoją radę, rejonizację, podział na terytoria i tak dalej. Jeśli ja sam nie wleżę w ich zagrodę, jak teraz, to aby mnie znaleźć, muszą włożyć w to sporo wysiłku, często tak wiele, że jest to groźne dla ich egzystencji. A nieodesłany duch nie odchodzi w pokoju tylko dlatego, że stracił energię, która pozwalała mu się pokazać i pogadać, a nawet sztachnąć się dymem i oparami śliwownicy. On cofa się do początku. Znów staje się duszą pozbawioną ciała, uwięzioną pomiędzy światami, ciułąjącą energię, by stać się duchem zdolnym do manifestacji. To frustrujące i często prowadzi do obłędu. Jeśli upiór faktycznie załatwił kilka duchów w szpitalu, będę musiał po wszystkim przyjść tu raz jeszcze i je przeprowadzić, by za kilka miesięcy czy lat nie mieć epidemii poltergeistów w szpitalnych murach, gdzie życie ludzkie zależy od niezawodności sprzętu.

– Och, dzierlatka! Ja pannę witam, ja o zdrowie pytam, nisko się kłaniam, rączki całuję! – duch starca w piżamie wciąż wydawał pijackie okrzyki. Odwróciłem się w stronę, z której dobiegał głos.

Stała na ścieżce, ledwie dziesięć metrów ode mnie. Bóg raczy wiedzieć od jak dawna. Na jej twarzy malował się wyraz zaskoczenia, niedowierzania, może szoku, więc podejrzewam, że dość długo. Pijany duch kręcił się wokół niej, łopocząc piżamą, wdychał zapach jej włosów, próbował dotknąć. Wzdrygnęła się, kiedy musnął jej policzek, i zakryła ręką dokładnie to miejsce, gdzie chwilę wcześniej były jego palce. To akurat było dla mnie nowością.

– Zostaw ją – powiedziałem cicho, ale z wyraźną groźbą.

Odwrócił się w moją stronę i zagrał mi palcami na nosie, ale wystarczyło, że zagrzechotałem bransoletką, i uciekał jak mógł najdalej, przenikając przez ścianę szpitala. Duchy na skraju lasu też

zniknęły.

– Co to było? – Głos Konstytucji drżał lekko, ale uniosła wysoko brodę, jakby szykowałą się do wywalczenia ode mnie odpowiedzi. – To było to, co zabiło dzieci?

– Nie, skąd ten pomysł? – rzuciłem, wciąż mając nadzieję na zbagatelizowanie tego „podmuchu wiatru”.

– Nie rób ze mnie idiotki. To zimno, to uczucie obecności... czułam je wtedy. – Zadrżała i odruchowo objęła się ramionami. – Już czas, Piotrze, żebyś mi powiedział, z czym właściwie walczymy...

– Ja walczę, kochana, ty trzymasz się z daleka.

– Naprawdę nie pamiętasz, jak działało na mnie to, że mam się trzymać z daleka? Czy kiedykolwiek to by na mnie podziałało?

– Tylko wtedy, kiedy prosiłem cię o rękę. Wówczas, jeśli mnie pamięć nie myli, zmyłaś się wyjątkowo szybko – wypaliłem, licząc, że nagła zmiana tematu załatwi sprawę.

– Nawet nie myśl, że ci się to uda.

Podeszła do mnie. Z pozoru była bardzo spokojna, ale znałem te ognie w oczach aż za dobrze. Panie, gdzie te wszystkie kobiety łagodne, spokojne, nieszukające zwady, gdzie łagodne gazele, pełne wyrozumiałości i słodczy łanie... Zbliżyła się na tyle, że odruchowo cofnąłem się krok i drugi, lecz wtedy znów napała. W końcu poczułem, że łydkami dotykam ławki i mogę tylko usiąść. Stała przede mną w czerwonym płaszczu przewiązanym paskiem. Talię miała tak wąską, że mógłbym objąć ją dłońmi. Wcisnąłem pięści do kieszeni kurtki, by tego nie zrobić.

– Opowiem ci coś, dobrze? – zapytała cicho. Była tak poważna i smutna jednocześnie, że poczułem, jak po plecach przebiega mi dreszcz. Skinąłem głową, nie mogąc wydusić z siebie nic. – Dawno, dawno temu była sobie dziewczyna, bardzo młoda i bardzo zakochana. Ale się wystraszyła, bo jej księżę był... inny. Może szalony, może nieodpowiedzialny, a może po prostu inny. Ale dziewczyna wystraszyła się i zamiast zapytać księcia, jak to z nim jest, uciekła. Minęło wiele lat i odnalazła go. I wciąż się trochę boi, ale przysięgła sobie kiedyś, że jeśli drugi raz znajdzie się w takiej sytuacji, nie ucieknie, nie stchórzy, ale zapyta. I nie przyjmie nic poza prawdą w ramach odpowiedzi. I będzie czuła, kiedy on ją spławia i okłamuje, i będzie uparta. Bo to jest zbyt ważne, żeby coś mniejszego od szczerzej prawdy mogło wystarczyć za odpowiedź.

Stała wyprostowana, z ramionami zaplecionymi na piersi i wojowniczo uniesionym podbródkiem. Czarne włosy kołysały się koło drobnej twarzy, a w sarnich oczach dostrzegałem temperamentne błyski. Boże, wybaczone, ale nigdy nie przestałem jej kochać. Odwróciłem wzrok, bo samo patrzenie na nią bolało. A przyznać się do wszystkiego nie mogłem, prawda?

– Konstancjo, chciałbym porozmawiać, dowiedzieć się, czego się wystraszyłaś wtedy i co widziałas teraz, ale... nie mogę.

– Nie chcesz.

– Nie mogę. Gdybym powiedział... – Cóż, powoli zbliżałem się do niebezpiecznej granicy.

– Co? Musiałbyś mnie zabić? Przez lata ukrywałeś, że jesteś szpiegiem?

– Nie jestem szpiegiem i to nie ty byłabyś w opałach.

Cyniczny uśmieszek rozpląnął się i znów była poważna.

– Nie żartujesz, prawda?

– Nie. Nie mogę. Złożyłem przysięgę i przeklinam dzień, w którym to zrobiłem.

Przełknęła głośno ślinę i odwróciła się ode mnie. Zgarbiła się, jakby przeniknął ją ziąb większy niż ten, który zaserwował jej duch.

– Czasem chodzi o coś więcej niż ja czy ty, wiesz? I co wtedy? Jak sobie radzić, nie wiedząc?

Była na granicy płaczu. Nic już nie rozumiałem. Jeśli kiedykolwiek potrafiłem ją zrozumieć, to odeszło na długo, zanim odeszła ona. Mogłem sobie wmawiać, że odeszła nagle, bez uprzedzenia, ale kobiety chyba rzadko robią to w ten sposób. Dają znaki, tysiące tych sobie tylko znanych znaków dymnych, które

zaczynają do nas przemawiać, gdy jest już po wszystkim. Sprawiają, że nie możesz zasnąć po nocy, zastanawiając się, jak mogłeś być tak głupi i nie zauważyć, na co się zanosisz...

Wstałem i próbowałem ją objąć, ale zgrabnie mi umknęła, gibka sarenka.

– Usiądź, proszę. Łatwiej mi do ciebie mówić, kiedy nie muszę zadzierać głowy.

Usiadłem. Może nie tylko ja jeden łaknąłem przez te lata podsumowania, zamknięcia, które – jeśli to w ogóle możliwe – pozwoliłoby mi ruszyć dalej. Może to przez nią i przez to, co do niej czułem, co tylko spało, ale nigdy nie zniknęło, nie zdołałem się później zaangażować. Bo przecież w związek z nią byłem zaangażowany, czyli potrafiłem tego dokonać. Jej dałem wszystko, co miałem. W szerszej perspektywie idiotycznie niewiele, ale na tamten czas – całe moje jestestwo.

– Rozumiem, że nie możesz nic powiedzieć. Ale możesz odpowiedzieć mi na moje pytania, prawda? Tak lub nie, bez zdradzania szczegółów, których nie zawarłabym w pytaniu?

– Sądzę, że tak.

– Czy jesteś narkomanem?

– Nie – odpowiedziałem z pewnością, którą miałem od niedawna.

– Czy byłeś nim?

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią.

– Nie, nie byłem – odparłem. To, że nie wiedziałem, dlaczego muszę brać, nie znaczyło, że ta potrzeba nie istniała. Ale nie był to nałóg. A efekty, jakie osiągałem, zażywając, nie przypominały nic, z czym miał do czynienia jakikolwiek narkoman.

Oddechnęła tak mocno, że chyba zakręciło jej się w głowie, bo zachwiała się i zbladła, jakby miała zemdleć.

– Czy stwierdzono u ciebie jakieś... zaburzenia psychiczne?

– Nie. Nic mi o tym nie wiadomo. Przynajmniej nic mi nie wiadomo o zaburzeniach, które nie byłyby normą.

– Możesz to rozwinąć? – Zaciśnęła usta, a jej oczy straszły intensywną czernią rozszerzonych źrenic.

– Mam skłonność do depresji. Odpornej na leczenie farmakologiczne. Ale nie jestem samobójcą i nie łąduję w wariatkowie. Po co te pytania, Konstancjo?

– Ja tylko próbuję zrozumieć, pojąć...

– Mnie?

– Wszystko, Piotrze, wszystko... Zawsze widziałeś rzeczy, a rzeczy zawsze krążyły wokół ciebie. Czułam to. Nie tylko tu, w szpitalu, wtedy też. Umykałeś mi, ciało spało obok mnie, ale nie było cię w nim. I wtedy też czułam to coś, tę obecność czegoś, co mnie przeraża, ale nie robi mi krzywdy... Nie zwariowałam, prawda? Ty też to czujesz? I to z tym rozmawiałeś? Czy to zabiło dzieci?

O Panie w niebiosach! Potarłem twarz, nie wiedząc, co właściwie powinienem jej powiedzieć. Co MOGĘ jej powiedzieć. Zacząłem ostrożnie:

– Konstancjo, możemy odłożyć część tych pytań na później? Muszę z kimś skonsultować, ile mogę ci powiedzieć bez ryzyka, że ktoś pojawi się na moim progu, a nie daj Boże i twoim. Mogę ci teraz powiedzieć tyle, że nie zwariowałaś. I to nie to, co czułaś przed chwilą, zabiło dzieci. Zrobiło to coś groźniejszego, dużo bardziej przerażającego.

– To coś nadprzyrodzonego, prawda? Od początku czułam, że tak jest... dlatego poszłam z tym do ciebie... bo kiedy myślę o czymś, czego nie mogę wyjaśnić, stoisz mi przed oczami ty... z zamglonym wzrokiem, obecny, ale tak odległy... – Wyciągnęła dłoń w kierunku mojej twarzy, ale cofnęła ją szybko. Jakby wybudzona ze snu, obciągnęła płaszcz na szczupłym ciele, przygładziła włosy i otarła oczy palcami wskazującymi. Znów była opanowaną kobietą, a nie rozedrganą dwudziestolatką sprzed lat.

– Nie wiedziałem, że cię wtedy tak zraniłem... Myślałem, że tylko ja mam z czym sobie radzić, przepraszam – powiedziałem szczerze.

– Nie przepraszaj, Piotrze, wciąż za mało o sobie wiemy, żeby ustalić, kto komu winien jest

przeprosiny. Jaki jest plan?

– Plan? – zapytałem, bo zgubiłem wątek.

– Plan, zawsze masz plan, nawet jak się wydaje, że błądasz się jak pijany, objając o ściany, gdzieś w tym wszystkim jest plan. Masz go, prawda?

– Przynajmniej na początek. Muszę sięść do komputera na kilka godzin. Czy masz dane, o które prosiłem?

– Nie, ale kolega ma mi posprawdzać kilka rzeczy. Nie dostanę się do baz danych z domowego komputera, a nie mogę się kręcić pod nosem pani ordynator. Jeśli nie masz nic przeciwko, pójdę z tobą i sprawdzę pocztę w twoim mieszkaniu.

– Cóż, na początek taka namiastka planu musi nam wystarczyć.



Kiedy mijaliśmy bramę szpitalną, zaczęło kropić. Dzień dopiero się zaczynał, lecz pierwszy poblask świtu stłumiły ciemne, burzowe chmury. Puste ulice i pociemniałe niebo to dość przygnębiający widok. Ale jakaś część mnie cieszyła się z tego, że gdyby tak miał wyglądać świat po apokalipsie, to byłaby u mojego boku kobieta, która, miałem pewność, nie wróci do mojego życia. Wymierzyłem sobie mentalny policzek, zanim jeszcze na dobre wkręciłem się w fantazje o zaludnianiu planety od nowa.

Nim dotarliśmy do mnie, na Balonową, wczesnowiosenny deszczyk zamienił się w oberwanie chmury. Biegiem pokonaliśmy ostatnie metry do drzwi na klatkę schodową. Przytrzymałem szklane skrzydło, przepuszczając Konstancję przed sobą. W mieszkaniu było ciepło. Ściągnąłem mokrą kurtkę i włączyłem czajnik. Ostatnie, czego potrzebowałem w walce z upiorem, to katar i gorączka.

Podąłem Konstancji ręcznik, drugim sam doprowadzałem się do porządku. Stojąc na wycieraczce, otrząsała się z wody jak psiak. Krople kapały jej z włosów i spływały po nieprzemakalnym płaszczu i kaloszach. Próbowła ukryć uśmiech, ale ten bieg w deszczu w jakiś sposób zrównoważył nocny strach i ciężar niedawnej rozmowy, był swego rodzaju kwintesencją witalności. W końcu jeśli masz depresję, nie chowasz się przed deszczem, bo i tak jest on twoim najmniejszym problemem. Ściągnęła płaszcz i powiesiła go na haczyku na drzwiach, czerwone kalosze ustawiła na gumowej wycieraczce. Od mokrych włosów, które przeczesywała palcami, po pięciopalczaste skarpetki w tęczowe paseczki wyglądała jak uosobienie słodczy. Może to wspólne śniadanie to jednak nie był dobry pomysł?

– Włącz komputer i sprawdź swoją pocztę, ja się przebiorę – powiedziałem, pospiesznie chwytając ubranie na zmianę.

Moja kawalerka ma nieco ponad trzydzieści metrów. Sporo, teraz jednak wydawała się ciasnym pudełeczkiem, w którym zabrakło mi tlenu. Zamknąłem się w łazience i patrzyłem na idiotę, który odbijał się w lustrze nad umywalką. Skończony bałwan – zachciało mu się rozgrzebywania starych ran i wspomnienia archaicznych romansów. Były rzeczy ważniejsze od tego, jak dzinsy opinają jej szczupłe nogi czy jak zgrabnie wygląda w białym sweterku z miękkiej, puchatej wełny. Z całą pewnością nie powinienem go dotykać, by sprawdzić, czy jest naprawdę taki miły i delikatny... Miałem upióra na wolności, zagrożone dzieci i czas, który zapieprzał. Z każdą ofiarą upiór był silniejszy. Zostawione w pokoju noworodków amulety i zioła powinny go odpędzić, ale co, jeśli któreś z dzieci trafi do pokoju matki na czas karmienia? Poza tym dzieci były jego ofiarą z wyboru, nie konieczności. Jeśli nie zdoła się do nich dostać, może sobie wybrać kogoś innego. A miał w karcie dań nie tylko dzieci, ale i setki chorych i duchów. To, dlaczego wybierał dzieci, też było zagadką. Mogło chodzić o czystość duszy, którą upiór, pożerając, kasał, albo o energię, z jaką przychodziły na świat. Ale wydawało mi się, że jest w tym coś więcej. Jak by powiedziała Ti, mrowiło mnie pod skórą, że to składowa tajemnica, której rozwikłanie

doprowadzi do wyeliminowania upiora. W końcu stwierdziłem, że zamiast się ukrywać we własnej łazience, powinienem się zabierać do szukania Anny Dzwon, Dzwonek, Dzwonnik czy jakkolwiek dokładnie brzmiało jej nazwisko. Umyłem dłonie i twarz, by dla Konstancji było odrobinę mniej oczywiste, że przez cały ten czas siedziałem na kiblu, usiłując się zebrać do kupy. Miałem wychodzić, kiedy zapukała nieśmiało.

– Już idę – powiedziałem w pełni opanowanym tonem.

– Twój telefon dzwoni od jakiegoś czasu, pomyślałam, że to ważne. – Uchyliła drzwi tylko na tyle, by wsunąć dłoń z komórką, po czym uciekła, zapewne chcąc mi dać minimum prywatności.

Dochodziła szósta rano i telefon o tej porze mógł dotyczyć spraw bardzo służbowych lub bardzo prywatnych. Ciekawe, co zaniepokoiło słodką Konstancję bardziej? Prawda leżała gdzieś pośrodku.

– Witaj, Ti, co za wycucie czasu...

– Zawracasz mi dupę nawet we śnie. Co się tam u ciebie dzieje, przyjacielu?

– Coś zdecydowanie z mojego departamentu. Już wiem co, teraz muszę się dowiedzieć, jak się tego pozbyć.

– Czyli masz to do pewnego stopnia opanowane. Ale coś cię niepokoi na tyle, żebyś mi wysyłał sondy w sny, więc gadaj. Jestem twoją opiekunką, pamiętasz?

Odetchnąłem głęboko. Byłoby dobrze móc z nią o tym porozmawiać, nawet jeśli wiedziałem, że niewiele to zmieni. Dyskrecja jest dyskrecją. Koniec tematu. Milczałem więc, doprowadzając Ti do białej gorączki. Nie była najcierpliwszą osobą na świecie i źle znosiła, kiedy ktoś nie robił tego, co jej zdaniem powinien.

– Wiesz, byłoby szybciej, gdybyś mi jednak powiedział, co cię gryzie, i pozwolił sobie pomóc. A tak, mając na podorędziu wyłącznie sen, a ten, jak wiesz, może mieć stukniętą symbolikę, muszę się zabawić w mistrza Yodę. Może nawet będę musiała się uciekać do szyku przestawnego... Wciąż możemy tego uniknąć, przyjacielu mój. Robić tego każ mi nie.

Zaśmiałem się cicho. Była zdrowo stuknięta, ale miała rację – była moją przyjaciółką. Jeśli nie jej powiem, to komu? Zwykle odpowiedź brzmiała: „Nikomu, idioto, jak zawsze”, ale to nie pomogłoby mi w sytuacji, kiedy w moim mieszkaniu była Konstancja.

– Czy zanim się dowiedziałas, kim jestem, rozważałaś kiedyś powiedzenie mi prawdy o sobie? – zapytałem.

Tym razem to ona zaliczyła moment ciszy. W końcu się odezwała:

– Nie. Jakkolwiek dla mnie byłoby to odciążeniem, dla ciebie stanowiłoby bilet w jedną stronę: do wariatkowa. Ja musiałam się z tym mierzyć, ty mogłeś żyć bez tej wiedzy. Byłabym egoistką, gdybym wciągnęła cię w to dla własnej wygody, żeby nie musieć kłamać, żeby mieć się komu wygadać, żeby nie mieć problemów z wymykaniem ci się, kiedy zmierzałam do Thornu. Dlatego wiedziałam, że nie mogę ci powiedzieć, nawet jeśli sprawiało mi to ból.

– A gdybyś widziała, że jakieś elementy twojego świata przenikają do mnie i wywołują niepokój, strach tym większy, że nie wiem, czym jest to, co mi zagraża, i jak się przed tym bronić? Czy wtedy byś mi powiedziała?

– Wtedy dałabym ci jakąś wskazówkę sugerującą, że albo jesteś w jakimś stopniu taki jak ja, albo że obcując ze mną tyle lat, stałeś się na to coś wrażliwszy. I po rozpoznaniu zastanowiłabym się, co byłoby dla ciebie bardziej przerażające: to, co już wiesz, czy to, co wciąż kryje się w mroku.

– Mógłbym przez samo obcowanie z tobą, bez magicznego dziedzictwa w DNA stać się wrażliwszy?

– Tak, jeśli nasz związek byłby naprawdę silny. Większość ludzi ma jakieś ślady recesywnych genów przenoszących magię, lecz zwykle są za słabe, żeby się to objawiło, ale obcowanie z magicznymi może to aktywować na tyle, żeby pojawiła się jakaś wrażliwość na magię. Zdarzały się mieszane małżeństwa, kiedy w pełni ludzka kobieta po urodzeniu dziecka magicznego sama nabywała niewielkich umiejętności magicznych, na podobnej zasadzie noworodek zmienia krew matki w przypadku konfliktu serologicznego.

W jej krwi pojawiały się przeciwciała, których wcześniej nie było, drobne mutacje, które czyniły ją wrażliwszą na magię. Czy to wystarczy za odpowiedź?

– Jasne, z naddatkiem, aż tak daleko nie zamierzałem się zagłębiać w temat.

– Cóż, nigdy nie wiadomo, co się kiedy przyda. Zastanów się, Witkacy, czy wprowadzenie jej w temat jest czymś, co chciałbyś zrobić dla niej, czy dla siebie. I dopiero wtedy podejmij decyzję. Poza tym upewnij się, że informacja, jakakolwiek będzie, nie wycieknie.

– Dzięki, mistrzu Yodo, zwłaszcza za to, że darowałeś sobie szyk przestawny.

– Do usług, bylebyś zabrał swój chudy tyłek z moich snów. Wierz mi, jest kilku znacznie ciekawszych kandydatów do nawiedzeń.

– Wybredna suka. – Parsknąłem śmiechem, a ona ze mną.

Schowałem komórkę do kieszeni i ostatni raz spojrzałem w lustro. Moja twarz nie zdradzała wiele, wieki ewolucji pozwalają mężczyznom ukrywać swoje kosmate myśli bez ryzyka przyłapania, byle tylko trzymali ręce przy sobie. A ja zamierzałem trzymać.

A co do tego, ile i jak powiedzieć Konstancji... cóż, był to temat na poważne przemyślenia. Nie odpuści, tego byłem pewien. Z jakichś powodów uruchomił się ten jej tryb „choćby po trupach, byle do celu” – dość niefortunny dobór słownictwa w tej sytuacji. Nie bałem się, że będzie mnie zamęczać, poradziłbym sobie. Bardziej przerażała mnie myśl, że nie otrzymawszy odpowiedzi ode mnie, poszuka ich na własną rękę. Już teraz wiedziała i czuła więcej, niż powinna, i to najpewniej była moja wina. Westchnąłem ciężko. Kobiety zawsze wprowadzają w moje życie chaos. Czasem to słodki nieporządek, lecz częściej zamieszanie, w którym głowę można stracić całkiem dosłownie.

Mimo wszystko na chwilę obecną priorytetem była jedna, nieżyjąca od dawna Anna Dzwon, czy jakoś tak. W pełni profesjonalny i zmotywowany do pracy, wróciłem do pokoju, tylko po to, by zobaczyć Konstancję siedzącą po turecku na rozłożonej kanapie, z laptopem na kolanach, zaaferowaną czymś, co widziała na ekranie, i notującą coś na luźnych kartkach, które musiała znaleźć na biurku. Czy jest określenie na dewiację polegającą na wzruszaniu się na widok kobiecych stóp w kolorowych skarpetkach?

– Potrzebujesz laptopa? – zapytała, unosząc oczy znad ekranu.

– Tak, na godzinę czy dwie. Mogę cię tu zostawić i iść na komisariat, jeśli chcesz.

– Nie, w porządku. Muszę skoczyć na trochę do domu, wrócę za jakiś czas, ale obiecaj mi, że nie znikniesz ani nie będziesz mnie trzymał z dala od informacji.

Oto trafiła mi się okazja: mogłem zapytać, czy musi nakarmić kota, wyprowadzić psa, czy może zaspokoić małżonka, ale oczywiście tego nie zrobiłem. Pozory profesjonalizmu i uczciwa męska zazdrość nie pozwoliły mi ujawnić zainteresowania tematem. Konstancja na szczęście nie wiedziała, co mi chodzi po głowie. Była skoncentrowana na śledztwie. Zganiłem się w duchu: Witkacy, patrz i ucz się.

Miała ten zdeterminowany wyraz twarzy, który upodabnia dorosłą kobietę do upartej dziewczynki. To chyba kwestia dołeczka w podbródku i wydętych warg. Cokolwiek to było, działało. Posłusznie złożyłem obietnicę i z ulgą obserwowałem, jak wstaje z posłania i pochyla się, by poprawić koc, wypinając przy tym krągłe rejony ciała. Tak długo, jak długo będzie w tym samym pomieszczeniu, nie zdołam naprawdę przejąć się upiorem czy czymkolwiek innym. Jestem jak pies Pawłowa – widząc ją taką, myślałem o jednym. I to w kilku pozycjach.

Błogosławiąc samotność, zabrałem się do roboty. Przeszukałem wszystkie dostępne mi bazy danych pod kątem obecności w nich Anny Dzwon. Wyeliminowałem wszystkie żyjące, jako że nie mogły dorabiać na boku jako upiór. Wyników było kilka, ale czułem, że to żaden z nich. Gdy odrzuciłem te, które zmarły w ciągu ostatnich dziesięciu lat, nie został mi nikt, a dekada to za krótko, by zgromadziły tyle energii. Stawiałem na nie mniej niż czterdzieści lat. Tak oto policyjne bazy danych stały się bezużyteczne. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że Anna Dzwon, której szukałem, pochodziła z Torunia lub okolic, ale mogła też przyjść na świat w Honolulu, a do Torunia podążyć za przedmiotem ogniskującym. To był



daleki strzał, ale nie miałem wiele więcej.

Wybrałem numer znajomej z Urzędu Miasta. Urszula od dwudziestu lat siedziała w Wydziale Ewidencji Ludności i jej sprytne paluszki nie raz znajdowały dla mnie potrzebną fiszkę. Jej mąż pracował w policji i choć od ośmiu lat była wdową, wciąż miała szacunek dla służby. Pomaganie nam, często po cichu i od ręki, traktowała w kategoriach obywatelskiego obowiązku. Święta kobieta, pół wydziału zrzucało się dla niej na kwiaty z okazji urodzin.

Po gładkim powitaniu i konwencjonalnej wymianie zdań wyłuszczyłem, czego poszukuję.

– Anna Dzwon, mówisz? Zaraz sprawdzę, czy mam kogoś takiego w rejestrach. Znasz może imiona rodziców? Albo przybliżone daty urodzin czy zgonu? I wiesz, że dalej niż do tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego ci się nie cofnę? – Mimo że jej ton był nieco marudny, wiedziałem, że jest to dla niej jakieś urozmaicenie. Lubiła te momenty, kiedy okazywała się pomocnikiem detektywa, dającym mu do ręki dane niezbędne do rozwikłania zagadki. Lata u boku policjanta nie poszły na marne. Wykopie te informacje, jeśli tylko znajdują się w tutejszych kartotekach. A jeśli będzie trzeba, podzwoni po znajomych w innych urzędach, w których ja nie mam znajomości.

Jak mówię, to był daleki strzał. Zakładałem, że upiór jest stąd, bo granicznicy przywiązują sporą wagę do miejsca, że nie żyje od dawna, ale najwyżej od półwiecza, bo na tyle oceniałem jego poziom mocy – gdyby miał sto lat czy więcej, od dawna byłby w stanie robić znacznie większe numery niż zabijanie niemowląt. Obiecałem Urszuli największe opakowanie florentynek z jej ulubionej cukierni, a ona zapewniła, że w ciągu kilku godzin powinna mieć pierwsze dane, nawet jeśli na początek będą to tylko odpowiedzi w stylu: „Tak, był tu ktoś taki” albo „Z moich informacji wynika, że nikogo takiego toruńska ziemia nie nosiła”.

W rejestrach cmentarzy toruńskich – bardzo szczegółowych, bo sporządzanych w Thornie na podstawie raportów nekromantów opiekujących się grobami, nie tylko tymi, które wciąż znajdowały się na poświęconej ziemi, ale i tymi, które były tam wcześniej – nie znalazłem nagrobka Anny Dzwon, choć były dwa grobowce rodzinne, na których widniało to nazwisko. Musiałem też uwzględnić fakt, że z kobietami sprawa jest złożona – zmiana nazwiska, nazwiska łączone, dzielone ze współmałżonkami tablice nagrobne... Wpisywałem więc różne kombinacje, rozszerzając nawet przybliżone daty śmierci. Efekty były mocno rozczarowujące. Googlowałem nazwisko Dzwon w różnych konfiguracjach, ze słowami pomocniczymi odnoszącymi się do zbrodni, morderstwa i śmierci, licząc, że pojawi się gdzieś w artykułach czy na stronach wspominkowych. Niewiele albo nic. Napisałem kilka mejli do lokalnych dziennikarzy, zwłaszcza tych emerytowanych, z pytaniem, czy pamiętają sprawę, w której pojawiłoby się nazwisko Anny Dzwon. Zadzwoiłem do Mariana, faceta prowadzącego blog o historii miasta. I on obiecał poszperać, ale nie liczyłem na wiele, skoro od razu nie skojarzył nazwiska z konkretną sprawą. „A to zabawne, że o nią pytasz, to całkiem ciekawa historia, która wydarzyła się w...” – tak zwykle zaczynał swe nieco przydługie opowieści. Miał tendencję do mówienia o nieżyjących od trzystu lat osobach z taką samą konfidencją jak o własnych dzieciach i wnukach. Dla niego nie były to tylko historyjki z przeszłości, ale prawdziwa pasja. Kolejny ślepy zaułek.

Po kilku godzinach wstałem od komputera, zeszytniały, głodny i sfrustrowany. Nie mając podstawowych danych, nie znajdę przedmiotu ogniskującego, a bez niego próba odesłania upiora była grą w ruletkę z nikłą szansą na wygraną. Nie było co liczyć na jego dobrą wolę: „Hej, nie czuję się tu chciany, odejdę więc w stronę światła”.

Szeroko otworzyłem okno. Po deszczu nie było śladu, ciepłe powietrze pachniało wilgocią – nie tą depresyjną, zimową, spod znaku „mokro i ziąb, chuj wie czy doczekamy przedwiośnia”, ale optymistyczną: oto kiełkowało nowe. Zapaliłem papierosa, by przywołać do porządku oszołomione wiosną zmysły. Za wcześnie, by się zniechęcać, pomyślałem. Jeśli nie udałoby mi się dowiedzieć, kim była Anna Dzwon, jak zmarła i co przeszkobiła za życia, wciąż mógłbym się jej pozbyć, choć pewnie nie sam. Doświadczony szaman nie musiałby szukać po archiwach czy szperać w trzewiach internetu.

Wszedłby w trans i przeniósł swoją duszę w zaświaty, a tam zapytałby duchy przodków, duchy szamanów, którzy posiadli wiedzę niemal równą Bogu, i duchy tych, co potrafią czytać znaki. Poznałby nie tylko imię i nazwisko upiora, ale uraczono by go także długą i wartką – choć zapewne nieznośnie metaforyczną – opowieścią o ziemskich i pozacielesnych przygodach delikwenta. Pełna obsługa dla tych, którzy już się zgodzą na posiekanie, gotowanie w oleju, przechodzenie nad kotłem smoły po końskim włosiu i inne atrakcje z szamańskiego parku rozrywki. Dla takich jak ja miały znacznie bardziej powściągliwą wersję dossier: „Nie wiemy”. Zdawałem sobie sprawę, że będę musiał ściągnąć opiekuna z Trójprzymierza, a ten, jak go znam, nie wyjedzie zaraz po odesłaniu Anny, tylko całymi tygodniami będzie truć mi dupę o inicjację. Ale przynajmniej dzieci będą bezpieczne. Będę to sobie powtarzał, zaciskając zęby.

Dzwonek uratował mnie od wykonania upokarzającego telefonu do opiekuna – dzwonek telefonu właśnie. Urszula miała jakiś trop. Zanotowałem w myślach, że tym razem zasłużyła na kwiaty i cały koszt słodczy.

– Znalazłam Annę Dzwon urodzoną w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym w Toruniu, córkę Antoniego i Marii. To dość dziwne, ale nie ma adnotacji o jej śmierci, ale też na jej pesel nigdy nie wydano dowodu osobistego ani numeru IP, nigdy też nie wpłynęło od niej zeznanie podatkowe, co, jak wiemy, jest co najmniej dziwne. Można unikać wielu urzędów, ale z urzędem skarbowym nie ma tak lekko. Przeczucie mi mówi, że to ta.

Przecucia Urszuli oscylowały gdzieś w kategoriach pewniaka. Podziękowałem bardzo wylewnie i zanotowałem sobie wszystkie dane, jakie znalazła, łącznie z informacją o innych potomkach Antoniego i Marii, z których przynajmniej Tadeusz powinien jeszcze żyć – Urząd Skarbowy miał jego teczkę pełną zeznań podatkowych, w tym aktualne, sprzed roku. Data urodzin Anny była co najmniej dziesięć lat późniejsza, niż zakładałem, ale wciąż był to najświeższy trop, jaki miałem.

Worek z informatorami się rozwiązał. Nie minęło kilka minut, kiedy odebrałem kolejny telefon, tym razem od Mariana. Nie miał wiele konkretów, ale coś mu się przypomniało.

– Cały czas się zastanawiałem, z czym kojarzy mi się to nazwisko, i już wiem, choć może to nieistotny drobiazg. Widzisz, koło tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego było kilka niewyjaśnionych zgonów wśród dzieci, wszystkie w naszej dzielnicy, na Podgórzu. Chyba z dziesięć maluchów, wszystkie w wieku przedszkolnym i młodsze... Nie znam szczegółów, ale były dość makabryczne, bo nasi rodzice strasznie się bali. I właśnie o tych zmarłych dzieciach mieliśmy piosenkę-wyliczankę, takie ostrzeżenie, żebyśmy pozostali czujni, bo przyjdzie zły pan i nas zabierze, tak jak tamtych. Słowik, Karol, Kot i Dzwon to były nazwiska ofiar, pasowały do rymów w piosence, więc je zapamiętałem... Więc możliwe, że to właśnie ta twoja Anna Dzwon była jedną z nich. Miałem wtedy sześć lat, wbiło mi się w pamięć, bo mama kazała mi wszędzie zabierać siostrę, czteroletnią, co, jak się domyślasz, nie było fajne dla chłopaka w tym wieku, zwłaszcza że Aniela była skarżypytą i psuła wszystkie co fajniejsze zabawy... Mam nadzieję, że ci pomogłem.

Właśnie dlatego Marian był cennym źródłem informacji. Miał fenomenalną pamięć i spędził całe swoje długie życie w tym mieście. Podziękowałem mu serdecznie i zadzwoniłem do Tomka, znajomego dziennikarza z lokalnych „Nowości”. Miałem nadzieję, że w archiwach pisma znajdzie coś przydatnego. „Nowości” zaczęły wychodzić w 1967 roku, morderstwa prawdopodobnie dotyczyły więc okresu, kiedy pismo już istniało i mogło odnotować informacje o nich na swoich łamach. Wcześniej była tylko „Gazeta Pomorska” wychodząca w Bydgoszczy i szanse na to, że wzmianka o dzieciakach z Podgórza, czyli raczej biednej dzielnicy, znajdzie się w piśmie wojewódzkim, nie były wielkie. I tak szansa nie była duża, ale większa niż w epoce sprzed „Nowości”. Roczniki pisma nie zostały zeskanowane i udostępnione w sieci, ale zakładałem, że są złożone w archiwum.

Tomek wykazał typowe dla dziennikarza zainteresowanie tematem:

– Czyli interesuje cię zbrodnia sprzed czterdziestu pięciu lat? Będzie z tego artykuł na pierwszą?

To był właśnie problem z Tomaszem. To dobra dusza i łatwo można zapomnieć, że jest dziennikarzem do szpiku kości. Owszem, miał zasób cennych informacji – począwszy od tego, w jakim kościele w regionie posypywano zmarłych makiem, by nie wstali w formie upiórów, po to, kto ma głębsze kieszenie w radzie miasta od pozostałych – i chętnie się tymi informacjami dzielił. Ale potem, cichutko i niepostrzeżenie, w bardzo przyjaznej atmosferze, zadawał kilka pytań, ot tak, i potrafił złożyć puzzle szybciej, niż powinien. Teraz więc tylko krok dzielił mnie od bycia głębokim gardłem. Wówczas Anita balansowałaby na granicy załamania nerwowego i kurwicy. Nauczony doświadczeniem, starałem się brzmieć skrajnie spokojnie – zero podniecenia, czysta flegma. Właściwie niewiele się to różniło od tego, jak mówiłem na co dzień.

– Nie bardzo, drobiazg, pewnie bez znaczenia, po prostu szukam o kimś informacji. Wypłynęła ta sprawa i zwykła ciekawość każe mi ją drążyć.

– Czy zwykła ciekawość ma na imię Anita?

– Nie, to prywatna sprawa, remedium na urlopową nudę. Nic wielkiego i z całą pewnością nie na pierwszą stronę. Twoi czytelnicy potrzebują czegoś mocniejszego niż zbrodnia sprzed pół wieku. Ale jeśli będę miał coś świeżego i w sam raz dla ciebie, to, jak widzisz, mam twój numer w szybkim wybieraniu – zapewniłem, choć Anita wyrwałaby mi język z przełykiem, gdyby miała choćby cień podejrzeń, że przeciek pochodzi ode mnie.

Tomek był nieco zawiedziony, ale obiecał w wolnej chwili zajrzeć do archiwum. Miałem podstawy podejrzewać, że owa wolna chwila nastąpi wkrótce po zakończeniu naszej rozmowy. Miał nosa i zdecydowanie urodził się do tej roboty. A jeśli zaczęłyby kopać i jeśli wynikłyby z tego małe kłopoty, gdyby trafił na ślad informacji o zgonach w szpitalu, zamierzałem martwić się tym później. Zresztą ryzyko, że na pierwszej stronie „Nowości” pojawi się informacja o morderczym duchu, który kontynuuje dzieło z za grobu, uznałem za nikłe – to wciąż było poważne pismo dla racjonalnych ludzi, a nie „Skandale”.

Coś mi tu nie pasowało. Historia Mariana o zabitych dzieciach ładnie łączyła się ze zgonami dzieci w szpitalu, przyznaję. Lecz jeśli Dzwon była jedną z ofiar, jakim cudem skończyła jako upiór? Było tylko jedno wyjaśnienie, mroczne i mało przyjemne. Podkreślałem właśnie nazwisko Tadeusza Dzwona, brata Anny, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi. Zerknąłem na zegarek – dochodziła piętnasta. Nawet nie czułem, kiedy ranek zmienił się w popołudnie.

Konstancja stała w progu, trzymając w dłoniach papierową torbę z logo Widelca, pobliskiego baru z burgerami. Zapach, jaki dobywał się z torby, dawał nadzieję na niezłą wyzerkę. Wpuściłem Konstancję do mieszkania, zauważając przy okazji, że nie zamierza się tłumaczyć ze swojej obecności i czuje się dość pewnie, by zanieść torbę od razu do kuchni. Czy fakt, że uznała za właściwe mnie nakarmić, cokolwiek oznaczał? Czy archetypy wciąż obowiązują w przypadku pięknych i całkiem współczesnych kobiet? Jakkolwiek rozumiała ten gest, nie zamierzałem darowanemu burgerowi zaglądać w zęby. Nie jadłem nic od... hmm, od wczoraj? Przynajmniej nie pamiętałem, by między wczorajszą kolacją a chwilą obecną w moim żołądku znalazło się cokolwiek oprócz litra kawy. W kuchni, czy raczej w nęce kuchennej, by oddać jej sprawiedliwość, nie było miejsca dla dwóch osób, więc pozwoliłem Konstancji działać samodzielnie. Na pewno nie zareagowałaby entuzjastycznie, gdybym się o nią ocierał, nawet jeśli byłoby to usprawiedliwione sięganiem do wyższych szafek.

Usiadłem na fotelu, zostawiając jej względnie ugładzone poślanie na rozkładanej kanapie. Niezbyt rozsądnie, ale cóż, jestem tylko facetem. Po chwili przyniosła dwa talerze z piętrzącymi się na nich najlepszymi burgerami w tym mieście. Mógłbym się do tego przyzwyczaić, choć znając moje szczęście, było to mocno jednostkowe zdarzenie.

Podawała mi talerz, a sama z wdziękiem usiadła na kanapie, odsuwając luźne kartki z notatkami. Rzuciła na nie okiem i zapytała:

– Skąd zainteresowanie Tadeuszem Dzwonem?

– Mógłbym zapytać o to samo. – Uśmiechnąłem się powściągliwie, wciąż nie wiedząc, ile i w jaki sposób powiedzieć jej o tej sprawie.

– Znam to nazwisko – rzuciła – wypłynęło w poszukiwaniach dziwnych przypadków na terenie szpitala.

– Zmarł?

– Przeciwnie, trafił do nas w stanie krytycznym, z ostrą niewydolnością serca, a po kilku dniach wypisano go w całkiem niezłym stanie, z dużo lepszymi wynikami. To dziwny przypadek, do rozpatrzenia raczej w kategoriach cudów medycznych niż katastrof.

Wgryzła się w bułkę, a strużka ketchupu spłynęła jej po brodzie. Wytarła ją serwetką, rzucając mi rozbawione spojrzenie.

– Masz może jego adres? – zapytałem lekko.

– Wydaje mi się, że w aktach była adnotacja o skierowaniu do sanatorium, ale nie pamiętam do którego. Sprawdzę rano w karcie.

– Czy twój przyjaciel nie będzie miał kłopotów, udostępniając ci takie informacje?

– Nie, jest dyskretny. I bardziej się przyjaźnię z jego żoną niż z nim. Jest pielęgniarką, pracuje ze mną na położniczym. – Uśmiechnęła się tak słodko, że nie miałem wątpliwości, że wyłapała zazdrość, którą nasycone było każde moje słowo.

Nie mając nic mądrego do powiedzenia, zabrałem się do jedzenia. Zwykle mnie to przesadnie nie ograniczało, ale wiedziałem, że idiotę zdążę jeszcze z siebie zrobić, a szkoda, by wystygł porządny kawałek mięsa.



Nie mogłem zasnąć, więc zamiast się męczyć rzucaniem się w zmiętej pościeli, ubrałem się i poszedłem do szpitala. Chciałem się upewnić, że z dziećmiakami wszystko w porządku i że nie dzieje się tam nic, co wymagałoby mojej interwencji. Skrupulatnie okrążyłem budynki, zajrzałem też do lasu i opuszczonego pawilonu, w którym jeszcze kilka lat temu leczono gruźlików. Suchotnicze duchy wciąż snuły się pomiędzy rzadkimi sosnami przy wejściu.

Jeszcze w kilku miejscach wyczuwałem szlaki komunikacyjne duchów, sygnalizowane przez ulotny ruch powietrza, delikatny przeciąg, którego nie wyjaśniają prawa fizyki, i uczucie przejmującego zimna w środku ciepłej nocy. Duchy, zwłaszcza te słabsze i młodsze, nie mogą latać sobie luzem. Pola energetyczne linii magicznych i wytyczone w ostatnich godzinach życia szlaki trzymają je na krótkiej smyczy. W pierwszych pięciu, dziesięciu latach istnienia właściwie są zapętlone. Oczywiście upiór, którego szukałem, nie podlegał tym ograniczeniom, podobnie jak duch, którego wcześniej przepytywałem. Nie ma tak lekko. Problemem nie był nawet mój niedobór wiedzy – przed przyjściem tu przeglądałem księgę cieni i leksykon graniczników, sprawdzając, czy te dodatkowe informacje, jakie zdobyłem, cokolwiek zmieniają. Niewiele, jeśli nie nic. Upiory są bardziej zróżnicowane niż duchy. Ich cechy indywidualne zależą w większym stopniu od tego, kim były, jak zmarły, gdzie zostały pochowane, co było przedmiotem ogniskującym.. Zbyt wiele zmiennych, o których wciąż wiedziałem zbyt mało.

Byłoby dobrze, gdybym się w ogóle domyślił, jak Anna Dzwon trafiła na teren szpitala. Nie umarła tu, byłem tego właściwie pewien. Szpital był młodszy od niej. Musiała tu trafić już jako upiór. Jak? Miałem kilka hipotez i żadna nie była przesadnie optymistyczna. Zaczynałem się zastanawiać, czy nie wklepać numeru do Ti w szybkie wybieranie, gdyby jednak okazało się, że próbuję ugryźć więcej, niż mogę przełknąć.

Strażnik pamiętał mnie z poprzedniej nocy i nawet nie musiałem mu pokazywać odznaki. Bez problemu

wszedłem też do budynku i wjechałem windą na odpowiedni oddział. Ochrona była naprawdę kiepska i gdyby nie ułatwiała mi w tym momencie życia, pewnie bym przygadał tym gałganom.

Dyskretnie obszedłem całe piętro, zostawiając gdzieś woreczki z ziołami i drewniane krążki z runami odstraszającymi złe moce. W pokoju noworodków wciąż wyczuwałem delikatną, ale mocną barierę ochronną. Sprawdziłem łóżeczko chłopca. Spał. Z kciukiem w ustach i wijącymi się nad czołem złotymi włoskami wyglądał jak bobas z reklamy papek warzywnych dla dzieci. Może jednak uda się go ocalić przed tym, co dotyczyło jego umysłu o sekundę za długo?

Odświeżyłem znaki na szybie i nad progiem. Nie było zaklęcia, które objęłoby ochroną cały szpital – krąg ochronny tej wielkości musiałby stawiać cały kowen. A jeśli upiór płatał się po terenie szpitala – a przecież nie miałem pojęcia, gdzie jest, bo ewidentnie trzymał łeb nisko, kiedy kręciłem się w okolicy – pacjenci byliby dostępni jak przekąski w barze sałatkowym. Niewiele więcej mogłem zrobić przed odkryciem kilku brudnych sekretów upióra.



Obudził mnie dzwonek telefonu. Było widno, słońce rozlewało się plamą złota po ścianie i pościeli. Musiałem paść, kiedy tylko dotarłem do mieszkania – leżałem w ubraniu na kołdrze, jakby zabrakło mi sił, by chociaż pod nią wpełznąć. Byłem zdrętwiały i półprzytomny i dobre trzy minuty zajęło mi odszukanie dzwoniącego aparatu, choć miałem go w kieszeni spodni. Nie znałem numeru, ale to mógł być ktoś z komisariatu, więc odebrałem.

– Wszystko w porządku? – usłyszałem w słuchawce.

– Tak, dlaczego miałoby nie być? – Oprzytomniałem na tyle, by skojarzyć, że dzwoni Konstancja. Skąd miała mój numer, nie wiedziałem.

– Masz dziwny głos...

Odchrząknąłem. Gardło i usta miałem wyschnięte na wiór, a w głowie wciąż panował bałagan. Widziałem nieostro, a w uszach dzwoniło mi jak po uderzeniu. Gdybym nie wiedział...

– Cholera jasna! – wyrwało mi się i usiadłem już całkiem obudzony. Momentalnie musiałem się schylić i podeprzeć łokciami, bo świat rozhuśtał się jak pokład starej łajby. – Wszystko dobrze, po prostu jestem przed poranną kawą – skłamałem uspokajająco.

– Jesteś sam?

– A kogo się spodziewałaś? Haremu ślicznotek?

– Mogę wpaść?

– Jasne, przywykam do tego, że mnie karmisz, poisz i dostarczasz rozrywek, więc moje drzwi stoją dla ciebie otworem.

Przez chwilę milczała. Dawna Konstancja na taką prowokację wybuchłaby złością, prychała jak kotka i kazała mi się bujać. Co zresztą było moim zamiarem. Ale ta nowa panowała nad sobą lepiej. Albo wciąż jeszcze czegoś ode mnie chciała.

– Mam informacje, które mogą ci się przydać – powiedziała cicho – będę za pół godziny.

– Daj mi godzinę.

Gdy się rozłączyła, spojrzałem na zegarek na ekranie komórki. Dochodziła dziewiąta. Ze szpitala wyszedłem około trzeciej. Od ponad dwudziestu lat nie zdarzyło mi się przespać więcej niż trzy godziny bez przerwy. Każdej nocy budziłem się kilka razy, często nie było sensu nawet próbować zasnąć. Miałem więcej czasu na czytanie i oglądanie po nocy powtórek wszystkich seriali, jakie wyemitowano od momentu powstania telewizji. A jednak dziś z życiorysu wypadło mi jakieś pięć godzin, a ja obudziłem się jak na potężnym kacu, choć poprzedniego dnia nie wypilem nawet kropli wódki. Było jedno

uzasadnione podejrzenie: upiór odwiedził moje skromne progi i żerował na mnie, kiedy ja spałem jak kamień. Była w tym przewrotna sprawiedliwość graniczników: skoro uniemożliwiłem mu pożywanie się na dzieciach i pacjentach, przywłókł się za mną do domu i potraktował jak bar szybkiej obsługi. Cholera jasna, powinienem posłuchać Ti, kiedy smęciła, że nie mam w mieszkaniu porządných osłon i pieczęci. Przynajmniej byłem pewien, że nie dał rady dobrać się do niemowląt – wychudzony szaman raczej nie był jego daniem z wyboru. Z drugiej strony przeszedł za mną jakiś kilometr przez całą ulicę Świętego Józefa, a więc cholernie duży zasięg. A po drodze były domy, pełne dzieci i dorosłych... Upiór mógł dopaść wielu z nich, ale laźł za mną, a wcześniej trzymał się szpitala. Dlaczego?

Wstałem powoli, ryzykując, że zaryję twarzą w dywan. Musiałem się ogarnąć przed przyjściem Konstancji. Kiedy sypałem kawę do ekspresu, drżały mi ręce. Nie miałem wyjścia, potrzebowałem małego kopa – porządne śniadanie to nieco za mało, by zrównoważyć ilość energii, jaką straciłem. Wyciągnąłem słoiczek z brązowego szkła. W środku grzechotały miękkie kapsułki przypominające te z tranem. Cóż, żaden waleń nie ucierpiał dla wyprodukowania zawartości. Nazywałem je skrótami, ponieważ pozwalały szybko zrobić to, co zwykle zajmowało godziny – uchylić bramę bez wchodzenia w trans, bransoletki, świec, ziół. Bez osłony, jaką daje rytuał. Bez opiekuńczego ducha, którego jeszcze nie miałem, a który uchroniłby moją duszę przed drapieżnikami czyhającymi na nią po drugiej stronie. Ale nie miałem wyjścia. Alternatywą było ryzykowanie, że zapadnę w śpiączkę i mój duch sam z siebie odnajdzie drogę do bramy, całkowicie poza moją kontrolą. A dalej wiadomo – olej, siekanka, tortury, sekcja na żywo, a wszystko przy udziale moich kochanych przodków.

Wiedziałem, że przez następne dwie, trzy godziny moje zmysły będą nieznośnie wyostrzone, bariera między światami stanie się cieńsza, niżbym sobie życzył, i wszyscy przygranicznicy, którzy się włóczą po okolicy, dostaną po oczach moim wewnętrznym światłem. Ale taka była cena za doping, jakim właśnie potraktowałem swój organizm. Aura połyskiwała bladym fioletem i leniwie przesuwiała się po skórze, zamiast, jak zwykle, frenetycznie wirować w psychodelicznym rytmie. Już po kilku minutach od zażycia kapsułek poczułem zmianę powietrza, jakby z każdą sekundą wzrastało napięcie elektrostatyczne, a między moją aurą a cząsteczkami powietrza dochodziło do nieustannego iskrzenia i drobnych wyładowań. Odetchnąłem głęboko, usiłując przywyknąć do mrowienia w całym ciele.

Uchyliłem okno i przysiadłem na parapecie. Zapaliłem skręta i wdychając głęboko aromatyczny dym, zbierałem myśli – co nie jest łatwe, kiedy rzeczywistość nagle bombarduje ci zmysły detalami, których wolisz nie znać, zakończenia nerwowe w twojej skórze dostarczają ilość danych, od których kręci się w głowie, a twój wewnętrzny głos zaczyna nucić melodię, która otwiera bramę do zaświatów. Ryzykowałem, jednak bez uzupełnienia energii nie byłbym dla upiora szczególnym zagrożeniem. A jeśli zapadłbym w śpiączkę, mógłby grasować swobodnie, niepowstrzymany przez nikogo. Mogłem unikać zbliżania się do bramy przez ostatnie miesiące, ale nie chciałem ryzykować bezpieczeństwa innych osób kosztem własnego komfortu. Potrzebowałem kotwicy, czegoś, co zakorzeni mnie tu i teraz, przytrzyma, gdyby mój duch chciał ulecieć w rejony, z których powrót byłby więcej niż trudny. Nie byłem gotów na inicjację i wędrówkę szlakiem dusz, potrzebowałem tylko tych cieniutkich smug eteru, które przenikały do mnie przez uchyloną bramę.

Chciałem tu zostać. Czas po obu stronach płynie inaczej. Minuta może stać się dobą, a ta miesiącem, po czym wracasz do życia posiwiały i postarzały, zaskakując tych, którzy już opłakali twoją śmierć. Za godzinę miała przyjść Konstancja... Skupiłem się na niej. Wbiłem wzrok w nasze zdjęcie w ramce i z kobiety, która kiedyś złamała mi serce, zrobiłem swoją kotwicę. O ironio! Była tylko ona, drobna, ale twarda. Twardsza i odważniejsza niż przed laty. Z jakąś skrywaną intencją, której nie byłem w stanie odkryć, bo znacznie lepiej niż kiedyś panowała nad tym, co zdradzają jej twarz i oczy. Odchyliłem głowę do tyłu, aż potylicą oparłem się o ścianę. Pozwalałem umysłowi wyciągać kolejne obrazy z tego, co było, z tego, co mogło być, z tego, co kto wie... byle dotyczyły jej. Nie widziałem kuszących wizji po drugiej stronie bramy, nie słyszałem słodkich dźwięków bębenków, którymi moi przodkowie przyzywali mnie na

plac próby. I o to chodziło.

Odetchnąłem głęboko, czując, że aura znów zaczyna ożywać i pulsować fiołkową energią zaświatów, staje się lśniąca i gładka. Ucichła melodia w mojej głowie, brama przymykała się. Nie do końca, bo nigdy nie była dla mnie zamknięta, ale na tyle, bym mógł odetchnąć, bo kolejny raz udało mi się uniknąć spotkania oko w oko z przodkami i duchami. O tak, to uczucie rozchodzącej się po ciele ulgi i rozluźnienia warte było papierosa bardziej niż większość orgazmów w moim życiu.

Nim zadzwoniła do drzwi, zdążyłem się przebrać i odświeżyć. Dobra synchronizacja. Choć z tą akurat nigdy nie mieliśmy problemów. Stała w progu z typową dla siebie hardą miną, którą znałem aż za dobrze. Jeszcze nie zaczęła nic mówić, a już wiedziałem, że będzie chciała coś przeforsować i prawie na pewno jej się to uda. Jakim cudem wciąż zakładam, że to ja jestem facetem w tym układzie?

– Znalazłam go, znalazłam Tadeusza Dzwona. Wiem, gdzie jest. Ale nie powiem ci, dopóki ty mi nie powiesz, co on ma wspólnego z tą sytuacją, jakim cudem facet z chorym sercem może być zamieszany w zabójstwo noworodków. – Przemaszzerowała obok mnie, ściskając w dłoni torbę z pieczywem niczym ostateczny oręż. Biorąc pod uwagę, że nie jadłem jeszcze śniadania, nie licząc eterycznej przekąski w zaświatach, cóż, miała mnie w szachu.

Nie spieszyłem się. Dokładnie zamknąłem drzwi, po czym poszedłem za nią do kuchni. Trzaskała szufladami i z furią krociła bułki, jakby to one były tajemnicą, od której się od lat odbijała. Teraz, kiedy zdradziła mi się ze swoją wrażliwością na nadprzyrodzone, zastanawiałem się, jak wiele z tego, co przeżywałem, kiedy byliśmy razem, do niej docierało. Byłem na początku drogi, dzieciak zagubiony w metafizycznej mgłę, przerażony tym, że być może traci rozum, szukający spokoju i odpowiedzi w nielegalnych substancjach i znajdujący dzięki nim jeszcze więcej pytań. Czułem je wszędzie, były blisko, ale nie mogłem ich dostrzec, nie na trzeźwo. Kiedy jednak byłem pod wpływem, z oczu opadały kłapki, które nakładał na nie rozum. Nie wiedziałem, że to duchy. Nie rozumiałem, kiedy do mnie mówiły. Podejrzewałem, że mogę być schizofrenikiem, i byłem przerażony tym, że wkrótce bez reszty popadnę w obłąd. Nie mówiłem jej o tym. To nie jest coś, czym chcesz się dzielić z kobietą, którą ubóstwiasz. Moje najgorsze koszmary dotyczyły tego, że mnie zostawia, odchodzi i zabiera ze sobą resztkę racjonalności, a głosy, które nie przestawały budzić mnie w nocy, nie milkną już nigdy. I te koszmary okazały się prorocze. Odeszła. A ja rozsypałem się na milion małych kryształków, by potem się pozbierać i żyć dalej. Wbrew obiegowej opinii metaforyczne pęknięcie serca rzadko prowadzi do zgonu. Przez te wszystkie lata winiłem ją za to, dziś jednak musiałem być na tyle uczciwy wobec nas obojga, by się zastanowić, czy nie odeszła przez to, co mnie otaczało, a co i ona w jakimś stopniu najwidoczniej odbierała. Czy słyszała te głosy co ja? Czy majaczyły jej te same postaci? Czy wchodziła w te same strefy chłodu w mieszkaniu, skażonym obecnością czegoś, co nie należało do ludzkiego świata? Jak straszne musiało to dla niej być! I w jakiej niepewności żyła przez lata, skoro nigdy nie odważyła się poprosić o odpowiedzi na postawione wówczas pytania. Czy to wszystko zniknęło z jej codzienności wraz ze mną? Nie tylko ona miała kilka pytań...

– Dzwoniłam do sanatorium... – zaczęła. – Według pielęgniarki pan Dzwon nie życzy sobie odbierać połączeń, nie chciał też pokoju z telefonem. Jeśli chcemy z nim porozmawiać, musimy tam jechać.

– Gdzie dokładnie? – Postanowiłem odpuścić pytanie o to, czemu w ogóle tam dzwoniła, zamiast zostawić sprawę mnie. Dzięki temu oszczędziłem sobie tyrady pod tytułem „Nie mów mi, co mam robić, to także moja sprawa”.

– Do Kołobrzegu. Masz samochód?

– Nie.

No dobrze, to było kłamstwo. Miałem samochód, zaparkowany od jakichś dwóch lat na parkingu policyjnym. Problemem nie był samochód, ale to, że nie miałem prawa jazdy. Sam je dałem Anicie na przechowanie w kasie pancernej na komisariacie, bo znam siebie na tyle, by wiedzieć, że bez prawka nie wsiądę za kółko. A w ostatnich latach dość często bywałem w stanie, w którym prowadzenie samochodu

byłoby głupotą i niepotrzebnym ryzykiem. Może już mógłbym je odebrać, skoro panowałem nad sobą nieco lepiej, ale zwyczajnie o tym nie pomyślałem.

– Super, więc pojedziemy pociągiem. – Uśmiechnęła się tak promiennie, jakby faktycznie cieszyła się na myśl o korzystaniu z taboru kolei państwowej. Różne są dewiacje i fetysze. O tej nie wiedziałem. – Zjedz śniadanie – zakomenderowała – ja muszę zadzwonić i ustalić kilka szczegółów.

– Myślałem, że masz przymusowy urlop...

– Nie samą pracą człowiek żyje – mruknęła.

Z telefonem przy uchu podeszła do okna i spacerowała tam i z powrotem. Dalej ode mnie nie mogła odejść, nie w tym mieszkaniu. Dolatywały mnie strzępy rozmowy, nieliczne, bo mówiła przyciszonym głosem, choć i tak wychwytywałem ciepły ton i pieszczotliwe słówka. Przy drugim „kochanie” zaciąłem się nożem do chleba, przy „Kurczaczku, obiecuję, wynagrodzę ci wszystko, jak wrócę” zacząłem się znęcać nad ogórkiem. Banalne skojarzenie, nieco zbyt linearne, ale my, faceci, jesteśmy prości. Żałowałem, że nie praktykuję wudu ani magii sympatycznej i stan ogórka w magiczny sposób nie wpływa na stan... nieważne. Jestem dorosłym, teoretycznie dojrzałym facetem. A ona od szesnastu lat jest wolną kobietą. Przecież nie chciałem, żeby przez te wszystkie lata była samotna. Chuj tam bym nie chciał... Jeszcze kilka plasterków ogórka, energiczne ruchy nadgarstkiem. Syknąłem, kiedy znów drasnąłem się w palec.



Kołysanie pociągu ma w sobie coś kojącego. Nie zmienia tego nawet męczący niczym biały szum stukot o stal torów i skrzypienie gumowych kołnierzy przy przejściach między wagonami. Najbliższe siedem godzin mieliśmy spędzić zamknięci w niewielkim przedziale. Chyba łatwiej byłoby w samochodzie, bo tu mieliśmy wolne ręce i doskwierał nam brak zajęcia. Miałem w torbie jakiś kryminał i skrócone wydanie leksykonu graniczników, ale jakoś nie spieszyło mi się do lektury.

Słodka Konstancja nie podała mi ani nazwy sanatorium, ani adresu, jakby bała się, że znając je, zdecyduję się wypchnąć ją z pędzącego pociągu. Rozsiadłem się w rogu pustego przedziału, przymknąłem oczy i udawałem, że morzy mnie sen. Starła się nie przeszkadzać, ale niemal fizycznie odczuwałem jej prześlizgujące się po mnie spojrzenie. Wyciągnęła z torby tabletki, ale nie mogła się skupić na połyskującej powierzchni ekranu.

– Nie zamierzam cię zgubić, kiedy tylko nadarzy się okazja – mruknąłem.

– Nie dam się zgubić... Po prostu myślę... Postarzałeś się.

– Nie wszyscy parzą kawę na wodzie ze źródła młodości. – Parsknąłem śmiechem.

– Jak trafiłeś do policji? – zapytała nieoczekiwanie.

A więc utniemy sobie pogawędkę o życiu i rodzinie. Może być.

– Uświadomiłem sobie, że wcześniej czy później trafię na komisariat i że ode mnie zależy, po której stronie krat się znajdę. Uznałem, że lepiej mi będzie z odznaką niż z numerem więziennym.

– Logiczne. Bardzo w twoim stylu – prychnęła. – Znam jeszcze tylko jedną osobę... – urwała.

Mogłem zapytać, czy „Kurczaczek” przypomina mnie jeszcze w innych kwestiach, ale to byłoby małostkowe. Poza tym nie byłem gotów na wieści o życiu erotycznym mojej od dawna eks. Może gdybym mógł z nim rywalizować bujnymi opowieściami o własnym życiu erotycznym, ale... nieważne. Zresztą jakąż konkurencją jest dla mnie facet, który pozwala się nazywać Kurczaczkiem? Co dalej? Różowa koszula i spodnie rurki? Na miejscu Konstancji pilnowałbym odżywki do włosów i błyszczycy. Kurczaczki lubią być puszyste i słodkie.

– Wiesz już, co możesz mi powiedzieć, a po czym nawiedzi mnie ponury zniwiarz? – zagadnęła



niezobowiązująco.

– Żniwiarz raczej nie, na taką drobinę jak ty wystarczą jego ziemscy pomagierzy – zażartowałem.

Splotła ramiona na piersi i przez chwilę po prostu patrzyła na mnie z tą przenikliwością, od której zaczyna cię swędzieć kark, a włoski stają dęba. To spojrzenie razem z nadąsanym wydęciem usteczek należało do pakietu rozszerzonego kobiecości. Jeśli jeszcze... tak, założyła nogę na nogę, eksponując smukłe udo, a stópka w czerwonym trzewiczku podrygiwała niecierpliwie.

– Nie możesz mi powiedzieć wiele, ale to nie znaczy, że masz siedzieć całkiem cicho. Może umówmy się, że ja będę mówić, a ty będziesz potwierdzał lub zaprzeczał. Nawet nie musisz nic mówić, kiwaj głową.

Prychnąłem śmiechem. Już widziałem moje tłumaczenie się Starszyźnie, że trudno mówić o zdradzie, skoro nie powiedziałem ani słowa.

– Istnieje więcej, niż zwykło się sądzić. To coś, czego większość z nas nie dostrzega, ale ty tak. Rozmawiasz z nimi... Myślę, że to duchy... Łatwiej mi uwierzyć, że to duchy, a nie na przykład anioły. Boże, mam nadzieję, że nie rozmawiasz z aniołami czy diabłami... – Potarła oczy kciukiem i palcem wskazującym. Była wytracona z równowagi, ale determinacja wypływała jej na policzki ciemnym rumieńcem.

– A czemu anioły i diabły miałyby być gorsze od duchów? – zapytałem, naprawdę ciekawy jej argumentacji.

– Bo duchy są jakoś bardziej swojskie, łatwiej w nie uwierzyć i były kiedyś ludźmi... Czytałeś Pismo Święte? Anioły to mało przyjemne istoty.

– Mają kiepską reputację, fakt – powiedziałem, nie wspominając ani słówkiem o Aniele Strózu Ti, którego poznałem i z którym gadałem kilka razy przy piwie i precelkach.

– Urodziłeś się taki czy coś cię zmieniło?

Milczałem. Niebezpiecznie zbliżała się do wytyczonej prawem granicy.

– Urodziłeś się taki – sama sobie odpowiedziała zdecydowanym tonem. – Zawsze byłeś nieco inny, ale wszystko nasiliło się, jak miałeś ile? Piętnaście lat? Siedemnaście?

– Czemu akurat tyle? – rzuciłem ciekawy, bo faktycznie jakoś w tym wieku objawy zaczęły się nasilać i wymykać spod kontroli.

– Czytałam o tym... Większość objawów psychicznych zaczyna występować w okresie dojrzewania płciowego.

– Czyli wracamy do tego, że jestem chory psychicznie?

– Nie chory... inny. – Mówienie o tym było dla niej trudne, ale z jakichś powodów kontynuowała, zamiast dać sobie spokój. Może naprawdę potrzebowała swego rodzaju domknięcia.

– „Inny” to dość trafne słowo – przyznałem.

– Czy to da się leczyć? – jej głos zadrżał, jakby się miała rozplakać.

– Ustaliliśmy już, że to nie choroba.

– Więc nie można... Czy narkotyki są częścią tego... stanu?

Przez chwilę nie odpowiadałem, wpatrując się w krajobraz przemykający za oknem.

– Przepraszam cię. Nie myślałem o tym, jak trudne musiało być twoje życie ze mną. Byłem idiotą, sądząc, że niczego nie zauważasz. Byłaś za bystra, żeby tego nie dostrzec, nawet jeśli zbyt przestraszona, żeby mi o tym powiedzieć. Nie mam usprawiedliwienia, poza tym, że naprawdę tego potrzebowałem...

– Nawet jeśli na ciebie nie działały... nie tak, jak powinny. Widziałam, jak wzięłaś kilka tabletek, a później przez kilka godzin byłeś przytomny, rozmawiałeś z ludźmi, wyszedłeś ze mną na imprezę, tańczyłeś jakby nigdy nic.

– Może to była aspiryna?

– Ukradłam ci jedną, połknęłam ją i myślałam, że umrę. Byłam nieprzytomna kilka godzin... To był jakiś silny kwas... Ile musiałeś tego brać, że uodporniłeś się na coś tak silnego?

– Mam wrodzoną odporność, to część mojego stanu – powiedziałem, mając nadzieję, że wciąż nie uznają tego za zdradę.

– Czy nadal? Czy dziś? – Zakryła usta dłonią, jakby fakt, że tu i teraz mogę być na haju, przerażał ją bardziej niż to, że widzę duchy i ucinam sobie z nimi towarzyskie pogawędki.

– Od jakiegoś czasu wystarczą skręty, jakieś delikatne halucynogeny. Nic tak ciężkiego jak kwas, który zwalił cię z nóg.

Po co właściwie jej to mówiłem? Poza tym dość żalonym, nie obawiamy się tego przyznać, aspektem pokazywania się od względnie najlepszej strony? Odetchnęła ciężko i wciąż przyciskając pięści do piersi, odwróciła wzrok i zaczęła wpatrywać się w okno.

– Sama nie wiem, o co jeszcze mogę zapytać... Bo wszystko, co mi mówisz, tylko pogłębia zamęt w mojej głowie – powiedziała cicho i z takim smutkiem w głosie, że momentalnie poczułem się jak damski bokser.

– Nie musimy o tym rozmawiać. Możemy zmienić temat i nigdy do tego nie wracać – rzuciłem.

– Unikanie tematu nie sprawia, że on znika... a czasem niewiedza, na jaką narażają nas niektóre pytania i odpowiedzi, może być znacznie bardziej groźna niż niewygoda.

Znów to przepełnione bólem spojrzenie, które uruchamiało we mnie pokłady poczucia winy. Nie mówiła nic więcej, ja też milczałem. Przymknąłem powieki i udawałem, że śpię. Po jakimś czasie faktycznie senność przyszła, jakieś płytkie majaki obudziły mnie po kilkadziesiąt minutach. Czuję się zaspany i wytrącony z równowagi. Nie pamiętałem snu, ale było w nim coś złego. Rozcierałem zdrętwiałe lewe ramię i próbowałem sobie przypomnieć coś więcej niż tylko zamazane w pamięci ciemne plamy i krzyk, którego echo wciąż rozbrzmiewało mi w uszach. Nie miewałem snów proroczych jak Ti, więc istniała nadzieja, że to tylko moja podświadomość przetwarza wydarzenia ostatnich dni, wyjął z rozpacz, że serwuję jej koktajl z przeszłych flam i upiorów. A skoro o wilku mowa, Konstancja spoglądała z niepokojem znad tabletu, ale nie powiedziała nic. Może i ona doszła do wniosku, że rozmowa to jednak nie był najlepszy pomysł. Podobnie jak zamknięcie się z nią na siedem godzin w pociągu. Wyszedłem na korytarz i otworzyłem okno, pozwalając, by wilgotny, ale ciepły wiatr wymiółł mi z głowy strzępki snu. Zapaliłem papierosa, choć dwadzieścia centymetrów od okna przyczepiona była tabliczka, że w tym oto wagonie obowiązuje zakaz palenia. To zresztą była pułapka, zakaz obowiązywał wszędzie – to było pierwsze, co sprawdziłem – w całym pociągu nie było przedziału dla palących. Zaciągnąłem się solidnie dymem, gotów pozbyć się papierosa, gdyby pojawił się konduktor czy nadwrażliwy pasażer, ale nikt mnie nie niepokoił. Paliłem wolno, odwołując moment powrotu do przedziału, pod obrzązał sarnich oczu Konstancji.

Marzyłem, że dojeżdżamy już do stacji docelowej. Byłem przekonany, że im szybciej będziemy mieć całą tę sprawę za sobą, tym lepiej. Konstancja wciąż miała zbyt miękki pancierz na takiego faceta jak ja. Raniłem ją, nie robiąc nic, a co dopiero, gdybym pokazał pełnię swoich możliwości. Chciałem zapomnieć o tej podejrzanie delikatnej stronie mojej osoby, która kazała mi zbyt wiele mówić i analizować. A przecież powinienem po prostu przeprosić i zamknąć rozdział, spalić metaforyczne pudełko z pamiątkami i zniknąć. Nie tylko ona była dobra w znikaniu.



Był wysokim, nieco zbyt szczupłym mężczyzną, który emanował jakąś siłą. To się chyba w dawnych czasach nazywało charakterem, a dziś jest spotykane za rzadko, by zawracać sobie tym głowę. Z papierów wiedziałem, że ma pięćdziesiąt pięć lat. Wyglądał na dużo więcej. Zmarszczki całkowicie zniekształcające mu rysy twarzy głębokimi rowkami i szpakowate włosy oplatające zaczeską łysą głowę

sprawiwały, że dałbym mu więcej niż siedemdziesiąt, ale stał prosto, a oczy błyszczały mu energią i inteligencją.

– Nadal nie rozumiem powodów, dla których miałyby się mną interesować toruńska policja – powiedział twardo.

Konstancja umknęła spojrzeniem. Przynajmniej wiedziałem już, czemu wpuszczono nas tak chętnie na teren sanatorium i nikt nie zadawał pytań. Mała sprytcuła, musiała przez telefon zrobić nie lada wrażenie.

– To nieco bardziej złożona sprawa. – Wskazałem stolik i krzesła przy oknie. Uznałem, że lepiej, by usiadł, nim zacznę go pytać o jego siostrę.

Niechętnie posłuchał. Odsunął energicznie krzesło i spoczął na nim, splatając ramiona na piersi. Był to jasny komunikat, że jest średnio przekonany do tego spotkania. Zwykle to daje do myślenia. Większość ludzi nie ma problemów z policją, poza tymi, którzy mają z nią problemy. Zanotowałem w pamięci, by sprawdzić dokładnie bazy danych.

– Chciałbym porozmawiać o pana siostrze, Annie – zagailem.

Przez chwilę milczał, mierząc mnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Nie wiem, dlaczego miałyby pan tego chcieć. Anna nie żyje od czterdziestu pięciu lat. Po co do tego wracać?

– Co pan pamięta na temat wypadków, które poprzedziły jej śmierć? Chodzi mi o serię zabójstw, ofiarami były dzieci...

– Nic nie wiem! – krzyknął, wstając od stołu. – Nie wiem, co pan insynuuje, po co pan wraca do tego, co było tak dawno!

Jego twarz nabierała coraz intensywniejszego odcienia szkarłatu, by przejść w lekko fioletowy kolor typowy dla zawałowców. Oddychał coraz ciężiej, pięść zacisnął na materiale koszuli na wysokości piersi. Konstancja zerwała się ze swojego krzesła i sprawdziła mu puls, po czym natychmiast zawołała pielęgniarkę. Ten pospiesznie przyproceedził wózek i zabrał Tadeusza Dzwona ze świetlicy.

Siedziałem bez słowa kilka minut. Instykt podpowiadał mi, że ten mężczyzna wie dużo więcej, niż dotąd podejrzewałem. Jego reakcja była przesadzona, a arytmia nastąpiła w dogodnym momencie.

– Jak myślisz, ile czasu minie, zanim pozwolą mi z nim znów porozmawiać? – spytałem. Jako pielęgniarka Konstancja mogła lepiej ocenić, jak poważne było to, czego właśnie byliśmy świadkami.

– Może wystarczy podanie leków, które unormują mu ciśnienie i wyrównają bicie serca. Wtedy za godzinę czy dwie mógłby z nami rozmawiać. Ale to wersja optymistyczna.

– Chyba nie grozi mu zgon? – zaniepokoiłem się.

– Nie sądzę, ma znakomitą opiekę medyczną i z tego, co widziałam w karcie, wyniki mu się ostatnio bardzo poprawiły.

Pokręciłem głową, odpędzając od siebie myśl, że to wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż zakładałem. Siedziałem kilka minut w świetlicy, czekając na powrót Konstancji, która poszła się zorientować, jaki jest stan Tadeusza.

Intuicja, dziwaczne narzędzie, które przez większość czasu ignorowałem, bo podsuwało mi rzeczy, o których nie miałem pojęcia, że istnieją. Teraz znów rozdzwoniły mi się dzwonki alarmowe. Gdybym jeszcze wiedział, co dokładnie jest nie tak...

– Szanse na to, że pogadamy z nim jeszcze dzisiaj, są nikłe. Najlepiej będzie, jak wrócimy tu rano. – Zerknęła na zegarek, wyraźnie zdenerwowana.

– Możesz wracać do Torunia, ja sobie znajdę jakiś nocleg i wpadnę do pana Dzwona z samego rana – zaproponowałem, mając nadzieję, że skorzysta z oferty.

Zacisnęła usta w wąską, bladą kreskę, a ja wiedziałem, że nic z tego. Jaki, do cholery, miała cel, włączając się ze mną po Polsce? Przecież niczego ode mnie nie chciała, na pewno nie liczyła na romans, bo nie wysyłała żadnych sygnałów. Choć zwykle jestem nieco ślepy na takie sprawy, zauważyłbym, gdyby to robiła. Pewnie dlatego, że podświadomie bardzo bym tego chciał.

– Nie ma mowy, nie wrócę sama. I będę przy rozmowie z Tadeuszem, zapomnij, że pozbędziesz się mnie tak łatwo.

– Ja mogę sobie przeczekać do rana na dworcu czy na ławce w parku, nie będzie to pierwszy raz, ale ty?

– Masz rację, nie nadaję się na ławkę w parku czy na dworzec – przyznała. – Właśnie dlatego znalazłam już pensjonat dwie przecznice stąd, mają tam dwa wolne łóżka. Mamy szczęście, że to wciąż tydzień przed rozpoczęciem sezonu, inaczej bez rezerwacji nawet ławki w parku byśmy nie dostali.

Musiałem jej to przyznać: była zorganizowana i szukała rozwiązań lepszych niż „może być”. Co właściwie wyjaśnia, dlaczego ode mnie odeszła, ale zupełnie nie daje mi pojęcia o tym, dlaczego teraz wypłynęła z odmętów czasu.

– Powiedz: „Dziękuję, Konstancjo, z radością przyjmuję twoją obecność, która czyni tę wyprawę lepszą”. – Odłoniła zęby w szerokim uśmiechu.

– Taa, jasne – odparłem, czując, że i bez tego moje granice są dziwnie osłabione.



Zza zaciągniętych zasłon przenikało słabe światło stojącej zaraz pod oknem latarni. Wystarczyło, bym w rozproszonych ciemnościach widział zarys jej ciała, szczelnie otulonego kołdrą. Po jej nienaturalnym usztywnieniu i zbyt szybkim oddechu poznałem, że nie śpi. I że – tak jak ja – udaje, że jest inaczej. Gdybym dotąd się łudził, że to wszystko zaplanowała, teraz miałem dowód, że jednak nie. Czują się niezręcznie, chyba nawet gorzej ode mnie. Zwłaszcza że zauważyła moją minę, kiedy portier oświadczył nam, że owszem, ma dwa wolne łóżka, ale w jednym pokoju.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, dochodziła dwudziesta pierwsza – nieco za późno, by tułać się w poszukiwaniu miejsca w gospodzie. Poza tym przecież byliśmy dorosłymi ludźmi, a nie szczeniakami, których wystarczy zamknąć w ciemnym pokoju, by rzucili się na siebie, drąc ubrania na strzępy. Szybko przygotowaliśmy się do snu, każde grzecznie zamknęło się w tym celu w łazience. Tak jakbyśmy nie znali swoich ciał...

Zresztą może się te ciała zmieniły przez lata na tyle, by dziś dostarczały nowych odkryć. Jestem przekonany, że jako dwudziestotrzylatek nie byłem tak szczupły jak teraz. Chyba miałem nieco więcej masy mięśniowej. Ona, przynajmniej w ubraniu, wydawała się mieć dokładnie taką sylwetkę, jak zapamiętałem, ale może to złudzenie. Ewentualnie zasługa magicznej bielizny i jakichś antygravitacyjnych urządzeń, które wzbudzają alarm bramek na lotnisku. Właściwie wolałbym wiedzieć, że jej smukłość i jędrność minęły bezpowrotnie, ale to było raczej mało pobożne życzenie. Była idealna. Jak zawsze. I jak dawniej pewnie by mnie wyśmiała, gdybym jej to powiedział. Kiedy wracała z łazienki w za dużym T-shircie kupionym w sklepiku z pamiątkami sanatoryjnymi, była zawstydzona i czym prędzej wskoczyła pod kołdrę. Jakby jej delikatnie umięśnionym, gładkim nogom czegokolwiek brakowało.

Idiota, pomyślałem, jakbyś miał za mało problemów z zaśnięciem.. Tak, koncentruj się dalej na wspomnieniu jej ud, zwłaszcza że usłużna wyobraźnia podsunie całkiem dokładne obrazy, w których te uda wyglądały kiedyś szczególnie dobrze. I jeszcze obrazy małych siniaczków znaczących ich opaloną powierzchnię – śladów palców, zostawionych w zapamiętaniu, jakby nogi Konstancji były ostatnią deską ratunku, którą chwyciłem, by nie utonąć w odmętach zmysłów. Jak dobrze, że w pokoju było ciemno.

Para za ścianą nie poddawała się łatwo. Już od godziny dobiegały nas jęki o różnym nasileniu i częstotliwości – raz wyższe, raz gardłowe. To wtedy każde z nas, niezależnie, zintensyfikowało żalną symulację niewzruszonego snu. Wśród narastających okrzyków świadczących o głębokiej religijności kobiety, a także coraz szybszego postękiwania i przytakiwania męczyzny leżeliśmy zeszytniali

w ciemności, przytłoczeni ciężarem wspomnień i potężnego ładunku niezręczności. Bałem się przekreślić na łóżku, by się nie zorientowała, że nie śpię. Ona też leżała w całkowitym bezruchu. A powietrze między nami gęstniało od napięcia. Gdy wezglowie łóżka w pokoju obok zaczęło rytmicznie uderzać w ścianę za naszymi głowami, nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, ale ucichła błyskawicznie, pewnie wtulając twarz w poduszkę.

Nie powinienem się w ogóle kłaść. Od lat cierpiałem na bezsenność. Prawdopodobieństwo, że zasnę, było niewielkie, nawet gdyby nie leżała na tapczanie obok, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Ale jeśli teraz siądę na łóżku i założę spodnie, by chociaż wyjść na taras biegnący wzdłuż całej północnej ściany budynku, Konstancja będzie widziała, że nie śpię, i pomyśli, że pewnie przez nią albo przez seksualną aktywność naszych sąsiadów. Pójdzie za mną lub będzie chciała rozmawiać, a kontekst może jej podsunąć tematy, których wolałbym z nią nie poruszać.

Może zresztą kombinuję na wyrost. Może leży w ciemnościach, udaje, że śpi, ale żałuje, że na tapczanie obok niej nie ma jej kochanka, jej Kurczaczka, bo wtedy całą tę frustrację, którą wywołały postukiwania i jęki zza ściany, mogłaby przetworzyć we własną przyjemność i przyłączyć się do chórk. Gdyby nie było mnie w pokoju albo gdybym naprawdę spał, mogłaby wsunąć ręce pod kołdrę i się dotykać, póki nie nadeszłoby błogie rozluźnienie. Wiedziałem, że jeśli nie przestanę o tym fantazjować, skończę jak osiemnastoletni kretyn – pod przysnycem, niekoniecznie zimnym, ze wspomnieniem jej wyprężonego ciała pod powiekami.

Koło północy jęki za ścianą ustały. Na szczęście, bo zacząłem już życzyć kochankom pechowego eksperymentu z erotycznym podduszaniem. Pół godziny później Konstancja zasnęła. Niemal fizycznie odczułem zmianę energii w pomieszczeniu, kiedy jej oddech wreszcie się wyrównał. Wstałem najciszej, jak potrafiłem, i ze spodniami i swetrem w garści wymknąłem się na taras. Noc była chłodna, ale przyjemna. Rozłożyłem plastikowy leżak, usiadłem i zapaliłem papierosa. Smuzka dymu wiła się miękko. Wreszcie mogłem się rozluźnić. Dziwaczne doświadczenie, którego nie chciałbym powtarzać. A przynajmniej nie z takim wynikiem końcowym. Odpędziłem wspomnienia, zajmując myśli tym, co naprawdę było istotne. Coś mi nie pasowało w tej całej historii z upiorem, a po spotkaniu z Tadeuszem Dzwonem wrażenie, że coś jest nie tak, tylko się nasiliło. Dlaczego upiór hasający po ziemi od 1968 dopiero teraz wypływa na wierzch i przyciąga do siebie uwagę seryjnym zabójstwem? Co sprawiało, że Tadeusz Dzwon po czterdziestu latach z okładem od śmierci siostry nie chciał mi nic na ten temat powiedzieć? Coś w nim nie dawało mi spokoju. Dopiero od niedawna operowałem terminami ze świata magii, ale Ti pewnie by powiedziała, że nie podoba mi się jego aura. Aury akurat nie widziałem, bo Dzwon raczej nie miał magicznych mocy, ale coś było na rzeczy. Wyczuwałem w nim coś obcego, co wzbudziło moją czujność. W najlepszym wypadku wiedział więcej, niż mówi. A niewykluczone, że był ostatnią osobą, która mogłaby uchylić rąbka paru tajemnic.

Koło trzeciej rano wróciłem do pokoju po kołdrę. Konstancja spała twardo, zwinięta w kłębek jak mały kociak. Przesiedziałem na leżaku całą noc. Gdy dochodziła szósta, miałem za sobą dwie paczki fajek, dwa skręty autorskie i butelkę wody mineralnej. Teraz katował mnie solidny ból głowy od wymyślania najgorszych scenariuszy dotyczących tego, z czym przyszło nam się mierzyć. Już od czwartej było na tyle jasno, że bez problemu mogłem czytać. Wertowałem leksykon z coraz bardziej katastroficznym przecuciem. Jeśli miałem rację, powinienem to zgłosić Starszyźnie. Tylko skąd, do cholery, miałem wiedzieć, że ją mam? Pewnie i tak wzięliby moje słowa w duży nawias nieufności, podejrzewając, że jako nowicjusz daję się ponieść wyobraźni. Może zresztą dokładnie tak było. Ani trochę spokojniejszy i średnio mądrzejszy witałem nadchodzący dzień. I Konstancję, której ciche kroki dobiegły do mnie koło szóstej trzydzieści.



Tadeusz Dzwon wyglądał dziś nieco gorzej niż wczoraj. Nie chodziło nawet o to, że był bledszy i nie wstał z łóżka, kiedy pojawiliśmy się w progu pokoju. Zniknęła cała ta buta, z którą wczoraj nas witał – coś zachwiało jego pewnością siebie i teraz w jego spojrzeniu czaił się niepokój, strach, którego etiologię bardzo chciałbym poznać.

Przysunąłem sobie krzesło, tak że miałby kłopot z ominięciem mnie, gdyby chciał wstać.

– Proszę mi opowiedzieć o pana siostrze, Annie Dzwon, o tym, jak zabiła te wszystkie dzieci – wypaliłem.

Drgnął zaskoczony.

– Anna nikogo nie zabiła. Sama była ofiarą mordercy, który grasował i polował na dzieci. Któregoś dnia po prostu zniknęła, ale wszyscy wiedzieliśmy, że ją zabrał... Nie znaleźliśmy jej, ale skoro nie wróciła, musiała być martwa... Miała tylko dwanaście lat, wie pan? Po tym wszystkim moja matka nigdy nie doszła do siebie.

Nie uwierzyłem mu. Grał dość dobrze, miał smutny głos i posępną minę, ale brakowało w tej historii prawdy i emocji.

– Taka jest oficjalna wersja, zapewne. Ale ja mówię o tej prawdziwej. Miał pan ile? Dziesięć lat? To dość, żeby pamiętać więcej. Oprócz tego sądzę, że w domu się o tym mówiło dużo później. Nie co dzień okazuje się, że córka jest morderczynią. A może oni nie wiedzieli? Ale pan wiedział, prawda?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Moja siostra nie była zła... policja nie powinna wierzyć w złośliwe plotki. Była tylko dzieckiem... Poza tym od dawna nie żyje, odeszła, nie wiem, dlaczego pan bruka moją pamięć o niej, to niedopuszczalne.

– Obaj wiemy, że to nieprawda. Ani ten kawałek, że nie była zła, ani to, że odeszła...

Z jego ust wyrwał się głośny jęk, a dłoń powędrowała na wysokość mostka. W jego oczach widziałem strach, ale to nie był strach przed zawałem.

– Proszę sobie darować to przedstawienie. Moja koleżanka jest pielęgniarką, może być pan pewien, że wie, jak wykonać EKG, i szybko się przekonamy, że z pana sercem jest wszystko w porządku. Podobnie jak wczoraj. Chciał pan więcej czasu, a może myślał, że nas spławi, ale ja się nigdzie nie wybieram, póki nie powie mi pan prawdy.

Opuścił dłoń z rezygnacją.

– Dlaczego odkopuje pan stare sprawy? Co panu do tego, że jakieś dzieci zmarły, zanim się pan narodził? Wtedy nikt się tym nie przejął. Kogo interesowałyby dzieciaki biedoty?

– Mnie interesują. I nie są jedynymi ofiarami. Znów umarło troje dzieci i muszę wiedzieć dlaczego.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że Anna wróciła zza grobu i zabija. – Zaśmiał się głośno, ale nie było w tym cienia wesołości. Zabrzmiął fałszywie, jakby nie trafił w strunę.

– O ile musiała w tym celu wracać – rzuciłem twardo.

Bycie szamanem i magicznym w świecie ludzi, którzy nie mają pojęcia o istnieniu rzeczy nadprzyrodzonych, ma szereg wad. Ma też jednak tę zaletę, że tacy ludzie jak Tadeusz Dzwon nikomu nie powtórzą tej rozmowy ani nie złożą skargi – bo niby na co? Na policjanta, który przesłuchiwał go w sprawie ducha jego siostry?

– Proszę nie udawać. Wiem, że musiał pan czuć jej obecność.

– Nie wiem, o czym pan mówi – zaciął się w uporze.

– No dobrze. Pomińmy na chwilę ten aspekt sprawy. Czy ma pan jakieś pamiątki po siostrze?

– Nie – powiedział szybko. Za szybko.

– Dlaczego nie chce pan o niej mówić? Czy pan się boi? – zapytała Konstancja, przysiadając na brzegu łóżka i biorąc go delikatnie za rękę.

Przymknął oczy i przez chwilę wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Nie chcę jej pamiętać – wyszeptał wreszcie. – Była moją siostrą, kochałem ją, a potem zniknęła. Nie chcę tego pamiętać. Wtedy skończyło się moje dzieciństwo, a moja mama płakała tak długo... Musieliśmy

się nią zajmować, ja i tata... To nie był dobry okres w moim życiu. Straciłem siostrę i po trosze straciłem też mamę. Przez pewien czas myślałem, że to moja mama zabijała te wszystkie dzieci, a potem zabiła moją siostrę. Ale wmówiłem sobie, że to niemożliwe. Chciałem zapomnieć, ale wy przychodzicie i odkopujecie to wspomnienie, sprawiacie, że ono znów boli...

I znów nie uwierzyłem niemal w żadne z jego słów.

– Jak umarły te dzieci? – zapytałem.

– Nie wiem, nie pamiętam – uciekł spojrzeniem za okno – jestem zmęczony, zbyt zmęczony... Dajcie mi spokój, bo wezwę pielęgniarza... Nie ma pan prawa mnie niepokoić, nie ma pan nakazu... Proszę dać mi spokój.

Położył się na plecach i przymknął oczy. Jego twarz wyglądała jak pośmiertna maska. Rysy mu się wyostrzyły, a oczodoły zdawały się zapadać. Nie wiem, w jakim stopniu symulował chorobę, a w jakim faktycznie był chory.

Wstałem, pewien, że nie wyciągnę z niego nic więcej. Kłamał przez pół wieku i widać nie miał zamiaru przestać kłamać u progu śmierci, jeśli z jego sercem było tak źle, jak mówił. Jednak to, w jaki sposób kłamał, samo w sobie było wskazówką.

Wyszliśmy z sanatorium na tyle wcześnie, by zdążyć na pociąg, który odjeżdżał w okolicach dziesiątej. Musiałem się jak najszybciej dowiedzieć, ile tylko się dało, o tych zabójstwach sprzed lat. Wbrew temu, co mówił Tadeusz, nie wierzyłem, że jego siostra była niewinną ofiarą. Niewinne ofiary nie zmieniają się w upiory i nie zabijają. Musiałem też sprawdzić, czy morderczynią nie była ich matka. Anna mogła jej pomagać. Możliwe nawet, że stała się upiorem właśnie dlatego, że zamordowała ją własna matka... takie rzeczy się zdarzały. Mogła też być morderczynią, ale jeśli nią była, z czyjej ręki zginęła? Myśl o dwunastoletniej seryjnej morderczyni była naprawdę szokująca. Choć przecież zdarzały się dzieci, które zabijają dzieci. Zło potrafi kiełkować w różnej glebie, nawet tej najmłodszej i pozornie niewinnej.

Jak zmarła? I dlaczego nie ma aktu zgonu? W domu państwa Dzwonów najprawdopodobniej wydarzyło się coś złego, a ja musiałem się dowiedzieć co. Przychodził mi do głowy jeden sposób, ale najpierw musiałem wrócić do miasta i spławić Konstancję.

Przez większość drogi milczeliśmy. Nie zaczynałem tematu ani nie zdradzałem chęci konwersacji. Konstancja zajęła się tabletem, ja oddałem się rozrywce bardziej *vintage*, czyli wyjąłem papierową książkę i zagłębiłem się w lekturze (przynajmniej takie sprawiałem wrażenie). W Gdyni mieliśmy przesiadkę. Konstancja kupiła w kiosku na peronie kilka kanapek, jakieś batoniki i dwie butelki coli. Podała mi bez słowa mój przydział, a ja jak pierwszy naiwny wzruszyłem się jej troską. Zupełnie zapomniałem, że nie jadłem śniadania.

Gdzieś na wysokości Tczewa zadzwonił mój telefon. Tomasz. Miałem nadzieję na jakieś informacje, ale uznał, że to nie jest rozmowa na telefon, i twardo przy tym obstawał. W Toruniu miałem być po siedemnastej, więc umówiłem się z nim na osiemnastą. Do tego czasu Konstancja już pewnie wróci do Kurczaczka, z którym przez pół drogi wymieniała esemesy. Oczywiście mi tego nie powiedziała – sam wywnioskowałem po tym, jak rozjaśniała się jej twarz, kiedy czytała kolejne wiadomości.



Tomasz czekał na mnie przed budynkiem, w którym mieściła się redakcja „Nowości”. W jednej ręce trzymał papierową teczkę, zapewne z materiałami, które zamierzał mi pokazać, w drugiej zaś grzechotkę. Może byłaby bardziej nie na miejscu, gdyby nie dziecięcy wózek, który Tomasz wprawiał w kołysanie stopą.

– Nie miałem go z kim zostawić – rzucił z uśmiechem na powitanie – zresztą poważnie podchodzę do

tacierzyńskiego.

– Dobrze dla was obu, znacznie trudniej nasycić skorupkę, gdy pójdzie do szkoły – powiedziałem, wyciągając dłoń po teczkę. Udał, że nie dostrzega tego gestu. Wsunął dokumenty do gondoli i popchnął wózek.

– Przejdziemy się kawalek, a ty mi wszystko opowiesz. Coś za coś, Witkacy.

Westchnąłem ciężko, choć jeszcze w pociągu przygotowałem sobie gładką odpowiedź na tę prośbę.

– Dlaczego interesuje cię sprawa sprzed czterdziestu pięciu lat? – zapytał, kiwając grzechotką nad główką uśmiechniętego niemowlaka.

– Czysta ciekawość...

– Próbuj dalej – rzucił sucho, zmagając się z krawężnikiem zbyt wysokim, by swobodnie wjechać na niego wózkiem.

– Wolałbym o tym nie mówić, za wcześnie...

– A ja wolałbym się nie rozstawać z teczką, nie wspominając już o adresie informatora, do którego dotarłem – powiedział spokojnym tonem.

Informator. No tak, miał mnie. Czas na spowiedź życia.

– Witkacy, ja się dowiem, tak czy inaczej... Usiądziemy tu sobie obok w kawiarni, ty mi wszystko opowiesz, a ja nakarmię Szymka, bo za chwilę da koncert, który usłyszysz pół Starówki.

Przytaknąłem, okazując wyraźne skrupuły. Im więcej cierpienia, tym bardziej będzie zadowolony z tego, co ze mnie wyciągnie.

Zajęliśmy stolik przy oknie. Kawiarnia była nowa i wcześniej jej nie odwiedzałem. Wyglądała na jedną z tych, do których zabierasz dziewczynę na randkę, bo tylko nadzieja na późniejsze słodkie godziny uzasadnia cenę kawy i ciastka. Zamówiłem czarną kawę z całą świadomością, że nie dostanę uczciwego kubka, tylko miniaturową filiżankę jak z serwisu dla lalek. Tomasz sprawnie wyplątał Szymka z wózka i przypiął do dziecięcego krzeselka, które usłużnie podsunęła mu kelnerka. Chwilę później przyniosła też moją kawę w naparstku, sok Tomasza i parujący słoiczek z jakąś żółtawą ciapką, wzbudzającą w dzieciaku spory entuzjazm. Przez chwilę w milczeniu obserwowałem, jak Tomasz nabiera ciapki na łyżeczkę, dmucha i ładuje ją w otwór gębowy syna. Widać było wprawę w jego ruchach, miał też refleks – przechwytywał żółtawe kleksy, zanim spadły na kaftanik czy podłogę.

– Wiem, że to fascynujące patrzeć, jak Szymek pochłania jabłuszko, ale możesz zacząć opowiadać – rzucił, ocierając spód łyżeczki o krawędź słoiczka.

– Wiesz, robisz sobie spory apetyt, tymczasem nie ma w moim zainteresowaniu nic sensacyjnego. To raczej wstydlive zainteresowanie i wstydlive pobudki – zarzuciłem wędkę.

– Wstydlive, mówisz? Rozwiń temat, już zaczyna mi się podobać.

Upiłem łyk kawy, odstawiając wielkie skrępowanie tematem. W końcu zacząłem – z oporami, a jakże:

– W sumie, jeśli ktokolwiek zrozumie, to może ty... Widzisz, ja zawsze chciałem pisać – zełgałem. – I tak sobie pomyślałem: za chwilę czterdziestka, kiedy, jak nie teraz? Urlopu zaległego się uskładało, więc wiesz, zacząłem pracować nad tym, co może kiedyś nazwę powieścią życia.

Przyglądał mi się przez moment, łyżeczka z paćką znieruchomiła w połowie drogi między słoiczkiem a ustami Szymka, który kopiąc w blat krzeselka, jasno wyraził swoją opinię na temat takiego zaniedbania.

– Pisać, mówisz? Jakoś nigdy nie myślałem o tobie jako niespełnionym pisarzu...

– Mam wszystko, co trzeba: chroniczną bezsenność, depresję, za sobą odwyk. Nie może się nie udać – zażartowałem.

Tomasz parsknął śmiechem. Nawet Szymuś wydawał się ubawiony, ale to akurat mogło mieć jakiś związek z tym, że spora porcja papki z jego ust znalazła się na jego rączce, a dalej już poszło – z ekspresją godną wybitnego malarza umazał sobie twarz i kaftanik. Tomasz, mechanicznie ocierając pociechę, rzucił jakby od niechcenia:

– Opowiedz mi o tej powieści. Wiesz, to może być całkiem niezły news, nie na pierwszą stronę, rzecz



jasna, ale sam pomyśl: toruński policjant pisze kryminał osadzony w Toruniu...

– Trochę za wcześnie na pisanie newsów czy udzielanie wywiadów, choć oczywiście masz pierwszeństwo, jeśli mi się uda... Wiesz, to ten moment, kiedy sam nie wierzę, że może mi się udać... Co innego pisać raporty, co innego powieść, ale jeśli nie spróbuję teraz, to kiedy? Najwyżej mi nie wyjdzie tak, jak bym chciał, ale mało to gniotów wydają?

– Więc o czym ma być ta powieść? – zapytał z błyskiem w oku.

– Trochę postmodernistyczny, mocno fantastyczny kryminał. Zbrodnia z przeszłości, która ma echo w czasach obecnych. Powracający z grobu morderca szukający nowych ofiar. Piękna kobieta, która robi wszystko, by go powstrzymać. Trochę okultyzmu, może i seksu, wiesz, to, co się dzisiaj dobrze sprzedaje.

Pokiwał głową. Jego mina wyrażała powątpiewanie.

– Dość luźny szkic, co?

– Dopiero zacząłem, mam urlop od niespełna tygodnia – wyjaśniłem gładko. – Jestem na etapie, jak to mówią, kwerendy. I do kogo miałbym się zwrócić, jak nie do dziennikarza z lokalnej prasy? Sam powiedz.

– Czemu akurat ta zbrodnia, sprzed czterdziestu pięciu lat? Oczywiście poza tym, że liczba lat brzmi prawie jak wywleczona z romantycznych tekstów.

– Ktoś mi podsunął ten przypadek. Bo widzisz, najciekawsze sprawy dotyczą seryjnych morderców, prawda? A u nas seryjni się raczej nie zdarzają. Więc ktoś wspomniał mi, że była taka sprawa, kilka ofiar, nigdy nie złapano zabójcy, nawet nie było śledztwa. Sam przyznaj, to się aż prosi o powieść.

Wypiłem ostatnią kropelkę kawy i odstawiłem filiżankę, zadowolony z wrażenia, jakie moja opowieść zrobiła na Tomaszu.

– Oczywiście dziękuję ci w przedmowie za cały trud, który cię kosztowało wyszukanie mi notatek prasowych i znalezienie informatora – przyrzekłem solennie.

– Coś mi tu nie pasuje, ale czy statystyki nie mówią, że co trzeci humanista snuje fantazje o pisaniu powieści? Kto jest bez grzechu, niech podniesie rękę. – Zaśmiał się, chowając dłonie pod blat stolika.

Szymuś dla odmiany machał swoimi wysoko nad głową. Bystry malec, może zostanie inżynierem. Z pisania powieści mało kto wyżyje.

Tomasz podał mi teczkę z kserokopiami artykułów. Załedwie trzech. Ale w obu zaznaczone markerem było to samo imię i nazwisko chłopaka, brata jednej z ofiar. Te same dane, ale wzbogacone o adres zamieszkania znalazłem na żółtej karteczce samoprzylepnej, przyklejonej po wewnętrznej stronie okładki.

– I pamiętaj, „Nowości” mają pierwszeństwo, jeśli to wydasz!

– Jasne. Oby wena nie okazała się kapryśna, a zamiary większe niż możliwości – odparłem głosem pełnym wątpliwości.

Wstałem od stolika i uściśnąłem Tomaszowi dłoń na pożegnanie. Podszedłem jeszcze do kontuaru, by zapłacić za nasze napoje. Wychodząc, odruchowo pogłaskałem Szymka po główce. Wydawał się uradowany, widząc, że sekundę później wycieram o nogawkę resztki żółtej ciapki, którą zachomikował na później gdzieś za uchem. Roześmiałem się, słysząc ten szczebiot. Coś jak odgłos, jaki wydawał Krecik z czeskiej bajki. Zaraźliwy. Jestem żalosnym idealistą, ale to, że sam nie mam zbyt wiele powodów do śmiechu, nie znaczy, że nie będę do upadłego bronił prawa dzieciaków do tego, by śmiać się do woli. Przypomniałem sobie nieruchome, milczące ciało ze szpitala i odruchowo przyspieszyłem. Każda kolejna noc z upiorem na wolności stanowiła dla tego dziecka niepotrzebne ryzyko.

Kiedy zadzwoniłem pod numer informatora, dochodziła dwudziesta. Nie odbierał. W sumie to starszy człowiek, mógł o tej porze już spać. Zamierzałem go odwiedzić z samego rana. Większą część wieczoru i nocy krążyłem wokół szpitala. Nie miałem dość danych, by zrobić cokolwiek bardziej konkretnego, niż tylko chodzić jak cieć, ale nie potrafiłem usiedzieć w domu. Wciąż zastanawiało mnie, czy niewinna dziewczynka zabita przez matkę mogłaby się stać upiorem. Jeśli jej poczucie zdrady

i niesprawiedliwości było silne, mogło się przełożyć na dodatkową energię zasilającą ducha, ale wciąż... nie znalazłem nawet jednego opisanego przypadku upióra, który za życia byłby niewinny. Nie znaczy to, że takiego nie było, wiedza o granicznikach nie jest nauką ścisłą. Może po prostu trudno było mi zaakceptować fakt, że dwunastoletnia dziewczynka mogłaby być zdolna do zabójstwa. A jeśli była, czy sama wpadła na ten pomysł, czy była tylko pomocnicą dorosłego mordercy... może własnej matki? Irytowało mnie, że tak niewiele dowiedziałem się od Tadeusza. Może powinienem coś z tym zrobić?

Koło pierwszej zadzwoniła Konstancja. Odbiliśmy niezobowiązującą pogawędkę i życzyliśmy sobie miłej nocy. Gdy zapytała mnie, jaki mam plan na jutro, splawiłem ją ogólnikami o archiwach i dokumentach. Starłem się brzmieć najnudniej, jak to tylko możliwe, i robiłem to na tyle skutecznie, że sam zacząłem ziewać. Poradziłem, by zajęła się wynagrodzeniem Kurczaczkowi swojej nieobecności minionej nocy, podczas gdy ja się zajmę robotą. Burknęła coś z irytacją i się rozłączyła – co było moim celem. Dla własnego dobra powinienem jej unikać. Kontakty z nią sprawiały mi perwersyjną przyjemność. Coś jak dotykanie czubkiem języka obolałego zęba, który najpewniej będzie wymagał resekcji. Gdybyż usuwanie kobiet z życia było równie proste jak pozbywanie się spróchniałych zębów!

Gdy dotarłem do domu, świtało. Rozebrałem się do bielizny i wpakowałem pod kołdrę. Momentalnie poczułem się jak człowiek cywilizowany, uświadamiając sobie, że nie obudzę się w ciuchach, leżąc w barłogu. Jak neandertalczyk poczułem się zaraz po obudzeniu, kiedy przypominałem sobie swój wyjątkowo intensywny sen. Zakładał on zniewolenie Konstancji i rozbicie Kurczaczkowi głowy za pomocą kamiennej maczugi. Parsknąłem, przypominając sobie, jak mój mózg spersonalizował Kurczaczka: wielka szafa z małym kluczykiem i pojedynczą szarą komórką huśtającą się na sznurku rozpiętym między uszami. Ja sam byłem nieco większy niż w rzeczywistości, tak na oko o pół metra wyższy, ważyłem też dwa razy tyle, dzięki mięśniom, rzecz jasna. Tylko Konstancja wyglądała dokładnie tak jak naprawdę – idealnie.



Byłem pod prysznicem, kiedy zaczęła się dobijać do drzwi. Nie przejąłem się tym przesadnie i spokojnie kończyłem ablucje. Jeśli się znudzi lub wkurzy, może odpuści sobie moje towarzystwo i pójdzie do domu. Mogłem się przynajmniej ludzić, prawda?

Ogoliłem się, bo zarost powoli upodabniał mnie do niezrozumianego przez społeczeństwo artysty, co w połączeniu z moją skłonnością do używek tworzyłoby całkiem spójny obraz. Świeży i pachnący czymś, co miało statek na butelce, gotowy byłem na stawienie czoła... może nie światu, ale na pewno kobiecie, która nie odpuściła i wciąż pukała, choć zapewne kłykcie miała już czerwone.

– Dobrze wiedzieć, że wciąż nie dorobiłaś sobie kluczy – rzuciłem na powitanie.

– Skąd ta pewność? Może odkładam użycie ich na bardziej sprzyjające okoliczności? – Popatrzyła na mnie, gniewnie marszcząc brwi.

– A może po prostu lubisz moją wycieraczkę? Tak, to brzmi sensownie. A w ogóle co tu robisz? Byliśmy umówieni? Nie sądzę, pamiętałbym.

– Próbowaleś mnie wczoraj splawić, więc uznałam, że nie dam ci tej satysfakcji. – Przymaszerowała obok mnie, a jej związane w kucyk ciemne włosy kołysały się nonszalancko. – Więc jaki mamy dziś plan?

– Muszę kogoś odwiedzić, twoja asysta nie będzie konieczna. Starszy pan na twój widok gotów dostać palpacji.

– Taki jak ten, którego przyprawiłeś w Kołobrzegu o stan przedzawałowy? Zdecydowanie potrzebujesz asysty kogoś, kto w razie czego przeprowadzi reanimację. Jestem ci niezbędna, a jeśli nie tobie, to temu biednemu obywatelowi.

Wraz z wiekiem ewidentnie nabrała pewności siebie. Podpierała się pod boki i zadziornie unosiła brodę. Nie wyglądała na swoje... ile właściwie? Przeprowadziłem szybką arytmetykę... Miała trzydzieści sześć lat, a przecież nie wyglądała na więcej niż trzydzieści! Może to ja podwójnie dźwigałem dzielące nas lata? To by wyjaśniało łamanie w kościach, gdy zanosilo się na deszcz. I kilka innych spraw.

Stanisław Karolak zapewne oburzyłby się, wiedząc, że mówiliśmy o nim per „staruszek”. Może i sześćdziesiąt lat stuknęło mu jakiś czas temu, ale starość była dla niego bardzo odległą perspektywą. Musieliśmy chwilę poczekać przy furtce, ponieważ klamka była tylko od wewnętrznej strony, a domofon działał na tyle, by dać znać, że czekamy, ale nie na tyle, by gospodarz mógł wpuścić nas do środka bez wychodzenia z domu. Szedł dość szybko mimo kuli, którą się podpierał – na prawej nodze, od kolana w dół, miał lekką szynę z włókna szklanego, taką, jakie widywałem u ofiar wypadków na nartach. Mieszkał w niewielkim domku na Wrzosach, otoczonym obłazącym farbą płotem i ogrodem, który świadczył albo o lenistwie właściciela, albo jego umiłowaniu do angielskich tradycji w ogrodnictwie. Suche pędy pnących róż zwisały nisko nad betonową ścieżką i czepiały się spodni.

Uprzedzony przez Tomasza, przywitał nas silnym uściskiem dłoni. Wyraźnie cieszył się z odwiedzin. Może z powodu nogi skazany był na samotność. Towarzystwo Konstancji, delikatnie mówiąc, nie przeszkadzało mu. Przeciwnie, byłem przekonany, że przynajmniej częściowo to kogucie wyprężenie klatki piersiowej i wciąganie wydatnego brzucha powodowane było właśnie jej obecnością. Poprowadził nas do pokoju dziennego, a sam zniknął w kuchni. Miał telewizor takich rozmiarów, jakie dotąd widywałem tylko w barach. Dla równowagi regał na książki mieścił zaledwie kilka woluminów; zauważyłem Sienkiewicza w skajowych oprawach ze złoceniami, prezentującą się równie dostojnie encyklopedię Gutenberga i jakieś pojedyncze szcztane kryminały.

Konstancja usiadła na kanapie. Mogłem zająć miejsce na fotelu naprzeciwko, ale rozsądek podpowiadał mi, że mężczyźnie z szyną i kulą znacznie wygodniej wstaje się z fotela. Tylko dlatego zająłem miejsce obok mojej towarzyszk. A że przy okazji miękkie poduchy siedziska sprawiły, że Konstancja, z całą pewnością wbrew swojej woli, zsunęła się w moją stronę, tak że jej ramię dotykało mojego... Cóż, nie sposób walczyć z prawami fizyki.

Stanisław wrócił, mimo ograniczonej sprawności ruchowej niosąc tackę z trzema filiżankami. Herbata okazała się tak mocna, że czułem, jak zaczyna mi kiełkować zarost na brodzie. Gospodarz wsypał do swojego naczynia trzy łyżeczki cukru, zamieszał i dopiero wtedy usiadł na fotelu, opierając kulę o brzeg stolika.

– Cholerny snowboard. – Uśmiechnął się szeroko. – Miałem rację, nie da się jeździć na jednej nartcie: ani tym skręcić, ani tym hamować. Ale szybkość całkiem przyjemna – dodał. Upił łyk mocnej i przesłodzonej herbaty i aż przymknął powieki z ukontentowania. – Cóż więc państwa do mnie sprowadza? Pan Tomasz wspominał, że jakaś stara sprawa. Czyżby policja z braku lepszych zajęć odgrzebywała zbrodnie sprzed kilkudziesięciu lat? Jest pan jak ci detektywi z telewizji, ekspertem od zimnych spraw?

– Jestem tu całkiem prywatnie, proszę pana, interesuje mnie ta konkretna sprawa.

Podaliśmy mu wycinki z „Nowości”, dość powściągliwie opisujące zabójstwa, których ofiarą padły dzieci na Podgórzu.

– Nie rozpisali się szczególnie, wie pan? Nie był to temat dnia. Może gdyby ginęły dzieci partyjnych oficjeli, jakoś by ruszyli ze śledztwem, a że rodzice byli tylko robotnikami, bez koneksji, bez pieniędzy, to nawet milicja nie była zainteresowana problemem. Aż dziw, że cokolwiek o tym trafiło do gazety... Na – sprawdził w stopce – czwartą stronę, no, no, widocznie akurat nie pobito żadnych rekordów ani kwestia żydowska nie wymagała zaognienia... – Przeleciał wzrokiem po artykule zajmującym niecałą kolumnę. – Że też akurat tego żydowskiego aspektu sprawy nie wyłapali...

– Był jakiś żydowski aspekt? – zdziwiłem się.

– Tak mówiono – skrzywił się – ale wtedy prawie wszystko miało jakiś żydowski aspekt, wie pan,

ledwie kilka miesięcy minęło od marca sześćdziesiątego ósmego roku... Ale znów lepszym samograjem były sabotaże w fabrykach czy antypolskie, a dokładniej: antysocjalistyczne nastawienie niż odgrzewanie bajek o Żydach mordujących polskie dzieci. Ale niech mi pan powie szczerze, po co pan to odgrzebuje? Bo przecież nie zamierza pan nikogo postawić przed sądem za stare zabójstwa. Takie rzeczy się nie dzieją, nie u nas. – Zaśmiał się gorzko.

– Piszę książkę. Pomyślałem, że to dobry temat: lokalny, mało znany, skrywający więcej niż jedną tajemnicę.

– Książkę? Z takich książek nic dobrego nigdy nie wynika, proszę pana. Potem tylko więcej plotek i nienawiści się rodzi, wcale się nie odradza pamięć o ofiarach.

Domyśliłem się, do czego pije, więc sięgnąłem po przygotowaną zawczasu bajeczkę.

– Nie z takich książek. Ta, jeśli ją zdołam napisać, będzie stała na półce z fantastyką. Wie pan: duchy i magia, nikt nie potraktuje tego poważnie, temat nie trafi na pierwsze strony gazet, może mi pan wierzyć. I pozmieniam pewnie tyle, że sam ledwie znajdę historię, która była inspiracją... Mimo to chciałbym wiedzieć, jak było naprawdę, żeby mieć punkt wyjścia.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Kiedyś bardzo chciałem, żeby ktoś się tym zajął, żeby wyjaśnił dokładnie, co się stało z moją siostrą... dlatego rozmawiałem z dziennikarzem, dlatego nie siedziałem cicho... A później zrozumiałem, że lepiej, żebym zamknął jadaczkę, bo więcej krzywd na rodzinę ściągnę... Ale to też już nieważne, bo z tamtych ludzi, którzy byli w to zaangażowani, to już chyba niewielu żyje... Mój ojciec zmarł dwadzieścia lat temu, już mu nie zaszkodzę...

Milczałem, pozwalając mu złapać rytm opowieści. Przez chwilę wpatrywał się w okno, za którym kiwały się wciąż gołe gałęzie jakiegoś owocowego drzewka. Pocierał usta kciukiem i palcem wskazującym, jakby się zastanawiał, ile może mi powiedzieć albo w jakie słowa ubrać wspomnienia, które najwyraźniej wciąż nie pozwalały o sobie zapomnieć.

– Moja siostra była druga. To ona jest tym Karolem z wyliczanki. Dzieciaki skróciły imię, bo miało się rymować... Wcześniej był Słowik... Przed Kotem była jeszcze trójka. W sumie sześcioro dzieci. Siedmioro, jeśli policzyć Dzwon, ale... ja bym nie liczył, nawet jeśli jest w wyliczance. – Skrzywił się cierpko. – Widzi pan, ja nie byłem wtedy takim malcem, miałem prawie osiemnaście lat. Rozalka tylko trzy. Nigdy nie przestałem sobie wyrzucać, że jej nie dopilnowałem, że pojechałem z chłopakami kąpać się na gliniankach, a ona została sama, bez opieki. I to ja ją znalazłem. Tego też nigdy nie zdołałem zapomnieć. Tego, co jej zrobili. Jej i innym dzieciom. To było... za dużo, nawet gdyby spotkało najgorszego bandytę, a co dopiero dziecko.

Zamilkł, jakby znów przed oczami miał ciało swojej siostry. Oczy mu pociemniały, a dłonie zacisnęły się na oparciu fotela.

– Proszę mi opowiedzieć, co pan pamięta. Wiem, że minęło mnóstwo czasu, ale wszystko, co pan zapamiętał, może być ważne – poprosiłem, by wyrwać go z przedłużającego się zamyślenia.

– Co pamiętam? – Prychnął sarkastycznie. – Pamiętam wszystko, choć może mi pan wierzyć, bardzo chciałbym zapomnieć. Chciałbym jej nie widzieć, kiedy zamykam oczy, nie oglądać jej w snach. Może gdyby złapano jej zabójcę albo gdyby wszyscy wiedzieli, jak to dokładnie wyglądało, nie nawiedzałyby mnie. Ale ta niesprawiedliwość... ona napędza te wspomnienia. – Odchrząknął.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby odkryć, kto za tym stał... może wtedy... gdy napiszę książkę... – zająknął się na tym oczywistym kłamstwie.

– Nie napisze pan żadnej książki, wiem, że pan kłamie. Pracowałem trzydzieści lat w szkole i potrafię wywąchać, kiedy ktoś mija się z prawdą... Nie wiem, czemu panu tak zależy, żeby poznać historię z czasów, kiedy nie było pana na świecie... ale chyba mnie to nawet nie obchodzi. Opowiem panu wszystko, co pamiętam, bo nigdy dotąd nie miałem z kim się tym podzielić. Nikt nie chciał słuchać. Pan chce, więc tym lepiej dla mnie. Nie jestem młodzieniaszkiem, nie wiem, ile mi zostało. Może niewiele,

jeśli znów spróbuję jazdy na snowboardzie. Ale nie chcę, żeby zbrodnia, której ofiarą padła moja siostrzyczka, odeszła w zapomnienie. Pewnie ten, kto za tym stał, dawno nie żyje. Może nawet został ukarany, choć to bardziej moje domysły niż fakty... W każdym razie chcę, żeby ktoś wiedział o tym, co się działo na Podgórzu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Padło na pana. – Uśmiechnął się blado.

Nie mogłem go zapewnić, że książka powstanie, ale mogłem powiedzieć jedno:

– Pomogę panu zamknąć tę sprawę. Nawet jeśli nie będę mógł o tym mówić, zamknę ją. Zgoda?

Pokiwał głową. Uwierzył mi, instynkt starego belfra pozwolił mu ocenić, że mówiłem z pełnym przekonaniem.

– Zaczęło się od Jasia Słowika. Wtedy nawet nie byliśmy pewni, czy to nie był wypadek. Znaleźliśmy go w starej szopie niedaleko rzeki. Starsze dzieciaki często bawiły się w okolicy, ale on miał tylko trzy lata i nigdy aż tak nie oddalał się od domu. Nie sam. Ale nic nie wskazywało na to, że był ofiarą morderstwa. Na ciele nie było śladów, jakie pojawiły się na kolejnych. Leżał na klepisku w tej szopie, jakby spał. Był taki mały... Przy ciele leżała buteleczka po aspirynie, pusta. Lekarz uznał, że przedawkowanie leku było przyczyną zgonu. Nikt nawet nie wzywał milicji, bo też po co. Dzieciak zjadł białe cukierki i już się nie obudził. Nikt głośno nie zadał paru podstawowych pytań. Bo skąd taki maluch wziął całą butelkę aspiryny? Na pewno nie z domu, to nie było tanie lekarstwo, a co dopiero cała szklana butelka, i to z obcojęzyczną etykietką. Wtedy chodziło się do apteki i kupowało po tabletkę, którą aptekarz owijał w szary papierek albo wkładał do pudełeczka. Wtedy uznano, że mały musiał komuś tę aspirynę zwędzić albo znaleźć wyrzuconą. Pani Słowik to mocno przeżyła, mieszkała obok nas, nasza mama często chodziła do niej, pocieszała, bała się, że ta sobie coś zrobi, bo ten Jaś to było takie wyczekane dziecko, późne, po jakichś poronieniach. Pamiętam pogrzeb i tę białą trumnę, tak małą, jakby dla lalki. Wszyscyśmy poszli na cmentarz, pogrzeby takich maluchów nie zdarzały się często. A ten okazał się pierwszym ze strasznej serii. Na kolejnym to ja i mój ojciec nieśliśmy trumnę.

Wyciągnął z kieszeni kraciatą chustkę i otarł oczy.

– Rozalka też miała trzy lata, często bawiła się z Jaśkiem na podwórku. Było mi to na rękę, bo sam byłem wyrostkiem i nie w głowie było mi niańczenie dzieci. Nie zrozumcie mnie źle, kochałem siostrę, bardzo, byłem najstarszy, a potem była dwójka chłopaków, ale zmarli wcześniej, zapalenie opon mózgowych. Mama tak się cieszyła, jak znów zaszła w ciążę i trafiła jej się córka. Powtarzała, że wreszcie będzie miała jakąś wyrekę, że ojciec ma syna, a ona będzie miała swoją małą dziewczynkę. Droczyła się ze mną, że te wszystkie sukieneczki, co je poszyła w poprzednich ciążach, nareszcie się na coś zdadzą, bo ja nie chciałem ich nosić.

Zaśmiał się cicho, kręcąc głową.

– Mama była wspaniałą kobietą. A Rozalia była wypieszczonym dzieckiem, taką radosną ptaszyną. Tyle że ja miałem swoje lata i chciałem się wyganiać z chłopakami, w głowie mi były randki, a nie pieluchy, więc na rękę mi było, że Rozalka bawi się z Jaśkiem, bo wtedy Słowikowa oboje miała na oku. Mama chodziła sprzątać i gotować do takiego domu na Mickiewicza, do jakiegoś oficera. Nawet nie pomyślałem, że jak Jasiek nie żyje, to Słowikowa już nie będzie wyglądać przez okno na dzieciaki... Zabrałem rano rower i pojechaliśmy na glinianki. Nawet nie mówiłem mamie, bo to było przed Świętego Jana, nie pozwoliłaby mi się kąpać, póki woda nie została poświęcona. Była religijna i przesądna. A to była taka ciepła wiosna, prawie trzydzieści stopni. Komu by się chciało czekać na księdza z kropidłem? Wróciłem przed obiadem. W domu nikogo nie było. Od sąsiadów dowiedziałem się, że mama poszła szukać Rozalki, bo zniknęła z podwórka. Wystraszyłem się. Wie pan, od razu pomyślałem o Jaśku, jakbym miał przecucie... Wsiadłem na rower i pogałem do tej szopy. Byłem mokry od potu i ręce mi się trzęsły, kiedy otwierałem drzwi. Ale w środku było pusto. Boże, jak mi ulżyło... tyle że kiedy wróciłem do domu, Rozalki wciąż nie było. Szukaliśmy jej wszędzie. Mama chodziła od domu do domu, pytając, czy nikt jej nie widział. To było małe dziecko, nauczone, żeby się za bardzo nie oddalać. Nie tak jak dziś, że

dzieciaki prawie z domu nie wychodzą, jeśli nie ma z nimi rodzica czy niani, ale jednak wiedziała, że nie może iść dalej niż do końca ulicy. Ja szukałem na rowerze. I może pan to nazwać przecuciem, ale gdzieś w środku wiedziałem, że coś jej się stało. I to ja ją znalazłem. Kilkaset metrów od naszego domu był dom do wyburzenia. Nikt w nim nie mieszkał, bo stropy groziły zawaleniem. Okna zabite były deskami, drzwi przytrzymała belka. Przejeżdżając obok, zauważyłem, że tej belki nie ma. Z jakąś ponurą pewnością wszedłem do środka i znalazłem moją siostrę... Leżała na podłodze, skulona i rozebrana do majteczek. Na początku nie wiedziałem, że coś jej było, widziałem tylko te chude plecki i różowe majteczki. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że wśród odłamków gruzu, po których deptałem, leżą jej włosy. Miała długie włoski, urodziła się z loczkami, a potem mama ich nie obcinała... mówiła, że urodziła aniołka z aureolą. Miałem wrażenie, że te kilka metrów od drzwi do mojej siostry pokonywałem godzinami. Że powietrze zgęstniało, czas się zatrzymał. Odwróciłem ją na plecy. Boże, jak ktoś mógł coś takiego zrobić malutkiej dziewczynce, małemu aniołkowi...

Znów otarł oczy chusteczką, ale łzy wciąż spływały mu po policzkach.

– Ten, kto zabił moją siostrzyczkę, był zwierzęciem. Nie mam wątpliwości... Miała siną buzię i ślady na szyi, ale gorsze było to, co zobaczyłem na brzuszku, rączkach, udach... Były całe pocięte, pokłute jakimś nożem, w każdym razie czymś ostrym. Jej zabójca chyba próbował obciąć jej palce, bo były mocno pokaleczone, widziałem kości bielejące w ranach. Włosy miała obcięte do skóry, krzywo, jakby ktoś nie miał wprawy lub zrobił to niedbale... Nigdy tego nie zapomnę – zaszlochał głośno – nie mogłem jej tam tak zostawić, nawet na chwilę, żebybiec po pomoc. Zdjąłem swoją koszulę i owinąłem Rozalkę, a potem zaniósłem ją do domu i położyłem na łóżeczku. I tak czekałem, aż wróci mama. Ktoś musiał powiadomić mojego ojca, który pracował w innej dzielnicy na budowie, bo to on przybiegł pierwszy. Nigdy nie widziałem, żeby płakał. A wtedy... Boże mój, wył jak zwierzę. Potem wróciła mama. Też już wiedziała. Sąsiedzi musieli mnie widzieć, jak idę ulicą z Rozalką na rękach. Myślałem, że umrze z rozpaczy. I to wszystko była moja wina, bo powinienem z nią zostać, powinienem pilnować swojej siostry, ale wybrałem wygłupy. Nigdy sobie tego nie wybaczyłem. Rodzice nie mówili tego wprost, ale oni też musieli tak myśleć. Gdyby mogli wybierać, pewnie woleliby, żeby to ona żyła, nie ja. Też bym wolał, ale nikt nie daje nam takich wyborów, prawda? – zapytał, a ból w jego oczach nie był nawet odrobinę mniejszy niż wtedy, kiedy odkrył ciało swojej siostry w opuszczonym domu. – Proszę wybaczyć staremu człowiekowi – powiedział, siląc się na opanowanie. – Nie przyszedł pan tu, żeby mnie poklepywać po plecach, pan chce wiedzieć, co się wydarzyło. Więc to był początek. O ile po małym Słowiku ludzie myśleli, że to wypadek, teraz wiedzieli, że jest między nami bestia. Nie wiem skąd, ale nagle wszyscy mieli pewność, że Jasiek nie znalazł tych tabletek sam i nie zjadł ich, myśląc, że to cukierki. Sam nie trafiłby do tej szopy, to było jakieś dwa kilometry od jego podwórka. Za daleko na samotny spacer dla takiego malucha. Teraz już nie jeździliśmy na glinianki, tylko po dzielnicy, jak samozwańczy patrol ochroniarzy. Ale nawet wiedząc, że morderca jest na wolności, nie zdołaliśmy zapobiec następnym tragediom. Kasia Komuda miała sześć lat. Jola Kwarc tylko dwa latka, Tomek Bednarz nie więcej niż pięć... rok mniej niż Józek Kot, ten z wyliczanki. Wszystkie dzieci znaleziono w odstępnie mniej niż dwóch miesięcy. W jakiejś zapuszczonej bramie, w parku, za stertą pustaków przy budowie, w piwnicy innego opuszczonego domu. Jakby były śmieciami, których ktoś się chciał pozbyć. Wszystkie pocięte, okaleczone, posiniaczone, nagie. Ułożone tak, żeby każdy widział, co z nimi zrobił zwyrodnialec, który odebrał im życie. To było najgorsze, co w życiu widziałem. Mój ojciec pamiętał wojnę, ale mówił, że i za okupacji nie oglądał nic tak koszmarnego. Matki nie wypuszczały dzieci z domu, panowała atmosfera strachu, zaogniana tylko przez to, że milicja nic nie robiła. Przyszedł taki jeden z drugim, pokręcił się w miejscu i już go nie było. Były ważniejsze rzeczy do roboty niż jakieś bachory z Podgórze. Żadna strata dla społeczeństwa, prawda? Ważne, żeby wyrobić normę obchodów, i już. Pan się może złościć, że mówię tak o Milicji Obywatelskiej, w końcu pan też z organów ścigania... ale dziś jest inaczej. Gdyby dziś policja nie zareagowała na taką sytuację, rodzice poszliby do prasy,

zrobili awanturę... a wtedy? – Jego głos był przesycony goryczą. – To ostatecznie przekonało mnie, że komunizm nie jest ustrojem dla mnie, nie jest ustrojem, który troszczy się o ludzi, pomimo wszystkich tych frazesów, których politycy mieli pełne gęby. Śmierć Rozalki uczyniła ze mnie wroga ustroju. – Zaśmiał się gorzko. – Jeden idiota mniej, ale do dziś nie wiem, kto zabił moją siostrę...

– Nie wspomniał pan o Annie Dzwon. Ona chyba też była w tej wyliczance?

– Nie chodziło o nią, tylko o jej brata, Tadeusza. Był niedoszłą ofiarą, kiedy go znaleziono, wciąż żył.

Drgnąłem zaskoczony. Konstancja obok mnie zacisnęła dłoń na moim kolanie.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Tu akurat niewiele mam do powiedzenia, bo nie byłem świadkiem. Znaleziono go na podwórku za jego domem. Pociętego, ale żywego. Lekarze go załatali, wylizał się z tego. Mówiono, że coś musiało spłoszyć zabójcę. Mały nic nie pamiętał. Pewnie szok.

– Widział pan te rany? Czy były takie jak na innych ofiarach? – dopytywałem.

– Widziałem blizny, jakieś dwa czy trzy lata później, gdy kąpał się na gliniankach. Paskudnie to wyglądało. Na udzie i na brzuchu miał kilkanaście wyraźnych blizn.

– On był po Kocie?

– Tak. Wkrótce potem wszystko ustało. Może właśnie dlatego, że zabójcy nie udało się wykończyć Tadka. Był najstarszy, miał dziesięć lat. Może walczył bardziej, a może faktycznie ktoś spłoszył napastnika, to jednak było podwórko za domem, a nie jakieś ustronne miejsce jak poprzednio. Więcej ryzykował.

– Czy byli wówczas jacyś podejrzani? – zapytałem.

– Pewnie. Był moment, że niemal każdy był podejrzany. Ale chyba najczęściej pojawiała się nazwisko Anzelma Kruppego. To ten żydowski akcent, o którym wspominałem. Szczerze mówiąc, nigdy nie wierzyłem, że to on. Owszem, był obcy, sprowadził się do naszej dzielnicy jakieś osiem lat wcześniej. Może byłby już jak swojak, ale... był chyba Węgrem, a może właśnie Żydem, jak twierdzili niektórzy... Ciemna karnacja, ciemne włosy, mówił po polsku, ale z dziwnym akcentem... Trzymał się na uboczu, co mnie nie dziwi, bo też nie było tak, że wszyscy witali go z otwartymi ramionami, wie pan. Był krawcem, dla niektórych był źle widzianą konkurencją, dla pani Dzwon na przykład. Straciła spory procent dochodów, bo część klientów przeszła do niego. Nie znam się na tym, ale wedle mojej matki miał fach w rękach, potrafił szyć garnitury czy płaszcze, a to nie takie hop-siup. Dziwię się, że osiedlił się akurat u nas, a nie po drugiej stronie Wisły, gdzie pewnie miałby więcej klientów, ale może brakowało mu pieniędzy na zakład w lepszej części miasta. Zresztą często jeździł do klientów, u nich pobierał miarę, woził ubrania do przymiarek, bo chyba nie wszyscy mieli ochotę odwiedzać nasz fyrtel.

– Dlaczego pan nie wierzył, że to on? – zapytałem zaciekawiony.

– Bo żadne dziecko nigdzie by z nim nie poszło. Wyglądał inaczej, otaczała go taka aura, że dzieciaki miały go za straszaka. Nie ma mowy, żeby nawet najmłodsze poszło z nim gdziekolwiek. Mówiłem to dorosłym, ale to było dla nich wygodne, wierzyć, że to on, bo znaczyłoby to, że zło przyszło z zewnątrz. A gdy zniknął, morderstwa ustały, więc mieli swoje potwierdzenie.

– Zniknął? – zainteresowałem się.

– Taaa – powiedział z wyraźnym ociąganiem – zniknął. Bez słowa, bez świadków. Był i nagle go nie było.

– Wyprowadził się?

– Jakby się wyprowadził, wiedzielibyśmy. Zabrałby też swoje rzeczy, maszyna do szycia była warta naprawdę sporo...

– Więc co się mogło stać? – Czułem, że wie więcej, niż mówi.

– Były różne plotki...

– Czy któraś z nich dotyczyła Anny Dzwon? – zarzuciłem przynętę.

– Czemu akurat ona pana interesuje? – Zbladł wyraźnie.

– Proszę mi o niej powiedzieć.

– Trudny temat... To było dziwne dziecko. – Zamyślił się. – To ciekawe, że pan o nią pyta, bo wtedy byłem przekonany, i nie tylko ja, że miała z tymi zabójstwami coś wspólnego. Może więcej niż „coś”. Dzieci się jej bały, nie chciały się z nią bawić. Rozalka powiedziała mi kiedyś jedną rzecz, która wbiła mi się w pamięć: że Anna Dzwon tylko udaje dziecko, ale nim nie jest. Dziś, jako były pedagog, mogę powiedzieć, że przejawiała objawy społecznego nieprzystosowania i być może psychopatii. Lubiła dręczyć inne dzieci, zwierzęta. Kilka razy maluchy skarżyły się rodzicom, że Anna próbowała je dusić albo że je popychała czy skaleczyła. To nie było tak, że była zwykłą łobuzicą. Ona chciała skrzywdzić te dzieciaki i śmiała się, kiedy się udało. To ona znalazła Jaśka Słowika w tej szopie. Ona też znalazła Jolę Kwarc za stertą pustaków. Zdziwiło mnie wtedy, że nie zawołała nikogo z dorosłych, tylko odszukała siostrę Joli, Wandę, i to ją zaprowadziła na miejsce zbrodni. Ta dziewczyna była młodsza ode mnie chyba o rok, wpadła w histerię, kiedy zobaczyła ciało. Nie dziwię się. Jola była równie paskudnie pokaleczona jak Rozalka, ale dodatkowo zabójca wydlubał jej oczy. To było za wiele nawet dla dorosłego, a co dopiero dla wrażliwej nastolatki. Długo musieli jej później podawać środki uspokajające i zawsze już była inna, jakby coś w niej pękło i nigdy nie zdołało się zrosnąć.

– A jak zareagowała na znalezisko Anna Dzwon? – zapytałem.

– To jeden z dowodów na to, że była dziwnym dzieckiem. Nie płakała, nie wydawała się poruszona. Raczej zaciekawiona... Kolega mi mówił, że dwa dni później zdarzyło się coś, co nieźle przstraszyło jego brata. Mały wrócił z podwórka zapłakany, bełkotał coś o tym, że można go zabić jak kurczaka, bo takiemu dzieciakowi równie łatwo jak kurze można ukrećić kark i wypruć wnętrzności. Zapytany, skąd taki pomysł, powiedział, że Ania mu tak powiedziała i próbowała go łapać za gardło, ale uciekł. Był tak przestraszony, że kilka dni w ogóle nie chciał wychodzić z domu. Niezbyt typowo, jak na siedmiolatka w upalne dni.

– Czy było więcej takich historii? Już po tym, jak ustały zabójstwa? – zapytała Konstancja.

– Nie. Ale to dziwna sprawa. Bo widzi pan, nie tylko Anzelm zniknął tamtej nocy... Anna też. Różnie się o tym mówiło. Niektórzy uważali, że zabił ją, ukrył ciało i uciekł. Inni, że ją porwał. Jeszcze inni mówili, że uciekli razem.

– A jak pan uważał? – Jak dotąd intuicja pana Stanisława wydawała się całkiem interesującym narzędziem i byłem ciekaw, co naprawdę sądzi na temat Anny.

– Ja obstawiałem, że uciekła sama.

– Czemu nie z Anzelmem?

– Bo wiem, że on daleko nie uciekł. – Odwrócił wzrok. Przez chwilę wydawało się, że spogląda na gałęzie za oknem, ale byłem prawie pewien, że ich nie widzi, że obserwuje coś zupełnie innego. Westchnął ciężko i zaczął mówić: – Mogę już o tym powiedzieć, nikt, kto był w to zamieszany, dziś już nie żyje. Nie wiedziałem od razu, nie wtajemniczyli w to nas, dzieciaków, ale nie tak łatwo coś takiego zrobić i zapomnieć. Mój ojciec zaczął wtedy więcej pić, a gdy był całkiem pijany, płakał. Bał się. Kiedyś mu się wymknęło, że jeśli ciało na gliniankach kiedykolwiek wypłynie, jest zgubiony. To mi wystarczyło, domyśliłem się, co zrobili. On, stary Kwarc i Kot trzymali się razem, często wspólnie pracowali na budowach. I stracili dzieci w tym samym czasie, z rąk, jak sądzili, obcego i Żyda. Nie trzeba więcej, żeby doszło do samosądu. Widzi pan, ja ich nawet nie bardzo mogę winić. Cierpieli, uważali, że sprawiedliwość musi zostać wymierzona, i uznali, że skoro milicja nie interesuje się śmiercią ich dzieci, sami się tym zajmą. Dlatego nie sądzę, żeby Anzelm Kruppe daleko odjechał, a tym bardziej porwał Annę Dzwon.

– Może zabili ją razem z nim? Podejrzewali, że mogła mu pomagać?

– Może podejrzewali, ale nie sądzę, żeby tak było.

– Dlaczego?

– Dzieci bały się jej jeszcze bardziej niż jego. On był tylko straszny, ona robiła im krzywdę, wiedziały



o tym. Ani z Anzelmem, ani z nią nie poszłoby żadne dziecko.

– A z Tadeuszem? – spytałem, mając niejasne przeczucie.

– Z Tadkiem? Pewnie tak, to był miły dzieciak, wesołek. Zupełnie inny niż siostra. Psocił, miał łeb do rymowanek... Może to nawet on wymyślił tę o ofiarach... Nie pamiętam jej dokładnie, ale była całkiem zgrabna.

Zastanawiające. Chciałem wiedzieć jeszcze jedno, więc zadałem następne pytanie:

– A ich matka? Była jedną z podejrzanych o zabójstwa?

– Pani Dzwon? Nie, niemożliwe. Mogła puszczać w obieg plotki o Anzelmie, żeby zepsuć mu opinię u klientów, ale nie sądzę, żeby była zdolna do czegoś takiego. Była w niej jakaś słabość, chorowitość, jakby była z nami tylko jedną nogą. Po tym jak zniknęła jej córka, prawie całkowicie straciła kontakt z rzeczywistością, pogrążyła się w depresji... Wtedy oczywiście nikt tego tak nie nazywał, a do leczenia takich stanów używano bromu, o ile ktoś poszedł do lekarza i miał pieniądze na kurację. Dzwon chyba nigdy nie dostała opieki, jakiej bez wątpienia potrzebowała. Zmarła rok później. Tajemnicą poliszynela było, że się zatręła siarką z zapalek. Samobójstwo biedoty.

– Może to było poczucie winy?

– Może, ale jeśli tak, to nie wierzę, że z powodu zabicia mojej siostry i reszty tych dzieci. Przyszła do mojej matki po śmierci Rozalki, uszyła jej sukienkę do trumny. Słyszałem, jak rozmawiały, ona i moja mama, o tym, co spotkało takie maleńkie dziecko. Dzwonowa płakała i jestem pewien, że szczerze współczuła mojej mamie. Nie wierzę, że to ona mogłaby zabić. Nawet jeśli niektórzy wierzyli, że jest wiedźmą.

– Wiedźmą? – powtórzyłem, a w głowie rozdzwonił mi się alarm.

– A, takie babskie gadanie. Znała się na ziołach, robiła mieszanki dla niemowląt na kolki, ucierała korę brzozy na wywar przeciwgorączkowy, a jak które dziecko wydawało się uroczone, to jajkiem odprawiała gusła. Nic poważnego. Nikomu krzywdy nie robiła. Mówiono, że jej babka była Cyganką, stąd taka dziwna uroda w rodzinie: ona i dzieci mieli czarne, grube włosy, ale jasną karnację i takie niebieskie oczy jak bielinka do firan.

Pokiwałem głową, choć ta informacja wydawała mi się znacznie ciekawsza, niż dałem po sobie poznać.

– Wie pan, jeszcze jedno mi przyszło do głowy... Anna lubiła się zakradać do cudzych domów, zabierać różne rzeczy. Pamiętam, że któregoś dnia zobaczyłem, że miała we włosach kokardę, która wyglądała dokładnie tak jak kokarda Rozalki. Nie pamiętałem, czy malutka miała ją na sobie tego dnia, czy nie... ale się zdenerwowałem, widząc ją u Anny. Zapytałem, skąd ją ma. Nie chciała mi powiedzieć, ale przycisnąłem ją na tyle, że się przyznała. Powiedziała, że weszła do jej pokoju przez okno, bo chciała pooddychać tym powietrzem, wypełnionym miłością i żalem. Bo za nią by nikt tak nie płakał. Zabrałem jej kokardę i ostrzegłem, że jej złoję tyłek, jeśli spróbuje tego jeszcze raz. Sprawdziłem to okno. Nie było łatwo wdrapać się na ten parapet z zewnątrz, a zamek był sprawny. Wtedy tego nie skojarzyłem, ale teraz, kiedy panu o tym mówię... Jednym z dowodów mających wskazywać na Anzelma Kruppego były nożyce znalezione przy jednym z dzieci. Ciężkie, krawieckie. I to, że aspiryna była zagraniczna, on dostawał paczki od rodziny. Teraz sobie myślę, że taka mała spryciula mogła i do niego się włamać przez okno i podebrać te rzeczy, żeby to na niego padło podejrzenie. Mówiło się na ulicy, że na zniknięciu Kruppego najwięcej skorzystałaby Dzwonowa, znów byłaby jedyną krawcową w okolicy. To głupio brzmi, wiem. Właśnie oskarżam dwunastolatkę o spiskowanie, może i o coś więcej.

Otarł czoło i usta chusteczką. Dłonie drżały mu znacznie mocniej, niż kiedy zaczynaliśmy rozmowę.

– Przyznam szczerze – powiedział po chwili – nie mogę się pozbyć przekonania, że Anna Dzwon maczała palce w tych zabójstwach. Ale nie pasuje mi jakoś, że robiłaby to z Anzelmem czy z matką. Choć przecież musiała działać z kimś.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Miała dwanaście lat, nie mogła zabić sama, prawda? – Skrzywił się. – Pracowałem z dziećmi trzydzieści lat... naprawdę ciężko mi uwierzyć, że jakiegokolwiek dziecko byłoby do tego zdolne. Może był ktoś inny, kogo nie braliśmy pod uwagę, ktoś całkiem obcy, i to z nim uciekła Anna Dzwon, gdy byli bliscy złapania.

– Czemu pan uważa, że byli bliscy złapania?

– Tadek mógł sobie w każdej chwili coś przypomnieć. Szok mija, a dzieciak przeżył. Mógł wskazać winnego. Nie była idiotką, zmyła się i gdzieś sobie żyje, a kara za śmierć mojej siostry i innych dzieci wisi jej nad głową. Pan Bóg jej tego nie zapomni.

Mógł, pomyślałem, może nawet to zrobił. Miałem pewność, że Anna Dzwon nie opuściła Podgórze. Jej duch był duchem dziewczynki. A zapytany o jej wiek duch mówił o tuzinie jajek, po jednym na rok życia.

Stanisław Karolak miał już niewiele więcej do dodania. Wydawał się zmęczony i przygnębiony. Gdy powiedziałem, że na nas już czas, wyraźnie mu ulżyło. Wstał i odprowadził nas do furki. Na pożegnanie dałem mu wizytówkę, prosząc, by nie wahał się zadzwonić, gdyby sobie coś jeszcze przypomniał.

– Przypomniał? Chyba czas spróbować zapomnieć – szepnął chrapliwie. – Od ponad czterdziestu lat to tkwi we mnie jak drzazga. Ale nie mogę zapomnieć... Nie, póki się nie dowiem. Pan to odkryje, prawda? Ale czy mi pan powie?

Zapewniłem go o tym. I naprawdę w to wierzyłem. Ten człowiek zasłużył na domknięcie tej sprawy. Jest w tym wieku, że za kilka lat terażniejszość zacznie ustępować przeszłości. Nie będzie pamiętał, co jadł na śniadanie, za to szczegóły odnalezienia ciała siostry będą coraz bardziej wyraźne. Jeśli mógłby zyskać choć odrobinę spokoju, poznając prawdę, zamierzałem mu ją dać, nawet jeśli musiałbym przycisnąć Tadeusza Dzwona. Bo okłamał mnie więcej niż raz w czasie naszej krótkiej rozmowy. Nie zająknął się nawet, gdy twierdził, że nazwisko Dzwon w wyliczance dotyczy jego siostry. W najlepszym wypadku ją krył. W najgorszym... Nie miałem wyjścia, jeśli chciałem się dowiedzieć więcej, musiałem poszperać. I pozbyć się Konstancji, bo nielegalne przeszukanie lepiej robić solo.



Tadeusz Dzwon mieszkał w bloku przy ulicy Świętego Józefa, niedaleko skrzyżowania z Osiedlową. Podejrzanie blisko szpitala, jakieś sto pięćdziesiąt metrów, zbyt blisko, by nie wzbudzić moich podejrzeń. Jakbym potrzebował ich więcej.

Na szczęście dla mnie nie był fanatykiem zabezpieczeń i zamiast porządnych drzwi antywłamaniowych, które pewnie stawiałyby opór moim wytrychom, miał zwykłe, montowane seryjnie w latach osiemdziesiątych, z pojedynczym zamkiem. Uporałem się z nim w dwie minuty. Dochodziła dwudziesta – dość późno, wzięwszy pod uwagę, że w bloku mieszkali głównie emeryci. Miałem nadzieję, że na nikogo nie wpadnę na klatce schodowej, choć oczywiście przygotowałem wcześniej jakąś lipną historyjkę.

Mieszkanie było schludne, lecz nieco zagracone. Choć może tylko tak mi się wydawało – przecież sam otaczałem się prawie wyłącznie niezbędnymi sprzętami. Gdzieś tu musiał się znajdować przedmiot ogniskujący. Nie bardzo wiedziałem, czego dokładnie szukam, ale nie zamierzałem rezygnować, dopóki tego nie znajdę. Tadeusz Dzwon miał jakąś tajemnicę, a te najczęściej trzyma się w sypialniach, prawda? Właśnie dlatego to tam zacząłem. Zajrzałem do szafy, ale jedyną tajemnicą, jaką kryła, było to, jak można nosić tak koszarne krawaty. W szufladach znalazłem tylko mało atrakcyjną bieliznę starego kawalera, kilka świerszczyków i paczkę krakersów, z nieznanymi mi powodów wciśniętą między zrolowane skarpetki. Wszystkie były czarne. Klęknąłem, by zajrzeć pod łóżko. Wyciągnąłem spod niego dwie walizki, których Tadeusz najwyraźniej używał do przechowywania letnich ubrań poza sezonem. Przeszukałem szafkę nocną i zajrzałem pod materac. Znów nic poza mało estetycznym porno. Podniosłem

dywan, ale nie zauważyłem śladów jakiegokolwiek schowka. Opuszczałem go właśnie, kiedy usłyszałem szcęk przekręcanego w zamku klucza. Zdażyłem tylko zgasić światło i przymknąć drzwi do sypialni, by przez wąską szczelinę obserwować, kto za chwilę przyłapie mnie na myszkowaniu w królestwie Tadeusza Dzwona. Pomyślałem, że sam właściciel, zaniepokojony moimi pytaniami i wizytą w sanatorium, skrócił swój pobyt, by pozbyć się dowodów. To nie byłoby takie złe, wystarczyłoby poczekać, aż się do nich dobierze.

Nie spodziewałem się, że osobą, która wejdzie do mieszkania, będzie Konstancja. Ubrana w czarne, dopasowane spodnie, czarny golf i cienką, również czarną kurtkę przeciwdeszczową, wyglądała jak filmowa seksowna włamywaczka. Zamknęła za sobą drzwi, przekraczając gałkę, i przez chwilę szukała czegoś w torbie, by wreszcie wyciągnąć latarkę. Dość komiczną zresztą – wielkości długopisu, ze snopem światła tak wątkim, że nie ulegało wątpliwości, że zaprojektowano ją raczej do zaglądania w gardła małym pacjentom niż do myszkowania po mieszkaniach. Nie minęła minuta, a usłyszałem syknięcie i „cholere jasną”, kiedy uderzyła kolanem o szafkę na buty. Mogłem zwlekać dłużej, zobaczyć, po co tu przysłała, ale nie widziałem powodów. I tak mi wszystko wyśpiewa.

Pstryknąłem włącznikiem i korytarz zalało światło. Zaskoczona, zmrużyła oczy. Przeciągnąłem nieco tę chwilę, wciąż kryjąc się w cieniu.

– Co tu robisz? – zapytałem chłodno.

Odwróciła się gwałtownie i poświeciła mi w oczy tą parodią latarki. Niemal uległem odruchowi, by powiedzieć: „Aaa” i rozdziawić usta.

– Piotr? – Była wyraźnie zszokowana.

– A spodziewałaś się kogoś innego?

– Nikogo się nie spodziewałam. – Przygryzła wargę.

– Często wpadasz na takie wizyty? Zresztą jak się tu dostałaś?

– Nie wpadam. Miałam klucz.

– Zwędziłaś go jeszcze w szpitalu czy już w sanatorium?

Prychnęła oburzona.

– Niby czemu miałam mu zabierać klucze w szpitalu? Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jest w jakikolwiek sposób zamieszany w to, co się dzieje. Ale w sanatorium już wiedziałam, zorientowałam się też, że nic nam nie powie, więc uznałam, że sama sprawdzę, co ukrywa.

– I co spodziewasz się znaleźć?

– COŚ, nie wiem. Pewnie to samo co ty, skoro już o tym mowa. Zrobiłeś kopię kluczy?

– Poradziłem sobie bez nich.

– Włamałaś się? – Zrobiła wielkie oczy.

– Ty też, kwiatuszku. Nie myśl, że posiadanie ukradzionych kluczy jakoś zmienia klasyfikację tego czynu. Może nawet dodamy ci jeden paragraf.

Znów przygryzła wargę i schowała dłonie za plecami. Czy naprawdę mogła myśleć, że wsadzę ją za kratki? Za kogo, u diabła, mnie miała?

– Spokojnie, jeśli miałabyś komuś oddawać przysługi seksualne, to mnie. Więźniarki będą musiały się obejść bez twoich małych rączek i chłopięcej klatki piersiowej – rzuciłem złośliwie.

Zadziałało. Cała twarz podbiegła jej czerwienią.

– Wcale nie jest chłopięca, a ty jesteś idiotą! – prychnęła. – Może dla ciebie włamanie to chleb powszedni, ale ja jestem wytrącona z równowagi. Nie myślałam, że kiedykolwiek to zrobię, więc się zamknij! Albo nie! Nie zamykaj się, tylko powiedz mi, czego tu szukasz!

– Co za zdecydowanie! Pogratulować. – Zapaliłem światło w sypialni i wróciłem do przeszukania.

Weszła za mną do pokoju, zdjęła kurtkę i wepchnęła ją, zwiniętą w kłęb, do swojej torby.

– Więc czego szukamy?

– Nie wiem, ale jest szansa, że będę wiedział, jeśli już to znajdę, a to już jeden – zero dla mnie.

– Nie musisz być takim złośliwcem, wiesz?

– Wiem.

– Od tego robią się wrzody.

Uniosłem kpiąco brew.

– Poważnie, zakwaszasz sobie organizm. Skończysz marnie. A nad twoją trumną powiem: „Sam sobie zapracował na przedwczesną śmierć, mógł być miłszy”.

Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem. Wyszczrzyła się, bardzo z siebie zadowolona. Pokręciłem głową i wróciłem do przeszukania, choć niewiele już zostało do obejrzenia. Wspiąłem się na stołek i przejrzałem rzeczy leżące na szafie. Znow nic, co wzbudziłoby mój alarm, jakieś czasopisma, pudło z kapeluszem – filcową fedorą, od bardzo dawna nienoszoną, mnóstwo kurzu, stary abażur pasujący do lampki nocnej przy łóżku.

– Nie widzę śladu kobiecej ręki, musiał mieszkać sam od dawna – powiedziała, przeglądając szuflady, które już sprawdzałem. – Prawie jak ty, choć on mimo wszystko ma ładne mieszkanie, a nie klasztorną celę.

– Nie widziałaś, jak moja cela wyglądała wcześniej, teraz już jest odpicowana – mruknąłem.

– Nie wierzę, że sam się do tego zabrałeś. Masz kogoś? – rzuciła lekkim tonem, który byłby może bardziej przekonujący, gdyby nie towarzyszyło mu przenikliwe spojrzenie i manifestowana całym ciałem ciekawość.

Przez chwilę zastanawiałem się, co powiedzieć. Może powinienem wykonać szybki telefon do Katii: „Skarbie, czy ty ze mną ostatnim razem zerwałaś? Bo mam takie przedziwne przecucie, że ta rozmowa do tego właśnie zmierzała, a od tego czasu nie zadzwoniłaś, to już dziesięć dni...”. Zbyt złożone. Wybrałem oględną odpowiedź.

– Moja partnerka uznała, że zatrudniłem tego samego dekoratora, który urządzał miejski areszt, więc czuła się zmuszona do interwencji.

– Partnerka? – znow ten śmiechu wart lekki ton.

– Wspaniała kobieta. Jedna na milion. Prawdziwy skarb – rzuciłem z emfazą, przesadzając, bo jakkolwiek Ti była w porządku, ba, mogłem nawet przyznać, że jej osobowość powalała na kolana, czasem dosłownie, to w jej przypadku określenie „jedna na milion” jest wyrazem nadziei, że nie ma gdzieś drugiej takiej jak ona, bo to oznaczałoby podwójną dawkę problemów.

Przez kolejne kilka minut milczała, dziwnie spięta. Mógłbym sobie wmawiać, że to informacja o moim rzekomym związku spowodowała u niej dyskomfort, ale uznałem, że denerwuje się całym tym włamaniem, przeszukaniem i upiorem gdzieś w tle.

– Nic tu nie ma – rzuciłem, odwieszając na ścianę ostatni z marynistycznych obrazków namalowanych akwarelkami.

– O ile wiesz, czego w ogóle szukamy – dodała nie bez złośliwości.

– Wierz mi, mogę nie wiedzieć, jak to wygląda, ale wyczuję, że to właśnie to – powiedziałem, mając nadzieję, że tak właśnie jest.

Wedle leksykonu przedmiotem ogniskującym może być wszystko, jeśli jest odpowiednio mocno połączone z upiorem, czy raczej z człowiekiem, którym upiór kiedyś był. Znaki widzenia go nie demaskują, ale powinien wydzielać strzępy eteru – dowód połączenia.

Przeszliśmy do pokoju dziennego, nazywanego przez starszych ludzi salonem, nawet jeśli miał góra dwanaście metrów kwadratowych. Sypialnia była wyraźnie odnowiona, w tym pomieszczeniu czas zatrzymał się jakieś dwadzieścia lat wcześniej. Tapeta w kwiatki, pasujące do niej wiśniowe zasłony z pluszu i potężna kanapa obita poprzecieranym na siedzisku płótnem wydawały się pamiątką po kobiecie, może żonie, która kiedyś przykładała rękę do urządzania tego wnętrza. Według dokumentów Tadeusz Dzwon był wdowcem od 1995 roku, mogłem się więc założyć, że ten pokój był dziełem pani Dzwonowej. Stylistycznie tapety i zasłony oddawały hołd wczesnym latom dziewięćdziesiątym, podobnie

jak złoczone lampki i landszafty. Wyrażały tęsknotę za luksusem, którą tak intensywnie odczuwali ludzie wychowani za komuny. Marzenie, by mieć dom jak z „Dynastii”, upchane na czterdziestu sześciu metrach kwadratowych.

Systematycznie przetrząsałem pokój, nie przejmując się nawet przesadnie tym, że Tadeusz pozna, że ktoś u niego myszkował. Liczyłem, że raczej wprawi go to w popłoch, niż skłoni do wezwania policji. Poczucie winy – nie mylić z wyrzutami sumienia – było wystarczającym powodem, by trzymać policję z daleka. Mimo to na wszelki wypadek założyłem parę lateksowych rękawiczek, które wręczyła mi Konstancja. Sama też oczywiście takie miała. Jak na amatorską włamywaczkę, była całkiem nieźle zorganizowana.

Przeglądałem biblioteczkę Tadeusza, ciekaw, czy między tymi wszystkimi „Dziadami” i „Weselami” znajdę jakąś zakazaną księgę, grimuar, coś, co świadczyłoby, że z „matką wiedźmą” to było coś więcej niż plotka. Znalazłem jednak tylko sześć metrów bieżących półek wypełnionych nudną klasyką, głównie romantyczną, dwiema seriami klasyki współczesnej wypuszczonymi przez „Gazetę Wyborczą” oraz kilkoma albumami przyrodniczymi. Nic, co krzyknęłoby: „Czarna magia!”.

– Piotrze, zobacz! – powiedziała Konstancja z drugiego końca pokoju.

Na niskiej półce pod starym telewizorem z kineskopem wypukłym jak odwłok owada stało kilka albumów ze zdjęciami i dwa równe rządki kaset wideo. Odtwarzacza nigdzie nie widziałem. Konstancja wyciągnęła jeden z albumów i rozłożyła go na drewnianym stoliku. Był za duży, by przeglądać go w innej pozycji. Oprawiony w pobielające na grzbiecie i poprzecierane na kantach okładek płótno, kiedyś ciemnozielone, wydawał się najstarszy z kolekcji. Pochyliliśmy się niżej, by zobaczyć, co kryje się na małoformatowych obrazkach. Na pierwszych stronach nie było nic szczególnego. Na oko trzydziestoletnia kobieta siedziała na ławce przy drewnianym płocie. Zza sztachet nachylały się do niej małwy. Zdjęcie było czarno-białe, ale widać było, że zrobiono je w bardzo ciepły i słoneczny dzień. Na kolejnych fotografiach oprócz kobiety pojawiały się dzieci, trzech chłopców w ciemnych szortach i białych podkolanówkach. Zdjęcia nie były podpisane, oceniałem, że mogły być zrobione w latach trzydziestych. Na dwóch kolejnych stronach chłopcy rośli, aż krótkie spodnie zamienili na garnitury, a loki nad ich czołami wygładziła spora porcja brylantyny. Na jednej z fotografii dwóch z nich miało na sobie mundury. Wyglądało na to, że wojna nie ominęła rodziny Dzwonów. Inne zdjęcie ukazywało inną kobietę z małym dzieckiem. U jej boku stał jeden z chłopaków, szeroko uśmiechnięty, już bez munduru, za to w białej koszuli i wełnianych spodniach na szelkach. Za ich plecami widoczny był dom, a raczej obietnica domu dla założonej właśnie rodziny: ceglany budynek jeszcze bez dachu. Nie wiem skąd, ale miałem pewność, że tym małym węzełkiem na rękach ciemnowłosej i całkiem ładnej kobiety jest Anna. Tadeusza jeszcze nie było na świecie, dzieliły ich dwa lata. Gdy się urodził, dom był już skończony.

Obejrzałem uważnie te kilka zdjęć małej Anny, niewiele, mniej więcej po dwa, trzy na każdy rok jej życia, szukając w oczach dziewczynki na fotografii jakiejś zapowiedzi tego, co się wydarzyło później. Czy zło było w niej od samego początku? Nawet jeśli, trudno było mi to zauważyć. Na kolejnej stronie Anna trzymała tobołek z bratem. Uśmiechała się szeroko i wydawała się naprawdę szczęśliwa. Zdjęcie było lekko nieostre. Dzieci rosły, fotografii przybywało. Na ostatniej Anna miała dziesięć, może jedenaście lat. Była szczupłą dziewczynką o czarnych włosach zebranych na czubku głowy w kitkę obwiązaną kokardą. Spod jasnej, falbaniastej sukienki wystawały poobijane kolana. Dziewczynka nie uśmiechała się, patrzyła w obiektyw z całkowitą powagą. Dopiero po sekundzie zauważyłem, że paluszki prawej dłoni zaciśnięte ma na czymś, co musiało być nożycami – nie widziałem wyraźnie, bo końce schowane były w kieszeni na brzuchu, ale spomiędzy palców wyraźnie wystawały dwa owalne uchwyty, z wydłużonym cynglem na jednym z nich, typowym dla nożyc krawieckich. Ciarki przebiegły mi po karku, intuicja kopała po żołądku.

Kolejna karta albumu była całkiem pusta. Na fotografii było widać przeskok czasu. Chłopak, na oko wyrosnięty trzynastolatek lub drobny piętnastolatek, stał na brzegu rzeki w czarnych spodniach

kąpielowych. Na zdjęciu, choć niezbyt ostrym i czarno-białym, można było zauważyć blizny na brzuchu i lewym udzie chłopca. Nie wyglądały na rany kłute... raczej jakby ktoś bawił się, tnąc go brzytwą czy nożem... jakby chciał złożyć popis na jego skórze. Na twarzy nastoletniego Tadeusza Dzwona gościł posępny wyraz, źle się komponujący z pozorną beztróską słonecznego dnia na plaży. Szybko przejrzałem resztę kart, ale dalsze fotografie nie przyciągnęły mojej uwagi. Standardowe zdjęcia z maluchem, zakopiańskim misiem czy nad Balatonem. Zamknąłem album, wcześniej wsuwając do kieszeni dwa zdjęcia – małej Anny z nożycami i chmurnego Tadeusza z bliznami zrobionymi, niewykluczone, tymi samymi nożycami, które ścisnęła w dłoni jego siostra.

Podczas oglądania fotografii prawie nie rozmawialiśmy. Udzielił się nam jakiś dziwny, nieco duszny klimat chwil utrwalonych na kliszy.

– Chcesz zobaczyć następne? – zapytała Konstancja, podnosząc ze stołu album.

– Nie... uważaj! – W ostatniej chwili złapałem wazon, który zmierzał ku podłodze. Spadł, bo obrus przyczepił się do tylnej okładki i zjechał ze stolika, kiedy Konstancja podniosła album. Odłożyła go na miejsce i zaczęła wygładzać obrus, ale jej dłonie znieruchomiały.

– Odstaw wazon na chwilę – poprosiła, całkowicie odsłaniając blat.

Właściwie nie blat – wieko... Pod obrusem nie rzucało się to w oczy, ale stolik był w rzeczywistości prostokątną skrzynią z dokręconymi do dna nóżkami. Płaskie okucia nie odznaczały się pod przykryciem, a na odstający uchwyt z kłódką nie zwróciłem wcześniej uwagi. Konstancja szarpnęła za kłódkę.

– Zamknięta. Poradzisz sobie z nią jak z zamkiem u drzwi? – zapytała. Spojrzałem w jej pociemniałe oczy i wiedziałem, że jak ja wyczuła, że czegokolwiek szukamy w tym mieszkaniu, było właśnie w tej skrzyni.

– Spróbuję. A przy kluczach, które świsnęłaś Dzwonowi w sanatorium, nie ma czasem jakiegoś, który by pasował?

Wyciągnęła z torby pęk kluczy, odsuwała po kolei ten, który pasował do zamka drzwi wejściowych, kolejny, płaski, do domofonu, który i tak nie działał, i mały czarny kluczyk do skrzynki na listy. Zostały jej trzy klucze, wyglądające na takie, które mogłyby pasować do kłódki. I trzeci rzeczywiście pasował. Kłódka opadła ze zgrzytem. Odczepiłem skobel i uniosłem wieko.

– Ożeż kurwa – powiedziałem elokwentnie na widok zawartości skrzyni.

Bo też nie spodziewałem się czegoś takiego. Przestrzeń pod drewnianym wiekiem była podzielona na boksy, ze ściankami z cienkiej sklejki i spodem wyłożonym jasnoróżową satyną. Na tym niemal niewinnym tle wyeksponowane przedmioty wydawały się jeszcze bardziej makabryczne, choć same w sobie były wystarczająco złe. Po prawej stronie w siedmiu kwadratowych polach leżały kosmyki włosów, jedne przewiązane wstążeczkami, inne obwiązane zwyczajną czerwoną nitką. Niektóre były długie, kręcone lub proste, inne krótkie, szorstkie jak pędzel do golenia. Przegródki z pamiątkami, czy raczej trofeami, były zabezpieczone szybką, niczym ekspozyty w muzeum. Kolejna deszczułka wyznaczała kolejny segment kolekcji. W jednej przegródce leżały nożyce, duże, ciężkie, chyba wykonane z czystego żelaza, z pociemniałą drewnianą okładziną na rączkach. Literka A wydrapana na większym z oczek uchwytu była nieco krzywa, jakby napisana niewprawną ręką. Druga przegródka była pusta, na jasnej satynie widziałem tylko delikatnie odcisnięty podłużny ślad. Wszelkie dzwonki alarmowe rozdzwoniły mi się w głowie. Cokolwiek tu leżało, wedle Tadeusza Dzwona miało ścisły związek z nożycami, najpewniej – narzędziem zbrodni, ponieważ pedantyczny kustosz tej kolekcji wyraźnie to zaznaczył, konstruując przestrzeń skrzyni – ścianki oddzielające kolejne segmenty były wyższe o jakieś trzy centymetry od tej, która oddzielała nożyce od brakującego obiektu. Po narzędziu, czy narzędziach zbrodni, przyszła kolej na dokumentację. Uniosłem wieczko kasetki i wyjąłem kilka wycinków z miejscowej prasy, głównie „Nowości”. Rozpoznałem dwa artykuły – dokładnie te skopiował mi Tomasz z archiwum pisma. Między nimi zaplątały się cztery czarno-białe fotografie. Pierwsza przedstawiała małego chłopca leżącego na brzuchu na skórze jakiegoś biednego niedźwiedzia (klasyczna poza i ujęcie, które znaleźć

można było w niemal każdym albumie rodzinnym), druga była pamiątką komunii – dziewczynka w utrefionych włosach stoi bardzo sztywno, ściskając w dłoniach gromnicę (czy tylko mnie takie pozy wydają się nieco makabryczne?), między dwoma mniejszymi chłopcami, pewnie braćmi. Na trzecim cała rodzina siedziała na ławce przed domem: pyzata matka, pełen krzepy ojciec i czwórka drobiazgu w różnym wieku – od najmłodszego, przytulonego do matczynej piersi, po na oko dwunastoletniego chłopca, który stał po prawicy ojca. Na czwartym pięcioletnia, może sześcioletnia dziewczynka uśmiechała się promiennie, a czarne, grube warkocze spływały jej na ramiona spod wianka z polnych kwiatów. Żadna z fotografii nie była podpisana, ale miałem uzasadnione podejrzenia, kogo mogą przedstawiać.

W ostatniej przegródce leżała drewniana kasetka, dwadzieścia centymetrów na trzydzieści, z wypalonym na wieczku roślinnym wzorem. Przez chwilę ważyłem ją w dłoni.

– Chyba boję się, co może się w niej znajdować – powiedziała Konstancja i doskonale rozumiałem jej obawy.

W tym samym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Spojrzeliśmy na siebie zaskoczeni. Było po dwudziestej pierwszej, dość późno na odwiedzin. Ktokolwiek postanowił złożyć wizytę, nie poddawał się, do dzwonka dołączył uciążliwe pukanie w drzwi.

– Wzywam policję! – usłyszeliśmy podniesiony kobiecy głos.

– Ja się nią zajmę – powiedziała Konstancja zdecydowanym tonem.

Uniosłem brew, zastanawiając się, co dokładnie ma na myśli. Ukrycie zwłok nie jest tak proste, jak zwykli przypuszczać ci, którzy zbrodnię znają tylko z seriali. Jakby czytała w moich myślach, bo prychnęła cicho. Wstała z podłogi, ściągnęła z dłoni rękawiczki i wsunęła je do kieszeni spodni. Pewnym, energicznym krokiem poszła otworzyć, a ja schowałem kasetkę i nożyce do plecaka, zamknąłem skrzynię i nakryłem ją z powrotem obrusem, na wypadek gdyby gość zamierzał wpaść do mieszkania z obywatelską kontrolą.

– Dobry wieczór pani – usłyszałem spokojny głos Konstancji.

– Kim pani jest? I co pani robi w mieszkaniu Tadeusza? – Głos kobiety był ostry i nabrzmiały podejrzliwością.

– Jestem pielęgniarką z sanatorium, w którym przebywa. Prosił, żebym zabrała z mieszkania kilka rzeczy, bo jego pobyt u nas przedłuży się bardziej, niż zakładał – odpowiedziała pewnie Konstancja.

– Dlaczego sam nie przyjechał?

– Jego stan nie pozwala na takie podróże.

– Myślałam, że ma się lepiej...

– Jesteśmy dobrej myśli, ale nie ma powodu, żeby ryzykować. Po prostu zawiozę mu kilka sztuk bielizny i odzieży, parę książek, których mu brakuje na miejscu...

– Odkąd to pielęgniarki jeżdżą przez pół Polski, żeby dowozić pacjentom rzeczy z ich mieszkań? – całkiem słusznie zapytała kobieta.

– Odkąd zarabiamy zbyt mało, żeby pogardzić trzystoma złotymi, nie licząc kosztów przejazdu, które proponuje mi pacjent za ich dowieszenie i upewnienie się, że z jego mieszkaniem wszystko jest w porządku.

– Jak pani tu weszła? – Podejrzliwość w głosie zmalała, ale wciąż nie zniknęła.

– Otworzyłam drzwi kluczami, które wręczył mi pan Tadeusz.

– Jest pani tu sama?

– Nie, mój mąż właśnie sprawdza, czy sprzęt elektryczny został prawidłowo odłączony. Pan Tadeusz słyszał w radiu o burzach i ulewach w tej okolicy i oczywiście wystraszył się, że straci telewizor.

– Ach, no tak. Cóż, jako dobra sąsiadka muszę być czujna – stwierdziła udobruchana już kobieta.

– Przekażę mu to, na pewno się uspokoi. W kółko mu powtarzam, że takie zamartwianie się o drobiazgi tylko mu szkodzi na serce.

– No, zdrowie jest najważniejsze... Dobrze, to ja już pójdę, proszę mu przekazać pozdrowienia ode mnie, to znaczy od sąsiadki spod czwórki.

– Oczywiście, przekażę. Miłej nocy – powiedziała Konstancja i zamknęła drzwi.

Wróciła do pokoju z uśmiechem na ustach.

– No pięknie! Warsztaty aktorskie na studiach na coś się przydały, co?

Prychnęła cichutko.

– Drobiazg, ale lepiej się pospieszmy, bo ma nas na oku – powiedziała.

– Możemy już iść, spakowałem, co trzeba. Zamierzasz jeszcze odłączyć telewizor, jak mówiłaś?

– Żartujesz? Mam nadzieję, że piorun spali mu wszystko, co zdoła. Oczywiście sąsiadka powtórzy mi, że nas widziała, ale niech szuka wiatru w polu. W sanatorium nie wpisaliśmy nigdzie swoich nazwisk, jej też się nie przedstawiłam.

– A co zrobisz z kluczami? – zapytałem z ciekawości.

– Wrzucę mu je do skrzynki na listy. – Wzruszyła ramionami. – Nie zabraliśmy nic, co mógłby zgłosić na policję. Nie zostawiamy odcisków, a w okolicy nie ma monitoringu.

Pokiwałem głową z uznaniem.

– Brawo, jako policjant powinienem się zaniepokoić tym, jak gładko odnajdujesz się w tej sytuacji, ale jako twój mąż mogę tylko powiedzieć „brawo, dziewczyno”.

– Wiedziałam, że nie przegapisz. Ale dla takiej kobiety słowo „mąż” ma konkretną wagę i czyniło moją historyjkę bardziej wiarygodną. W jej świecie kobieta, nawet za trzysta złotych, nie jechałaby sama taki kawał, żeby po nocy odwiedzać obce mieszkanie. Z mężem u boku to już nie wyczyn.

– Jeśli tak mówisz, geniuszu zła... choć pozwolę sobie zauważyć, że nawet nie dostałem pierścionka.

Parsknęła tłumionym śmiechem i zakomenderowała:

– Skoro masz już wszystko, co nam potrzebne, zbieramy się.

Zamknęła za nami drzwi, starannie wycierając klamkę chusteczką.

– I tak nie macie moich odcisków w systemie, ale strzeżonego...



Na przystanku koło szpitala wsiedliśmy w jedenastkę. Nawet nie próbowałem namawiać Konstancji, by wróciła do domu. Prędzej namówiłbym ją zapewne do urodzenia mi piątki dzieci, sądząc po determinacji, z jaką rzuciła:

– Nie mamy czasu na spacer, autobusem szybciej dotrzemy do ciebie i zajrzemy do tej przeklętej kasetki.

O tak, kasetka była przeklęta. Podobnie jak nożyce emanowała koszmarną energią – żołądek ścisnął mi się w supeł, kiedy tylko brałem ją w dłoń. Jedyнным moim zmartwieniem było to, że jeśli – a prawie na pewno tak właśnie było – są tam przedmioty ogniskujące, upiór może za nimi podążyć. I wolałem, by Konstancja była wtedy gdzieś daleko. Z drugiej strony... Tak, jestem samolubnym gnojkiem. Jeśli doświadczy rzeczy nadprzyrodzonych i sama dojdzie, z czym ma do czynienia, nie będę musiał tego przed nią ukrywać, prawda? Ech, zdecydowanie zbyt wiele czasu spędzałem w minionych latach z Ti, bo zaczynała mi się udzielać jej pokrętna logika.

W mieszkaniu przezornie oznaczyłem drzwi i okna ochronnymi zaklęciami. Przysięgałem sobie, że po wszystkim ściągnę tu swoją byłą partnerkę, by pomogła mi założyć porządne osłony i krąg ochronny. Nawet jeśli co najmniej trzy razy usłyszę, że powinienem był to zrobić wieki temu.

Konstancja czuła się jak u siebie. Zrzuciła kurtkę i buty i zaczęła sprawnie uprzątać papierzyska ze stolika. Wyciągnąłem z plecaka nożyce i kasetkę. Przez chwilę po prostu im się przyglądałem,



wykorzystując znak widzenia, ciekaw, czy obarczone są zakłębieniami, ale wydawały się jedynie przesiąknięte jakąś pierwotną ciemnością. Na nożycach wciąż widoczny był ciemny osad, kruszący się pod palcami w miejscach, gdzie warstwa była grubsza. Nie musiałem korzystać ani z luminolu, ani wypasionych odczynników chemicznych, by wiedzieć, czym jest ta substancja.



– Otworzysz ją wreszcie czy ja mam to zrobić? – zapytała niecierpliwie Konstancja, przygryzając

paznokiec. Jeśli miałem wątpliwości, czy jest wrażliwa na to, co nadprzyrodzone, minęły. Nawet z tej odległości widziałem, że włoski na jej przedramionach stoją dęba, a źrenice ma rozszerzone do granic. Westchnąłem ciężko, znów się zastanawiając, czy to moja wina – czy życie ze mną zmieniło ją na zawsze.

– Pościech jest wskazany przy łapaniu pcheł, tu strzeżonego Pan Bóg strzeże – powtórzyłem jej powiedzonko sprzed godziny.

Kobieca konsekwencja – wyciera z klamki odciski palców, których nikt zapewne by nie szukał, za to teraz... Chciałem otworzyć tę cholerną kasetkę, ale jednocześnie jakaś część mnie, nazwijmy ją intuicją, podpowiadała mi, że nie powinienem, że jest w niej coś tak złego, że powinna zostać zamknięta. Tyle że to zamknięcie nie działało – skrzynka była drewniana, nie miedziana, i upiór szalał na wolności. Najpewniej tylko ja mogłem go powstrzymać – o ile byłem w stanie. Wspomniałem już, że odczuwam przesadny ciężar odpowiedzialności na myśl o tym, że jestem w okolicy jedyny i nie mam zmiennika? Zacisnąłem zęby i uniosłem wieczko.

– Nie wiem, czego się spodziewałam, ale nie tego – powiedziała Konstancja.

Czułem podobnie. Myślałem, że ujrzę wiele rzeczy: woreczek z klątwą, ludzkie szczątki, mroczne amulety – ale nie zeszyt. Szkolny zeszyt w brudnej różowej okładce, z kulfoniastym podpisem: „Pamiętnik Anny Dzwon”. A jednak w kasetce nie było nic więcej, więc to właśnie zeszyt musiał być źródłem tego przyprawiającego o ciarki poczucia obcowania z czymś z gruntu złym. Otworzyłem go: kartki w potrójnej linii, niewyraźne pismo kogoś, kto się dopiero uczy pisać, kleksy i smugi z atramentu – dziewczynka mogła być leworęczna i rozmazywała litery, zanim obeszkły. Chwilę zajęło mi oswojenie się z jej pismem na tyle, bym mógł przeczytać to, co napisała.

– Czytaj na głos...

Pokręciłem głową. Jeśli to było to, czego się spodziewałem, czytanie tego na głos było proszeniem się o kłopoty. Słowa mają wielką moc, nie doceniamy ich na co dzień. To jedna z pierwszych rzeczy, jakich się nauczyłem na szkoleniu magicznym – nawet te banalne mogą uaktywnić coś, czego nie chcemy budzić. Bo nie zawsze istnieją słowa, które pozwolą uspić to z powrotem.

Czytając, czułem, że robi mi się zimno. Może wrażenie nie byłoby tak intensywne, gdybym nie wiedział, że pisała to mała dziewczynka – kiedy powstał pierwszy wpis, nie miała jedenastu lat. A może nie, może niezależnie od wieku sprawcy czułbym ten sam zimny dreszcz, gdybym wiedział, że przeglądam zapiski czystego psychopaty? Nie miała wyrzutów sumienia, wszystko dokładnie planowała, z zaskakującą mieszaniną przesadnej dojrzałości i dziecięcej złości, kiedy coś nie szło po jej myśli. Dzieci są okrutne z natury, ale w niej były premedytacja i wyrachowanie, które nawet u dorosłego robiłyby wrażenie. U niej wydawały się czymś tak nienaturalnym, że jakaś część mnie nie chciała w to uwierzyć. Ale miałem to przed sobą czarno na białym.

Na długo zanim zabiła pierwszy raz, przynajmniej zanim zabiła człowieka, pisała: *Ciekawe, jak to jest wbić nóż w brzuch, czy krew jest ciepła i słodka jak malinowy sok?* Jej kulfoniaste litery zajmowały sporo miejsca, czasami na całej stronie mieściło się tylko jedno zdanie, jakby wielkość liter oddawała natężenie emocji, które przepełniały dziewczynkę, jakby krzyczała tymi kulfonami, rozsadzana złością i czystą agresją.

*Nienawidzę ich, chciałabym, żeby umarli. Zabiję ich, bo nie rozumieją. Nie boją się mnie, ale będą. Nauczę ich.*

*Uczę się ładniej pisać, z zawijasami przy A, żeby lepiej wyglądał podpis, jak go wytnę na skórze. On mówi, że nie mogę się podpisać, bo będą wiedzieli, że to ja. Zostawię tylko literkę A. Ja będę wiedzieć, co znaczy. Albo zrobię więcej ran, po tym jak już zapamiętam, jak wyglądało na skórze.*

*Zabić ptaka jest tak łatwo, wystarczy ścisnąć główkę i już. Czy z człowiekiem też jest łatwo?*

*Pomaluję go na czerwono. Będzie błyszczący i czerwony. Ciepły, a potem zimny.*

*Co by się stało, gdybym kogoś udusiła? Wolę dziabnąć. On woli dusić, mówi, że swoje udusi. Chce, żebym tak go nazywała, jak nikt nie słyszy – Dusiciel. Głupi. Z duszenia nie ma zabawy. Chcę, żeby się*

*bały dłużej, żeby bolało dłużej.*

*Lubię krzywdzić małe stworzenia, nie mogą się bronić, jestem silniejsza, piszczą jak kotki, które się topi, ale woda nie jest dobra, nie widać nic, nie mam siły, żeby je przytrzymać tak długo, może jak będę duża.*

To było zaledwie kilka pierwszych stron, a mnie trzęsły się ręce. Odłożyłem zeszyt na blat, ulotką zaznaczając miejsce, w którym skończyłem czytać. Musiałem się czegoś napić, bo zaschło mi w gardle, poza tym desperacko potrzebowałem nikotyny.

– Możesz przeczytać, ale pewnie będziesz żałować, że to zrobiłaś – powiedziałem cicho, wstając z fotela.

Wyciągnąłem dwa piwa z lodówki, przelałem je do szklanek i postawiłem jedną z nich przed Konstancją. Sam duszkiem wypilem niemal połowę swojego i zapaliłem papierosa. Jakaś część mnie nie mogła się pogodzić z tym, że to dziecko było tak... zdeprawowane, niemoralne. Owszem, na zajęciach z pedagogiki czytałem pisma Rousseau czy Freuda, ale hipotetyczne dzikie dziecko hipotetycznie pozbawione superego to co innego niż całkiem realnie istniejąca osoba. Zwłaszcza że już wiedziałem, do czego była zdolna. Widziałem w życiu trochę, ale socjopata o sadystycznych skłonnościach w ciele jedenastoletniej dziewczynki, a obecnie przybierający kształt upiora pozbawionego słabości, z jakimi wiąże się cielesność... to naprawdę nie wróżyło mi dobrego dnia. Konstancja przebiegała wzrokiem tekst, była blada, jakby walczyła z mdłościami.

– A więc to prawda... To ona zabiła te wszystkie dzieci... – szepnęła, kiedy doszła do mojej zakładki.

– Najpewniej. Nawet jeśli wiem, że muszę to przeczytać w całości, naprawdę nie mam ochoty znów wchodzić w jej głowę.

– Nie mogę uwierzyć, że mała dziewczynka mogła mieć TAKIE myśli...

– Dzieci z natury są okrutne, często amoralne. Po prostu zwykle nie stają się psychopatami.

Otrząsnęła się, jakby coś mokrego i zimnego spadło jej na kark.

– Przez swoją pracę masz wypaczony obraz rzeczywistości, jeszcze bardziej niż kiedyś. – Przysłoniła oczy dłońmi.

Mogłem jej odpowiedzieć. Wyjaśnić, że przeciwnie, po prostu widzę wszystko to, co zwykli dobrzy ludzie starają się zepchnąć w podświadomość, bo tylko dzięki temu będą mieć odwagę, by wychodzić z domów, brać śluby, płodzić dzieci – kontynuować sztafetę pokoleń w poczuciu względnego bezpieczeństwa. Ja na co dzień stykałem się z tą gorszą stroną ludzkiego charakteru. I nie tyle wypaczało mi to obraz rzeczywistości, ile nie pozwalało zapomnieć o istnieniu jej mrocznego oblicza... Mogłem więc odpowiedzieć Konstancji, ale nie powiedziałem nic. Chyba chciałem, by mimo wszystko zachowała coś z tej jasności spojrzenia, tej niewinnej ufności w człowieka jako twór boski.

Sięgnąłem po pamiętnik. To ja powinienem go czytać, nie Konstancja. Powinienem był kazać jej odejść już dawno. Mogłem ją spławić, mogłem ją zgubić gdzieś po drodze, wystarczyło pójść do Thornu, gdzie nie miała wstępu. Proste. Ale wolałem, aby była blisko, nawet jeśli nie przyznawałem się do tego głośno. Lubiłem sposób, w jaki na mnie patrzyła, jakby ufała, że potrafię ją uratować. Poczułem niesmak do samego siebie. Aby o tym nie myśleć, zabrałem się do lektury. Przy opisie stanu ducha Anny Dzwon moje grzechy wydawały się znikome.

*Leżał jak ptaszek z krzywą główką. Jakby spał. Nie było nic widać. Nie podobało mi się* – napisała na kolejnej stronie, oddzielonej od wcześniejszych zapisków rysunkiem. Z całkiem niezłe odwzorowaną perspektywą naszkicowała chłopca leżącego na podłodze z desek. Kredkami pokolorowała mu włosy na żółto, spodenki na niebiesko, a koszulkę i skarpetki zostawiła białe. Przy głowie chłopca stała nieproporcjonalnie duża buteleczka z etykietką wypisaną drukowanymi literami: *tabletki*. Może nawet nie wiedziała, co mu podała, jeśli etykietka była w obcym języku, jak wspominał pan Stanisław. Bo że to była robota Anny Dzwon i pierwsza ofiara – Jan Słowik – byłem pewien. *Poszłam do jego mamy. Zapytałam, czy jej smutno i czy płacze. Powiedziała, że tak. Opowiedziałam, jak go znalazłam.*

*Płakała. Chciałam jej powiedzieć, że to ja, żeby się wystraszyła i pytała: czemu to zrobiłaś?! Powiedziałabym: bo był jak ptaszek z krzywą główką. Aleby mnie zamknęli i nie miałabym niczego. Dusiciel chciał pomagać. Pozwoliłam mu, przyprowadził go. Potem chciałam sama. Był zły. Powiedział, że jeśli mu nie pozwolę za drugim razem, wszystko powie. Jest głupi, nie rozumie, że nie może używać słów na „z” i „m”, bo się dowiedzą. Są tacy, co wiedzą, nawet jak ich nie ma obok. Nie napiszę tego słowa, bo mnie znajdą.*

Konstancja przesiadła się z brzegu łóżka na oparcie mojego fotela i zaglądając mi przez ramię, czytała razem ze mną. Chyba nawet nie rejestrowała tego, że zaciska palce na moim ramieniu.

*Z nią było dużo zabawy. Płakała, ale cicho, bo ją trzymał za gardło. Liczyłam głośno, kiedy ją cięłam. Trzeba bardzo mocno uderzyć, żeby była bardzo czerwona krew, a nie tylko skaleczenie. Musiałam na niej usiąść, bo próbowała uciec. Zdjęłam sukienkę, żeby nie było plam. Dusiciel był głupi i się nie rozebrał. Ale nikt nie widział. Nikt nie patrzył, bo widzieli tylko ją. Była bardzo czerwona, jak lubię. Król Karol kupił królowej Karolinie... zrobiłam jej korale, też były koralowe. A było krzywe, schowałam je.*

Nie narysowała ciała, ale na marginesie czerwoną kredką nabazgrała wielką, krzywą literę A, a na niej czarną kredką – ale dociskając lekko, by nie zamalować całkiem litery – coś w rodzaju płotka: kilka pionowych linii i dwie przecinające je poziome.

Przeczytałem kilka kolejnych stron, dość szybko się orientując, że to głównie opisy kolejnych zabójstw. Najwyraźniej Anna miała potrzebę przedłużania swojej satysfakcji z dokonanego dzieła, czy to przez pisanie o tym, czy też – o czym wspominała – odwiedziny w domach ofiar i psychiczne dręczenie rodzin szczegółami i pytaniami o ich cierpienie. Jeśli była dobrą aktorką – a zapewne tak było, skoro nikt nie zrobił się podejrzliwy i nie ujęto jej wcześniej – jej zachowanie mogło uchodzić za współczucie czy wynik dziecięcego przerażenia śmiercią. W pracy, którą wykonuję od czternastu lat, rzadko nazywamy kogoś potworem, teraz jednak nie miałem wątpliwości – Dzwon była psychopatką, a te nie zdarzają nam się często, wbrew temu, jak często występują w kryminałach. Zwróciły moją uwagę wzmianki o tajemniczym Dusicielu, niepodanym z nazwiska czy imienia współniku, którego fiksacja na punkcie duszenia ofiar drażniła Dzwon, zdecydowanie bardziej lubującą się w zadawaniu cierpienia i śmierci za pomocą ostrych narzędzi. Z każdą kolejną ofiarą Anna była bardziej podniecona, litery stawały się większe, mniej czytelne, coraz częściej na stronie mieściło się tylko jedno słowo albo rysunek, na przykład schematycznie oddana główka dziewczynki z czerwonymi plamami w miejscu oczodołów i poderżniętym gardłem. Nacisk kredek na kartkę był czasem tak silny, a liczba powtórzeń tak duża, że papier przecierał się lub dziurawił. Krótkie komunikaty o tym, co komu zrobiła i co chciałaby zrobić autorka pamiętnika, coraz bardziej przypominały meldunki. Mała zabójczyni i jej plan pięcioletni. Analizowała zalety i wady konkretnych wyborów ofiar. Wyglądało na to, że wołała, kiedy były młodsze. Marzyła, by zabić niemowlę, ale nie było takiego dziecka w okolicy. Miała żal do jednej z matek, która przeszkodziła jej, gdy Anna czała się na dwulatkę o skórze tak jasnej, że „wzorki” wyglądałyby szczególnie atrakcyjnie.

Zapaliłem kolejnego papierosa. Dym trzymał mnie w świecie realnym, nie pozwalał zbyt mocno zagłębić się w chory świat Anny Dzwon. Konstancja podeszła do okna. Stała na jego jasnym tle, ciasno obejmując się ramionami, jakby zrobiło jej się przeraźliwie zimno. Brnąłem przez kolejne strony, licząc, że znajdę tam coś, co pozwoli mi zrozumieć, jakim cudem Dzwon została upiorem i kto był jej pomocnikiem. Nie wierzyłem, by mogła to być matka, stosowała przecież rodzaj męski. Kimkolwiek był pomocnik, był to ON, Dusiciel. Powątpiewałem też, by mógł to być Anzelm – może to naiwność z mojej strony, ale pomocnik wydawał się, przynajmniej na początku, całkowicie Annie podporządkowany, a czy dorosły mężczyzna mógł dać się aż tak zdominować małej dziewczynce? Właściwie nie było to wykluczone. Niewiele wiedziałem o Anzelmie; gdyby miał osobowość uległą, a Anna okazała się wystarczająco silna psychicznie, mogło tak być, ale nie wydawało mi się to prawdopodobne. Chyba że

pamiętnik był zapisem autokreacji i to ona była tylko akcesorium, a na papierze przypisywała sobie całe „zasługi”. Zbyt dobrze jednak wiedziała, o czym pisze, a jej fantazje były zbyt krwawe i zdeterminowane, bym uznał, że tak właśnie jest. Im więcej myślałem o tej lekturze, tym bardziej byłem przekonany, że odkrycie tożsamości współnika jest kluczowe dla rozwiązania tej sprawy. Gdzieś w połowie zeszytu pojawiła się strona zamazana czerwienią tak mocno, że ślady kredki odbiły się na trzech kolejnych kartkach, a papier się postrzępił. Byłem ciekaw, co spowodowało taką agresję. Litery były mniejsze, rzędkie pisma gęstsze, jakby Dzwon wylewała z siebie morze złości, ale panowała nad sobą lepiej niż dotychczas.

*Nienawidzę go! Udusił go, zanim się nacieszyłam ranami, zabrał mi to, co moje. Powinam go zabić, nawet jeśli jest mi potrzebny. Mogę sama, tylko trochę trudniej, ale bez ryzyka. Zabrał mi rogala i powiedział, że jak go nie oddam, wszystko powie. Wstręciuch!*

*Zapomina, kto tu rozkazuje, będę musiała go ukarać.*

*Już sześć. Siedem i wrócę. Zawsze będę wracać. Tylko jedna i będę na zawsze.*

Ten fragment zmroził mnie szczególnie. Kolejna rzecz, którą musiałem sprawdzić – czy jest taki wzór i skąd, u diabła, mogła go znać.

*Jest karaluchem! Sam sobie to zrobił, ale powiedział, że to ja. Tylko żebym miała kłopoty. Mama zła. Wyszła na cały dzień. Wolałabym lanie, już bym o nim zapomniała. Zabrała brzytwę. Głupi, to nawet nie była moja brzytwa, teraz jej nie ma. Nie dam mu nożyczek. Cieszy się, że będę miała kłopoty. Znajdę sposób, żeby on też miał. Myśli, że jest sprytniejszy, ale to on będzie bał się zasnąć w nocy. Może się już nie obudzi. Może go uduszę, skoro tak to lubi. Mama była u księdza, pachniała jak zawsze, kiedy wraca z kościoła. Nie spała w nocy, pilnowała go i mówiła różaniec. Jakby mu to mogło pomóc. Jemu może już być tylko gorzej, chcę, żeby mu było gorzej.*

*Bolało, jak dostałam w skórę, ale nie bardzo. Siniaków prawie nie widać. Zemszczę się.*

*Widziała, jak stoję nad nim i patrzę, kiedy śpi. Powinam zamknąć drzwi. Znowu jest zła. Znowu wyszła na cały dzień. Patrzyła tak, że wiem, że będę miała duże kłopoty. Ale płakałaby, gdybym uciekła. Nad nim płakała, ale nie wie, że on też to robił. Myśli, że tylko ja. Głupi bachor. Gdyby już się nie obudził, płakałaby, ale nie mogłaby być na mnie zła.*

Potarłem zaczerwienione oczy. Pismo stawało się coraz mniej czytelne, rozmazany atrament tylko pogarszał sprawę. Ale coraz dokładniej wyłaniał się obraz tego, z czym mam do czynienia.

*Przyszła w nocy i wyciągnęła mnie z łóżka. Zrobiła coś. Powiedziała, że to klątwa Kaina. Miała te rzeczy od babci, których nie pozwalała nam dotykać. Obcięła mi włosy. Jemu też, ale tylko trochę. Splotła je w warkoczyk i spaliła w wiaderku. Próbowałam uciec, ale złapała mi rękę i przecięła na środku. Szczypało. Zdjęła mu opatrunek i było czerwono. Przycisnęła moją rękę do jego brzucha i mamrotała jak babcia. Powiedziała, że jeśli coś mu zrobię, umrę. A jak klątwa nie wystarczy, to ona mnie zabije. Bo urodziła diabła i musi ponieść karę, nawet jeśli przez to pójdzie do piekła. Mówiłam, że to nie ja, że sam sobie zrobił, ale mnie nie słuchała. Śmiał się, jak nie widziała. Teraz nie mogę go zabić. Ale nadal chcę. Bachor, bachor, lepiej, żeby go nigdy nie było. Mogłam robić to sama, jestem dość silna, żeby je trzymać. Nie musiał za mną łązić, nie musiał ich przyprawiać, sama bym ich wzięła. Nienawidzę go. Powinien być siódmy. Ręka mnie boli. Jak już się prawie zakleiło i nie płynęła krew, mama ją znów otworzyła i znów płynie. To niesprawiedliwe. On skłamał! Zdrajca!*

Dalej było kilka kartek. Koniec zapisków Anny. Przejrzałem zeszyt do końca i spomiędzy czystych stron wypadł rysunek, bardziej nieudolny od pozostałych w pamiętniku. Przedstawiał dziewczynę z krótkimi, potarganymi włosami, leżącą w łóżku. Coś w sposobie, w jaki została przedstawiona, sugerowało mi, że nie żyje. Autor rysunku nie żałował fioletowej kredki, którą pokolorował twarz i szyję dziewczyny – mogłem iść o zakład, że właśnie Anny. Zamknąłem pamiętnik i odłożyłem go na stolik.

– Wiesz już to, co chciałeś wiedzieć? – zapytała.

– Prawie wszystko – odpowiedziałem markotnie. Była jeszcze jedna sprawa, którą musiałem zgłębić.

I wiązało się to z bardzo wielką księgą, ukrytą w tajnym schowku. Jedną z tych, których niemagiczni nie powinni oglądać.

– Teraz mi powiesz, że powinnam iść się przejść? Albo że ty idziesz się przejść? Wyjdiesz po papierosy, wrócisz po dziesięciu latach? – rzuciła, domyślając się, co mi chodziło po głowie.

– O, widzisz, po papierosy? Nawet nie wiedziałem, że paliłaś.

– Nie paliłam.

– Więc jakim cudem wyście po fajki zajęło ci piętnaście lat?

– Robisz się przewidywalny. Ilekroć chcesz się mnie pozbyć, wyciągasz tę kwestię i próbujesz się pokłócić. – Była oazą spokoju.

– Nie chcę się kłócić. Zwyczajnie chciałbym, żebyś mi to wyjaśniła. Nie powiem, że męczyło mnie to cały ten czas, ale skoro już wypłynęłaś z odmetów, mogłabyś mnie zaspokoić. Albo przynajmniej moją ciekawość, skoro na nic więcej nie mogę liczyć.

– Odpowiem ci na wszystkie pytania, ale po wszystkim. Kiedy to się skończy, porozmawiamy. Obiecuję.

– Czy sama mnie znajdziesz, czy znów zaliczę wycieczkę krajoznawczą twoim tropem?

– Sama przyjdę. I powiem ci wszystko. A teraz wracając do tego, co faktycznie cię dręczy... Muszę zajrzeć do mieszkania, upewnić się, że wszystko w porządku. Wrócę do ciebie za godzinę, dwie. Wystarczy?

– W zupełności. Ale nie musisz wracać dziś. Zajmiemy się tym jutro, Kurczaczek się pewnie stęsknił. Kto wie czy nie będziesz miała kłopotów z racji rozbijania się ze mną po Polsce. Może nie wspominaj nic o tym wspólnym pokoju. I o włamaniu lepiej też nie. Za dużo tłumaczenia. Odwróć uwagę swoją słodyczą, a jakoś to przełknie.

– Nie musisz być złośliwy.

– Nie muszę.

– Będziesz mnie kiedyś za to przeproszał.

– Oczywiście. Zaraz po tym, jak na klęczkach poprosisz mnie o rękę.

Nie odpowiedziała. Założyła buty i płaszcz, a w progu odwróciła się w moją stronę i zapytała:

– Obiecujesz, że nie zrobisz nic beze mnie?

– Jasne. Rączki na kołdrze, ale nie wiń mnie za marzenia.

Roześmiała się i wyszła.

Dobrze, czas się dowiedzieć, czym, u diaska, jest klątwa Kaina.



Cienie tańczyły pośród drzew, kiedy w słabym świetle latarni znów przełaziłem przez ogrodzenie szpitala. Do tego, co zaplanowałem, potrzebowałem sporo prywatności (choć może to za duże słowo, skoro bardziej niż plan miałem jego zarys i pobożne życzenie, by udało mi się to, co zamierzałem). Strażnik pewnie by mnie wpuścił bez marudzenia, ale jego potencjalna ciekawość, co też zamierzam porabiać w nocy na terenie szpitala, mogła mnie kosztować zbyt wiele. Jego zresztą też.

Widział mnie kilkadziesiąt minut temu, jak opuszczałem szpital główną bramą. Mała wizyta w pokoju pielęgniarek na oddziale, na którym jeszcze dwa tygodnie temu leżał Tadeusz Dzwon, i przejrzenie pudła „rzeczy znalezione” opłaciły się. Pod podszewką niepozornie wyglądającej wełnianej marynarki krył się przedmiot, który emanował równie brudną mocą co nożyce Anny. Była to brzytwa z drewnianą rączką, ozdobiona cieniutkim płatkim perłowej masy, o stali wciąż jasnej i ostrej, choć od jej ostatniego użycia minęło pewnie czterdzieści lat. Przynajmniej taką miałem nadzieję. W rowku, w którym chowało się

ostrze, wciąż były widoczne ślady krwi. I coś mi mówiło, że nie było to świadectwo nieudolnego golenia. Mimo niewielkich rozmiarów narzędzia wciąż z trudem przychodziło mi wyobrażenie go sobie w dłoni dziesięciolatka, a tym bardziej sytuacji, w jakiej zostało wykorzystane.

Po lekturze informacji o kłątwie Kaina wiedziałem już na pewno, kim był Dusiciel, nieznanym z imienia towarzysz zabaw Anny Dzwon. Z całą pewnością nie był to nieszczęsny Anzelm, najpewniej zabity za zbrodnie, których nie popełnił. Ale czy ktoś by uwierzył, że wrobiła go para dzieciaków? Ludzie chcą wierzyć w niewinność dziecka. Przyjęcie do wiadomości, że to nie obcy, na dodatek Żyd, mordował ich pociechy, ale dziewczynka niewiele starsza od ofiar, było dla mieszkańców Podgórze zbyt trudne. Czy w czyjejkolwiek głowie mogło się zrodzić podejrzenie, że oto mają do czynienia z dwunastoletnią psychopatką i jej ośmioletnim pomagierem, który szczególnie mocno upodobał sobie duszenie? Niewykluczone, że była tylko jedna taka osoba, ale nawet ona, sądząc po wynikach końcowych, nie wiedziała wszystkiego. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Uzbrojony w wiedzę (dość pobieżną, co sam sobie wyrzucałem ze smutną rezygnacją świeżaka rzuconego na głęboką wodę) i plecak kłopotów, szedłem polować na upiora, który w leksykonie pograniczników miał status trzech gwiazdek na pięć. Duch dziewczyny na moście, który nieźle mnie sponiewierał, miał jedną. Piątką są byty, do których wyegzorcyzmowania potrzeba kręgu siedmiu magicznych i otwierania trwałego portalu. Coś jak małe bóstwa krążące nie po tej stronie granicy, po której powinny, za to zdolne do wywołania prawdziwych kataklizmów. Na szczęście nie pojawiały się zbyt często. Trójki raczej też należały do rzadkości. Farciarz ze mnie, pomyślałem, zacznę „kariere” z przytupem!

Była pełnia, a więc musiałem działać szybko. Wedle opinii mądrzejszych ode mnie każda kolejna pełnia jest dla upiora jak doładowanie baterii, pozwalające mu wejść na wyższy poziom, zwłaszcza jeśli nie próżnował i gromadził energię ofiar, którą właśnie w czasie pełni mógł nomen omen w pełni przyswoić i wykorzystać do „zbudowania” nowego poziomu swojego istnienia. Upiór, co sprawdziłem, zaczął zabijać po poprzedniej. Następna przypadała jutro. Miałem więc do czynienia ze stworzeniem, które jadąc na podstawowym zapasie paliwa, potrafiło się przemieszczać nawet kilometry od żerowiska. Po przyswojeniu energii niemowląt Anna mogłaby rozszerzyć swoje terytorium na całe miasto i oficjalnie stać się pierwszym przypadkiem czterogwiazdkowego upiora odnotowanym w okolicy w ostatnim półwieczu. A to było ostatnie, czego Toruń potrzebuje.

Czułbym się bezpieczniej, gdyby Ti wróciła do miasta, ale nie udało mi się jej złapać. Musiała być po magicznej stronie bramy, a tym samym poza zasięgiem sieci komórkowych. Nagrałem jej się na sekretarkę z nadzieją, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce znów zadzwonię, by odwołać alarm. Jeśli nie, kiedy wróci do Torunia, będzie miała cholernie silnego upiora na wolności, materiały na jego temat schowane w moim mieszkaniu, do którego klucze miała od dawna, plus pogrzeb kumpla do ogarnięcia. Miałem nadzieję, że pamięta, że nie lubię smętnych przemów i muzyki organowej w kiepskim wykonaniu.

W powietrzu czułem dziwne napięcie, które stawiało mi włoski na karku. Kątem oka dostrzegałem niewielkie poruszenie – miejscowi granicznicy byli zainteresowani tym, co tu robiłem, ale nie na tyle, by ryzykować, że staną się pobocznymi ofiarami starcia z upiorem. Kilka metrów ode mnie, nieco bliżej niż pozostałe duchy, majaczyła kiwająca się między drzewami sylwetka w pasiastej piżamie. Powiedziałbym, że mój niedawny informator umierał z ciekawości, ale takie frazy nie brzmią zbyt dobrze w odniesieniu do duchów. Był dość bystry, by rozumieć, że choć ja mam najwięcej do stracenia, to on jest drugi w kolejce.

Wybrałem miejsce wystarczająco oddalone od szpitala i schowane za drzewami, by nie przyciągnął nikogo blask świec – płaską polankę o kształcie zbliżonym do okręgu o średnicy bliskiej sześciu metrów. Zaakceptowałem istnienie magii, duchów i całej reszty, ale aspekt rytualny – choć rozumiałem, że konieczny – kojarzył mi się z newage’owym mambo jambo. Zupełnie jak w żeńskiej części akademika, gdzie dziewczynyz kierunków humanistycznych odnajdywały w sobie kapłanki, hurysy gotowe czule



przytulić pierwszych odwiedzających świątynie ich ciał, a wszystkie te świece, kadzidła i reszta rekwizytów rozbrajały ich opory i odsyłały w zapomnienie zasady wpajane przez rodziców w kwestii seksu przedmałżeńskiego. W mojej nowej rzeczywistości chodziło jednak o coś więcej niż klimacik. Wyzaczyłem krąg, układając na jego krawędzi świece i medaliony pełniące funkcje zapory dla wszystkiego, co chciałoby go opuścić, po tym jak już zwabię to coś do środka. Haczyk polegał na tym, że musiałem być uwięziony razem z tym czymś. Jediną ochroną, jaką miałem, był niewielki krąg personalny bazujący na osobistej osłonie. Niewiele. Ale i tak było to bezpieczniejsze niż odsyłanie czegoś silniejszego od przeciętnego ducha bez ochronnego kręgu.

Na środku ustawiłem miseczkę z ziołami i drugą, większą, na razie pustą. Nożyce krawieckie i brzytwę położyłem tuż obok. Otwarty plecak leżący w zasięgu ręki krył jeszcze kilka innych gadżetów być może zdolnych odesłać Annę Dzwon. Nie zapominajcie, że wciąż się uczę. Nieco niepokojące było to, że na cały okres szkolnej edukacji przyłgnęła do mnie etykieta „zdolnego, ale leniwego”, którą konsekwentnie utrwaliałem – zwłaszcza ten drugi przymiot. Oby nie nadszedł ten „czas”, którym straszą uczniów nauczyciele – czas, kiedy będę żałował, że nie uczyłem się nieco pilniej. Usiadłem na wciąż wilgotnej, szorstkiej i sztywnej zeszłorocznej trawie. To już, pomyślałem. Nadchodziła północ, godzina duchów i upiorów.

Łyknąłem dwie kapsułki skrótu i zapaliłem skręta. Wystarczyłoby to do otwarcia bramy, ale dziś wolałem przestrzegać wszystkich zasad – duchy po drugiej stronie bywają drobiazgowe, a ich klapsy więcej niż bolesne. Otoczyła mnie chmura aromatycznego dymu. Zapaliłem sześć białych świec. Ostatnią, błękitną i większą od pozostałych, zostawiłem na koniec. Wyciszyłem zmysły, pozwoliłem, by umysł uwolnił się od niepokoju. Pozwoliłem, by spłynęła na mnie cisza, a z niej wyłonił się rytm, który zakodowany był w moim DNA. Rytm, który pozwalał mi znaleźć ścieżkę do bramy między wymiarami, uchylał wrota, umożliwiał mojej duszy ich przekroczenie i – przede wszystkim – dawał możliwość odprowadzenia tam tych, którzy nie powinni być po mojej stronie granicy i musieli wrócić z powrotem. Wyciągnąłem z kieszeni bransoletkę. Kuliste dzwoneczki rozdzwoniły się jednostajnym rytmem. Moje ciało automatycznie zaczęło się kołysać, poczułem ciężar powiek. Ciche, melodyjne dźwięki przyzywały eter, który przepływał przez wrota, otaczał moją duszę błękitnawymi smugami, kusił, by weszła w zaświaty i została tam na zawsze. Mógłbym się uzależnić od jego obietnicy słodkiego spokoju i ukojenia – nawet jeśli wiedziałem, że to tylko złudzenie, a zaświaty nie mają wiele wspólnego z wyidealizowaną wizją niebieskich pastwisk i tęczyowych jednorożców. Eter był jak niektóre narkotyki, a chemiczne raje, choćby nie wiem jak cudowne, pozostają wciąż chemią. Na niej akurat się znałem. Skupiłem się na tym, by uchylić wrota szerzej niż kiedykolwiek. Nie mogłem myśleć o ryzyku, jakie się z tym dla mnie wiązało. Mogłem tylko ufać, że moja ingerencja jest duchom przodków na tyle miła, że nie zafundują mi swego małego rytualnego poniżania.

Uchyliłem powieki. Rytm i zapach eteru działały nie tylko na mnie. Na samej krawędzi zewnętrznego kręgu majaczyły przejrzyste sylwetki szpitalnych duchów. Pasiaste piżamy, rozchylone szlafroki i błędny wzrok odurzonych lekami pacjentów, których kuracja nie skończyła się dobrze. Piętnastu, może więcej – niektórzy opierali się przyciąganiu na tyle, by zatrzymać się między drzewami, nie wychodząc na polanę. Jej wciąż nie widziałem. Nie chciałem odsyłać pozostałych duchów, skoro nie było to ich życzeniem, a nikomu nie szkodziły. To nie przeciw nim wymierzona była ta walka. Przywołałem ją. Ile czasu minęło, odkąd ktoś zwracał się do niej pełnym imieniem i nazwiskiem? Nawet jeśli czterdzieści parę lat, to imię i nazwisko wciąż były do niej przypisane. Nie mogła odmówić przyzywającemu ją szamanowi – nie w chwili, kiedy musiała zaprząć całą swoją energię, by oprzeć się przyciąganiu otwartej bramy i eteru, przenikającego do naszego świata niczym macki szpiegowskie. Duchy przodków już wiedziały o zakłóceniu równowagi. Minęło kilka minut i zamajaczyła mi na obrzeżu polany. Wściekła, pulsująca złowrogą energią, agresywna. Eter już pochwyił ją w swoją nadprzyrodzoną grawitację. Ale nie chciała mu się poddać, wiedziała, że to walka o wszystko.

Wyciągnąłem z plecaka kolejne akcesoria. Nalałem do miseczki wody święconej, a na kupkę tłących się liści chlusnąłem sporą porcją nafty – ogień buchnął na kilkadziesiąt centymetrów. Trzymałem nożyce, pozwalając, by płomienie lizały je, rozgrzewając tak bardzo, że parzyły mnie w palce. Im były gorętsze, tym większa była jej panika. Zbliżała się, pulsując wściekłością, coraz bliżej krawędzi kręgu. Nie zauważyła jej, zbyt skupiona na mnie i na tym, co robię z nożycami. Kiedy nie mogłem już ich utrzymać nawet sekundy dłużej, wrzuciłem je do wody święconej. Rozległ się wściekły syk, a kłęb pary wodnej uniósł się z naczynia. Metal stygł szybko, ale nie był już taki sam – mroczna aura, jaka otaczała narzędzie zbrodni, rozwiewała się. Jeden z przedmiotów ogniskujących, utrzymujących Annę Dzwon w jej obecnej formie, właśnie przestał działać. Jej krzyk był ogłuszający, między nami przetoczyła się fala wściekłości, kwaśna jak młode winogrona. Przeszły mnie ciarki, kiedy poczułem energię Anny – gęstą, lepłą, zimną. Wyszepiałem bezgłośnie inkantację odwołania, starając się nie otwierać ust bardziej, niż to konieczne – powietrze wokół mnie zgęstniało, pachniało duszną piwnicą i nieświeżą krwią, wdychanie go było, delikatnie mówiąc, nieprzyjemne. Jakbym wdychał ją, jej aurę. Mój żołądek buntował się na samą myśl. Sięgnąłem po tłącego się skręta i zaciągnąłem się mocno, aż słodkawy i lekko gryzący dym zdominował wonie odbierane przez zmysły. Wysunąłem brzytwę z oprawki, przytrzymałem jej wytarte pasem ostrze nad pełgającym płomieniem.

Dzwon krzyknęła jeszcze raz i jak małe tornado wpadła do kręgu. Wpuścił ją z cichym brzęczeniem, ale stawilby opór, gdyby próbowała wyjść. Ale ona nie myślała o opuszczeniu kręgu. Rzuciła się na mnie, próbując sięgnąć swymi kościstymi szponami moich oczodołów, a może szyi. Jeszcze zanim zdołała mnie dotknąć, poczułem lodowate muśnięcie na skórze, nacisk na krtani, od którego brakowało tchu. Próbowałem ją odepchnąć, ale była zbyt niematerialna. Przeniknęła przez wewnętrzną barierę, zbyt łatwo... dopiero po sekundzie zrozumiałem, że jestem idiotą i sam ją zwabiłem za pomocą brzytwy, drugiego z przedmiotów ogniskujących. Przygniatała mnie. Nie jako dwunastoletnia dziewczynka o wątlej klatce piersiowej i chudych ramionkach, ale upiór zasługujący na kilka gwiazdek w leksykonie, nosiciel potężnej energii, zrabowanej, wciąż nieujarzmionej, ale dość posłusznej, by mogła ją zwrócić przeciw mnie. Całkiem jakby przycisnęła mnie tona cegieł, a powietrze zmieniło się w płynny gips wciskający się gęstą masą w nozdrza i usta. Próbowałem oczyścić myśli. To nie działało naprawdę. Było tylko złudzeniem nasłanym na mnie, by mnie złamać, wytrącić z równowagi, osłabić. Próbowałem unieść ramię na tyle, by ostrza brzytwy zanurzyły się w płomieniach. Tylko ich ciepło chroniło mnie przed zamrożeniem. Z niebotycznym wysiłkiem udało mi się tego dokonać, ale tylko na sekundę. Wściekły upiór uderzył i brzytwa zatańczyła w bezwładnych palcach, głęboko rozcinając wnętrze mojej dłoni. Gdy krew napoiła narzędzie zbrodni, jego czarna aura wzmożła się, oddając upiorowi swoją moc. Ręka piekła, jakby przez ranę w moje ciało wpełzał mróz.

Przywołałem obraz mojej kotwicy. I nie była nią, jak dotąd, Ti, wystarczająco trwałą i stabilną w swojej niestabilności element mojego życia, ale Konstancja. Szczupła dziewczyna w puchatym sweterku, w którym miało się ochotę zanurzyć palce. Wspomnienie jej uśmiechu ogrzało mnie na tyle, bym mógł ruszyć dłonią, bym znów trafił ostrzem w płomienie, bym zebrał całą energię, jaka mi została, i wrzucił rozpaloną brzytwę do miski z wodą święconą. Gdy tylko poczułem wilgoć we wnętrzu dłoni, ulga była niemal natychmiastowa. Widziałem uchylającą się bramę. Czekala na Annę. Macki eteru, czepliwe i zwinne, pochwytyły upiora. Nie było już nic, co mogłoby go tu przytrzymać, nic, co mogłoby ogniskować jego byt na ziemi. Krzyki, wściekłość i rzucane w moim kierunku obelgi nie mogły się zdać na wiele – Anna była przeklęta, naznaczona, przyciągały ją zaświaty, w których od dawna powinna znaleźć jeśli nie spokój, to karę za uczynki, których się dopuściła. Skoncentrowałem się na bramie, na tym, by ją zamknąć, kiedy tylko Dzwon przekroczy próg. Niecierpliwie próbowałem przepchnąć ją przezeń jak najszybciej – im dłużej brama pozostawała otwarta, im więcej eteru przeniknęło do naszego świata, tym więcej mogło się urodzić problemów, z którymi będę musiał sobie poradzić.

Byłem idiotą. Kolejny raz musiałem to przyznać. Czemu się nie zorientowałem, co oznacza jej złośliwy

uśmiech w chwili, kiedy powinna rozpaczać, zbliżając się nieubłaganie do bramy? Brzytwa wciąż czerwieniła się moją krwią. Szarpnięcie wyrwało mnie z ciała, zbyt szybko i zbyt gwałtownie, bym zdołał zareagować. Bez ochrony, bez ducha opiekuńczego byłem bezradny i wysiłki, jakie podejmowałem, by się wyrwać, pozostawały bezcelowe. Dostrzegłem jeszcze moje ciało, jak opada niczym marionetka po odcięciu sznurków. W oczach tliła się pustka, gdy ktoś zgasił światło. Macki eteru wlekły Annę do bramy, a ona wczepiła się we mnie – chciała zemsty, choćby to miała być ostatnia rzecz, jakiej dokona.

Wiele razy zbliżałem się do bramy, uchylałem ją, wchłaniałem odżywcze dla ducha strzępy eteru, ładowałem swoje akumulatory, pozostając po bezpiecznej stronie progu. Nie tym razem. Zaświaty przyciągały upiora, upominały się o swoje. Poczulem lekki opór, jakbym przenikał przez membranę, mydlaną bańkę, i już byłem po niewłaściwej stronie tęczy. Nie należałem tu. Eter mnie nie naznaczył, nie zapisano mnie w księdze, nie przeszedłem inicjacji, która czyniłaby mnie pełnoprawnym bywalcem tej strony. Zacząłem się trząść, czując chłód, który przenikał mnie do metafizycznych kości. Nie mogłem się ruszyć. Ona też nie. Błękitne macki przytrzymały nasze dusze w miejscu.

Nie wiem, ile trwało to otępienie. Poruszyłem się – dziwne uczucie, skoro nie miałem ciała, ale mój duch zdawał się tego nie dostrzegać. Usiadłem i chwyciłem się za głowę, która nie nadążała za zmianą pozycji. Przez chwilę nie mogłem zogniskować wzroku, a potem z mgły wyłoniła się ona – już nie dyszący wściekłością upiór, ale mała, zagubiona dziewczynka ze strużkami łez na policzkach.

– Wszystko zepsułeś – wyrzuciła z siebie. Jej głos przepełniała rezygnacja.

– Za to mi płacą – odpowiedziałem, choć to akurat była bzdura.

– Tyle czekałam, tyle gromadziłam, a ty mi wszystko zabrałeś. Już nigdy nie zdołam wykonać, co sobie zamierzyłam, on będzie żył, a ja już nie mam drugiej szansy. – Zapłakała cicho, a mnie na ułamek sekundy zrobiło się głupio. Kiedy jednak przypomniałem sobie, czego się dopuściła, całkowicie mi przeszło.

– O czymkolwiek mówisz, nie było to warte śmierci niewinnych dzieci, bólu ich rodziców...

– Dlaczego miały mieć to, czego nie miałam ja?

– Bo ty to straciłaś z własnej winy, podjęłaś decyzje. Chujowe, ale własne. One były za małe, żeby decydować, a ty odebrałaś im szansę, żeby mogły to zrobić, kiedy przyjdzie ich czas.

Spoglądała na mnie przez chwilę z uwagą, jakby dostrzegła mnie po raz pierwszy.

– Jesteś takim durniem...

– A ty zepsutym bachorem, który nie ma szacunku do starszych, o życiu ludzkim nie wspominając. Czytałem twój dziennik. Wierz mi, nie obudzisz we mnie wyrzutów sumienia. Jedyne, czego żałuję, to że nie było mnie na świecie czterdzieści kilka lat temu, żeby cię powstrzymać, kiedy zabijałaś tamte dzieci. Twoja matka udusiłaby cię w kołysce, gdyby wiedziała, co z ciebie wyrośnie.

– Och, nie martw się, nadrobiła to później – rzuciła z goryczą.

Zaskoczyła mnie. Nie wiedziałem, że zginęła z ręki matki, ale to wyjaśniało kilka rzeczy.

– Zasłużyłaś sobie, choć pewnie trudno jej było to sobie wybaczyć – powiedziałem ze spokojem.

– Nie rozumiesz, prawda? Ona nie wiedziała wszystkiego. Zabiła mnie tylko po to, żeby chronić swojego cennego syneczka. Nie uwierzyła mi, nie chciała uwierzyć, że był tak samo zepsuty jak ja, uszkodzony, ale dość sprytny, żeby się z tym lepiej kryć. Może i byłam socjopatką, ale nie dorastałam mojemu bratu do pięt. – Skrzywiła się ponuro. – Ale o tym pewnie też nie wiedziałaś.

– Wiedziałem. Mimo waszych wysiłków, żeby zwalić winę na Anzelma, wiedziałem.

Zaśmiała się głośno.

– Anzelm, Anzelm... Gdyby nie on, nie udałoby mi się przetrwać. Był siódmy... Nawet nie musiałam go zabijać, wystarczyło, że zginął z mojej winy. Siódmy, zabiłam ich i wróciłam... Ten bachor myślał, że to on będzie siódmy, bał się... dlatego to zrobił...

– Pokaleczył się i zrzucił winę na ciebie? Wskazał matce ciebie jako wiszące nad nim zagrożenie?

Skinęła.

– A przecież nawet o tym nie myślałam... miałam na oku inne dziecko. Musiałam mu tylko zagrozić, bo za dużo paplał, ktoś mógł się dowiedzieć... Ale on chciał być sprytniejszy. I był. Nie wiedział, że ta siódemka szła na moje konto, nie na jego... Gdyby poczekał, załatwilibyśmy jego własną siódemkę, ale nie słuchał. – Odwróciła wzrok.

– Taki mieliście plan? Zabić czternaście osób tylko po to, żeby zapewnić sobie wolną przepustkę od razu w wyższe kręgi piekła?

– Wcale byśmy tam nie szli! – krzyknęła. – Bylibyśmy dość potężni, żeby zostać, żeby nic nam nie groziło... Ani ciężka ręka ojca, ani głupie gadanie matki i babki, ani ksiądz i jego święcona woda...

– O szamanach nie słyszałaś, co? – Uśmiechnąłem się półgębkiem.

– Nienawidzę cię – prychnęła ze złością.

– Ranisz moje serduszko.

– Dobrze i to, skoro nie mogę go wyrwać – warknęła.

Wstałem, walcząc z zawrotami głowy. Cholera, mój błędnik został po drugiej stronie bramy... Teraz już wiedziałem, czemu duchy bywają takie skołowane i skąd to pełne gracji miotanie się na boki, kiedy próbują się poruszać w linii prostej. Nawigacja bez ciała była do kitu. Rozejrzałem się w poszukiwaniu bramy. Musiałem wracać. Im dłużej moje ciało leżało tam bez ducha, tym trudniejszy czekał mnie powrót. Nie chciałem, by znaleziono je o świcie, zimne i sztywniejące. Nie widziałem bramy. Jasny błękit eteru spowijał nas niczym mgła na trzęsawiskach. Zrobiłem kilka kroków, ale nie przerzedzało się. Tylko bez paniki, upomniałem się surowo. Przecież jesteś szamanem, dasz sobie radę. To musi być przejście, wciąż nie trafiłem w zaświaty, skoro jesteśmy tu sami... JEŚLI jesteśmy – nie miałem pojęcia, czy ktoś nie czai się we mgle.

– Trzeba było zostawić mnie w spokoju, dobrze ci tak – powiedziała mściwie.

– Trzeba było nie wychylać nosa przez kolejne pół wieku, miałabyś mnie z głowy.

– Jakbym miała coś do gadania – prychnęła. – Przecież to nie ja potrzebowałam energii, nie ja wyskoczyłam z kolejnym planem. Jedyłą dobrą rzeczą, która wyniknęła z tego, że się wmieszałeś, jest to, że wreszcie uwolniłam się od tego pasożyta.

Odwróciłem się w jej stronę.

– Co masz na myśli?

– Pan „Wszystko Wiem, Wszystko Spieprzę” nie doczytał o klątwie Kaina? Moja matka była skończoną idiotką. Gdyby ją zdjęła, zanim mnie zabiła, byłabym wolna, ale nie... Najpierw zrobiła ze mnie stróża mojego brata, a potem mnie zabiła, przywiązując moją duszę do tego bezwartościowego gnojka na wieki. Gdyby nie był takim głupkiem, pomyślałabym, że sam to zaplanował. I po co mi kolejna siódemka, skoro miałam własną? Nie ja marzyłam o nieśmiertelności, nie ja potrzebowałam kuracji leczącej śmierć. Mnie to już nie dotyczyło. Ale nie miałam wiele do gadania, nie z klątwą na karku.

Przypomniałem sobie, co o klątwie Kaina przeczytałem w księdze. To stara magia. Rodzaj ochronnego zaklęcia wiążącego ze sobą dwie osoby – tę chronioną z kimś, kto stawał się bratem tylko z nazwy, a po prawdzie chłopcem do bicia przyciągającym wszystkie nieszczęścia, choroby, rany. Cenny królewicz dożywał dorosłości, a jego surogat był tarczą chroniącą go za wszelką cenę. Nawet za cenę własnego życia. Książęcy syn spleciony klątwą Kaina z synem koniuszego miał większe szanse dożyć objęcia tronu. Klątwą wiążano także następców tronu – prawowitego z następnymi w kolejce – by młodsi bracia nie ulegli pokusie skrócenia sobie drogi do władzy. Jak to się miało do pary dzieciaków ubogiej krawcowej? Czy matka rozumiała, co im zrobiła, czy posługiwała się magią, którą znała powierzchownie, ze starych przekazów rodzinnych czy ksiąg?

– Kiedy umarłaś... uleczyłaś go?

– Nasza matka nie mogła jaśniej przedstawić swoich sympatii. Jedno dziecko było więcej warte niż drugie, chłopak więcej wart niż dziewczynka. I tak, kiedy mnie zabiła, kiedy moja dusza uwolniła energię, opuszczając ciało, wszystkie te lipne rany, które sam sobie zrobił, zniknęły. Nie mogłam temu

zaradzić. Związana klątwą, nie mogłam go zabić. Wszelka energia, którą udawało mi się pozyskać, najpierw szła do niego, mnie zostawały resztki...

– Dlatego nie byłaś aktywna przez tak długi czas?

– Po co miałam go paść? Miałam nadzieję, że zdechnie. Wiesz, jak się cieszyłam, że mu serce zaczęło szwankować? Gdyby stał się duchem, jak ja, poradziłabym sobie z nim. Jestem upiorem znacznie dłużej, znam zasady lepiej, niż on miałby szansę je poznać... ale był na to za sprytny. Nie wiedziałam, że babka przekazała mu wiedzę... nie powinna była, to było zarezerwowane dla dziewczynek, ale miała tylko jednego wnuka.

– Uaktywnił klątwę Kaina?

– Brawo, panie domyślny. – Wykrzywiła się w pogardliwym grymasie. – Nie miałam wyboru: matka związała nasze żywoty, więc musiałam być posłuszna, nawet jeśli jego plan zakładał, że będę zabijała w jego imieniu. Kolejna siódemeczka, tym razem na jego konto.

– Dlatego je dusiłaś.

– Taaa. Zawsze uważałam, że to metoda dla mięczaków.

Cóż, gdyby cięta niemowlaki nożem, wszystko wydałoby się znacznie szybciej. Nawet jeśli nie zostawiłaby śladów na skórze, coś by wyszło w czasie sekcji... o ile zostałyby przeprowadzone. Na oddziale, na którym polowała, śmiertelność noworodków była wyższa niż gdzie indziej, dzieci po prostu umierają, nikt nie myśli, by je potem jeszcze kroić...

– Idą po nas, obyś szczeł – warknęła nagle.

Poczułem ciarki pełzające mi po karku (metafizycznym, żeby nie było). Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale nie spodziewałem się po tej stronie niczego dobrego. Próbowiałem biec, na oślep, przez mgłę, coś jednak działo się z przestrzenią – mimo wysiłku, jaki wkładałem w poruszanie się, wciąż byłem w tym samym miejscu. Mimo zmęczenia i drżenia mięśni (złudzenie ciała dostarczało mi nawet strużek potu i zadyszki) nie mogłem się wyrwać z oków mgły ani oddalić od Anny Dzwon. Nadzieja, że skupi na sobie uwagę tego, kto tu zmierza, a ja po cichu znajdę drogę do bramy i powrócę do cherlawego, ale własnego ciała, rozpływała się w powietrzu pachnącym elektrycznością i eterem. Słodkawa woń nieuniknionego. Użyłem znaku widzenia, choć każdy podręcznik odradzał sięganie po prawdziwy wzrok w zaświatach – było tu zbyt wiele rzeczy, których nie chciałbym widzieć... Mgła nie zasłaniała już niczego, rozplynęła się do niebieskiej poświaty przesłaniającej wszystko jak na nastrojowych zdjęciach skandynawskich krajobrazów. Limbo. A więc tu byłem... Wypalona ziemia, nagie gałęzie martwych drzew, na których kiwały się ciała wisielców. Strumień lawy, z którego wystawały rozcapierzone dłonie potępieńców, wił się między dwoma pagórkami. My byliśmy na jednym, na drugim kłębiły się duchy, przy których Anna Dzwon była tylko małą, przestraszoną dziewczynką. Bała się, to akurat pewne, kulila się w sobie i próbowała chować za mną, jakby zapomniała, że mnie nienawidzi, że to ja ją tu ściągnąłem. Między nami rozciągała się czerwona wstążka więzi, którą nieświadomie ustanowiłem, kalecząc się jej brzytwą. Sięgnąłem po nią, by ją zerwać – bezskutecznie. Anna nie zwracała na to uwagi. Z niemym przerażeniem wpatrywała się w kreatury zmierzające w naszym kierunku. Ich uwaga była skupiona wyłącznie na niej, ja nie istniałem i byłem z tego powodu przeszczęśliwy, a przynajmniej byłbym, gdybym nie znajdował się na granicy zesrania się ze strachu. Strażnicy zaświatów z pustymi oczodołami – suche szkielety obciążone skórą w kolorze mosiądzu – przepłynęli gładko nad strumieniem lawy i już byli przy Annie, wyciągnęli po nią ręce. Nie mogła uciec, kiedy ich długie palce przeniknęły przez jej sylwetkę, chwytając to, co musiało być jej duszą. Jeden z nich złapał czerwoną wstążkę, która nas łączyła, i przesuwał ją między palcami, doszedł do mnie. Spojrzał na mnie pustymi oczodołami i posmakował powietrze wokół mnie, kościstym palcem dotykając zaczerwienionego śladu po brzytwie, z którego wypływała wstążka. Pokręcił tylko głową i próbował coś powiedzieć, ale słowa były niezrozumiałe – nie miał języka ani warg, więc usłyszałem tylko coś na kształt mieszaniny bulgotania i syczenia. Wyrok musiał jednak być dla mnie korzystny, bo nożem, który pojawił się znikąd, duch

przeciał wstążkę, zrywając więź z Anną. Zabolało, ale stałem się wolny. Strażnicy nie byli mną zainteresowani. Sekundę później nie było już ani ich, ani jej.

Może to koniec, pomyślałem, może teraz pozwolą mi odejść z powrotem do ciała, na ziemię, szanując to, że nie pojawiłem się tu z własnej woli, ale wykonując misję. Pobożne życzenia. Tu nie było miejsca na zasady fair play. Byłem w limbo, bez opiekuńczego ducha, bez mocy, którą mógłbym czerpać z inicjacji, z wciąż zbyt małą wiedzą, by wykaraskać się z tego, zanim mnie dopadną, pokroją, zamęczą... Nazwijcie mnie tchórzem, ale nie ufałem przodkom, nie ufałem duchom... Moja śmierć byłaby dla nich niczym, ot – dowodem na to, że nie byłem dość silny, że nie nadawałem się do tych chorych rzeczy, które dla mnie przygotowali. Może gdybym był smarkatym gówniarzem, którego od dziecka pasiono mitem inicjacji mającej uczynić mnie mężczyzną i umożliwić rozmawianie z Przedwiecznymi, czułbym się bardziej podjarany, może sam z siebie dążyłbym do przekroczenia bramy. Ale miałem swoje życie i było ono dla mnie bardziej cenne niż nadzieja na pieprzoną potęgę, która być może była mi pisana.

Z tłumu wyłoniły się trzy postaci. Zacząłem się cofać, znów próbowałem biec, ale ziemia nie przesuwała się pod moimi stopami. Zbliżali się. Wielkie czaszki na głowach niczym hełmy, futrzane płaszcze, spod których wychylały się połyskujące od zawsze świeżej krwi klatki piersiowe, sękaty kije podzwaniające metalowymi przedmiotami i przybrane szumiącymi na wietrze pękami piór i wstążek... Przedwieczni.

– Przyszedeś. Nie wyjdiesz, jeśli nie przejdziesz – powiedział środkowy.

Czaszka nasadzona na jego głowę wyglądała na wilczą, podobnie wilcze futro spływające z jego szczupłych ramion.

– Nie przyszedłem na inicjację. Nie stawiałem się tu z własnej woli – powiedziałem, starając się brzmieć pewnie.

Lekko skośne oczy Przedwiecznego połyskiwały czernią, nie było w nich śladu białka. Poczułem, że widzi przeze mnie na wylot, i nie było to przyjemne uczucie.

– Czemuż miałoby nam to robić różnicę? – Na jego surowej twarzy zagościło coś na kształt złego uśmiechu. – Policzymy ci kości i sprawdzimy, czy masz tę, która uczyni cię szamanem.

W tych słowach było spore niedopowiedzenie... Zauważcie, jak zgrabnie ominął to, że aby zobaczyć mój szkielet, będą mnie obdzierać ze skóry, rozdzierać na strzępy, gotować w oleju, by mięso ładnie się oddzieliło, a mnie samego zmuszą, bym mieszał swoje kawałki w kotle, wgryzał się we własne różowe mięso, aż oczyszczę kości i w ich bieli zobaczę przyszłość. Mówicie, że to niemożliwe, że nie mogę spożyć sam siebie? Nie w tym kawałku świata. Tu będę ucztował na samym sobie, podawał im co smaczniejsze kąski, z całą świadomością bólu, jaki mi sprawiają ich zęby, z całym tym ogromem cierpienia, jakie musi towarzyszyć rytuałowi, by mnie uczynić kimś lepszym, niż jestem. Pieprzenie – uczyniłby mnie szaleńcem, bo nie wierzę, że mógłbym przejść to i nie oszaleć. A to dopiero początek...

Potem było jeszcze weselej... Ze wszystkich sił walczyłem z jego wolą. Wymówił zaklęcie. Dzięki aktywnemu znakowi widzenia zobaczyłem, jak słowa zmieniają się w ogniwa łańcucha i jak ten łańcuch ciasno owija się wokół mnie, wyciskając z płuc tlen. Nie wiedziałem, jak się bronić przed czymś takim – najwyraźniej apendyksów do starych ksiąg nie udostępnia się początkującym. Próbowałem się cofnąć, wyrwać spod jego wpływów, ale tylko przewróciłem się na plecy, nie mogąc nawet zamortyzować uderzenia, które poczułem w każdej kostce i w głowie. Przedwieczny stuknął kosturą w podłogę – zadźwięczały dzwonki, zaszumiały wstążki i pióra, ziemia się rozstała i z jej trzewi wychyliła łeb bestia. Wyglądała na przodka wielkich kotów, była niczym australopitek wśród tygrysów czy panter – wielki, masywny w kłębie czarny kot z przęgami na karku i kudłatym łbem. Potwór spoglądał na mnie głęboko osadzonymi pomarańczowymi ślepiami, szczerząc zęby dłuższe niż moje palce. Pochylił łeb i ruszył w moją stronę. Odpełzałem, walcząc z krępującymi mnie łańcuchami. Naraz z gardła wyrwał mi się krzyk, kiedy bestia oparła się o mnie łapami, nachylając pysk nad moją twarzą. Poczułem zapach gnijącego mięsa i ziemi, krople śliny ściekały po kłach i kapały mi na policzek. Wrzasnąłem ze

wszystkich sił. Jestem w zaświatach, tu nic nie jest prawdziwe, powtarzałem sobie, jesteś tylko duszą uwolnioną od ciała. To jednak nie wystarczyło, by mnie uspokoić. Tu ból i krzywda pozostają realne, a strach dławił mnie mocniej z każdą sekundą. Ochryplem. Bestia czekała na rozkaz. Który – byłem pewien – zaraz padnie.

Przedwieczni zbliżyli się, otaczając mnie i przyglądając mi się z ponurą satysfakcją, jakbym był owadem przyszpilonym w gablocie. Nie wydali bestii polecenia tylko dlatego, że paśli swoje zmysły moją paniką. Skurwysyny. Znieruchomiałem i zamilkłem. Nie tak chciałem odejść. Może nie miałem wpływu na to, czy monstrum mnie zeżre, czy nie, ale mogłem zachować resztki godności. Rozluźniłem się, choć było to całkiem sprzeczne z tym, co podpowiadał mi rozum. Spojrzałem prosto w jarzące się ślepiec bestii z niemym wyzwaniem. „Spróbuj, zadław się, zgiń. Na pewno będę ciężkostrawny, masz to jak w banku. Każdą swoją komórką stanę ci w gardle, każdy kawałek mojego ciała doprowadzi cię do skrętu kiszek, zdechniesz tylko trochę później niż ja”. Taki mniej więcej komunikat mentalny przekazałem potworowi. Musiał odczytać sporo, bo warknął i pochylił się niżej, wydmuchał powietrze przez nos prosto na moje gardło, jakby zaznaczał sobie miejsce do gryzienia. Z satysfakcją pomyślałem, że mało higieniczny tryb życia uczynił mnie chudym, żyłastym oraz z całą pewnością niesmacznym. Przymknąłem powieki i zanuciłem cicho „Shaman’s blues” The Doors.

*There will never be  
Another one like you  
There will never be  
Another one who can  
Do the things you do...*

Ile razy słyszałem tę piosenkę, myślałem o Konstancji. Była jedna jedyna dla mnie i to, że spierdoliłem, nie zmieniało tego, że nigdy nie będzie takiej drugiej... I gdyby zechciała poświęcić mi jedną noc, wyjaśniłbym jej wszystko, powiedział prawdę, nie bacząc na nic, nie przejmując się zakazami, które nawet jeśli odwieczne, były młodsze niż to, co do niej czułem. Byłem jej to winny. Jeśli zginę, trudno, ale nie mogłem sobie darować, że zostawię ją bez odpowiedzi. Że nie powiem jej, że ją kochałem, w swój kaleki i głupi sposób kochałem ją bardziej niż siebie, zwłaszcza że nie dbałem o siebie przesadnie. I gdy odeszła, pustka była głośniejsza, przyzywała mnie do siebie, a ja pogrzyżyłem się w niej, bo nie było już nic, dla czego warto byłoby żyć, starać się, próbować. Słowa mi się plątały, ale z całym spokojem, na jaki mnie było stać, nuciłem psychodeliczną linię melodyczną, odpływając myślami od bestii. Byłem jak Jim, wędrujący pustynią, smagany suchym wiatrem i kurzem, ale wędrowałem do tej, która była najważniejsza. Bo miałem jej coś do powiedzenia. Bo wciąż nie wiedziałem, co ona chciała mi powiedzieć po wszystkich tych latach. A to było ważne, musiało być, skoro zebrała się na taką odwagę, by przyjść i wysłuchiwać moich złościwości. Chciałem też usłyszeć to, co miała mi do powiedzenia. To było ważne – nie bestia nade mną, nie Przedwieczni, popaprana galeria przodków w makabrycznych wdziankach, nie zaświaty i potępieńcy w morzu lawy... Zamknąłem oczy. Konstancja. Uśmiechnąłem się na wspomnienie kobiety w kaloszach i w czerwonej pelerynce przeciwdeszczowej, mój mały Czerwony Kapturek potrafiący oswoić Złego Wilka.

„Znam twoje myśli, znam twoje nastroje, zawsze będziesz moja...”

Po polsku nie trzymało melodii, ale, cholera, moje uczucia wymagały werbalizacji w ojczystym języku. Gdybym chociaż zostawił list. Melodramatyczne, ale praktyczne... Ti wspominała, że ma pakiet listów, testament, rozporządzenia dotyczące majątku i reszty zdeponowane na stałe w Szatańskim Pierwiosnku. Powinienem o to zadbać... Przynajmniej o testament...

*Will you give another chance?  
Will you try  
Little try?  
Please stop and you remember  
We were together  
Anyway  
All right...*

Łapy bestii dociskały mnie coraz mocniej do podłoża, głos miałem coraz słabszy, ale nie chciałem zostawić tego wspomnienia, tego złudzenia obecności, jakie dawało mi myślenie o niej, śpiewanie dla niej piosenki szamana, który się pogubił, trafi do piekła, ale wcześniej chciałby się upewnić, że ona wie, że była tylko ona, że każda inna szybko rozumiała, że w jego sercu nie ma wakatów, bo całe wypełnia wspomnienie małej Francuzeczki. Pieprzyć wielkie przemowy pożegnalne, film z życia w stop-klatkach, pieprzyć rzucanie klątw na tych, z których rąk zginę...

„Panno młoda, znam wyjście, czy to nie cudowne?”

Wciąż z zamkniętymi oczami – nie chciałem widzieć paszczy nade mną, wystarczyło mi, że czułem bijący z niej smród – czekałem na koniec. Nie zamierzałem prosić, nie mogłem walczyć, mogę sobie tylko programować sny na czas, który przyjdzie po tym, co nastąpi. Nagle nacisk zelżał, powietrze przeszło wściekłe ujadanie bestii... Brzmiało raczej jak bolesny skowyt niż agresywne „this is the end, my friend”, by pozostać przy obranej na ostatnie minuty ścieżce dźwiękowej. Otworzyłem oczy. Nie było bestii. Przedwieczni cofnęli się ostrożnie, wpatrując się w coś za moją głowę. Obejrzałem się i przez chwilę wpatrywałem w czarne guziczki umieszczone w niewielkiej główce, tuż nad potężnym, niebieskosinym dziobem. Ptaszysko było ogromne. Rozpięto skrzydła i pochyliło łeb na długiej, nagiej szyi, wydając z siebie przenikliwe i groźne wrzaski. Zafurczały skrzydła. Nie atakował mnie, był skupiony na nich, na Przedwiecznych, którzy zamiast odgonić go kosturami, cofnęli się o krok, potem kolejny, a gdy ptaszysko przeskoczyło nade mną i rozpędziło się, podskakując w pozbawionych wdzięku susach w ich kierunku, przepłynęli w powietrzu na drugą stronę strumienia lawy. Ptaszysko wrzasnęło coś, co brzmiało jak wiązanka wulgaryzmów naruszająca godność ich matek, jak i ojców, załopotowało skrzydłami raz jeszcze i odwróciło się w moim kierunku.

– Będiesz tak leżał, aż korzenie zapuścisz?

Próbowałem się dźwignąć, co nie było łatwe, zważywszy, że wciąż byłem skrępowany łańcuchem. Ptak przydreptał do mnie i zamachnął się dziobem nad moją klatką piersiową. Szarpnąłem ciałem, by nie trafił w serce.

– Nie drzyj, panienko, władam tym dziobem sprawniej niż ziemscy faceci paluszkami – powiedział, a nasycone dwuznacznością słowa brzmiały absurdalnie nie na miejscu.

Ogniwa pękły pod naciskiem dzioba. Poruszyłem rękoma i wstałem.

– Zmywajmy się stąd, kolego, zanim wpadną na jakiś durny pomysł. – Podskoczył kilka razy w miejscu, przebiegł parę kroków, machając skrzydłami, aż wreszcie uniósł się nad ziemię. – Podążaj za białym króliczkiem, szamane... albo lepiej za płowym sępem: jeśli widzisz białe króliczki, mamy małe problemy – zaskrzeczał.

Szedłem za nim, potem biegłem, by nie zniknął mi z oczu. Po kilku minutach i na oko jakimś kilometrze drogi zamajaczyła mi przed oczami brama. Przyspieszyłem, chcąc jak najszybciej znaleźć się po drugiej stronie. Sęp wrzasnął skrzekliwie, zakołował w powietrzu i opadł na mnie, przygniatając mnie do podłoża.

– Jak sobie chcesz, możesz iść tam już teraz, ale ostrzegam: dwa czy trzy miesiące śpiączki pod płataniną rurek nauczą cię słuchać starego sępa – powiedział, gramoląc się ze mnie.



O ile w powietrzu był pełnym gracji stworzeniem, o tyle na ziemi wydawał się mieć zaburzony ośrodek ciężkości. Kolebał się na boki jak kaczka, a głowa podskakiwała mu na długiej, chudej szyi. Kręcił nią teraz z dezaprobatą, a biała kryza piór łopotała jak dworskie koronki.

– Dlaczego miałbym...? – wyjąkałem.

– Bo jesteś durnym, porywczym i niedouczoneym ćwokiem? Ale cię, powiedzmy, lubię, więc poradzę ci w swojej zajebistej wspaniałomyślności, żebyś siadł sobie teraz na godzinkę i postarał się doładować baterie eterem na tyle, żeby podróż do ciała, którą planujesz, nie wyczerpała ci rezerw do zera. Bo coś mi mówi, że nie masz tam wsparcia, które poda ci kapsułki skrótu albo dopilnuje, żeby brama była uchylona na tyle długo, by eter sam znalazł sobie do ciebie drogę, co?

Usiadłem i zwiesiłem głowę. Był nieznośnym i wulgarnym ptaszyskiem, ale miał rację.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Poza tym, że twoim wybawieniem, za co przyjdzie ci jeszcze podziękować? Jestem twoim duchem opiekuńczym, psychopompem, dzięki któremu twoje wyprawy w zaświaty będą przechadzką po parku, a nie odcinkiem „Jackassa”.

– Po pierwsze, czy nie mam tu nic do powiedzenia? A po drugie, jak bardzo powinno mnie niepokoić, że wiesz, co to jest „Jackass”? – zapytałem, unosząc głowę z niepokojem.

– Odpowiadając po kolei: nie i odrobinę. To duch wybiera sobie szamana, choć większość szamanów lubi się łudzić, że jest inaczej. I ja wybrałem ciebie, masz w sobie iskrę, która mi odpowiada. A co do tego, co wiem o waszym ziemskim życiu, to jestem bardzo na bieżąco. Spędzam na ziemi każdą wolną chwilę, a od jakichś pięćdziesięciu lat jestem bezrobotny, więc wiesz. – Wzruszył skrzydłami w sposób perfekcyjnie imitujący wzruszenie ramion, co kazało mi zacząć się zastanawiać...

– Jak to się stało, że gadający sęp nie wylądował jeszcze u Ewy Drzyzgi?

– Ciało to detal, mam co najmniej kilka w zapasie. Niektóre naprawdę nieźle wyposażone. – Cienka membrana powieki przesłoniła oko w imitacji filuternego mrugnięcia.

Zaczynałem mieć niejasne przeczucie, że będę miał z nim więcej problemów niż radości. Co jakoś wpisywało się w moją ogólną życiową tendencję.

– Sępy nie są chyba zbyt... popularnymi psychopompami, co? – zauważyłem ostrożnie.

– Ano, mamy wyjątkowo chujową opinię. Ale to opinia Przedwiecznych, nie twoja – zaznaczył z naciskiem.

– A że pozwolę sobie zapytać: jaka jest moja opinia?

– Że masz zajebistego psychopompa, że darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby i że nie dasz o mnie złego słowa powiedzieć, bo co dla innych wadą, dla ciebie będzie zaletą.

– A jest nią...?

Wolałem się upewnić, na wypadek gdyby Przedwieczni uznali na przykład to, że ma w zwyczaju gwałcić śpiących szamanów, za niewskazane, a on nie do końca się z tym zgadzał. I zakładał, że i ja się nie zgodzę.

– Inicjatywa. – Wymownie poruszył czołem, jakby chciał unieść brew.

Nie zabrzmiało to uspokajająco.

– Ja i ty, stary. Dwaj nieugięci, nieposłuszni, niekonwencjonalni... To będzie epickie! Zdobędziemy taką sławę, że laski będą nadstawiać cycki po autografy!

Moje ciało nabrało ochoty na kołysanie się, jak w chorobie sierocej. To taki uspokajający ruch. Do przodu i do tyłu. I jeszcze zanućmy „on ma w swoich ramionach cały świat”...

– Nazywasz się jakoś? – zapytałem. Im więcej szczegółów i konkretów, tym mniejsza panika.

– Na razie ci nie powiem.

– Więc jak mam się do ciebie zwracać? Właśnie zasugerowałeś, że połączyłeś nas na jakiś czas, nie?

– Podejrzewam, że „Król Przesłany” nie przejdzie? Na razie wystarczy „partnerze”, potem coś wypłynie. Zawsze wypływa.

Beknął głośno i podrapał się skrzydłem pod skrzydłem, cholernie sugestywnie naśladowując Ala Bundy'ego. Miałem nadzieję, że się wygłupia, chce zrobić wrażenie, a nie objawia mi swoje prawdziwe oblicze.

– Coś cię martwi, partnerze? – Jego skrzekliwy głos już mi nie przeszkadzał. Nawet to, że wydobywał się z dzioba, wydawało się nie wadzić.

– Więc co: przywołuję cię, a ty się pojawiaasz?

– No chyba ochujałeś do reszty. Nie jestem twoim Igorem, zapomnij. Jestem twoim duchem opiekuńczym, wyczuję, że potrzebujesz pomocy, i jeśli nie będę miał akurat nic lepszego do roboty, wpadnę i wyciągnę cię z gówna, w które ani chybi wpadłeś, skoro zawracasz mi dupę...

– Tak, to mi dodaje otuchy. Zwłaszcza kawałek o tym, że jeśli akurat nie będziesz miał nic lepszego do roboty – mruknąłem zirytowany. Nie prosiłem się o ducha opiekuńczego, ale czy naprawdę musiałem trafić na Keitha Richardsa, i to pod postacią sępa płowego?

– Dogadamy się, Witkacy, nie pękaj – kłapnął dziobem, rechocząc.

– Czy wy, psychopompy, nie powinniście być nieco bardziej... stonowani? – spytałem ostrożnie.

– E tam, pierdolenie. Stereotypy, nic więcej.

Przymknąłem powieki i westchnąłem ciężko. Co jest złego w stereotypach? Ten akurat przyjąłbym z radością i jeszcze zamówił do niego frytki.

Dreszcz przebiegł mi po karku. Uczucie, że coś jest bardzo nie w porządku, włączyło wszystkie moje dzwonki alarmowe. Zacząłem dygotać ze strachu.

– Muszę wracać – powiedziałem.

– Jeszcze godzinka jak nic. – Wzruszył skrzydłami.

– Nie rozumiesz, muszę! Sprawa życia i śmierci, potencjalnie bardziej tej drugiej...

– O, to tak jakby nasza działka, partnerze.

– Nie pieprz już, tylko pomóż mi wrócić do ciała...

Przez chwilę spoglądał na mnie oczkami jak czarne guziczki, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Zniecierpliwiłem się i wstałem. Sam spróbuję sforsować bramę. Była zamknięta, a ja zwykle otwierałem ją z drugiej strony, ale przecież to nie może być dużo trudniejsze, prawda? Zakazałem sobie myśleć o tym, że właśnie po to jest ta brama, by łatwo było wejść, ale cholernie trudno wyjść. Szarpnąłem klamką, ale wrota nie poruszyły się nawet o milimetr. Panika pompowała mi krew coraz szybciej, aż w uszach poczułem nieprzyjemny szum.

– Chyba jednak nie żartujesz. – Sęp mlasnął zde gustowany. – Dobra, sam tego chciałeś, toć nie jestem twoją matką, żeby ci bronić głupoty... pójdzie na twoje konto.

Podszedł do bramy i władczy ruchem odsunął mnie sobie z drogi skrzydłem. Trzykrotnie zastukał dziobem w bramę i stanęła otworem. Skoczyłem. Przecież trafienie do własnego ciała nie może być zbyt trudne, prawda?



Unosiłem się w powietrzu, pozbawiony masy, która ściągnęłaby mnie w dół. Niebo nabierało odcienia złota i różowości jutrzeńki, musiało więc minąć kilka godzin, odkąd odprawiłem rytuał odesłania. Desperacko szukałem nici, która powinna mnie łączyć z ciałem, jeśli nie przebywałem poza nim zbyt długo i jeśli Przedwieczni jej nie zerwali. „Jeśli”... Zbyt dużo pułapek, by o nich myśleć. Widziałem w dole ciało, skulone w pozycji embrionalnej, w wyświechtanym płaszczu nasiąkającym deszczem. Moje ciało. Tęskniłem za nim i chciałem tylko wrócić, być znowu w swojej materialnej, kościsto-żyłastej formie... Dryfowałem, próbując nadać sobie kierunek. I w końcu ją znalazłem – tę cieniutką nić łączącą

mnie z ciałem. Była jednak tak delikatna i krucha, że bałem się pociągnąć, by nie zerwała się ostatecznie...

Dostrzegłem też to, co mnie tak bardzo zaniepokoiło. Konstancja biegła między drzewami, z łopotem rozpiętego czerwonego płaszczyka. Prosto do kręgu. Na niebiosa, przekroczy krawędź, ale jak się z niego wydostanie, jeśli nie zdołam tam dotrzeć i rozbroić własnego dzieła?

Spiąłem się jeszcze bardziej, ale wciąż unosiłem się jak balonik, zamiast pikować jak meteoryt nad Czelabińskiem. Niezbyt delikatne pchnięcie w plecy skierowało mnie na właściwy tor. Furkot sępich piór był niemal ogłuszający, ale w tej chwili gotowy byłem wylewnie podziękować mojemu duchowi opiekunczemu.

– Nie ma nic bardziej żalnego niż latanie stworzeń, którym Bozia nie dała gracji – powiedział i skrzeknął pogardliwie.

– Cokolwiek cię motywuje, dzięki – odparłem, wpatrując się intensywnie w Konstancję, która dobiegła już na polankę, a następnie w dwóch susach przekroczyła granicę kręgu i przypadła do mojego ciała. Obróciła mnie na plecy i sprawdzała puls.

Cholera, szybciej! Moje ciało na dole wyglądało jak trup. W sumie skoro ja byłem tu, a ono tam, to BYŁO trupem. Światło zgaszone, na scenie nikogo. Miałem posiniąłą twarz i całkiem fioletowe wargi, mokre włosy przykleiły się do głowy, wydobywając całe podobieństwo do obciążonej skórą czaszki. Sęp kołował nad polaną, zataczając coraz mniejsze i niższe kręgi, aż wreszcie rozluźnił szpony zaciśnięte na moich ramionach i pchnął mnie lekko, bym podążył we właściwym kierunku. Schwyciłem nic i pociągnąłem ze wszystkich sił. Wreszcie poczucie ciała wróciło – zdrętwiąłego, zziębniętego, ale własnego. Spróbowałem się poruszyć, sięgnąć dłonią do Konstancji, która złożyła głowę na mojej klatce piersiowej, uspokoić ją, osuszyć łzy, które nade mną wylewała, przytulić wstrząsane szlochem ciało... Przez dłuższą chwilę musiałem się jednak zadowolić spektakularnym drgnięciem małego palca.

– Konstancjo – wychrypiałem cicho. Nie usłyszała. Wytwarzała całkiem sporo decybeli tymi szlochami... Właściwie gdyby nie fakt, że nie mogłem patrzeć na jej łzy, świadomość, że by mnie oplakiwała, była całkiem przyjemna. – Konstancjo, moczysz mi koszulę... – szepnąłem znowu i udało mi się podnieść rękę na tyle, by dotknąć jej kolana wbijającego się w mój bok.

Plus dla niej, że nie zaczęła się drzeć. Ucichła całkiem i uniosła wzrok. Nasze spojrzenia spotkały się i westchnęła głośno. Sekundę później dotykała mojej twarzy, jakby chciała się upewnić, że istnieję, że żyję.

– Zimno – wychrypiałem, usiłując się podnieść. Deszcz musiał padać od kilku godzin.

Konstancja pomogła mi usiąść, marudząc, że powinienem leżeć i ktoś powinien mnie zbadać, rzucała terminami takimi jak wstrząśnienie mózgu, udar, zapaść... Ja chciałem tylko znaleźć się w mieszkaniu, w suchym łóżku. Nie chciała o tym słyszeć.

– Możesz mnie odprowadzić do szpitala, a ja i tak wypiszę się na własne żądanie i wrócę do domu taksówką – przekonywałem. – Wyjdzie na to samo, ale będzie dla mnie bardziej męczące.

Mamrotała pod nosem mało pochlebne epitety odnoszące się do mojej inteligencji i uporu oraz do męskiej rasy złożonej z durnych idiotów. Przytaknąłem jej, gramoląc się do pionu. Musiała mnie przytrzymać, bo bez dwóch zdań zaliczyłbym glebę już w pierwszej sekundzie. Byłem wyczerpany i ewidentnie jechałem na rezerwie, dokładnie tak, jak przewidział sęp.

– Nie mamy wiele czasu – wykrztusiłem z wysiłkiem. Coraz trudniej było mi utrzymać otwarte oczy. – Odprowadź mnie do domu, proszę... Ja za chwilę zasnę, nie zdołam tego powstrzymać... Nic mi nie będzie, ale muszę spać... – Zachwiałem się i znów tylko siła jej szczupłego ciała uchroniła mnie przed upadkiem. – To nie pierwszy raz, zaufaj mi – dodałem, by ukoić strach, który dostrzegłem w jej oczach.

Chwyliła mnie mocniej, a ja przerzuciłem jej ramię nad karkiem i wsparłem się, zdziwiony, skąd w tak drobnym ciałku tyle siły. Nagle dotarło do mnie, że muszę jeszcze rozbroić krąg... Panie, zlituj się nad swym synem idiotą i nie pozwól mu się skompromitować omdleniem, zanim zdoła...



Przedwieczny nachylał się nade mną i wpychał mnie głębiej w kocioł, z którego próbowałem wyjść. Wrzący olej spalał moją skórę, bąble podbiegały krwią; gdy próbowałem krzyczeć, wlewał mi się do gardła. Topiłem się i resztką sił wykastywałem breję zagęszczoną moją własną krwią, rozpuszczonymi płucami. Ból rozsadzał komórki, umierałem, a ostatnim, co miałem usłyszeć, był chichot Przedwiecznego, który wreszcie mnie dopadł. Bo przecież to, bym znalazł się w jego łapach, w tym kotle, było jego priorytetem na dziś. Jak mogłem liczyć, że zdołam mu się wymknąć? Długim nożem zaczął odcinać moje ramię. Mięso odchodziło gładko od kości, kawałki pływały wokół mnie. Nie powinienem tego widzieć, nie powinienem wciąż żyć, czuć tego bólu, kiedy kość chrupnęła pod naciskiem ostrza. Krzyczałem i szarpałem się ze wszystkich sił...

– Ciiii, już dobrze, Piotrze – usłyszałem i przez chwilę byłem pewien, że to tylko złudzenie słuchowe, ale nie... Chłodna dłoń na moim czole, na policzku. Chłód odpędzał gorący olej, który nie mógł mi już zrobić krzywdy. Wiedziałem, kim jest, nikt inny nie mówił do mnie po imieniu. – Ciii, jesteś bezpieczny, nic ci się nie stanie, będę cię pilnować, aż wydobrzejesz – szeptała, a jej dłonie ocalały mnie od tortury, dawały ukojenie, goiły pęcherze. Znów byłem cały, Przedwieczny zniknął. Wtuliłem twarz w tę dłoń, w jej chłodną miękkość, w bezpieczeństwo, które mi dawała. Wyszeptałem coś z wdzięcznością, zbyt nieprzytomny, by powiedzieć to, co powinienem.. Smród palonego mięsa i krwi zniknął, był tylko słodki zapach Konstancji. Jej cichy głos zagłuszył bębny zwołujące przodków na inicjację. Mój anioł...



Obudziłem się we własnym łóżku, nagi, pod prześcieradłami, które były wilgotne od potu. Westchnąłem ciężko, próbując złapać więcej powietrza. W piersi bolało mnie, jakbym solidnie oberwał. Próbowałem usiąść, ale nie miałem siły.

– Nie wstawaj, idioto, ciągle masz gorączkę – powiedziała z troską. Odwróciłem głowę w jej stronę, mrużąc oczy, bo stała na tle jasnego okna.

Uśmiechnąłem się, widząc, że przyjęła postawę bojową – ramiona splecione na piersi, wysunięta bródka.

– Konstancja... – wychrypiałem.

– Nie kto inny. A skoro jesteś względnie przytomny, pomóż mi, trzeba zmienić pościel, ta jest cała mokra...

Sprawnymi dłońmi zaczęła zwijać prześcieradło. Uniosłem się w miarę możliwości, by wyszarpnęła je spode mnie i położyła czyste.

Przez chwilę przyglądała mi się z profesjonalną pielęgniarzką troską i odetchnęła. Najwyraźniej już nie do końca wyglądałem jak gówno.

– Miałeś gościa, kiedy spałeś... – zaczęła z tą lekkością, której zwykle kobiety używają przed rzuceniem na człowieka bomby.

– Hmm, gościa? – Przez sekundę modliłem się, żeby to była Ti, a nie...

– Katia wpadła, przyniosła ci kilka twoich rzeczy... Wydawała się nieco zaskoczona moją obecnością, więc wyjaśniłam, że jestem tylko pielęgniarką i opiekuję się tobą podczas choroby.

– Wpadła na dłużej?

– Pytasz, czy przesłuchała mnie na okoliczność tego, czy zamierzam złamać ci serce i zostawić w rozsypce? Tak. Wydawała się nieco... opiekuńcza. Zdaje się, że mi groziła obrażeniami ciała. Rzuciła

coś w rodzaju, że choć jest tylko twoją byłą, to może być moim najgorszym koszmarem, jeśli zrobię ci krzywdę. A później palnęła mi trzyminutową gadkę o tym, jakim jesteś wspaniałym facetem.

– Taaa, cała Katia. – Uśmiechnąłem się pod nosem. Jeśli Katia przedstawiła się jako była dziewczyna, moje podejrzenia, że ze mną zerwała, były całkiem słuszne. Przynajmniej to jedno się wyjaśniło. Gdyby wciąż uważała mnie za swojego faceta, nie omieszkaby zrobić awantury, która obudziłaby mnie, nawet gdyby moja dusza przebywała w zaświatach. To najśłodsza dziewczyna pod słońcem, dopóki nie daje o sobie znać jej temperament.

– Rozmawialiśmy chwilę. Wyjaśniłam jej, że nie ma powodów do niepokoju, bo znamy się od szczeniaka. Przyznaję, przeszedł mnie dreszcz, kiedy zlustrowała mnie od stóp po czubek głowy i rzuciła: „Tak, zawsze wiedziałam, że w jego przeszłości jest taka, która zadomowiła się za bardzo, żeby mógł ruszyć dalej”.

– Chyba się tym nie przejęłaś?

– Nie, choć raczej nie zostaniemy przyjaciółkami, prawda?

– Trudno powiedzieć. Jest bardzo opiekuńcza, ale zwykle niezbyt groźna dla ludzi – powiedziałem. O tym, jak groźna potrafi być dla zombie, nie wspomniałem. Zanim jednak wyskoczyłbym z hasłem: „Moja byłą nie jest dla ciebie groźna, póki żyjesz, ale może zabawiać się twoim trupem, więc przemyśl kremację”, winien jej byłem kilka słów wprowadzenia. Coś jak: „Kiedy mówię, że w tym łóżku dzieje się magia, nie jest to metafora odnosząca się do mojego życia seksualnego”. Wolałem skupić się na konkretach, takich jak ten, że Katia była tu, rozmawiała z Konstancją, a ja nie usłyszałem z tego ani słowa i nie pamiętam, bym się przebudził. Za oknem było jasno, rytuał przeprowadzałem nocą, ale czy mogłem zakładać, że była to ostatnia noc?

– Jak długo spałem? – Brzmi znacznie lepiej niż „byłem nieprzytomny”, prawda?

– Prawie dwa dni, idioto. Nieźle mnie wystraszyłeś...

Dwa dni, no pięknie. Przez dwa dni kręciła się po moim mieszkaniu, opiekowała się mną, a ja leżałem jak kłoda. Co za zmarnowanie zasobów naturalnych. Inna rzecz, że z całą pewnością nie byłem w takim stanie pociągający. Cały lepiłem się od potu i czułem się równie świeży jak Jonasz bo wyjściu z wieloryba.

– Śmierdę... pójde się umyć... Chyba że zaplanowałaś kąpiel i mycie mnie gąbką. Wtedy nie będę protestował – rzuciłem, z przyjemnością obserwując jej rumieniec.

– Myślę, że możesz iść – powiedziała władcym tonem siostry oddziałowej – jeśli dasz mi słowo, że nie zemdlejesz pod prysznicem. Może i masz suchotniczą posturę, ale wcale nie jesteś lekki.

Zamknąłem oczy, zażenowany.

– Zemdlałem? – Nie pamiętałem wiele od chwili, kiedy udało mi się wrócić do ciała.

– Zwaliłeś się jak kłoda, gdy tylko wstałeś na nogi... Musiałam cię zawlec parę metrów do ścieżki, potem poprosiłam o pomoc chłopaków z karetki. Wolałam, żeby nie widzieli kręgu, wosku ze świec i całej reszty, bo mogliby zacząć zadawać pytania, na które nie znam odpowiedzi. Twoje graty pozbierałam, są w twoim plecaku. Nie przyjmuję reklamacji za zdarte kolana, jak wspomniałam, nie jesteś lekki. Na szczęście ratownicy mają krzepę i pomogli mi wnieść cię do mieszkania, inaczej na pewno rozbiłabym ci łeb na tych schodach.

Uchyliłem powieki... Zemdlałem jeszcze w kręgu? Jakim cudem zdołała z niego wyjść?

– Wiesz, Tadeusz Dzwon nie żyje – powiedziała cicho.

Drgnąłem. W sumie mogłem się tego spodziewać – kiedy zabrakło mu dopalacza w postaci siostry, był zdany tylko na swoje ciało.

– Sprawdziłam kilka rzeczy. Nie wiem, jak mogło mi to umknąć na początku... Porównałam jego kartę i daty śmierci niemowląt... Wiesz, co znalazłam?

– Tak, mogę się domyślać. Jego stan nagle się poprawiał w chwili śmierci dziecka, co?

– Dokładnie. A teraz Dzwon nie żyje. Zmarł nagle, mniej więcej w tym czasie, kiedy ty

przeprowadzałeś swój... co to było, rytuał?

– To nie ja go zabiłem, jeśli o to pytasz – zapewniłem słabo.

– Wiem, że go nie zabiłeś. Byłeś tu, on w Kołobrzegu... Choć to akurat nie byłaby przeszkoda nie do pokonania, prawda? Nie dla ciebie...

– Nieco mnie przeceniasz, ale rozumiem, o co ci chodzi. I tak, masz rację, choć wciąż trzymam się tego, że nie ja go zabiłem. Ja tylko odebrałem mu coś, z czym mógł żyć kosztem innych.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powiedziałem, i skinęła głową.

– Czyli dostał to, na co zapracował własnymi decyzjami. Szkoda, że to nie zwróci życia dzieciom.

– Takimi mocami nie dysponuję. – I nie radziłbym zwracać się do nikogo, kto dysponuje, pomyślałem.

– Piotrze, jesteś mi winien kilka wyjaśnień, nie uważasz? – Przysiadła na brzegu łóżka, odruchowo kładąc dłoń na moim czole. Westchnąłem cicho.

– Nikt inny tak na mnie nie mówi, wiesz?

– Jak? „Idioto”? Trudno w to uwierzyć.

– Tylko ty zwracasz się do mnie imieniem... Czasem zapominam, że je mam, zaglądam do dowodu osobistego i ze zdziwieniem rejestruję, że jak wół stoi tam Piotr Duszyński, a nie Witkac... Ty jedna...

– Witkac? Wolę Piotr. Witkaca nie znam zupełnie. Z Piotrem mam kawałek wspólnej przeszłości.

– Tylko przeszłości? – Znów zamknąłem powieki, bojąc się tego, co powiedzą mi jej oczy.

– Więcej, więcej, niż czasem bym chciała. Gorączka spada, chyba z tego wyjdiesz... Powiedziałaś, że wiesz, co ci jest. Też chciałabym wiedzieć, na wszelki wypadek.

– To nie jest zaraźliwe...

– Nie o to się boję. Co ci jest, Piotrze? Czy to część twojego stanu?

– Tak.

Okej, mogłem skłamać, mogłem powiedzieć, że to jakaś forma ataku, padaczki bezobjawowej, udaru, spięcia w mózgu, cokolwiek. Mogłem powiedzieć, że to nawroty malarii złapanej w tropikach, w których nigdy nie byłem. Ale nie chciałem jej okłamywać. Miałem dość kłamstw. Zasłużyła na więcej. Więc powiedziałem jej prawdę. O tym, że jestem szamanem. O tym, że magia istnieje, istnieją duchy, a ja się z nimi komunikuję. O tym, że byłem nieprzytomny, bo straciłem zbyt wiele energii, odprowadzając w zaświaty upióra, który zabijał dzieci, i że niemowlęta w szpitalu są już bezpieczne. O tym, że to tajemnica, bo istnieje wiele istot magicznych i duża część z nich nie chce, by świat o nich wiedział, i że są zasady wymagające milczenia od takich jak ja. Zaznaczyłem, że nie są to tylko takie narkomańskie nasienia jak ja, ale naprawdę groźne istoty, więc dla dobra nas obojga nie powinna zdradzić się z tym, że wie. Nie patrzyłem na nią, kiedy wyrzucałem z siebie te rewelacje – bałem się, że dostrzegę zwątpienie na jej twarzy, że zobaczę w jej oczach pewność, że oszalałem.

Gdy skończyłem, milczała. Spodziewałem się, że wstanie, założy swój czerwony płaszczyk i odejdzie – tym razem na zawsze – ale po prostu musiałem jej powiedzieć. Zasłużyła na szansę, by zrozumieć, z czym kiedyś nie mogło sobie poradzić żadne z nas.

– Jesteś odwodniony, przyniosę ci herbaty – powiedziała, wstając z łóżka.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia? – zapytałem zaskoczony.

Uśmiechnęła się blado, co zapewne miało mnie uspokoić. Miała fioletowe cienie pod oczyma, jej skóra była poszarzała ze zmęczenia, a bruzdy zmarszczek nieco głębsze. Kiedy wstała, trzęsły jej się dłonie.

Zasłoniłem twarz rękoma. Co ja narobiłem! Spróbowałem wstać i udało mi się już za trzecim razem. Siedziałem przez chwilę na krawędzi łóżka, czekając, aż świat przestanie wirować. Nie mogłem naciskać. Zasługiwała na więcej, ale nie mogłem, nie tak, nie teraz... Owinąłem biodra prześcieradłem, by nie straszyć jej chudym tyłkiem, choć przecież kiedy mnie rozbierała, oglądała nie tylko tyłek. Przeszedłem chwiejnie te kilka metrów, jakie dzieliły łóżko od drzwi do łazienki.

– Co ty robisz? – dobiegł mnie jej zagniewany głos.

– Muszę się odświeżyć... a ty potrzebujesz nieco czasu i przestrzeni, żeby zebrać myśli. Jeśli wyjdę spod prysznic, a ciebie nie będzie, zrozumieć. Jestem już na tyle przytomny, żeby się sobą zająć. Dziękuję ci za wszelką pomoc – powiedziałem, nie patrząc na nią, z czołem opartym o białe drzwi.

Zamknąłem się w łazience i przez chwilę jeszcze stałem, nasłuchując. Gdybym usłyszał trzaśnięcie drzwi, nie byłbym zdumiony. Miała prawo się odsunąć, miała prawo odejść. Ja nie miałem prawa rzucać na nią tego wszystkiego. Powinienem powiedzieć, że problem z tym, co mordowało dzieci, jest rozwiązany i nie ma czym się przejmować, a kilkudniowe drzemki regeneracyjne to u mnie norma. Bez szczegółów, nawet jeśli wydawało jej się, że właśnie ich potrzebuje. To były moje problemy, które raz już ją odstraszyły. Nawet jeśli nie uciekła, kiedy znalazła mnie martwego, potem ożyłem w jej ramionach tylko po to, by zaraz zwalić się jak kłoda i trwać w takim stanie dwa dni... Miała więc konkretne powody do obaw. Bo przecież musiałem być wariatem, prawda? Wariatem wygadującym niestworzone rzeczy o duchach i magii. Kto by w to uwierzył? Stałem pod strumieniem chłodnej wody i zastanawiałem się, czy zobaczę ją, kiedy wyjdę. Nie stawiałbym na to pięciu złotych.



Miałem rację. Nie było jej. Zniknęły kalosze z wycieraczki i czerwony płaszcz. Łóżko było pościelone. Na nocnej szafce stał parujący wciąż kubek herbaty, obok leżał blister aspiryny. Dowlokłem się do kanapy i padłem na nią bez sił. Spodziewałem się tego, ale przecież nie bolało mnie mniej z tego powodu. Pozbieram się, oczywiście, jak zawsze. Pozbierałem się szesnaście lat temu, pozbieram się i teraz. Pewne rzeczy się nie zmieniają, pomyślałem. Znów wyszła bez pożegnania. Wróci za szesnaście lat i będzie błagać o wybaczenie... Zaśmiałem się na ton własnych myśli – z założenia mściwy, w wykonaniu żałośnie pełen nadziei. Zamknąłem oczy. Potrzebowałem zasnąć. Mógłbym łyknąć dwie kapsułki skrót i zregenerować się w dwie godziny, ale to zakładałoby zbliżenie się do bramy zaświatów, a na to nie miałem najmniejszej ochoty. Kto wie jak przydatny na dłuższą metę będzie mój nowo pozyskany duch opiekuńczy... Musiałem coś poczytać o sępach jako psychopompach, sprawdzić, którzy to Przedwieczni się objawili, bym wiedział, kogo unikać... ale to nie teraz. Teraz po prostu zasnę, jakby nic się nie wydarzyło, jakbym był tylko steranym życiem facetem, a nie szamanem uwikłanym w cały ten metafizyczny bajzel.

Nie żebym się rozklejał, ale zasłużyłem na urlop. Od wszystkiego.

Zgrzyt klucza w zamku wybudził mnie z płytkiego snu. Dźwignąłem się na łokciu. Jediną osobą, której dałem klucze do mieszkania, była Ti, a ta powinna wciąż przebywać na terenie stada z Gdyni... Chyba że Katia ściągnęła ją opowieścią o tym, jak konam w malignie pod opieką złej czarownicy z Zachodu.

To nie była Ti. Przez chwilę nie wierzyłem, że naprawdę stoi w progu, otrzepując płaszcz z wody.

– Znów pada – powiedziała spokojnie. – Zaraz ugotuję ci jakiegoś rosółu, powinieneś zjeść coś pożywne. Szybciej odzyskasz siły, a wierz mi, wkrótce będą ci potrzebne – dorzuciła enigmatycznie i wkroczyła do kuchni.

Trzaskała garnkami i szafkami, całkiem zadomowiona w mojej kuchni, a ja musiałem przysłonić usta, by nie szczerzyć się jak idiota.

– Czy ty nie masz nawet jednego porządnego garnka? – zapytała.

– A co jest nie tak z moimi?

– Są idealne, jeśli chcesz ugotować jajko albo podgrzać pół słoika sosu, ale jeśli chcesz ugotować rosół... O, jest jakiś... Piotrze, nie masz porządnego garnka, ale masz gęsiarkę? Serio? Trudno, nada się, przynajmniej kura wejdzie – powiedziała i wróciła do swoich zajęć.

Nie miałem pojęcia, co to jest gęsiarka. Nawet nie byłem głodny.

Przymknąłem powieki, słuchając, jak krząta się po kuchni. Mógłbym przywyknąć do jej obecności...

– Nie wypijeś herbaty – powiedziała z naganą, stając przy łóżku.

Usiadłem, ciężko opierając się o wezgiłowie. Sącyłem małymi łykami podetkniętą herbatę, zastanawiając się, czy będzie do końca udawała, że nie było tematu, czy jednak jakoś skomentuje te moje rewelacje.

Usiadła na łóżku, podwijając jedną stopę pod pośladek.

– Myślałam o tym, co mi powiedziałaś. Wierzę ci. Widziałam dość, żeby się przekonać, że mówisz prawdę. Nawet jeszcze przed dzisiejszą rozmową... Nie wiedziałam, jakim słowem cię nazwać, ale magia i duchy nie są dla mnie zaskoczeniem. Zresztą nie jesteś jedyną znaną mi osobą, która nosi w sobie magię... To zresztą coś, o czym chciałam z tobą porozmawiać... Widzę u niej te same objawy. Widzi i słyszy rzeczy, których ja nie odbieram. O pociągu do używek nawet nie wspomnę, bo sam wiesz najlepiej, jak to jest... Martwię się o nią. Musiałam się dowiedzieć od ciebie, że to normalne, że nic jej nie grozi. – Głośno przełknęła ślinę. – To o tym muszę z tobą porozmawiać, nawet jeśli nie potrafię...

– Też chciałem ci powiedzieć parę rzeczy... Prawie zginałem i myślałem tylko o tym, że stracę okazję, żeby to powiedzieć...

– Poczekaj. – Uniosła ręce, jakby chciała zatrzymać wzburzoną falę moich wyznań. – Po tym, czego się dowiesz, możliwe, że nie będziesz chciał mi tego mówić. Możliwe, że mnie znienawidzisz. Całkiem możliwe. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko tyle, że robiłam to, co uznałam za właściwe, najlepsze.

– Dla ciebie?

– Nie, nie tylko. Chciałam ci powiedzieć dawno, ale nie zdołałam. Nadal nie potrafię, dlatego postanowiłam nic nie mówić, pozwolić, żebyś dowiedział się w najprostszy z możliwych sposobów. Powiedz mi tylko... na ile stabilny jest twój stan w tym momencie? Nie przekreślisz się, jeśli, dajmy na to, doznasz małego szoku?

Usiadłem prosto i przez chwilę spoglądałem w jej spiętą, poszarzałą stresem twarz.

– Nigdzie się nie wybieram... O co chodzi?

– Dobrze. Wrócę za godzinę i odpowiem na wszystkie pytania, jakie będziesz wtedy miał. – Wstała i podeszła do drzwi. Minutę później była już w kaloszach, płaszczu i spoglądała na mnie z tęsknotą, jakby widziała mnie po raz ostatni.

To oficjalne. Nie rozumiem kobiet. Nie mam pojęcia, co się czai w ich zawitych mózgach. Nie rozumiem ich logiki. Mam kłopot, by pojąć proste, ich zdaniem, komunikaty. Co się tu właśnie, u diaska, wydarzyło? Siedziałem osłupiały, zastanawiając się, czy to nie pokręcony sen, a ja wciąż leżę w kręgu, nieprzytomny, a zapach rosołu, suchość łóżka i mętlik w głowie są tylko halucynacją.

Pięć minut później usłyszałem pukanie. Wstałem i nieco chwiejnie podszedłem do drzwi. Zamek czasem zatrząskiwiał się bez użycia klucza. Otworzyłem szybko, pewien, że to Konstancja, która doszła do wniosku, że jednak powiedziała za mało, by móc liczyć na moje olśnienie. Ale to nie ona stała w progu. Spod strzechy ciemnobrązowych włosów spoglądały na mnie jasnoorzechowe oczy w kształcie idealnych migdałów. Nos nieznanomej był bardziej wydatny niż u Konstancji, z małym garbkiem. Cholernie podobny do nosa, jaki codziennie rano widziałem w lustrze.

– Napatrzyłeś się już? Może mnie wpuścisz? – powiedziała lekko zachrypniętym głosem. Przy całej pewności siebie, jaką próbowała emanować, widziałem, że jest zdenerwowana nie mniej niż ja. Przesunąłem się, by mogła wejść. Wmaszerowała zamasyście. Długie, chude nogi w martensach wystukiwały rytm na parkiecie. Luźne płócienne spodnie nie maskowały jej chudej kanciastości. Była niemal tak wysoka jak ja. Jej ruchy, nieco zbyt gwałtowne, kazały mi sądzić, że znacznie urosła w dość krótkim czasie i jej błędnik jeszcze sobie nie radzi z nowymi proporcjami.

– Mama mówiła, że nic nie wiesz... Gdybyś nie gapił się na mnie jak na ducha, pewnie bym jej nie uwierzyła, ale ty naprawdę nie wiesz, prawda? – Tą pozorną nonszalancją nie potrafiła zamaskować strachu przed odrzuceniem. Coś mnie ścisnęło w dołku i nie mogłem złapać tchu. – Tylko nie wykorkuj! –



rzuciła ostro, po czym podparła mnie swoim drobnym ramieniem i prowadziła w stronę łóżka. – Siądź i oddychaj. To nic strasznego. Jesteś ojcem, co z tego, jak nie chcesz, nic się w twoim życiu nie zmieni. Zmusiłam mamę, żeby mi o tobie powiedziała, to był prezent na piętnaste urodziny. Ale to wcale nie musi być też prezent dla ciebie, więc wyluzuj, staruszk.

Poklepałem miejsce na łóżku u swojego boku. Usiadła. A ja przez chwilę oddalałem groźbę hiperwentylacji. Nie każdego dnia człowiek zostaje ojcem. Nie każdego dnia w jego drzwiach staje wyrosnięta pannica...

– Kurczaczek? – zajarzyłem z prędkością średniej klasy idioty. Mówiła, że będę ją przepraszał i żałował wszystkich złośliwości. Niech ją diabli...

Młoda skrzywiła nos i prychnęła.

– To nie jest dobry początek... Mama może tak mówić, bo zaczęła, gdy byłam za mała, żeby protestować... Mów mi Wikta, a ja nie będę nazywała cię papciem ani wapniakiem. Co ty na to?

– Wikta?

– Eholalia, widzę, doskwiera, ale to nic. Mama mówiła, że oberwałś w głowę, może tylko nie wie, jak mocno... Wikta, od Wiktorii. Jak mam mówić do ciebie? Bez urazy, ale słowo „tata” na chwilę obecną stanie mi w gardle, skoro nic o tobie nie wiem – powiedziała rezolutnie.

– Witkacy, wszyscy mówią do mnie Witkacy. Tylko twoja mama mówi na mnie Piotr.

– Ciesz się, że nie „Kurczaczku” – wyszczerzyła się szeroko.





# Bossa nova dla szamana

## Rozdział I



**M**ożna uznać, że przyzwyczałem się do bezsenności – od dwudziestu lat po prostu nie sypiam dobrze. Czasem nie sypiam wcale. Trzy godziny snu świętuję papierosem satysfakcji „po”. Jeśli zdarzy się, że po tych trzech nastąpią kolejne trzy – wypalam całą paczkę. Częściej wypalam ją, czekając, aż sen przyjdzie.

Kobieta jest w stanie ograbić mnie z tych strzępów snu, jakie zwykle wyszarpywałem własnemu mózgowi. Właściwie dwie kobiety, ale to dość świeża wiedza. Wciąż ją przyswajam. Konstancja, o ironio zawarta w imieniu, była stałą zadrą. Nie przespałem przez nią więcej nocy, niż przespałem ich u jej boku. Wiktoria była... hmm, przeterminowaną nowością. Powinienem mieć ostatnie piętnaście lat, by przywyknąć do tego, że istnieje. Miałem piętnaście minut. Atena wyskoczyła z głowy Zeusa całkiem dorosła i odziana w zbroję. Kurczaczek po prostu weszła do mojego mieszkania. Ból głowy był tylko zbiegiem okoliczności.

Kiedy wyszła, nie łudziłem się, że zasnę. Położyłem się, bo ryzyko, że wyrznię o podłogę, było spore. Kolejne osiem godzin wypatrywałem na suficie równania, które przywróciłyby ład w tym, w co zmieniło się moje życie. Nie byłem zbyt dobry z matematyki. Co się robiło ze zmienną ukrytą w nawiasie? Na pewno znacząco wpływała na wynik równania.

Sarniooka panienka z garbatym nosem zostawiła mnie ze słowami:

– Przemyśl sobie, czy i w jaki sposób chcesz być obecny w moim życiu, i porozmawiamy jutro. Albo za kilka lat. Nie wiem, ile czasu zajmują ci procesy decyzyjne.

Miałem córkę. A ona swobodnie używała w zdaniu fraz takich jak „procesy decyzyjne”. Przegapiłem etap prostych dwusylabowców i apriorycznego uwielbienia dla ojców. Może wtedy łatwiej byłoby mi złapać z nią nić porozumienia. Wciąż wspominałem tę chwilę, kiedy oświadczyła mi, że jestem jej ojcem. Zareagowałem... cóż, jak idiota. „Aha” raczej nie wyczerpuje słów, które dzieciak chciałby usłyszeć. Miała sporo czasu, by się przygotować do tej rozmowy i wyobrazić sobie moją reakcję. Obstawiałem, że w jej fantazji byłem bardziej elokwentny.

Obracałem w dłoniach fioletową karteczkę, którą wręczyła mi na odchodne. Jej adres i numer telefonu pachniały bzem. Musiała wiedzieć, że jestem policjantem, ale widać nie dowierzała moim umiejętnościom. Nie dziwiłem się. W końcu co ze mnie za glina, skoro nie miałem pojęcia o jej istnieniu. Musiała dojść do wniosku, że lepiej nie zostawiać spraw na łasce mojej domyślności.

Wiktoria. To brzmiało tak poważnie. Za Kurczaczka mnie wybebeszy. I, Panie, dopomóż, ale nie zdołam chyba powiedzieć do niej „córko”. To jedna z tych umiejętności, które przyszli ojcowie trenują przez okres ciąży, a później na niemowlęciu, zbyt małym, aby zapamiętać, że robili z siebie głupka,

dławiając się, kiedy słowo nie chciało im przejść przez gardło. Może matkom przychodzi to łatwiej. A może po prostu są twardsze, niż chcemy wierzyć.

Wychodząc, dziewczyna powiedziała mi, że Konstancja czeka na ulicy na sygnał, czy chcę z nią porozmawiać i czy chcę ją w ogóle widzieć. Zamierzała mi wszystko wyjaśnić. Nie bardzo było co. Szesnaście lat temu zaszła w ciążę, ale uznała, że nie jestem odpowiednim kandydatem na ojca. Zwykle podejmowała rozsądne decyzje. Poza jedną, którą kiedyś uważałem za jej błogosławioną omyłkę – zakochała się i związała ze mną na kilka lat. Nie przyznałbym jej tego, ale była rozsądną kobietą i miała sporo racji, kiedy mnie zostawiła. Jeszcze do dziś temu mogłem się unosić dumą i mówić o zranionym sercu, ale kiedy na obrazku pojawiło się dziecko... Na jej miejscu pewnie zrobiłbym to samo. O ile w ogóle dopuściłbym takiego faceta jak ja na tyle blisko, by ciąża wchodziła w grę.

Być może nigdy by nie wróciła, gdyby nie możliwość, że młoda ma ze mnie coś więcej niż garbaty nos i sylwetkę zbyt szczupłą, by wyglądała dobrze gdziekolwiek poza przemysłem modowym. Wróciła, bo sprawa mogła być naprawdę poważna.

Myśli przelatwały mi przez głowę za szybko, by mogły mieć głębszy sens. Najchętniej zadzwoniłbym do Ti. Rzuciłbym kilka luźnych uwag, a ona jakimś cudem dodałaby dwa do dwóch, wyszłoby jej piętnaście i już by wiedziała, ile lat ma moja córka. Nawet nie zauważała, że tak robi. Niepokojące. Ale skoro w jej głowie coś się układa w jakąś całość, to może ma sens? Pochopne założenie, ale przez ostatnie lata znajdowałem w nim otuchę. Wciąż przebywała w Trójprzymierzu i załatwiała swoje wilcze sprawy. Może lepiej nie dzwonić. Po dłuższych wizytach w stadzie zwykle była w nastroju „węży gordyjskie najlepiej przecinać demonicznym mieczem”. A jedynym ostrzem, jakie pasowało do moich relacji z Konstancją, był miecz króla Marka.

Usiadłem na łóżku i oparłem się o zimną ścianę. Przez uchylone okno wdzierał się wilgotny chłód nocy. Atramentową ciemność rozpraszała pojedyncza lampa uliczna, zbyt niska, by zagłębiać mi na czwarte piętro. Grube warstwy chmur skrywały gwiazdy. Podobne kłęby ciemności wypełniały moją głowę. Nie potrafiłem się nie zastanawiać. Kolejna paskudna pozostałość po latach przyjaźni z Ti – gdybanie.

Jakim byłbym ojcem przez te piętnaście lat, gdyby dała mi szansę? Pewnie do dupy, spierdoliłbym to, jak wszystko inne. Ale wciąż było coś, co mogłem dla niej zrobić.

Jeśli młoda jest taka jak ja, nie mogłem pozwolić, by szła tą samą ścieżką samozniszczenia, jaką szedłem ja, zanim odkryłem prawdę. Niby każdy ma prawo do popełniania własnych błędów, ale wolałbym, żeby moja córka nie popełniła tych samych co ja.

Zwlokłem się z łóżka. Wciąż byłem słaby po walce z upiorem, Przedwiecznymi i ich prehistorycznym kotem oraz zabawach z sępem. Rozsądek podpowiadał, że powinienem poczekać, ale zignorowałem go z wprawą recydywisty. Niewykluczone, że padnę, jednak wszystko było lepsze niż leżenie w skotłowanej pościeli z idiotycznym wyrazem twarzy.

Ubrałem się, powoli, bo nawet założenie skarpetek wymagało krótkiej przerwy na złapanie oddechu i uspokojenie błędniaka, który uroił sobie, że jesteśmy na morzu. Wepchnąłem do kieszeni spodni telefon i nową paczkę fajek. Bo że będę potrzebował spokoju, jaki włączała mi w żyły nikotyna, byłem pewien. Przy Konstancji odpalałem papierosa od papierosa. Wieczny głód nikotynowy, dość intensywny, by zamaskować zupełnie inny rodzaj głodu.

Buty i kurtka wciąż były mokre, po tym jak zaliczyłem zgon w kałuży, więc wygrzebałem z szafy stare wojskowe trapery i kurtkę na kozuszkę. Miałem gorączkę i dreszcze, wolałem uniknąć gadania Konstancji. Przez lata, na które zniknęła z mojego życia, jej umiejętności zarządzania rozwinęły się nieznośnie. I tylko czasem sprawiało mi to przyjemność. Dewiacje wędrują meandrycznymi ścieżkami.

Na półpiętrze przypomniałem sobie o plecaku i zawróciłem. Świeża zasada młodego (głównie doświadczeniem) szamana: nigdy nie wychodzić z domu bez ekwipunku. Miesiąc temu niemal opętał mnie duch. Owszem, był żywotny, ale przesadnie ułatwiłem mu zadanie. Nie miałem soli, wody

święconej, ziół ani nawet bransoletki. Skończyłem, wijąc się na chodniku, z duchem starszej pani siedzącym na mnie okrakiem. Ona usiłowała się we mnie rozgościć, ja, świszcząc, piętami wystukiwałem na chodnikowych płytach rytm inkantacji odwołania. Zdołałem ją odesłać, ale nie było to coś, co chciałbym powtórzyć.

Żarówka przed klatką zgasła i zalała mnie ciemność. Zamrugalem zaskoczony. Cholera, przecież był środek nocy, za późno na wizyty czy telefony. Albo za wcześnie, w zależności od perspektywy. Nawet Ti by mnie skłęta, gdybym zadzwonił w okolicach piątej. Ruszyłem przed siebie. Za jakieś dwie godziny wciąż będzie wcześnie, ale mniej. Gdzieś po drugiej stronie Wisły szalała burza. Na Balonową docierało echo grzmotów i odległe błyski, ale choć powietrze pachniało ozonem i wilgocią, wciąż nie padało. Tyle dobrze. Ostatnimi czasy częściej, niżbym chciał, budziłem się nieprzytomny w kałuży lub odprawiałem rytuały podczas oberwania chmury. Może się starzałem, ale wilgoć nie kojarzyła mi się z romantycznymi spacerami z ukochaną w deszczu. Kojarzyła mi się z reumatyzmem i przeziębieniem.



Jak od niedawna miałem w zwyczaju, skanowałem otoczenie za pomocą zmysłów. Minęła godzina duchów, ciemność powoli się rozpraszała, ale wśród nadprzyrodzonych panowało spore poruszenie. Kącikiem oka wyłapywałem ruch przejrzystych tworów majaczących w bezpiecznej odległości. Żaden nie podchodził, nie zalił się, nie skarżył na podłość żyjących, nie miał do przekazania wiadomości najwyższej wagi. Było ich sporo, statystycznie – sporo za dużo. Nie powinno być w tej okolicy nic, co by ich przyciągało – żadnych cmentarzy czy kościołów, a do szpitala było za daleko, by przeciętny duch wybrał się na przechadzkę. Może zebrali się tu z mojego powodu. Bywałem wabikiem na tych, którzy może i stracili życie, ale nie potrzebę komunikowania się. Jeśli jednak mieli chęć na pogawędkę, czemu milczeli i trzymali dystans? To było dość niespotykane i nie miało sensu. Nie mogłem wykluczyć, że po chwalebnej walce z upiorem obrosłem w legendę brutala odsyłającego co popadnie, a duchy kłębiły się w okolicy, by dodać swemu życiu po życiu ciut adrenaliny. W większości były lekko niepoczytalne. Mniejszość była więcej niż lekko niepoczytalna.

Wyczulony na duchy, przegapiłem żywego. Bulwa kucakł wciśnięty między kontener na śmieci i ceglany murek oddzielający śmietnik od parkingu. Kiedy go mijałem, wychylił się i zacisnął pokrzywione palce na rękawie mojej kurtki.

– Kręcą się spirale chaosu, wszędzie, przyszły i już zostały. Szepczą o tobie w ciemności. Latarnia i wiry, światła migają sygnał – wyrzucał z siebie bełkotliwie.

Spojrzenie miał zasnutę mgiełką nadchodzącego upojenia. Z kieszeni za dużej kurtki narciarskiej wystawała butelka z zawartością równie fioletową jak jego nos. Szttywne od brudu ciemne włosy sterczały mu wokół głowy jak kolce jeżozwierz. Ubrania albo znalazł na śmietniku, albo miał je na sobie, kiedy w nim nurkował. Uderzył mnie smród, ale zwalczyłem odruch wymiotny.

Odkąd wiem o magii i własnym dziedzictwie, Bulwa jest tragicznym przypomnieniem, jak mógłbym skończyć, gdyby nie Ti. Urodził się podobny do nas, magiczny. Tyle że był z tym faktem całkiem sam. Zanim ktoś go znalazł i wyjaśnił podstawy, zbyt daleko zabrnął w alkohol i szaleństwo. Był bezdomny. Mógł mieć pod pięćdziesiątkę, ale metryka nie oddawała przebiegu i zniszczenia materiału. Odkąd pamiętam, kręcił się w okolicy, czasem zagadywał, czasem wyżebrał kilka złotych na bełta. Jego mamrotanie niepokoiło i przywoływało złe skojarzenia, ale spychałem je w ten sam kawałek mózgu, w którym trzymałem fakt, że wokół mnie nieustannie krąży fioletowy wir, a na ulicach rozgrywają się małe dramaty nie tylko żywych, ale i umarłych.

– Przyszli po ciebie, spirala, płonący ogon wiru! – powtarzał beładnie.

– Spokojnie – powiedziałem, odczepiając jego rękę od kurtki. – O czym mówisz? Duchy?

– Duchy, są wszędzie, idą tu, po spirali, krążą, mniejsze i mniejsze koła!

Wypowiedzenie pełnego zdania przekraczało jego możliwości. Oczy błyszczały mu szaleństwem.

Rozglądał się roztrzęsiony, owijając ramionami brzuch, jakby walczył z mdłościami. Na wszelki wypadek delikatnie się odsunąłem. Nie miałem suchych butów na zmianę.

– Widzisz je? – wycharczał.

Podążyłem za jego spojrzeniem. Kilka metrów od nas pięć duchów tłoczyło się na krawędzi kręgu światła rzucanego przez latarnię. Wyglądały... inaczej. Nie żeby duchy miały jakiś znormalizowany wizerunek, ale te musiały mieć naprawdę ciężki dzień, zanim stały się duchami. Jeśli w czasie kolizji były w samochodzie osobowym, po przeciwnej stronie musiał być tir albo tramwaj. Wzdrygnąłem się, widząc kręgosłup jednego z nich prześwitujący przez poszarpaną jamę brzuszną. To nie było normalne, duchy zwykle nie przenosiły obrażeń w życie pozagrobowe. Owszem, bywało, że szok towarzyszący śmierci w makabrycznych okolicznościach zostawiał na emanacji duszy jakiś ślad i biała dama straszyla czerwoną szramą, pamiątką po niegdyś podciętym gardle. Ale pięciu tenorów z flakami na wierzchu nie jest normą.

– Widzę, nic ci nie zrobią – odparłem, bo nie wyczuwałem od nich przesadnie wiele energii. Nie zachowywały się agresywnie, ale dreszcze i tak przebiegły mi po kręgosłupie. Możliwe, że byłem słaby jak kociak i właśnie doświadczałem pierwszych objawów grypy. Możliwe też, że coś, co nie powinno istnieć, właśnie łąziło po ziemi. I więcej niż prawdopodobne, że skoro jest z mojego departamentu, to ja będę musiał to odesłać. Wypadałoby się w tym celu dowiedzieć, z czym właściwie mam do czynienia. – Widziałeś takich więcej? – zapytałem alkoholika o mętym spojrzeniu.

Może nie był najlepszym źródłem informacji, ale z pewnością najbardziej wiarygodnym, z jakim się zetknąłem. Nawet Ti nie radziła sobie z duchami – głównie dlatego, że zwykle ich nie widziała. Poza małymi wyjątkami świat duchów trzymał się od niej z daleka. Na widok gangu wściekłych wilków wyciągała miecz lub spluwę. Gdy pojawiał się problem z czymś, czego nie da się zabić, bo już nie żyje, dzwoniła do mnie. Lub do Katii. Dla równowagi my dzwoniiliśmy po nią, gdy coś wymagało ubicia. Nazywam to równym podziałem obowiązków i związkiem partnerskim.

– Bebeszastych? – upewnił się Bulwa.

Przytaknąłem. Nie miałem pojęcia, czym właściwie są, ale „bebeszaści” brzmiało całkiem adekwatnie.

– Widziałeś ich więcej? – powtórzyłem. Opary alkoholu unoszące się nad odzieżą zaczęły rozpraszać Bulwę.

– Tylko tutaj. Lubią światła – dodał, jakby to było oczywiste.

Bulwa widział duchy, ale jaką dokładnie magią dysponował, tego nie wiedziałem. Jego mózg był za bardzo przeżarty wódką, by miało się to kiedyś wyjaśnić. Nie mogłem dla niego zrobić nic więcej, jak tylko dać parę złotych na znieczulenie i raz na jakiś czas uspokoić, że nie jest aż tak szalony, jak myślą wszyscy dookoła. Załatwiłem mu schronisko dla bezdomnych. Odszedł po jednej nocy. Aby móc w nim zostać, musiał być trzeźwy, a trzeźwość go przerastała. Nie oceniam. Może widział znacznie więcej niż ja. Może jego magia jest bardziej destrukcyjna. Może potrzebował wygłuszyć krzyki. Szaleństwo mógł dostać w pakiecie.

– Miej oczy otwarte. I znajdź mnie, gdyby coś się działo, dobrze? – zapytałem, dając mu wszystkie drobne, jakie znalazłem w kieszeni i portfelu. Grubych nie miałem, więc to musiało wystarczyć. Zresztą może bieda była jedynym, co chroniło go od zapicia się.

– Pójdę spiralą, coraz szersze koła, do źródła – zapewnił, co mogło znaczyć wszystko, z opisem wycieczki do monopolowego włączanie.

Intuicja, ta sama, która zwykle wiodła żywot Śpiącej Królowej, teraz nagle przebudziła się i hałaśliwie podpowiadała mi, że to nie koniec. Że cały ten wir i bebeszaści są zapowiedzią nieprzespanych nocy. Nie wzruszyłem się przesadnie. I tak mało spałem. A teraz miałem swoją spiralę

i swoje źródło.



Noc zapowiadała się na jedną z tych, kiedy spotykasz duchy świąt minionych i przyszłych. Nie wiem, za którego robił Bulwa, ale Gardiasz był tym, co czeka nas wszystkich na końcu wyboistej ścieżki. Pan Zaświatów to typ dość antypatyczny. Zielonkawa karnacja i zbyt szczupła, zapadnięta twarz przywodziły na myśl nekromantów ogarniętych trupią gorączką. Katia, znając chorobę zawodową swojej grupy społecznej, twierdziła, że różnice są subtelne, ale są. Musiałem jej uwierzyć na słowo.

Gdy czarny samochód z przyciemnianymi szybami podjechał do krawężnika, obstawiałem dwie możliwości: tandetna mafia albo Gardiasz. W sumie istniała tylko jedna – mafia nie pogardziłaby chromowanymi elementami karoserii, za to Gardiasz preferował czystą czerń karawanu. Gdy tylne drzwi długiej limuzyny się uchylły, niemal spodziewałem się uchwytu na trumny i wieńców z fioletowymi wstęgami z napisem „pogrążeni w żalu”. Rzeczywistość była niemal równie wesoła jak fantazja. Gardiasz, rozparty na siedzeniu, kiwnął ręką, bym wsiadał. Jasne. Co dalej? Mam wziąć lizaka i wpakować mu się na kolana?

Pochyliłem się, opierając o dach i uchylone drzwi.

– Wsiadaj – warknął.

– Dziękuję, nie. Spiesz mi się. Masz jakąś sprawę w okolicy? – zapytałem z udawaną swobodą. Wedle Ti Gardiasz to wyjątkowo upierdliwy członek Starszyzny, który z zasady jest na nie i od którego lepiej się trzymać z daleka. Cóż, próbuję, choć mam z tym jeden malutki problem – jako szaman, podobnie jak Katia, nekromantka, podpadam pod jego domenę, którą jest śmierć. Niezbyt komfortowa sytuacja. Przez jakiś czas zupełnie mi to nie przeszkadzało, ale to było, zanim Gardiasz uznał, że właściwie koniec bezkrólewia. Po tym jak Ti dość mocno namieszała w równowadze sił w Starszyźnie, pozbawiając stołka Brunona, byłego Alfę okolicznego stada, i osłabiając autorytet Katarzyny, za to wzmacniając pozycję Romana, wampirzego księcia, Gardiasz poczuł się zagrożony i nagle zapragnął trzymać rękę na pulsie. Metaforycznie, skoro w jego domenie puls się raczej nie zdarza. Dotąd wysyłał po mnie swoich pomagierów, teraz pofatygował się sam.

– Wsiadaj albo pożałujesz – warknął.

– Pożałuję, jeśli wsiądę. Wydajesz się nieco wytrącony z równowagi. Może wpadnij po dawce valium?

Wypuścił powietrze z wyraźną frustracją.

– Czy z wami nic nie może być proste? Dlaczego nikt w Starszyźnie nie uczy się na błędach i pozwalają, żeby kolejny nowotwór rósł na naszej piersi? – Jęknął dramatycznie dla podkreślenia swoich słów.





Kolejny powód, by trzymać się raczej ludzkiego świata i nie zapuszczać zbyt często na drugą stronę

bramy. Lubiłem ten kruczek w prawie nadprzyrodzonym o zakazie niepotrzebnych manifestacji.

– To powiedzenie brzmi zupełnie inaczej – mruknąłem, ale hej, nie można karać ludzi czy bóstwa za odrobinę słowotwórczej inwencji! – Czemu zawdzięczam twoją wizytę, Gardiaszu? – zapytałem względnie uprzejmie, bo skoro pozwalał sobie na dramatyczne westchnienia, nie był w nastroju na zabijanie. Raczej.

– Uznaj to za wizytę kontrolną. Sprawdzam, czy nie przychodzą ci do głowy głupie pomysły. Odczyty pola są dość niestabilne – mówiąc to, spoglądał na mnie badawczo.

Pole, o którym mówił, nazywałem trupa energią. Magiczne linie są wieczne. Bez nich nie byłoby magii. W teorii są niezmiennie, ale na odczyty wpływ ma wiele czynników. To poniekąd zamknięty obieg. Sięgamy do linii po energię, którą zmieniamy w magię, a korzystanie z magii wytwarza energię, która wraca do linii. Pewnie istnieje na to wzór, ale jeszcze do niego nie dotarłem. Wiedziałem jednak, że energia pobrana i oddana nie są równoważne. Magia może dosłownie pożerać energię, są też rytuały czy zaklęcia, które oddają znacznie więcej energii, niż potrzeba, by powstała. Dość ekologiczne rozwiązanie. Skoro coś zaniepokoiło Gardiasza, musiało pochodzić z jego departamentu – czyli trupów.

Umierając, człowiek rozdziela się na ciało, duszę i energię. Energia powinna ująć do magicznej linii, ale czasem pewna jej ilość zostaje z duszą i tę duszę zatrzymuje. I już, mamy ducha. Jeśli chcę ducha wywołać lub odesłać, czerpię z magicznej linii energię kompatybilną z moim typem magii. Trupa, pokrótce. A Gardiasz czerpał z niej swoją potęgę, więc zapewne miał swoje sposoby na monitorowanie linii magicznych.

– Nie mam z tym nic wspólnego. – Wzruszyłem ramionami. – W ostatnich dniach uporałem się z upiorem i duchem trzeciego poziomu. To detale, nic, co wpłynęłoby w znaczący sposób na linie.

Przez chwilę po prostu patrzył, ale musiał wyczuć, że mówię prawdę. Skubaniec zawsze wiedział. Raz czy dwa próbowałem go okłamać. Trenowałem z nim technikę uniku lub odpowiedzi częściowych i udawało się tylko sporadycznie.

– A twoja dziewczyna? Ma coś na sumieniu?

– Jest już w Toruniu? Słyszałem, że miała jechać do Monachium czy Bonn. Nie rozmawiałem z nią od kilkunastu dni – powiedziałem.

Wiedziałem, że Katia wróciła, bo widziała się z Konstancją. Ale zdecydowanie nie skłamałem, mówiąc, że z nią nie rozmawiałem – gdy wpadła, akurat byłem nieprzytomny. Gardiasz znów posmakował powietrze czubkiem języka, jak wąż. Nie wyczuł kłamstwa.

– Mam na was oko. Nie dopuszczę, żeby kolejna Dora Wilk narobiła bałaganu!

– Przecież wiesz, że Dora Wilk jest tylko jedna.

– Dzięki bogom za małe łaski – powiedział z niesmakiem. – Gdyby nie była w Trójprzymierzu, podejrzewałbym, że to ona odpowiada za zakłócenia. Ma do tego specjalny dar. A to, że się przyjaźnicie i kryje ci plecy, tylko mnie niepokoi. Najchętniej... nieważne. Pilnuj się, szamanie, bo nie będę miał litości. Jeden fałszywy krok: tylko tyle mi potrzeba.

W jego niezdolność do litości wierzyłem. Od pierwszego spotkania z nim próbowałem nie zwracać uwagi na dusze, które widziałem wokół niego. Nie wiedziałem, czym są, nie znalazłem wyjaśnienia w księgach, ale były w jakiś sposób uwięzione. Zastanawiałem się, czy są niewolnikami, groźbą, czy pokutą, a jeśli tym ostatnim, to... dla kogo. Teraz też otaczały Gardiasza i wypełniały obszerne wnętrza samochodu. Kolejny powód, dla którego nie chciałem wsiadać do środka. Nie patrzyłem na nie, koncentrując się na wzorzystym krawacie Pana Zaświatów, lubującego się w stylu szefa konduktu pogrzebowego. Raz w jego obecności wymusnęło mi się coś na temat podążających z nim dusz. Wściekł się. To, jak myślę, ustawiło nasze relacje na przyszłość. A jeśli umrę, trafię do jego domeny i całkowicie pod jego władanie. Chyba że znajdę sposób, by trafić do piekła czy nieba. Stawiałbym na piekło, choć równie łatwo przyszyłoby mi się wyhodowanie skrzydeł. Zaświaty z każdym dniem wydawały się mniej przyjaznym miejscem do spędzenia wieczności – za życia czy po śmierci.

Gardiasz skończył swoje zastraszanie. Zatrzasnął drzwi tak szybko, że ledwie zdążyłem zabrać palce. Może powinienem go zagadnąć o spirale, światła i bebeszastych? Nie, wolałem się nie wychylać. Zapytany o źródło, nie chciałem mu dawać Bulwy na srebrnej tacy. A jeśli działo się coś złego, wolałem nie występować z informacjami o tym w jednym zdaniu. Patrzyłem, jak odjeżdża, przeklinając w duchu. Tęskniłem za czasami, kiedy jedynym zwierzchnikiem, z jakim musiałem sobie radzić, była Anita. Po latach pod jej rządami nauczyłem się nie tyle sobie z nią radzić, co unikać ciosów. Gardiasz podniósł mi poprzeczkę.



O której mężczyzna z przeszłością ma prawo pojawić się na progu kobiety po przejściach? Minęła szósta. Czas tak szybko mija, kiedy wpadniesz na starego kumpla. Albo dwóch.

I tę decyzję podjęła za mnie, pomyślałem, widząc jej numer na wyświetlaczu telefonu.

– Jak się czujesz? – zapytała zamiast powitania.

– Budzisz mnie, żeby zapytać, jak się czuję? – zablefowałem.

– Oboje wiemy, że nie śpisz.

– Najwyraźniej nie ja jeden.

Przez chwilę miałem ochotę rzucić jakiś złośliwy komentarz, ale ugryzłem się w język.

– Jak ona się ma? – zapytałem.

– Z nią nigdy do końca nie wiadomo. Powie mi, gdy uzna, że powinnam wiedzieć.

– Nieodrodna córka swojej matki.

– Nie po mnie ma ten skrajny introwertyzm.

Przez chwilę milczeliśmy. Z całą świadomością, że moglibyśmy tak bez końca.

– Możemy się spotkać i porozmawiać po ludzku? Chciałabym ci wyjaśnić kilka rzeczy – powiedziała niepewnie.

Westchnąłem i z całą dojrzałością, na jaką mnie stać, odparłem:

– Jestem pod twoim blokiem.

I to była prawda. Nawet nie zauważyłem, kiedy przeszedłem niewielką odległość dzielącą Balonową od Wodociągowej. Tak blisko. Ile razy mijałem Kurczaczka na przystanku autobusowym, nie wiedząc, że jest moją córką?

Konstancja rozłączyła się. Po trzech minutach na klatce schodowej zapaliło się światło. Z impetem pchnęła drzwi wejściowe do budynku i wyszła owinięta wełnianym, zapinanym na drewniane guziki swetrem. Naprawdę musiała lubić kolor czerwony. Chyba że ten nazywał się zupełnie inaczej, nawet jeśli wyglądał jak czerwony.

– Długo tu stoisz? – zapytała, podchodząc.

– Dopiero przyszedłem – powiedziałem zgodnie z prawdą.

Wyraźnie chciała zapytać o coś jeszcze, ale tylko pokręciła głową i zacisnęła usta. Słusznie. Lepiej nie zadawać pytania, jeśli nie mamy pewności, czy damy radę strawić odpowiedź.

Przeszła kilka kroków i z ciężkim westchnieniem opadła na ławkę.

– Jak bardzo mnie w tym momencie nienawidzisz? – zapytała w końcu.

Przez chwilę po prostu na nią patrzyłem. Nie bez małej satysfakcji zauważyłem, że zbladła, a jej cienie pod oczami były głębsze niż wczoraj. Nadal była nieznośnie ładna i niewielkim wysiłkiem mogłaby zamienić mężczyznę w śliniace się warzywo, ale dziś wyglądała na swoje trzydzieści sześć lat.

– Za mocne słowo. Sporo mi zabrałaś. Nie poskładałem wszystkiego do dziś – odparłem.

Mógłbym powiedzieć, że odchodząc, pozbawiła mnie terażniejszości i przeszłości, bo żadnej bez niej

nie widziałem, ale trzeba chronić miękki środek. Może i wróciła, ale jej ząbki i pazurki wciąż były ostre. Po co ułatwiać jej zadanie? I bez tego wie, gdzie mnie zabol.

– Bałam się, że się rozsypiesz, że zaczniesz więcej brać – szepnęła.

To miłe, że się martwiła. Nie żeby nie chciała się upewnić, że tak się właśnie nie stało.

– Nie byłem dość pozbierany przed twoim odejściem, żeby móc cię winić za wszystko. Co nie znaczy, że nie próbowałem – przyznałem. – Nie rozumiałem, dlaczego uznałaś, że nie jestem wart głupiego choćby pożegnania – dodałem, choć miałem do tego nie wracać.

– Przerastało mnie. Nie mogłam.

W powietrzu przetoczył się grzmot. Znacznie bliżej niż godzinę temu. Już wiedziałem, że zmoknę, i pogodziłem się z tym. Po prostu pasowało to do całości – do obolałego ciała i rozdrapywania starych ran. Wyciągnąłem papierosa. Przynajmniej wciąż było dość sucho, by zapalić. Spojrzała na mnie z naganą, a ja prawie parsknąłem jej śmiechem w nos. Jej uniesione brwi nie miały mocy sprawczej. Już nie. Zaciągnąłem się mocno, aż poczułem lekki zawrót głowy.

Jak bardzo życie pragnie być kliszą? Bohaterowie starych filmów mogli przynajmniej wypić drinka przed mierzeniem się z problemami i kobietami. I dla bezpieczeństwa, by rzeczywistość nie zaskoczyła ich w stanie zbyt trzeźwym, popijali od śniadania. Przydałaby mi się porcja płynnej odwagi i procenty elokwencji. Może właśnie dlatego spotkałem Bulwę o tej nieludzkiej porze. Ostrzeżenie.

– Możemy to rozgrzebywać albo przejść do tego, co jest najważniejsze – dodała cicho.

– A co jest najważniejsze?

– Nasza córka. Masz rację. Odebrałam ci wtedy wiele, ale przyznaj, że zwracam wszystko z procentami. Tylko ona jedna wyszła nam znakomicie. Całą resztę koncertowo spieprzyliśmy.

Mógłbym się z nią zgodzić, gdyby nie ten cholerny niepokój, który nie pozwalał mi zmrużyć oka.

– Co mam z nią zrobić? – zapytałem.

– Co chcesz. Jak długo pamiętasz, że ona i jej dobro są najważniejsze. Ona cię potrzebuje, Piotrze.

– A ty? – za późno ugryzłem się w język.

– Ja się w tym równaniu od dawna nie liczę. Nie ma co kusić losu. Zasłużyła na więcej niż mydlana opera w wykonaniu ludzi, którzy powinni być jej oparciem.

– Zawsze racjonalna – rzuciłem z zazdrością.

– Nie zawsze. Przy tobie się zapominałam. – Uciekła spojrzeniem w rozświetlone błyskawicą niebo.

Świtało. Burza i wschód słońca walczyły o uwagę niczym dwie wypacykowane panny, efektowne i równie puste, jeśli po żadnej z nich nie spodziewasz się niczego dobrego.

Wiedziałem, ona pewnie też, że temat nie jest wyczerpany ani przedawniony. Wróci. Ale teraz nie musieliśmy go drążyć. Może kiedyś, jeśli pod ręką będzie dość znieczulaczy. W jednym miała rację: my już spieprzyliśmy, Kurczaczek wciąż miała szansę.

– Opowiedz mi o niej. Dlaczego myślisz, że jest taka jak ja? Musi chodzić o więcej niż nos i wystające żebra – powiedziałem.

Westchnęła. Trochę z ulgą, trochę z frustracją. Zawsze potrafiłem doprowadzić ją do tego stanu, kiedy przymykała oczy, liczyła do trzech i wymieniała w duchu racjonalne powody, by mnie nie uderzyć. Znów argumenty przeciw przemocy przeważały, bo ze świstem wypuściła powietrze i zaczęła mówić. Cicho, jakby bała się, że wypowiedziane na głos słowa zabrzmiały bardziej idiotycznie niż wyszeptane. Wiele słów ma takie właściwości. Zwłaszcza „na zawsze” i „nigdy”.

– Naprawdę nie wiem, od czego zacząć. Może najłatwiej mi będzie wytłumaczyć to przez analogię. – Potarła skronie palcami. – Kiedy byłam z tobą, wyczuwałam.. energię, to chyba najważniejsze słowo. Gromadziła się wokół ciebie, jakbyś wciąż chodził w naelektryzowanym wełnianym swetrze. Czasami, gdy spaliśmy, odpływałeś. Po prostu czułam, że cię ze mną nie ma, choć twoje ciało leżało obok. Myślałam, że to wina narkotyków, że wyczuwam twój odlot. Nie spałam przez całą noc, sprawdzając, czy oddychasz, czy twój puls jest właściwy, czy nie zafundowałeś sobie złotego strzału.

Unikała mojego spojrzenia, a ja mentalnie kopałem się w dupę.

– Miała trzy, może cztery latka. Nie chciała spać w łóżeczku i regularnie przychodziła do mnie. Wiele dzieci tak robi. Była wystraszona i zapłakana, więc pocieszałam ją, że to tylko zły sen. Niepokoiłam się trochę tymi jej koszmarami, bo zdarzały się dość często, choć jej pediatra twierdził, że to normalne, bo dziecięcy mózg szybko się rozwija i przetwarza dane. Pewnego dnia przytuliła się do mnie i zasnęła. A potem zniknęła. – Nawet po tylu latach głos Konstancji się łamał. Kurczowo zacisnęła dłonie na miękkiej wełnie swetra. – Jej ciało, wciąż ciepłutkie i pachnące, leżało tuż obok, a mimo to czułam, że jej ze mną nie ma, czułam jakąś pustkę. Tak samo jak wcześniej z tobą. Spanikowałam. Była za duża na klasyczny przypadek śmierci łóżeczkowej, ale... Próbowałam ją obudzić. Nie reagowała. Oddychała, jej serduszko biło, temperatura ciała była w porządku, ale nie budziła się. Z medycznego punktu widzenia wszystko było z nią w porządku. Nie wezwałam pogotowia, bo co miałam im powiedzieć? Czekałam do rana, modląc się, żeby było tak jak z tobą, żebym nagle poczuła to napięcie w powietrzu, a ona wróciła jakby nigdy nic. I tak się stało.

– To był jeden raz? – zapytałem.

– Nie. Powtarzało się. Za często, żebym mogła spać spokojnie. Zawsze wracała, ale bałam się, że któregoś dnia po prostu się nie obudzi. Potem miała fazę niewidzialnych przyjaciół. Mówiła, że już się nie boi, bo oni jej pilnują, gdy śpi, i dlatego strachy nie przychodzą. Niby nic dziwnego, wiele dzieci miewa wymyślonych towarzyszy zabaw. Ale ich matki nie dostają ciarek, przechodząc w nocy przez dziecięcy pokój.

– Nie było ci lekko – powiedziałem.

– Było warto. Jest cudownym dzieckiem i nigdy nie żałowałam, że mi się przytrafiła. Po prostu... żałuję, że nie mogłeś mnie wtedy uspokoić, powiedzieć, że to całkiem normalne.

– Nie zrobiłbym tego – przyznałem posępnie.

Uniosła głowę z przerażoną miną.

– Chcesz powiedzieć, że to nie są... normalne zjawiska w twoim... świecie?

Naprawdę się starała, musiałem jej to przyznać. Jak na kogoś, kto nie będąc magicznym, styka się z magią, zachowywała pozory spokoju i próbowała sobie wszystko poukładać.

– Nie mam pojęcia, jak przebiega rozwój magicznych dzieci!

Widząc jej minę, westchnąłem.

– Nie pamiętam, żeby przytrafiały mi się takie rzeczy. Co niewiele znaczy. Nawet jeśli mała odziedziczyła moją magię, nie musi się ona przejawiać dokładnie tak samo. Wtedy nie mógłbym cię uspokoić, bo sam nic nie wiedziałem. Opętanie, schizofrenia i guz mózgu były najbardziej prawdopodobnymi, ale nie jedynymi wytłumaczeniami, jakie przychodziły mi na myśl. Prawdę poznałem całkiem niedawno. W dzieciństwie Kurczaczka byłbym bezużyteczny.

Nawet dla mnie brzmiało to jak stwierdzenie, a nie mętne przypuszczenie.

– Przepraszam, że nie dałam ci szansy.

Miło, że to powiedziała, ale nie miałem złudzeń.

– Spieprzyłbym ją. Jak każdą, którą dostałem po drodze.

Wygrzebałem z kieszeni kolejnego papierosa. Zaciągając się dymem, zapytałem, bo nie dawało mi to spokoju:

– Dlaczego do mnie przysłaś, powiedziałaś mi o wszystkim?

– Kilka lat temu obiecałam Kurczaczkowi, że gdy skończy piętnaście lat, opowiem jej o ojcu.

– A wcześniej? Co jej mówiłaś?

– Niewiele. Przyjęła do wiadomości, że tata żyje, ale mieszka gdzie indziej.

– Powiedziałaś jej, że jej nie chciałem albo odszedłem?

– Nie. To byłoby nieuczciwe. Powiedziałałam, że tatuś czasami nie wie, że ma dziecko, i to dla niego niespodzianka.

Zakrzusiałem się dymem.

– Miała pięć lat i wzięła mnie z zaskoczenia! – wytłumaczyła się, choć kąci jej ust drgnęły w tłumionym uśmiechu. – Spodobało jej się, że jest niespodzianką. Powstrzymała się przed krzyknięciem ci w twarz: „Niespodzianka” tylko dlatego, że wyglądałaś na kogoś, kto może dostać zawału. Kurczaczek ma swoiste wyczucie dramatyzmu. Sam się przekonasz.

Cóż, tego na pewno nie miała po mnie.

– Nie zrzuciłam winy na ciebie, jeśli tego się obawiasz. Nie wychowywałam jej w przekonaniu, że jesteś niedobrym facetem, który jej nie chciał. Niewiele jej mówiłam, bo nie chciałam rozbudzać jej ciekawości, ale obiecałam jej, że wszystko jej wyjaśnię, gdy podrośnie. I to do niej należała decyzja, czy się z tobą skontaktować.

– Sprawdziłaś mnie wcześniej – to było stwierdzenie, nie pytanie.

– Oczywiście.

W sumie nie dziwiłem się, zrobiłbym to samo.

– Jakiś czas temu znalazłam u niej papierosy, potem marihuanę. Sprawdziłam jej historię przeglądarki. Zaniepokoiła mnie.

Przez chwilę po prostu na nią patrzyłem. Pokusa testu była nieodparta. Co by zrobiła, gdyby jej córka była magiczna? A co, gdyby wszystko, co ją niepokoi, było tylko objawami dojrzewania? Gdyby jej córka nie miała połowy moich genów i gdybym nie zostawił w jej wspomnieniach mętliku... czy coś budziłoby jej obawy? Nie wątpiłem, że jeśli Kurczaczek okaże się magiczna, Konstancja to zaakceptuje. Ale czy ta akceptacja rozciągnie się na mnie? Nie znałem odpowiedzi. Wiedziałem, że się boi. Ale w jej oczach oprócz mgiełki strachu dostrzegałem bezwarunkową miłość, gdy tylko wspominała córkę. Ścisnęła mnie w żołądku. To było zbyt obce, bym czuł się komfortowo.

– To wciąż może być typowy bunt nastolatki – powiedziałem ostrożnie. – Dzieci są naturalnie wrażliwe na magię. U Kurczaczka jako córki szamana ta wrażliwość może być większa, nawet jeśli ona sama nie jest magiczna. To może być przejściowe, a ona z tego wyrośnie. Dzieci wyrastają z różnych rzeczy: z astmy, kucyków, bezkrytycznego uwielbienia dla ojców... To jedno jej nie grozi.

Patrzyła z taką nadzieją, jakbym jej obiecał, że Święty Mikołaj przyniesie jej szczeniaczka. Chciała, by jej córka była normalną, zdrową dziewczyną bez całego bałaganu, jaki w jej życie wniósłby pierwiastek magiczny. Pragnęła porządku – przecież dlatego pozbyła się mnie te lata temu. Mogłem jej dać złudzenia, ale nie pewność. I choć dwadzieścia cztery godziny temu nie wiedziałem o istnieniu swojej córki, w pokręcony sposób czułem się odpowiedzialny. Za nią i za odpowiedzi na cisnące się na usta pytania.

W teorii powinienem zawieźć młodą do Trójprzymierza i poddać ją skanowaniu. To rodzaj rytuału, który przeprowadza pamiętająca czasy Piastów szeptunka Darń, by poznać zawilosci drzewa genealogicznego i magii jednostki. Dość bezpieczna metoda rozpoznania. Wiktoria zasnęłaby, a gdyby okazało się, że jest normalnym dzieckiem, nie pamiętałaby niczego. Tradycyjnie tak właśnie postępowano z dziećmi, co do których istniały podejrzenia, że są magiczne albo urodzone w magicznych rodzinach. Testy pozwalały stwierdzić, czy dzieci są obdarzone magią (bo z magicznych rodziców mogły się rodzić całkiem niemagiczne dzieci), a jeśli tak, to jakim jej rodzajem, jako że magia dziecka nie musi być prostym odbiciem magii rodziców. Magia jest zmienna, ewoluuje, krzyżuje się, manifestuje na różne sposoby. Talenty wypływają po kilku pokoleniach albo mutują w nową jakość. Skan pokazywał przeszłość genetyczną istoty i na długo przed pierwszą manifestacją w znacznym stopniu pozwalał zobaczyć, jak będzie się objawiała jej magia w przyszłości. Od dwudziestu czy trzydziestu lat testom poddaje się coraz młodsze dzieci, by uniknąć niespodzianek. Jeśli Kurczaczek nosiła w sobie jakiś nieprzyjemny kawałek magii, musiałem o tym wiedzieć, by nigdy nie poczuła się z tego powodu winna czy niechciana. Nie zawsze w pobliżu dziecka jest ktoś, kto rozpoznałby w nim istotę magiczną. Zupełnie normalni ludzie też miewali magiczne dzieci, bowiem magia może wypłynąć w genach po kilku pokoleniach. Ja czy Dora byliśmy przykładami na to, że to nie jest przyjemne, nie jest też bezpieczne.

U mnie magia czaiła się do okresu dojrzewania. Dorę wypełniała od dziecka i budowała dystans między nią a jej rodziną, która jej nie rozumiała i nie bardzo chciała zrozumieć. To wszystko było skomplikowane i chciałbym mieć w sobie dość zaufania, by powierzyć Starszyźnie z Trójprzymierza los mojej córki. Choć ich umiejętności pomogłyby mi odkryć prawdę i w teorii zasady były proste i transparentne, przypadek Ti obnażył drugie dno ich postępowania. Nie tylko zatajono przed nią szereg istotnych informacji, ale przekazano je bez jej zgody Brunonowi, lokalnemu Alfie, który wykorzystywał owe informacje przeciwko niej. Sam rytuał poznania okazał się narzędziem paskudnego procederu tłumienia w dzieciach części magii z powodów ideologicznych. I nie podobała mi się myśl, że mogliby zrobić coś takiego mojej córce.

Odkąd stałem się częścią magicznego świata, trzymałem się tak daleko, jak mogłem, od rządzącej nim polityki. I wołałem, by Kurczaczek pozostała poniżej radaru Starszyny tak długo, jak to możliwe. Zwłaszcza że Konstancja z jej świeżą wiedzą o istnieniu nadprzyrodzonego była chodzącym dowodem na to, że złamałem zasady.

Gardiasz i bez tego miał na mnie oko. Katarzyna jeszcze się nie podniosła po zderzeniu z panną Wilk. Gdybym dał jej szansę na zemstę, wykorzystalaby każdy jej okruszek. Wyrwanie się spod podległości Pani Ognia i Wody, która pełniła funkcję mojej mentorki, było wyzwaniem. Udało mi się wyłącznie dlatego, że miałem po swojej stronie Ti, która potrafi być najbardziej upartą istotą na świecie, jeśli coś dotyczy jej przyjaciół. Katarzyna obudziła w niej „szaloną sukę”. Obecnie Dora była moją mentorką, ale nie miałem gwarancji, że Starszyna zgodzi się, aby była też mentorką nastolatki. Mnie spisali na straty, wierząc, że nie nauczą starego psa nowych sztuczek. Szczeniaczek to zupełnie inna sprawa. Ale prędzej mnie piekło pochłonie, niż pozwolę, by Gardiasz czy Katarzyna położyli łapy na Kurczaczku. Mogłem być kiepskim kandydatem na rodzica, ale z tą dwójką wygrywałem w cuglach.

Konstancja nie miała o tym wszystkim pojęcia, a i tak wyglądała na chorą z nerwów.

– Dowiesz się, jak z nią jest? – zapytała cicho.

Przytaknąłem. Nie wiedziałem jak, ale musiałem się dowiedzieć – oczywiście nie zdradzając jej zbyt wiele, dopóki się nie upewnię, że jest magiczna. Zdradzenie Konstancji moich tajemnic wciąż mogło mi wybuchnąć w twarz, wołałem więc nie ryzykować z Kurczaczkiem.

Czy jeśli młoda nie jest taka jak ja, to w ich życiu wciąż będzie dla mnie miejsce? Ta nieco cyniczna myśl nie dawała mi spokoju. Choć nawet nie wiedziałem, czy to miejsce jest tym, czego brakuje mi do szczęścia.

## Rozdział II

Gdy wchodziłem na ulicę Świętego Józefa, lunęło. Do domu mogłem dotrzeć w kilka minut, ale nie miałem siły przyspieszyć. Zmoknięcie było nieuniknione, a ja czułem się jak coś, co pies przyniósł w pysku z wyprawy po śmietnikach. Postawiłem kołnierz kurtki – to wszystko, na co było mnie stać.

Duchów było nawet więcej niż o piątej rano. Kątem oka wyłapywałem ich frenetyczne ruchy w ciemnych bramach, między drzewami, za żeliwnym ogrodzeniem. Był dzień, lało jak cholera, nie powinienem widzieć nawet jednego leniwego sukinsyna. Próba przywołania któregoś z nich w deszczu powinna się skończyć frustracją i głęboką refleksją nad tym, co ja właściwie robię ze swoim życiem.

Duchy, nie licząc wyjątków, takich jak duchy topielców, nie lubiły wody. Deszcz był zbyt ciężki, rozpraszał energię, którą kumulowały. Dlaczego więc teraz, podczas ulewy, hasały stadami? Dwóch bebeszastych przepłynęło mi drogę. Równie zły znak co dwa tłuste czarne koty kulące się pod

zadaszeniem przy wejściu na klatkę. Coś było nie tak.

Przez chwilę, gdy ściana deszczu zgęstniała w białawą kurtynę pniącą się na styku z kałużami, wydawało mi się, że zobaczyłem światło. Jakby mglisty odbłask, zielonkawo-pomarańczowe echo rozlewające się po powierzchni wody. Wypowiedziałem zakłęcie widzenia, ale było za późno. Czymkolwiek to było, zniknęło. Dobrze wiedzieć, że jeśli nie mam pod ręką rzeki czy strumienia, uznawanych za doskonałą ochronę przeciwmagiczną, wystarczy deszczówka spływająca wartko przez podjazd do studzienki burzowej. Woda rozbroiła zakłęcie. Albo to, co miało obnażyć, przestało istnieć. Obejrzałem się przez ramię, ciekawy, czy miało to jakiś wpływ na duchy. Były tam. Nieco zdezorientowane i mętne, ale były. Bebeszaści zniknęli.

Wchodząc po schodach, otrzępywałem się z wody jak pies. Lodowate strużki spływały mi wzdłuż kręgosłupa. Nic, z czym nie poradzi sobie bojler ciepłej wody, pomyślałem, przekręcając klucz w zamku. A przynajmniej próbując, bo drzwi były otwarte. Miałem pewność, że je zamknąłem, wychodząc przed świtem.

Napiąłem się i ostrożnie nacisnąłem klamkę. Skrzypnęły tylko trochę, kiedy prześlizgnąłem się między nimi a framugą. Przez okna wpadało dość światła, bym zauważył intruza. Ułatwił mi zadanie, stojąc w poświacie lodówkowego światła.

– Co tu, u diabła, robisz? – warknąłem.

Odwrócił się z uśmiechem, który zapewne miał być przymilny i uprzejmy. Wyglądał jak jeden ze zboków wabiących małe dziewczynki cukierkami. I choć kiedy widziałem go ostatnio, wyglądał jak sęp, a teraz był blond dryblasem, wiedziałem, że to on. Chudy, nieogolony i dość niechlujny, co mogło wynikać z tego, że miał na sobie moje ciuchy.

– Zadałem ci pytanie. Co tu, u diabła, robisz?

– A gdzie twoim zdaniem miałbym być? – zapytał, kręcąc głową bardzo ptasio i niesłychanie denerwująco.

– W zaświatach? Gdzie twoje miejsce?

– Taaa, świetne miejsce na przycupnięcie, po tym jak wyrwałem cię ze szponów Przedwiecznych, krzyżując im plany. Na pewno chętnie porozmawialiby ze mną o tym, dlaczego uważają, że przekroczyłem kilka zasad. Dwieście, może trzysta, ale hej, bądźmy optymistami, tylko za połowę z nich mogliby mnie zabić!

Wymachiwał rękoma, w których trzymał ketchup i paczkę parówek. Po prostu tryskał humorem. A ja zaczynałem mieć złe przeczucia. Moja kawalerka wydała mi się nagle mała i duszna.

– Nie możesz tu zostać... – powiedziałem z pewnością, której nie miałem.

To nie tak, że podpisaliśmy kontrakt i miałem przed oczami te wszystkie zapiski drobnym druczkiem i po gwiazdce. Wciąż niewiele wiedziałem o relacji szamana z duchem opiekuńczym. A nawet gdybym przeczytał na ten temat wszystko, co miałem pod ręką, sęp wydawał się znacząco odbiegać od średniej.

Wyprostował się, pociągnął solidny łyk mleka prosto z kartonu, beknął i wyszczerzył się w uśmiechu złego chłopca. Może zadziałałoby lepiej, gdybym był dziewczyną z kółka szachowego.

– Wyluzuj, nie zamierzam. Przynajmniej nie na długo – dodał beztrzesko. – Muszę odpocząć, zjeść coś, wyspać się. Dojść do siebie, po tym jak bez kumulowania energii przekroczyłem bramy zaświatów, na twoje wyraźne życzenie, a potem sporym wysiłkiem dowlokłem twoją dupę do ciała. Duszę właściwie, ale wiesz, co miałem na myśli.

Zniknął zły chłopiec. Stało przede mną niewiniątko wzruszające ramionami, oczekujące tylko odrobiny wdzięczności. Nie nabrałaby się na to nawet moja babcia, a Pan mi świadkiem, była kobietą nieco naiwną. Mimo to jednak poczułem się niezbyt dobrze na myśl, że miałbym go w takich okolicznościach wywalić z mieszkania. Na bruk, na deszcz... cholera jasna.

Znałem już kogoś, kto potrafił uruchomić we mnie pokłady winy kilkoma słowami. Ale sęp miał rację. Gdyby mi nie pomógł, byłoby po mnie.



– Doba wystarczy? – zapytałem niechętnie.

– Jasne. Może dwie. Rynek mieszkaniowy w tym mieście jest dość chujowy.

Ból głowy pojawił się nagle. Wykiełkował u nasady nosa, a po chwili rozkwitał już za oczodołami i na skroniach.

– Dlaczego szukasz mieszkania w Toruniu? – zapytałem. Bałem się odpowiedzi.

– Muszę być blisko mojego nowego druha, nie? – wyszczerzył się i znów poczułem się jak wabiona cukierkami dziewczynka.

Zatrzasnąłem drzwi i powiesiłem swoją moką kurtkę koło wypasionej motocyklowej kurtki z emblematem firmy produkującej samochody kosztujące więcej, niż zarobię przez całe życie.

– Herbatę czy kawę? – zawołał z kuchni.

– Herbatę – powiedziałem, bo mogłem nią popić tabletki przeciwbólowe. Kranówka też by się nadawała, ale herbata miała przynajmniej posmak, który mówił: „Spotyka cię coś miłego w tym oceanie gówna”.

Popijając zbyt mocną herbatę, przypominałem sobie o Bulwie i o tym, co bełkotał. W połączeniu z dziwnym zachowaniem duchów podczas ulewy mój niepokój wydawał się całkiem uzasadniony.

– Czy widziałeś na zewnątrz jakieś światła, spirale, wiry? Cokolwiek? – zapytałem sępa.

Spojrzał na mnie znad kanapek na talerzu i powiedział:

– Nie mam pojęcia, o czym, kurwa, mówisz.

I to tyle, jeśli szło o korzyści bliskiej obecności psychopompa i paranormalnego kompana. Pozostawała mi tradycyjna metoda zgłębiania tajników magii. Zamierzałem przeglądać indeksy, aż znajdę cokolwiek spójnego z tym, co zaniepokoiło Bulwę. Ze zdziwieniem zauważyłem, że drżą mi ręce. Były fioletowe. Cholera, wciąż miałem na sobie mokre ubranie, a spółdzielnia nadal nie dopatrzyła się powodów, by włączyć ogrzewanie w bloku. Jeśli nie chciałem skończyć z zapaleniem płuc i siostrą Konstancją pakującą mi termometr w miejsca nieskromne, musiałem się rozgrzać i przebrać.

W szafie panował nieznośny bałagan. Nie jestem pedantem, ale też nie mam dość ciuchów, by narobić bałaganu. A przynajmniej jeszcze chwilę temu tak myślałem. Dla sępa nie było rzeczy niemożliwych. Nie skomentowałem. Czułem, że nic by to nie dało. Zabrałem suche ubrania do łazienki, mając nadzieję, że gdy skończę się oporządzać, intruz zniknie. Marzenia czynią nasze życie piękniejszym. A przynajmniej łatwiejszym do zniesienia.

W tym czasie sęp skończył jeść. Brudny talerz zostawił na zabałaganionym blacie i jakby nigdy nic położył się na moim łóżku. Jak to leciało? Ktoś jadł z mojej miseczki! Ktoś spał w moim łóżku! Jak nic ktoś do nas wpadł na sępa...

### Rozdział III

Czas dodać dwa do dwóch – sęp ssał jako źródło informacji. Owszem, uratował mi dupę w zaświatach, ale rachunek będę spłacał jeszcze długo, bez szans na dodatkowe korzyści. Albo miał fakultet wyłącznie z ramówki MTV, albo nie lubił się dzielić. Nie mogłem liczyć na niezmierzone pokłady wiedzy zdobywanej przez pokolenia. Powoli zaczynałem dochodzić do przekonania, że trafił mi się przewodnikowy odpowiednik złota głupców. To krzepiąca wiadomość, skoro zajmując wakat na stanowisku przewodnika, odciął mnie od potencjalnie wykwalifikowanych kandydatów, którzy nie wbiłaliby mi się do łóżka i lodówki niczym studenciak w akademiku.

Wyciągnąłem ze skrytki grimuar i leksykon ektoplazmowych dziwadeł, jak lubiłem określać mój podstawowy podręcznik szamańskiego fachu. Niestety, wciąż nie wydano wersji dla opornych czy wersji

skrótowej dla spóźnialskich, takich jak ja. Wertowałem skrupulatnie obie księgi, szukając czegoś, co pasowałoby do niejasnego opisu Bulwy i moich obserwacji. Znalazłem wielkie nic. Żaden z wymienionych w indeksie bytów entoplazmowych nie pasował do „bebeszastych”. Słowa „wir”, „spirala”, „kręgi światła” nie wypływały w kontekstach, które mogłyby pasować. Sprawdziłem też kalendarz. Zwykle żyłem w niedoczasy i mogłem przegapić jakąś równonoc, przesilenie, superpełnię, czas otwarcia bram do zaświatów czy inne pierdoły, które mogłyby przyciągać na naszą stronę takie chmary duchów. Cokolwiek zwołało tę pośmiertną balangę, nie zostało opisane w książkach. Sfrustrowany, schowałem je z powrotem do schowka za regałem.

Nie ufałem przesadnie swojej intuicji, zbyt często była przyćmiona działaniem używek, jednak coś w tym wszystkim nie dawało mi spokoju. Może szukałem wymówki, by nie zajmować się córką i problemem, jakim była jej potencjalna magiczność? Mimo to istniała możliwość, że moja przez lata ogłupiana chemicznie intuicja się nie myliła. I że nie wyniknie z tego nic dobrego dla mnie i dla mojego miasta.

Dzwonek telefonu przerwał mi niewesołe rozważania. Sęp zamruczał coś przez sen i obrócił się na drugi bok. Sięgnąłem po słuchawkę. Widząc na ekranie słówko „Wilk”, szykowałem się na burzę.

– Ti, miło cię słyszeć – powiedziałem przymilnie, spodziewając się, co za chwilę usłyszę.

– Nieźle, Witkacy, ale wciąż jestem wkurzona. Przypomnij mi, co ustaliliśmy jakiś czas temu?

Gdyby między naszymi komórkami przebiegały tradycyjne kable telefoniczne, jej głos zamroziłby ptaszęta, które miałyby pecha przycupnąć na nich akurat w tym momencie.

– Powiniennem dać ci znać, że przeżyłem. Miałem trochę na głowie.

Westchnęła ciężko. Pamiętałem te westchnienia. Jak na kobietę, która nie miała dzieci i nie zamierzała ich mieć, moja przyjaciółka z zaangażowaniem matkowała całemu stadu popaprańców. Należałem do niego. I doceniałem to, naprawdę. Bez jej pomocy i życiowej filozofii mówiącej: „Okej, spierdoliło się, ale damy radę” pewnie nie podołałbym wszystkiemu, co mnie spotkało w ostatnim czasie.

– Wszystko w porządku? – zapytała już spokojniej.

– Na tyle, że to ja, a nie mój duch odbiera słuchawkę. Lekko nie było, ale dałem radę. A przy okazji wyszło kilka spraw... osobistych. Zapomniałem zadzwonić.

– Hmm... jak ona ma na imię? – zapytała, a ja wiedziałem, że się uśmiecha.

– Katia za dużo mówi – mruknąłem.

– Katia za mało wiedziała, żeby powiedzieć naprawdę dużo. I oboje wiemy, co to oznacza. – Zaśmiała się. Mnie nie było do śmiechu.

– Słuchaj, jak się mają sprawy z Mają? – zmieniłem temat.

Losy pięcioletniej chrześnicy Ti, która okazała się magiczna, mimo że jej rodzice byli całkowicie niemagiczni, interesowały mnie żywo. Nie tylko dlatego, że lubiłem dziewczynkę i znałem jej rodziców. Niewykluczone, że właśnie nadszedł czas, kiedy powinienem się orientować, ile wynosi chesne w szkole dla magicznie uzdolnionych dzieciaków i z czym konkretnie będę musiał się zmierzyć.

– W porządku. Nisim mówi, że mała jest zdolna i szybko się adaptuje. Jest w tym wieku, kiedy magia kojarzy jej się bardziej z zabawą niż problemem. Trochę trudniej jest z Moniką i Krzychem. On to zaakceptował, ona wciąż ma z tym problem i podejrzewa, że dodawałam młodej czegoś do wody. Pytasz tylko po to, żeby odwrócić moją uwagę, czy jest w tym coś więcej? – gładko odczytała moje intencje.

Zawahałem się. Jakaś część mnie chciała, by to była tajemnica, bo jak długo nią jest, Kurczaczkowi nie grozi, że nowa część mojego życia wtargnie w jej codzienność. Jednocześnie chciałem powiedzieć to na głos. Usłyszeć, jak mówię to komuś „spoza” naszej trójki.

– Mam córkę – wykrztusiłem.

Przez chwilę milczała.

– Ile ma lat? – zapytała z całą delikatnością, na jaką było ją stać.

– Piętnaście.

- Hmmn.
- Elokwentnie.
- Zastanawiam się. Ile ma z ciebie?

– Na pewno nos.

– Biedna dziewczynka.

– Pieprz się, przyjaciółko – mruknąłem.

– Zamierzam. Jutro wracam do domu, więc gdybyś potrzebował pogadać...

– Odczekam chwilę. Za każdym razem, jak wracasz z wizyty u stada, masz fantazje o nastolatkach trzymanyh przewencyjnie w więzieniu aż do uzyskania przez nich pełnoletności.

– Nie przesadzajmy. Obroże rażące prądem, gdy robią coś naprawdę głupiego, powinny wystarczyć. Wilcze szczenięta są karą, jaką niebiosy mi zesłały za wkurzanie pierzastych. Wiesz, co wymyślili tym razem?

Bałem się zgadywać. Ich poziom kreatywności kilkakrotnie przewyższał mój.

– W nocy odkręcili koła we wszystkich samochodach stada stojących poza garażami. I je schowali. W beczkach. Pod świeżym cementem.

– Żyją?

– Marudzą, że „co to za życie”, ale oddychają.

– Z całą pewnością zamierzam trzymać moją córkę z dala od wilczyh szczenięh.

Westchnęła ciężko. Jak zwykle gdy wracała z Trójprzymierza, brzmiała na zmęczoną. A jednak wracała tam z regularnością sienneho kataru po zetknięciu z pyłkami. Czochrali ją pod włos, ale byli jej rodziną.

Wciąż nie bardzo wiedziałem, co to właściwie oznacza. Ale chyba chciałem się dowiedzieć.

Moja komórka wydała dziwny dźwięk. Zapytałem Ti, czy też go słyszała.

– Ktoś próbuje się do ciebie dodzwonić.

– Może Anita zmieniła zdanie co do mojego urlopu.

– A może po prostu robisz się popularny.

Pierwszy raz od dawna nie chciałem wracać do roboty. Planowałem przedłużyć urlop o kolejny tydzień czy dwa, dopóki nie poukładam pewnych rzeczy. Albo nie przyjmę na klatę tego, że nie da się ich ułożyć, i przestanę próbować.

Pożegnałem się z Ti i przejrzałem listę nieodebranych połączeń. Nieznany numer, raczej nie Anita. Zwykle nie oddzwaniałem w takich sytuacjach. Obcy numer oznaczał ankietera albo bankową infolinię. Mogłem żyć bez wiadomości o kredytach, na które mnie nie stać. Ale w książce adresowej nie miałem Konstancji ani Kurczaczka – pachnącą bzem karteczkę odruchowo włożyłem do kalendarza.

Jak na moje standardy, dwa nowe numery stanowiły synonim ożywionego życia towarzyskiego. Oddzwoniłem. Zaskoczył mnie brak melodyjki typowej dla infolinii w bankach. Może jednak nie była to rozmowa o kredytach? Przedstawiłem się. Przez chwilę jedyną odpowiedzią, jaką dostałem, była cisza i odległy świst wypuszczanego z płuc nadmiaru powietrza.

– Tu Wiktorio. Pisałam ci esemesa... I to chyba byłby lepszy początek. – Brzmiała jak całkiem dorosła kobieta. Ale może to frustracja w jej głosie budziła takie skojarzenia. Zwykle frustrowałem kobiety, z którymi miałem do czynienia. Widać moja córka nie była wyjątkiem.

– Mogę się rozłączyć i udać, że tych zenujących czterdziestu sekund nie było – rzuciłem.

– To byłoby nawet gorsze – westchnęła. – Mama mówiła, że z tobą rozmawiała. Podobno doszedłeś już do siebie i wydajesz się zainteresowany faktem posiadania potomstwa.

– Oglądasz sporo seriali prawniczych?

Roześmiała się.

– Nasza historia to już bardziej Hallmark czy „Trudne sprawy”. Chciałam się tylko upewnić, że to zainteresowanie przekłada się na jakiś plan.

– Nie obraż się, Wiktorio, ale nie jestem typem faceta, który miałby plan na cokolwiek. Zwykle

wystarczy niestawianie oporu, kiedy porywa cię prąd rzeki.

Westchnęła ciężko.

– Zaczynam rozumieć, czemu ty i mama...

– Nadal jest tak zorganizowana?

– Mogłaby dowodzić kampanią wojska i jeszcze znalazłaby czas na ugotowanie mi obiadu. I żebyś nie pomyślał, to dobra rzecz.

– Jasne. Obiad to zawsze dobra rzecz – przyznałem.

– Stawiasz? Jeśli nie, muszą nam wystarczyć lody.

– Jeśli nie jadasz kawioru, mogę postawić – powiedziałem, znajdując jej bezpośredniość całkiem przyjemną. I bez nadmiernego komplikowania spraw miałem wrażenie stąpania po linie.

– Rybie jajeczka? Faj. Pizza wystarczy. Na mieście, co ty na to?

– Neutralny grunt to niezły pomysł – przyznałem, spoglądając na sępa rozwalonego w moim łóżku.

Prędzej wyjaśniłbym jej, jak mogłem nie wiedzieć o jej istnieniu, niż co robi ten zarośnięty facet w mojej pościeli. Współczesne nastolatki wydają się znacznie bardziej otwarte w tych sprawach, ale są granice. Mogłaby wysnuć zbyt daleko idące wnioski na temat mojego rozstania z jej matką.

– Tak właśnie pomyślałam.

Podawała godzinę i miejsce, a w tle usłyszałem szkolny dzwonek. Jak dobrze, że to nie randka. Musiałbym sam sobie sprawić lanie za coś takiego.

## Rozdział IV

Kłębiły się na parkingu niczym klienci podczas otwarcia nowej Biedronki. Podchodziły bliżej. Za blisko. Nie jestem uprzedzony, ale wolę, gdy o łydki ocierają mi się kocięta, a nie duchy, i to w nowo odkrytej, bebeszastej odświeżonej. Zabrzęczałem bransoletką, ciekaw efektu. Wiatr poniosł wysokie tony srebrnych dzwoneczków. Nie wydawały się zainteresowane czy zestresowane.

Przy moim samochodzie kilka unosiło się chwiejnie, wystawiając głowy za krawędź dachu. Nagle jeden z nich popłynął do przodu, przenikając metalową bryłę. Widziałem już takie sztuczki. Tyle że wtedy na szybie nie pojawiała się pajęczyna pęknięć, a lusterko boczne nie eksplodowało w fontannie odłamków ostrych jak igły, kiedy duch przez nie przepływał. Przystanąłem. To zdecydowanie nie było normalne. Gdyby istniała linia alarmowa dla nadprzyrodzonych, właśnie dzwoniłbym i wzywał wsparcie.

Taki wpływ na rzeczy materialne powinny mieć tylko upiory. A upiór w ciągu dnia nie powinien mieć dość energii, by się szwendać po parkingach. Czy jeśli ten bebeszasty był upiorem.. to pozostali również? Chrońcie mnie, Przedwieczni, w całej swej upierdliwości.

Sięgałem do plecaka po sól i wodę święconą, a duchy po prostu rozplynęły się w powietrzu. Moje ego nie było wystarczająco rozbuchane, by łączyć te fakty. Raczej wyglądało na to, że coś skróciło im godziny wizyt.

Nozdrza wypełniał zapach spalenizny i rozgrzanego asfaltu. Kucnąłem. Czarna nawierzchnia, wciąż mokra od deszczu, była podejrzenie nagrzana. Temperatura powietrza oscylowała w okolicach dziesięciu stopni, a jednak asfalt był w dotyku ciepły i nieco lepki, jakby topniejący od intensywnego nasłonecznienia, jakiego od miesięcy nikt w tym mieście nie widział.

Wsiadłem do samochodu i uchyliłem okno, by drobniejsze okruchy szkła wypadły na zewnątrz. Musiałem wymienić szybę i lusterko.

Parking był pusty. Wszystkie duchy zniknęły. Nie było to nawet w połowie tak uspokajające, jak mogłoby się wydawać.



– Nadal nie mogę uwierzyć, że potrafisz zjeść tak wielką pizzę i masz jeszcze miejsce na deser.

Staralem się nie śmiać, ale niewiele rzeczy było równie komicznych jak widok kelnera, który przyjmował zamówienie Kurczaczka na „pucharek rozkoszy”, po tym jak w kwadrans wchłonęła pięćdziesięciocentymetrową pizzę.

– Nie na każdy deser, ale to przecież były lody. Ja z kolei nie mogę uwierzyć, że to coś nadal jeździ. – Teatralnym gestem dotknęła deski rozdzielczej mojego jeeпа.

– Mówiłem ci, to drobny wypadek.

– Oczywiście. Tyle że wydarzył się jakąś dekadę temu. To biedne autko nadaje się do „Pimp my Ride”. Alternatywą byłaby tylko eutanazja.

– Szybę da się wstawić...

– Jasne. Tapicerkę też da się mieć, a nie przykrywać wystające sprężyny kocem. I klamki się przydają, ale przecież kawałek drutu też da radę.

– Próbujesz mnie zawstydzić? – zapytałem ofensywnie, odruchowo głaszcząc kierownicę. Lepiej, by się biedak nie przejął tą krzywdzącą opinią, bo nie mam kasy na grubsze naprawy.

– Gdzieżbym śmiała! – Uniosła brew w tak znajomy sposób, że zrobiło mi się nieco nieswojo. Te sarnie oczy nie powinny występować na jednej twarzy z tym garbatym nosem. – Po prostu nie podjeżdżaj nim pod nasz dom. Mama jest przeczulona na punkcie bezpieczeństwa. Sądzi, że nie masz samochodu, skoro tłuکیście się gdzieś pociągiem. Lepiej, żeby tak zostało.

Może i miała piętnaście lat, ale nie stanowiło to zbyt dużej pociechy, skoro sprawiała, że czułem się jak uczeń. Tyle że musiałem przyznać jej rację. Przez dłuższą chwilę jechaliśmy w ciszy. Ze zdziwieniem zauważyłem, że była to całkiem wygodna cisza, bez napięcia i niezręczności. Uznałem to za niezłą wróżbę dla naszych relacji.

Kurczaczek przerwała milczenie ostrożnym pytaniem:

– Czy jeśli zagadnę cię o coś, co dotyczy przeszłości, spanikujesz?

Oparła łokieć o krawędź wybitego okna i utkwiała wzrok w drodze przed nami. Tak jak Konstancja miała zwyczaj zaciskania i rozprostowywania pięści, kiedy była zdenerwowana. Słyszałem cichy trzask jej kłykci.

– Na bardzo szczegółowe nie jestem gotowy.

– Nie kłamiesz na zawołanie? – rzuciła zaczepnie.

– Nie bardzo. Właściwie jestem w tym do dupy. A niektóre rzeczy muszę najpierw ustalić z twoją mamą.

– A tak, wspólny front. Ciekawe, jak wam to wyjdzie – parsknęła.

Po kim ta dziewczyna jest tak niezdolna? Osoba, z którą mi się kojarzyła, nie miała z jej poczuciem nic wspólnego. Pokrewieństwo dusz, jak nic.

– Zrobimy to inaczej! – Przeczesała włosy palcami w uniwersalnym geście frustracji. – Małe kroczi. Nie jesteś gotowy na pełną odsłonę. Ja też nie. Są rzeczy, które chcę wiedzieć, muszę wiedzieć. Ale nie wszystko naraz. – Spojrzała na mnie, upewniając się, że rozumiem i nadążam za jej tokiem myślenia.

– Małe kroczi mi pasują – przytaknąłem skwapliwie.

– Musimy mieć plan. Tylko tak ograniczymy liczbę rzeczy, które mogą pójść nie tak. – Jej skoncentrowana mina była całkiem słodka.

– Tego na pewno nie masz po mnie – nie mogłem się powstrzymać od komentarza.

– Ale pastę wyciskam od środka tubki. Mama mówi, że to po tobie – rzuciła lekko i wróciła do przerwanej wątku: – Masz plany na sobotę?

– Kiedy jest sobota? – zapytałem, otrzymując w zamian klasyczne przewrócenie oczami.

– Nie masz kalendarza?

– Mam urlop.

Powiedzmy, że to jedyny powód funkcjonowania poza kalendarzem.

– Sobota jest pojutrze.

– Nie wybiegam myślami tak daleko – przyznałem.

– Więc już masz plany. Przyjdę do ciebie koło piętnastej. Zrobimy to, co najprawdopodobniej robią ojcowie i córki.

– Mam tylko jeden pokój.

– A co to ma do rzeczy?

– Jeśli planujesz się obrazić, trzasnąć drzwiami i dąsać na mnie w swoim pokoju, może być problem.

Przez chwilę patrzyła na mnie z tą ulotną kalkulacją w oczach. Obrazić się czy zaśmiać? Odetchnąłem z ulgą, gdy zaczęła chichotać. Poczuję się całkiem bohatersko – oto skłoniłem nastolatkę do szczerego wyrażenia radości zamiast uniesienia brwi czy wzruszenia ramionami.

– Zjemy coś. Jesteście bardziej przystępni z pełnym żołądkiem.

– Podpowiada ci to wieloletnie doświadczenie? – nie mogłem się powstrzymać od drobnej złośliwości.

Spojrzała na mnie z niewinną minką.

– Wiesz, miałam w życiu paru wujków.

Nastrój siadł mi doszczętnie. Cóż, przynajmniej nie była to jedna z tych sytuacji, kiedy musiałbym zapewniać, że to naprawdę pierwszy raz i za chwilę znów będzie działał. Parsknęła śmiechem.

– To jest za łatwe!

– Co konkretnie? – mruknąłem.

– Podpuszczanie cię. Jeśli jesteś ciekaw, czy mama kogoś ma, wystarczy zapytać.

– Nie mój interes – burknąłem, mentalnie kopiąc się w tyłek.

Oby Kurczaczek nie była wylewna w relacjonowaniu matce spotkania z ojcem marnotrawnym.

– Pewnie nie. Ale to cię rozprasza. Nie spotyka się z nikim. Poza wujkiem Markiem. – Zanim załagł mi się w głowie pomysł zamordowania wujka Marka, kimkolwiek był, wyjaśniła: – To nic z TYCH rzeczy, przyjaźnią się, odkąd rozwaliłam Ziemkowi łuk brwiowy. Nie patrz tak na mnie. Mieliśmy po trzy lata, narzędziem zbrodni była łopatka. A on sobie na to zasłużył. Wujek Marek jest ojcem Ziemka i do dziś uważa, że racja była po mojej stronie. Ten podlec wytarzał się w moim zamku. Metaforycznie rzecz ujmując. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

Czy wypada wyznać dziecku, że przeraża was jego mózg i sposób, w jaki robi z niego użytek?

– Skoro już wiesz, że mama jest wolna, to jeszcze nie znaczy, że masz u niej jakieś szanse... Wróćmy do naszej soboty. Ugotujemy coś. Albo zamówimy, jeśli gotowanie oznaczałoby jajko i parówki na obiad. A potem pozwolę ci pokazać mi jeden film ważny dla ciebie, a ja pokażę ci film ważny dla mnie. Możemy też posłuchać muzyki. O ile nie słuchasz zupełnego chłamu.

– Przeczytałaś to w jakimś poradniku? – zapytałem domyślnie.

– Tak. Był bestsellerem w piętnastu krajach. Pytałam w księgarni, nikt go nie przyniósł do reklamacji, więc niewykluczone, że działa. I nie patrz tak na mnie. Lubię planować. Wtedy mam kontrolę. Wiesz, plan od a do zet i nic cię nie zaskoczy.

Przytaknąłem grzecznie. Z całą pewnością nie moje geny.

Zgodnie z sugestią zaparkowałem przy moim bloku. Na szczęście nic nie wskazywało, by zgromadzenie bebeszastych czekało na mój powrót z niecierpliwością kota miauczącego na progu.

Wysiedliśmy, a młoda otrzepała długi sweter z okruchów szkła. Cholera.

– Odprowadzę cię.

– Nie musisz.

Nie odpowiedziałem. Moje zmysły zaczęły szaleć. Znów poczułem to dziwne buczenie odbijające mi

się echem w kościach. Kątem oka prawie schwyciłem odbłask migotliwego światła. I nagle były wszędzie – półprzezryste i podejrzanie gęste, zwyczajne i bebeszaste, unoszące się gdzieś daleko i opierające o maskę samochodu, aż metal podejrzanie zachrząścił. Młoda spojrzała w tym kierunku, ale wyraz jej twarzy nie zmienił się ani odrobinę.

Odetchnąłem z ulgą, ale wciąż byłem zbyt zdenerwowany. Ponad dwadzieścia duchów o różnym poziomie energetycznym, od nieszkodliwego po wielką niewiadomą, tłoczyło się na niewielkiej przestrzeni parkingu przed blokiem. Sunęły za nami, kiedy odprowadzałem Kurczaczka. Wciąż były dziwnie ciche. Nie nawijały o swoich sprawach i niesprawiedliwości, jaka je spotkała, nie domagały się usług. Po prostu snuły się za nami. Z bram podwórek i zza drzew wychylali się ich towarzysze, równie martwi jak oni. Po kilkuset metrach byliśmy czołówką pielgrzymki obficie kąpiącej ektoplazmą. Kurczaczek opowiadała mi jakąś historyjkę o spuszczeniu lania Ziemkowi, który najwyraźniej był jej najlepszym przyjacielem i workiem treningowym. Przytakiwałem w odpowiednich momentach. Dyskretnie sięgnąłem do kieszeni, upewniając się, że woda święcona i spora fiolka soli są na swoim miejscu. Bransoletka rozgrzewała się, reagując na tak bliskie sąsiedztwo duchów, a w mojej głowie zaczynała się rodzić melodia odesłania. Na razie nie zrobiły nic, czym zmusiłyby mnie do otwarcia bramy i odesłania ich w zaświaty, a ja nie miałem zamiaru wychodzić z inicjatywą. Nie po ostatnich przygodach. Poza tym wolałbym tego nie robić przy Kurczaczku. Skoro nie reagowała na ich upiorną obecność, istniało spore prawdopodobieństwo, że ich nie widzi. Duch starej kobiety unosił się za jej plecami tak blisko, że potargane włosy mojej córki przenikały jego widmowe ciało.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała, urywając opowieść.

– No tak – mruknąłem.

– Nie jesteś najlepszy w mówieniu, co?

Skrzywiłem się. Duchy rozproszyły mnie na tyle, że sprawiłem jej przykrość.

– Wiesz, co mówią o milczeniu między ludźmi? – zapytała.

– Boli?

– Tylko na początku. Jesteśmy rodziną, nie musimy dużo gadać. Tak robią tylko w sitcomach.

– Nie mam w tym zbyt wielkiego doświadczenia.

– Ja też nie. Ale przecież mamy prawo zachować milczenie – powiedziała tonem starego wygi z serialu policyjnego. Nie zdołałem powstrzymać uśmiechu. – Pamiętaj o sobocie. I uważaj na siebie – dodała. Zaplotła ramiona na piersi i rozglądała się z nieobecny wyrazem twarzy.

– Samo się ustali – powiedziałem uspokajająco.

– Co? – Drgnęła zaskoczona.

– Jak się mamy witać czy żegnać. Uścisk ręki jest zbyt chłodny, na przytulanie trochę za wcześnie.

– No tak. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Jesteś z tych, co się przytulają?

– Mam kogoś, kto nauczył mnie to całkiem lubić – odpowiedziałem z krzywym uśmiechem.

– Kogoś, o kim powinna wiedzieć mama? – Znów niewinne spojrzenie.

– Może kiedyś sam jej powiem.

– Na początek może być żółwik – powiedziała.

Widząc, że nie rozumiem, zacisnęła pięść i wysunęła ją w moją stronę. Zrobiłem to samo, a ona uderzyła swoimi kłykciami o moje. Zajęło mi chwilę zrozumienie sensu tego gestu. Byłem rozproszony towarzystwem.

– Przyswajaj. Może następnym razem pokażę ci martwego żółwia. – Wyszczrzyła się i w podskokach wbiegła do klatki schodowej.

Zostałem sam z duchami. Mną wydawały się nieco mniej podekscytowane niż Kurczaczkiem.

– Nawet o tym nie myślcie – warknąłem.

Snuły się za mną całą drogę na Balonową, dając mi dobrą okazję do przetestowania ich wrażliwości. Bransoletka nie robiła na nich specjalnego wrażenia, woda święcona niewielkie. Sól działała, ale jej

zasięg był nikły.

I mogłem myśleć tylko o jednym: na razie były nie tyle przyjazne, co poza małymi wyjątkami nieinwazyjne. Ale strzeż mnie, Manitou, jeśli zmienią podejście.

## Rozdział V

Skupiony na umarłych, przegapiłbym żywą. Siedziała na schodkach, przy drzwiach wejściowych do mojej klatki, otulona zielonkawym płaszczem i ciemnością.

– Robią się coraz młodsze – rzuciła na powitanie.

– To ja robię się coraz starszy – odpowiedziałem, wchodząc na schody.

Pod stopami chrzęściło mi szkło. Kilka zwisających drucików i odłamek szkła wciąż tkwiący w metalowej obsadce były wszystkim, co pozostało po żarówce. Widziałem już takie skutki aktywności duchów i nie podobało mi się to, że próbowały wejść do domu. Domu, który po natarczywej sugestii Dory zabezpieczyłem ochronnym zaklęciem – słabszym tu, znacznie silniejszym na progu mieszkania. Kto by pomyślał, że tak szybko się przyda. Odgarnąłem stopą okruchy szkła ze stopnia. Mieszkały tu dzieci, a kilku lokatorów miało psy.

– Nie wydajesz się zachwycony moją wizytą – powiedziała zaczepnie, wstając ze schodka.

– Złudzenie optyczne. Nie jestem zachwycony tymi, którzy byli tu przed tobą. Ty zawsze jesteś mile widziana – dodałem.

Naprawdę tak myślałem. Nasz związek zdechł niezauważenie. Nie potrafiłem nawet wskazać, kto z kim zerwał. To, że był pieśnią przeszłości, wywnioskowałem między innymi z tego, że Katia nie wydrapała oczu Konstancji, kiedy byłem nieprzytomny. Nie była już moją kobietą. Ale zawsze będzie kimś ważnym. Nie dawną miłością, bo jej nie kochałem, czego nie ukrywałem, ale przyjaciółką.

Ti odkryła przede mną, kim jestem. A potem pochłonęły ją wojny, afery z niebem, piekłem i wilkami. Chciała być pomocna, ale miała apokalipsy do odroczenia i ludzi do uratowania.

I gdy wszystko uderzyło we mnie z siłą pędzącego pociągu, to Katia była u mego boku. Tworząc związek, byliśmy niedopasowani – nie tylko na poziomie potrzeb i oczekiwań od życia. Byliśmy jedną z tych par, które przechodnie na ulicy komentują, nie siląc się na dyskrecję, słowami: „Gdzie ona ma oczy!?”. Mimo to dogadywaliśmy się całkiem dobrze. Miałem nadzieję, że to się nie zmieniło, bo teraz stała dwa metry ode mnie, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcza i spłoszona. Katia nie bywa spłoszona. Katia śpiewa kołysanki Śmierci i Matce Ziemi.

– Przywitasz się czy najpierw wygarniesz mi, jak bardzo spierdoliłem, nie dzwoniąc? – rzuciłem, robiąc krok w jej stronę.

Westchnęła ciężko i rozłożyła ramiona do powitania.

– Bałam się, że jesteś zły – szepnęła.

– Za coś konkretnego?

– Za to, że naskoczyłam na twoją dziewczynę.

– Nie mam dziewczyny, odkąd ze mną zerwałaś.

– Wiesz, że to nie tak. Związek zerwał z nami obojgiem i sobie poszedł.

Przytaknąłem, bo lepiej bym tego nie ujął.

– Wejdiesz? – Wbiłem kod domofonu i uchyliłem drzwi. Znała kod, miała klucz, mogła wejść.

– Muszę z tobą porozmawiać. Chyba potrzebuję twojej pomocy.

– Masz ją – zapewniłem i przepuściłem ją przed sobą w drzwiach.

Maniery nie wyczerpywały mojej motywacji. Spod płaszczyka Katii wystawała krawędź zielonej



sukienki, a na stopach moja była dziewczyna miała zamszowe botki na wysokim obcasie. I, bogowie, może i nie byliśmy już parą, ale to nie ujmowało jej nogom nic z urody i kształtu.

W mieszkaniu było chłodno. Sęp zostawił uchylone okno – chyba wolałem się nie zastanawiać dlaczego. Zostawił też rozbebeszone łóżko i stertę ubrań na podłodze. Katia uniosła tylko brew, kiedy zacząłem w milczeniu ogarniać bałagan. Zdjęła płaszcz i usiadła na fotelu. Rąbek sukienki podjechał wyżej. Zaśmiała się, widząc moje spojrzenie.

– Nie będzie zachwycona, jeśli cię na tym przyłapie – stwierdziła z uśmiechem.

Wzruszyłem ramionami. Za długa opowieść. Choć pewnie i tak ją opowiem, skoro Katia chciała ją poznać. Aluzje nie były szczególnie subtelne, więc czekało mnie przesłuchanie.

– To bardzo stara historia – zapewniłem.

– Domyślałam się, że jest ktoś taki.

Schowałem pościel, złożyłem kanapę i z westchnieniem opadłem na siedzisko. Opowiedziałem skróconą wersję telenoweli, w którą zmieniło się moje życie. Katia w skupieniu słuchała „przypadków Piotra Duszyńskiego” i szybko wyłapała, co w całej historii dręczy mnie najbardziej.

– Jesteś pewien, że Wiktoria nie widziała duchów? – był to jedyny komentarz, jakim skwitowała moją opowieść. Westchnąłem z frustracją. Zachowanie Kurczaczka na spacerze z ciągnącym się za nami pochodem duchów było dość powściągliwe.

– Potrafiłaby zachować obojętność? – powątpiewałem.

– Ma piętnaście lat. Jeśli przez ostatnie dziesięć musiała udawać, że nic nie widzi, żeby nie denerwować matki, mogła nabrać wprawy. Mówiłeś, że jest skryta. To nie jest coś, o czym mówisz nowo poznanemu ojcu. A to, co powiedziała ci jej matka, brzmi poważnie.

Katia wyglądała na przejętą. Rodzinne napięcia na polu magii znała aż za dobrze. Kiedyś po kilku kolorowych drinkach i litrowym wiaderku lodów pistacjowych opowiedziała mi o tym, jak jej magia zniszczyła jej rodzinę. Naprawdę tak myślała. Kiedy miała jakieś pięć, sześć lat, wyznała matce, że słyszy pieśń Ziemi. Matka to zignorowała, może po prostu nie zrozumiała, o czym córka mówi. Aż mała zaśpiewała Ziemi swoją odpowiedź i martwy pan wstał z grobu. Matka nie zareagowała najlepiej. Spoliczkowała ją i nazwała pomiotem Szatana. Tej samej nocy spakowała walizkę i zostawiła córkę i męża. Nigdy więcej o niej nie słyszeli. Katia została sama z ojcem, który miał stuprocentową pewność, że nie jest jego biologiczną córką. Był jasnowidzem, w jego rodzinie nie było nikogo, kto posługiwałby się magią śmierci. Przez lata zmagał się z depresją po odejściu żony i nabraniu pewności, że kiedy jeszcze z nim była, nie była mu wierna. Katia nigdy nie przestała się zastanawiać, co bardziej pogrążało ojca w ciemności – zdrada, której była świadectwem, czy odejście żony, którego była powodem. Podobno jeden na pięciu mężczyzn nie wie, że wychowuje nie swoje dziecko. Cóż, ojciec Katii wiedział. I kochał ją, robił, co mógł, by stworzyć jej dom, ale jakiś kawałek jego osoby rozbił się i ostre odłamki raniły go przez lata. Zmarł kilka miesięcy po tym, jak Katia skończyła osiemnaście lat. Jakby ustawił sobie limit, do którego musiał dociągnąć. To w sporym stopniu ukształtowało Katię. I może lepiej niż ktokolwiek rozumiała, że Kurczaczek może się nie wychylać z magią, nie chcąc denerwować mamy. Dzieci mają intuicję. Ale cena za wypieranie magii może być bardzo wysoka. Zwłaszcza jeśli moja córka odziedziczyła po mnie koligacje z magią śmierci, która niekontrolowana była bardziej niszczycielska i niebezpieczna.

Potarłem twarz z frustracją, bo Katia miała rację. Jakaś część mnie chciała, by Kurczaczek miała normalne życie. Wiedziałem jednak, że dopóki się nie upewnię, że nie jest magiczna, to będą to tylko pobożne życzenia. I jakikolwiek miałyby być wynik dochodzenia, chciałem dać jej wsparcie. Zrobię wszystko, by nie zobaczyć w jej oczach bólu, jaki nawet teraz, po latach, błyszczał wilgocią w oczach Katii.

– Dowiemy się, Witkac, nie przejmuj się na zapas. Czy jest magiczna czy nie, jest twoją córką. Daj wam chwilę, żeby się lepiej poznać.

Czasu miałem całkiem sporo. Gdy tracisz piętnaście lat, pośpiech nie ma sensu.

– Dobra, zaspokoilem twoją ciekawość. Ale przecież nie tylko temat do telefonicznych plotek z Ti cię tu przygnał.

– Ranisz moje serce. Zwłaszcza że masz rację. – Uśmiechnęła się z udawaną skruchą, ale szybko spoważniała i przeszła do rzeczy: – Czy w swoim departamencie zauważyłeś ostatnio coś dziwnego?

– Owszem – przyznałem.

Departament Katii i mój sąsiadowały ze sobą. Oboje siedzieliśmy w trupach, choć moje nie miały już ciała, natomiast jej często nie miały ducha. Na swój sposób się uzupełnialiśmy, a moja była miała sporą wiedzę, którą chętnie się dzieliła. Opowiedziałem jej o bebeszastych, o światłach i o tym, co mówił Bulwa. Przytakiwała, a jej spojrzenie z każdą chwilą robiło się poważniejsze.

– To naprawdę nie wygląda dobrze, Witkacy. Pieśń Ziemi jest pozbawiona harmonii, porządek zdecydowanie został zaburzony. Od dwóch dni dzieje się coś dziwnego. I wszystko wskazuje na to, że źródło problemów jest w tej okolicy. Robiłam obchód cmentarzy, na kilku natknęłam się na taką chmurę duchów, że nie ryzykowałam wejścia.

– Zwykle wołasz Dorę do pomocy – zauważyłem.

– Jeśli muszę wykopać grób albo skopać komuś tyłek, jest cudownym kompanem, choć przy kopaniu grobów strasznie marudzi. Tym razem nie miałabym z niej wiele pożytku. Pewnie nawet by ich nie zauważyła, dopóki nie zmieniłaby się w lampę Aladyna. Potrzebuję szamana. Coś się dzieje. I nie wiem, czy duchy są częścią problemu, czy mają odwracać naszą uwagę.

– Próbowaly cię opętać? Podchodziły bliżej?

– Były agresywne. I dość silne, żeby wpływać na materię. Poszybowało w moją stronę kilka zniczy i wazonów. Niewiele brakowało, a by mnie ogłuszyły. A mówimy o ponad dwudziestu duchach, nie o jednym czy dwóch awanturnikach jak zwykle.

Jako nekromantka miała dodatkowe zabezpieczenia – jej dusza była chroniona przed zombiakami i ożywieniami, które chętnie by ją przejęły, by wyrwać się z kategorii bezdusznych, a tym samym martwych. Tyle że sigil chronił ją przed tym, co chciałoby jej coś zabrać, a nie przed tym, co próbowałoby w nią wejść. Stado agresywnych duchów stanowiło konkretny problem.

– Kiedy chcesz zacząć? – zapytałem.

– Choćby teraz.

Nie zdziwiło mnie, że idzie do pracy ubrana jak na randkę – widziałem już, jak kopie grób w letniej sukience, i to była jedna z rzeczy, które w niej uwielbiałem. Ale jej botki nie wyglądały na takie, które przetrzymają wizytę na błotnistych cmentarnych ścieżkach. A strzeżcie mnie, bogowie, jeśli zniszczy buty warte więcej niż mój miesięczny czynsz.

– Mam w bagażniku kalosze – powiedziała, czytając we mnie jak w księdze.

## Rozdział VI

Mimo że Katia zmieniła botki na wysokie oliwkowe kalosze ze złotym szlaczkiem, bezbłędnie pasujące do płaszcza, i tak przeskakiwała nad kałużami. Taka już była. To, że wedle producenta przeznaczeniem obuwia było stąpanie po błocie, nie miało znaczenia. Ona nosiła je z wdziękiem, a wdzięk nie tworzy z błockiem przekonującego duetu.

Szliśmy. Gdybyśmy zostali w samochodzie, zbyt wiele rzeczy mogłoby nam umknąć. Wciąż miałem nadzieję, że wychwycę więcej niż mignięcie spirali, o których mówił Bulwa. W blasku latarni wyraźnie widziałem duchy kłębiące się na granicy światła.

Deszcz ustał, powietrze gęstniało od wilgoci i magii. Unosiły mi się włoski na karku, jakbym mokrą ręką dotykał nieosłoniętych kabli. Kilka miesięcy temu takie sensacje skończyłyby się tym, że szukałbym znieczulenia w środkach psychoaktywnych, dziś znosiłem to względnie dobrze, filtrując nadmiar magii przez aurę. Ale skłamałbym, mówiąc, że to kocham. A właśnie tęsknota za tym napięciem i odczuciem mocy, której nigdy nie pomieściłyby ludzkie kości, popychała wielu na ciemną stronę, gdzie magii zawsze było więcej, a rachunki za nią nieodmiennie wyższe. Intuicja mi podpowiadała, że to światło, bebeszaści i stada duchów mają rodowód czarnomagiczny, jednak nie miałem cienia dowodów na poparcie mojej teorii. Ot, niepokój i wrażenie, że coś zimnego i śmierdzącego intensywniej niż Bulwa otarło się o mnie nieco bardziej, niżbym sobie tego życzył.

Katia przystanąła i zapatrzyła się na bebeszastego, który kołysał się nieopodal, unoszony lekkimi podmuchami wiatru.

– Robią wrażenie, co? – rzuciłem.

– Jak cholera! Nigdy czegoś takiego nie widziałam, a widziałam sporo... – Przełknęła głośno ślinę. – Czy one powinny tak wyglądać?

– Nie wiem. Nie znalazłem w leksykonie nic, co mogłoby to wyjaśnić.

– To jest popaprane.

Jej talent do zwięzłych podsumowań rozwijał się każdego dnia.

Zgadzałem się. Niepokoiła mnie nie tylko ich obecność, ale i nieobecność duchów, które znałem, stałych bywalców tego rewiru.

Niewiele stworzeń jest bardziej terytorialnych od duchów. Może tylko wilki. To, że duchy ustąpiły obcym dziwadłom, było niezwykle. Bały się, wolały trzymać się na dystans czy spotkało je coś złego? Przynajmniej paru byłem coś winien i mogły mnie odwiedzić albo wysłać wiadomość, jeśli wpadły w tarapaty. O ile wciąż były w stanie. Bebeszaści na moim parkingu mogli robić za zaporę ogniową.

Kiedy zbliżaliśmy się do szpitala na Bielanach, wpadłem na pewien pomysł. Było tu kilka duchów, które miały wobec mnie mały dług, po tym jak uwolniłem ich terytorium od paskudnego upióra. Wobec jednego z nich to ja miałem zobowiązanie. Gdyby nie jego skłonność do plotek, nie trafiłbym na trop Anny Dzwon i nie zdołałbym jej odesłać. Może czas na małą towarzyską wizytę? Plotkarz z powołania nie powinien się przejmować ograniczeniami i bebeszastymi.

Gdy przedstawiłem swój pomysł Katii, nie protestowała. Wydawała się całkiem wytrącona z równowagi. Bebeszasty był widowiskowy, fakt, ale przecież ta kobieta obcowała z zombiakami i widok wnętrzości nie był jej obcy. Zapytałem, czy wszystko w porządku.

– To przez dysharmonię – odparła, pocierając skronie. – Bez przerwy słyszę buczenie, jakby cały czas piszczalo mi w uszach. Męczące i niepokojące. Nie wiem, jaka jest przyczyna, więc nie mogę zaśpiewać kontry. To narasta, jest gorzej niż kilka godzin temu. I nie wróży nic dobrego.

Rozumiałem to. Kolejna rzecz wspólna dla naszych rodzajów magii – muzyka. Ja słyszałem melodie odwołania, ona śpiewała w chórze śmierci i życia. Nasze zaklęcia w teorii można było zapisać na pięciolinii. Ja byłem samoukiem i nie znałem nut, ale ona miała pełne muzyczne wykształcenie i nie miałyby z tym problemu.

Kiedyś próbowałem wyjaśnić Ti, jak to działa. Powiedziałem jej, że w mojej głowie każdy duch ma swoją częstotliwość, melodię, rytm. Czasami jest to tylko wysokość dźwięku, innym razem pięciozwrotkowa piosenka z refrenem. Brama ma swoją melodię, która jest pierwotnym transowym rytmem, ale samo jej uchylenie nie wystarczy, by odesłać ducha. Jeśli znałem imię ducha, stawało się ono w mojej głowie dźwiękiem, który mogłem wkomponować w melodię bramy, i tym samym stwarzałem zaklęcie odesłania. Jeśli nie znałem imienia, musiałem rozgryźć dźwiękowy kod ducha i zaśpiewać go tak, by eter z drugiej strony dopadł go, rozpoznając melodię. Do pewnego stopnia każde żywe – lub niegdyś żywe – stworzenie ma swój kod dźwiękowy i da się je opisać nutami. Potrafię usłyszeć te dźwięki, a mój wewnętrzny odbiornik słyszy te pochodzące od duchów. To dość dziwaczna i zwykle

zupełnie nieprzydatna umiejętność, ale tak już po prostu mam.

Kiedy opowiadałem o tym Ti, zdawała się lekko zagubiona. Jej magia była do tego stopnia inna, że Dora nie potrafiła tego zrozumieć. Kiedy natomiast Katia zapytała, jak dokładnie odsyłam duchy, i odparłem, że łączę ich nuty z nutami bramy w jedną melodię, zrozumiała od razu. Spytała jedynie, czy mogę improwizować, na przykład wklejać odpowiednie nuty w jazzową aranżację. Mogłem. „To masz fajnie. Matka Ziemia z uporem preferuje gaelickie melodie”. I tyle. Rozumieliśmy się.

Przebiegłem ulicę, przystanek autobusowy przed szpitalem i szeroki pas zieleni między chodnikiem i bramą. W stróżówce siedział ochroniarz, który mnie pamiętał z poprzednich wizyt. Skinął głową i bez słowa wpuścił nas na teren szpitala. Gdyby płacono mu od jakości pracy, nie zarobiłby na chleb.

Niczym przestępca wracałem na miejsce zbrodni. Na trawniku za zabudowaniami szpitalnymi wciąż były ślady stopionego wosku, a w rozmiękczonej deszczem ziemi dostrzegłem wgłębienie – miejsce, w którym odzyskałem przytomność.

Wyciągnąłem papierosa ze skrętami i odpaliłem jednego. Wypuszczałem obłoczki dymu, licząc, że zapach ziół zwabi mojego informatora.

Nie czekałem długo. Musiał mieć naprawdę miłe wspomnienia po ostatnich zabawach, bo pojawił się w ciągu kilku minut. Był martwy, więc Katia w przeciwieństwie do Konstancji doskonale go widziała. On zaś bez skrępowania posyłał jej lubieżne spojrzenia. Kiedy położył swoją widmową rękę na jej tyłku, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała chłodno:

– Masz sekundę, żeby ją zabrać, albo pokażę ci, co może zrobić z duchem esencja grobowa.

Cały się rozpromienił.

– Wiem, co może zrobić! Mógłbym nabrać dość cielesności, żeby poczuć, jak jędrny masz ten tyłeczek...

– A ja mogłabym skopać cię po jajach. Może przez te trzydzieści czy czterdzieści lat od śmierci zapomniałeś, jak to jest, ale wierz mi, boli jak cholera.

– Psujesz zabawę, dzieciatko! – jęknął, ale zabrał rękę.

– A ty psujesz reputację bytom niematerialnym – odparła niewzruszona.

– Czy możemy się skupić na konkretach? – Znow zaciągnąłem się dymem.

– Nie ma konkretów, Anna Dzwon jest kaput! – Triumfalnie wyrzucił ramiona w górę, aż widmowy szlafrok załopotał mu wokół obleczonego w piżamę widma ciała. Nie żeby miał z tym wiele wspólnego czy choćby ruszył paluszkami, kiedy mnie prawie wykończyła. Sukces ma zawsze więcej ojców niż ciężka robota kumpli.

– A nie zauważyłeś nic nowego? Nic dziwnego? – zapytałem.

Poskrobał się po wspomnieniu trzydniowego zarostu.

– Niewiele. No, może poza światłem, które niektórym miesza w głowie. Oczywiście nie takim wyjadaczom jak ja, ale młodzież ma słabe charaktery...

Grzecznie poprosiłem o szczegóły. W swej łaskawości zgodził się współpracować już po trzech wydmuchanych mu w nos buchach. Domagał się śliwownicy, ale nie zabrałem ze sobą piersiówki.

– No jak ty mnie traktujesz? Jakbym był jakimś łatwym popychadłem? Nawet trunku nie zaproponujesz, tylko od razu z łapami? – lamentował.

– I kto to mówi – mruknęła Katia, przewracając oczami.

– *Touché* – przyznał. – Co do światła, nie wiem właściwie, co to jest, ale młodzież zbzikowała, leżą, gdy tylko się pojawi, wracają nabuzowani i ciężcy od energii. Dla mnie to taka ścieżka na skróty i proszenie się o kłopoty, bo to nie swoją energię przynoszą... ale znacie młodzież. Rozsądek by ich zabił!

– Zaniósł się śmiechem, który płynnie przeszedł w kaszel.

– A bebeszaści? – Opisałem pokrótce duchy z flakami i kręgosłupami na wierzchu.

– Dziwolągi! – Pokiwał głową. – Są tą, no, abominacją, no! Ktoś umarł, powinien odejść, ale coś, jeśli mnie pytasz, niedobre coś, napompowało go energią. Niedobre dla duszy i dla równowagi. –

Wzdrygnął się.

– Czyli to nie są duchy czy upiory? – upewniłem się.

– Raczej miazmaty przybierające wysoce nieestetyczną formę. I nie odeślesz ich, jeśli o to pytasz. –

Urwał i spojrzął na mnie wyczekująco.

– Wrócę ze śliwownicą, ale mów, co wiesz.

– Nie odwołasz, bo to nie dusze. Te odeszły, został tylko cień, do którego coś dosztukowało ostatnie wspomnienie ciała. Nie mają rozumu, nie pamiętają, kim były, nie mówią.

Pokręcił głową z niesmakiem. W duchowym świecie podział kastowy miał się świetnie, a bebeszaści najwyraźniej pełzali gdzieś na samym dole, mimo energii, jaką dysponowali. Co nie czyniło ich łatwiejszymi do opanowania. Z klepkami i duszą mogło być u nich kiepsko, ale samochód zaatakowały z mocą upiora. Jeśli mój informator (na tyle nieufny, by nie podawać mi swojego imienia) miał rację, byli jak naładowane sterydami stado idiotów. Pocieszające. Zwłaszcza że wciąż nie miałem pomysłu na ich odesłanie. Nie słyszałem ich dźwięków, po prostu biały szum.

– Widziałeś już takie wcześniej? – Liczyłem, że taki stary wyjadacz był lepiej poinformowany od sępa albo przynajmniej bardziej skory do dzielenia się informacjami.

– A gdzie tam. Zawsze było bo bożemu, porządnie, a teraz się jakieś fanaberie odstawiają! – Prychnął.

– Zaczepiłem raz jednego, gdy pałętał mi się przy ogrodzeniu. Gdybym za każdą myśl w jego głowie musiał zapłacić złotówkę, wciąż nie straciłbym grosza. Puste tak, że jakbym pukał, toby się echo niosło.

Katia bąknęła coś niepochlebnego na temat mojego rozmówcy. W dużej mierze się z nią zgadzałem, ale duch wciąż był całkiem niezłym informatorem, jeśli dmuchnęło mu się trawką w nos. Wykorzystując jego nastrój, podpytałem go o inne zjawiska odbiegające od normy. Nie wiedział lub nie chciał mówić nic o światłach czy spirali. Umarlaka trudno przydusić, więc próbowałem pochlebstw i obietnic. Pokręcił tylko głową.

– To nic dobrego, tyle wiem. I prędzej się piętami w bramie zaprę, niż podejść bliżej, żeby się czegoś dowiedzieć. Tacy jak ja muszą się szanować.

Zapewniłem go o moich niezmiernych pokładach szacunku, jednocześnie notując w pamięci, że jest drugą po Bulwie osobą, która widziała spiralę i która nie spodziewała się po niej fajerwerków miłości i wypuszczenia na świat kucyków. Jakaś niewielką część tego zjawiska widziałem i ja, ale w teorii mogłem być równie szalony jak Bulwa. Przygnębiające, ale ten tutaj mógł się okazać dla społeczeństwa najbardziej racjonalnym i wiarygodnym z naszej trójki.

– Pamiętaj o śliwownicy albo guzik się dowiesz następnym razem! – zawołał za nami, gdy odchodziliśmy. Pokazałem mu uniesiony kciuk.

– Rozpizaszkujesz i narkotyzujesz duchy? Nieładnie, Witkacy! – Katia pokiwała mi paluszką.

– Nie oceniasz. Na trzeźwo jest jeszcze bardziej nie do wytrzymania.

– I zapuszczasz się w te rejony bez sporej flaszki w kieszeni?

## Rozdział VII

Ulica Żwirki i Wigury była wyludniona. Dwie osoby na przystanku były jedynymi żywymi duszami, jakie spotkaliśmy – nie licząc duchów. Naliczyłem ich dwadzieścia siedem plus sześciu bebeszastych, którzy technicznie duchami nie byli. Za krótko byłem szamanem, by powiedzieć, że widziałem wszystko czy choćby sporo – nie widziałem nawet ułamka tego, co było do zobaczenia, ale mogłem już odhaczyć kategorię: „A duchy zachowywały się dziwnie nawet jak na duchy”.

Niektóre snuły się jak lunatycy, objijając widmowe ciała o latarnie i pnie szpaleru drzew. To, że miały

dość namacalną formę, by to zrobić, było nieco niepokojące. Dziwniejsze były jednak te, które wyglądały jak epileptycy, wstrząsane dziwnymi dreszczami, z wędrującymi po ich sylwetkach przebłyskami bladej poświaty. Tylko jeden wydawał się przytomny na tyle, by złapać kontakt wzrokowy. Nie widziałem go wcześniej, ale jego twarz wydała mi się znajoma. Po chwili już wiedziałem: był duchem szpitalnym, z bezpiecznej odległości przyglądał się moim zmaganiom z Anną Dzwon. Płynął wzdłuż krawężnika, a na nasz widok zatrzymał się gwałtownie. Gdyby nie był duchem, pewnie zaszurałby butami o beton.

– Pułapka? – pisał.

Uniosłem ręce w geście niewinności, ale nie przekonałem go.

Zakręcił się w powietrzu niczym spadający z drzewa liść i wydając z siebie serię pisków i jęków, zawrócił w stronę szpitala.

– Jesteś teraz ich czarną wołgą? – Katia nie kryła zdziwienia.

Wiedziała, jak nachalne bywały duchy, gdy orientowały się, że ktoś ich widzi i słyszy. Zniszczyły nam niejedną randkę. To, że teraz, zamiast gadać, chciały zwiewać, czyniło jej pytanie w pełni uzasadnionym.

– Widział, jak odsyłam upiora, i może mu się rzuciło na mózg. Bardziej mnie zastanawia, jakim cudem dotarł aż tutaj.

Pod względem energetycznym oceniłem go na dwójkę, nie więcej. Był zwyczajnie za słaby na samotne wycieczki. Chyba że w ciągu dwóch dni coś się radykalnie zmieniło i już nie był dwójką. Co mogło aż tak podrasować ducha?

Duchy mają ścisłą rejonizację i w dużym stopniu są stworzeniami terytorialnymi. Pewną niezależność zyskują wraz z wiekiem, ale nawet silny duch nie może sobie po prostu łązić, gdzie chce i kiedy chce. Na własnym terytorium duchy mają niewielkie ograniczenia, miejsce, z którym są związane, oddaje im część energii. Te słabsze i po różnych traumach mogą przez dziesięciolecia odtwarzać zakłętą krąg wypadków, które doprowadziły je do śmierci, nim skondensują dość energii, by się z niego wyrwać.

Duchy mogły się poruszać wzdłuż linii magicznych i kanałami energetycznymi – na podobnej zasadzie, jak szybowce wykorzystują ruchy powietrza, różnice ciśnienia i pola magnetyczne – wszystko po to, by ciułanej latami energii nie przepuszczać na kilka kroków. Aby się przemieszczać na większe odległości i poza terytorium, muszą mieć zgodę Rady – duchów dość starych, by traktować całe miasto jako swój teren nawiedzenia. To gromada despotycznych i wysoce upierdliwych skurczybyków i prawdopodobieństwo, że taki szpitalny pasiak, do niedawna w porowach dwójka, dostał immunitet i mógł się swobodnie przemieszczać, było porównywalne z tym, że Konstancja czeka na mnie w moim łóżku, w kuszącym koronkowym negliżu, bo chce, byśmy zrobili Kurczaczkowi rodzeństwo.

A nawet gdyby doszło po cichu do jakiejś amnestii terytorialnej, duchy były zbyt nieskoordynowane, zwłaszcza te młode, które jeszcze pamiętały, jak to jest mieć ciało. Te tutaj, nawet objając się o drzewa czy trzepiąc jak porażone prądem, poruszały się w określonym kierunku, po powtarzalnym torze. Niektóre widziałem rano przed moim domem, inne szły za mną, gdy odprowadzałem Kurczaczka. Przez kilkanaście godzin kręciły się w okolicy. Widok młodego ducha, który jak po sznurku zawinął się do szpitala, był niespotykany. I choć byłem szamanem, nie potrafiłem wytłumaczyć, co się z nimi dzieje.

– Czy Dora obudziła w ostatnim czasie jakieś linie magiczne? – zapytałem, bo nowa linia magiczna pod nami mogłaby wnieść sporo zamieszania.

– Nic mi o tym nie wiadomo, a raczej by mi się to obiło o uszy. Czemu pytasz?

Nie odpowiedziałem. Miałem złe przeczucia, ale nie było to nic, co dałoby się ująć w prosty komunikat, pełniejszy w treści od „coś mi tu śmierdzi”.

Wszystkie duchy i podróbki duchów z bebechami na wierzchu ciągnęły do tego samego miejsca. Przynajmniej tak to wyglądało. Przy bramie cmentarza kilka kiwało się niczym ćpuni na głodzie. Wahały się.

Śmieszna rzecz – duchy i cmentarz wcale nie idą ze sobą w parze. Cmentarz jest poświęconą ziemią, na której z pewną regularnością odbywają się obrzędy religijne, podtrzymujące stan poświęcenia,

tymczasem duchy nie lubią wody święconej prawie tak bardzo jak soli. A jednak teraz przenikały przez bramę i stawiały swoje eteryczne kończyny na cmentarnej ziemi – ostrożnie, ale jednak.

– Widziałam sporo duchów na cmentarzach, ale to były duchy tych, którzy na nich spoczywali. Odkąd organizują sobie wycieczki krajoznawcze? – zapytała Katia cicho.

– Stawiałbym, że od dwóch czy trzech dni. Coś zmieniło ich nawyki. I coś usunęło część ograniczeń.

– Oślaniaj mnie. Kiedy wejdziemy, muszę się skupić na pieśni.

Wyciągnąłem skręty i zapaliłem jednego. Szybko poczułem lekki szum w głowie, a rzeczywistość stała się mniej ostra, za to poświaty i aury nabrały intensywności. Z kieszeni mojej kurtki dobiegało pobrząkiwanie buteleczek z wodą święconą i solą. Dzwoneczki na bransoletce zaczynały drgać poruszone wibracją eteru, zanim choćby pomyślałem o melodii.

Ledwie przekroczyliśmy cmentarną bramę, wyczułem, że coś jest nie tak z aurą tego miejsca. Brakowało jej tej bogatej gładkości, jaką miały tkane przez stulecie pola energii.

– Też to czujesz? – szepnęła Katia. Przytaknąłem. – Słyszysz?

Nie słyszałem. To nie była moja magia. Wiele razy opowiadała mi o tym, na czym polega jej kontakt z Matką Ziemią, która wybrała ją na strażniczkę śmierci. Katia nie lubiła tego określenia – kojarzyło jej się z koniecznością noszenia sandałów jezusków i chitonu, a biały nie był jej kolorem, bo ponoć WYDOBYWAŁ szarość skóry. Cóż, nie mam odpowiednich chromosomów, by rozpoznać, w jakim kolorze wyglądam bardziej trupio niż w innych. W każdym razie Katia jako strażniczka śmierci miała konkretną więź z Matką Ziemią i konkretne obowiązki. Musiała pilnować, by to, co miało być martwe, pozostało martwe. Potrafiła też ożywić to, co było martwe, ale nie korzystała przesadnie często z tej umiejętności. Raz wpakujesz się w przywołanie prawnikom zmarłego, by wyjaśnił, który testament jest prawomocny, a się nie wypłaczesz z podobnych zamówień. Poza tym nie każdy się cieszył, gdy ostatecznie odbierała życie wujkowi Tadcowi, który – całkiem dosłownie – powstał z grobu.

Wyjęła z torby jeden z miedzianych prętów, które były dla niej czymś w rodzaju połączenia różdżki i kamertonu. Odsunęła się ode mnie pół kroku, tak by nasze aury przestały się stykać (moja była zbyt ruchliwa, by Katia mogła się skupić). Zaczęła nucić, najpierw cicho, jakby anonsowała swoje przyjście. Jej głos był wysoki i czysty, mieszał się z głębokim pomrukiem echa, którym odpowiadała jej Ziemia. Już po kilku minutach połączenie było pełne. Zniknęła gdzieś urocza i całkowicie współczesna dziewczyna, z którą do niedawna się spotykałem.

Teraz, kiedy przepływała przez nią energia Matki Ziemi, Katia wydawała się wyższa, potężniejsza, w jakimś stopniu pradawna. Gdy odrzuciła głowę do tyłu, a w jej ustach wybrzmiała ostatnia samogłoska, na jej twarzy malowała się niemal euforyczna ofiarność. Przez chwilę wsłuchiwała się w odpowiedź. Powitanie dobiegło końca i Katia była gotowa, by odśpiewać przywołanie.

Melodia była dziwna. Coś ze mną robiła, ale nie potrafiłem ubrać odczuć w słowa. Byłem niespokojny, a jednocześnie czułem się uwodzony. Katia wiele lat poświęciła na szkolenie wokalne. Jedną z nauczycielek, które wywarły wpływ na skalę i ekspresję Katii, była syrena. I nawet wiedząc o tym, czułem potrzebę, by podejść bliżej. Dałaby mi za to po żebrach, więc wziąłem się w garść.

Nie tylko ja poczułem zwierzęcy magnetyzm. Duchy – dobrze ponad dwadzieścia – przepływały między nagrobkami i gromadziły się w kręgu, coraz mniejszym i mniejszym. Jeszcze nie wykazywały agresji, o której wspominała Katia, ale gdyby zmieniły zdanie, musiałem dopilnować, by moja przyjaciółka nie stała się przechowalnią cudzych dusz. W sytuacji kryzysowej mógłbym otworzyć bramę zaświatów i odprowadzić większość z nich. W teorii to było do zrobienia – nierozsądne i szalone, ale możliwe. Eter upomniałby się o tych, których bym wskazał, tyle że upomniałby się też o zapłatę z mojej strony. Na więcej niż jeden sposób. Poza tym, gdybym zemdlął, Katia nie tylko zostałaby bez ochrony, ale i musiałaby zawlec mnie do mieszkania, a mój chudy tyłek ważył więcej, niż dałaby radę unieść.

Jej głos syczał wysoko, samogłoski rozbrzmiewały czysto i dźwięcznie, słowa, choć obce, brzmiały niemal poetycko. W porównaniu z nią ja i moja bransoletka byliśmy jak żebrak z harmoszką siedzący pod

Carnegie Hall, gdzie ona grała koncert skrzypcowy. Umilkła nagle. Ostatnia nuta przeszła płynnie w pełną oczekiwania ciszę. A potem zaczęła się magia odpowiedzi. Nie słyszałem nic, moje uszy nie były stworzone do tego, by słyszeć pieśń Matki Ziemi. Gleba pod moimi stopami zaczęła lekko drżeć, włosy elektryzowały się na całym ciele, jakbym wsadził palce do kontaktu, a powietrze zgęstniało od napięcia i czegoś jeszcze, czegoś, co wibrowało w kościach.

Katia słuchała. A duchy z każdą minutą przysuwały się coraz bliżej. Wyciągnąłem buteleczkę z wodą święconą i rozlałem zawartość, tworząc wokół nas półokrag. Czułbym się bezpieczniej, gdyby Katia mogła pracować w kręgu, gdyby nie przeszkadzała jej nie tylko moja obecność w nim, ale i sama obecność granicy, która wydzielala jej jedynie skrawek ziemi zamiast jej niezmierzonej powierzchni.

Od duchów dzieliły nas nie więcej niż trzy rzędy nagrobków. Sytuacja rozwijała się w złym kierunku. Odsyłanie bydłaka po bydłaku było ryzykowne, bo na czas mojego spaceru do bramy Katia byłaby odsłonięta. Teraz nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Była w transie, zupełnie pochłonięta magią i muzyką, która wypełniała jej żyły. Zostało mi tylko jedno.

Rulon liści białej szalwii z dodatkiem tataraku i mięty był skutecznym narzędziem oczyszczania przestrzeni ze złej energii, duchów i magii. Nie używa się go na otwartej przestrzeni, na przykład na cmentarzu, bo dym nie miałby szans zgęstnieć. Mimo to przyklęknąłem na jedno kolano i zapaliłem pakułę. Kilka kropel wosku pszczelego nie tylko zlepiało ze sobą liście, ale też wzmacniało właściwości odsyłające. Po kilkunastu sekundach strużka dymu wysączyła się spomiędzy ciasno zwiniętych kłębow. Gęstniała, przybierając błękitnawożółty kolor, kiedy wzmocniłem jej działanie zaklęciem – tym samym, którym rozpoczynam przygotowania do rytuału odesłania. Zakołysałem bransoletką, przechwytyując kilka taktów z melodii odwołania, która od dłuższego czasu tłukła mi się po głowie. Nasyciłem je moją wolą, magią, która czyniła ze mnie strażnika i szamana, faceta dzierżącego klucze do zaświatów. A przynajmniej władającego wytrychem na tyle sprawnie, by je otworzyć i odesłać każdego namolnego ducha z okolicy, choćby miał to przypłacić udarem. Co, biorąc pod uwagę moją kondycję w ostatnich dniach, wydawało się całkiem prawdopodobne.

Gdy melodia pochwyliła najbliższego ducha, zadrzał z wyraźnym obrzydzeniem. Szarpnął się jak ryba na haczyku, ale trzymałem go natarczywym brzęczeniem bransoletki. Brama zaświatów uchyliła się zaledwie odrobinę, lecz wystarczająco, by błękitna macka eteru musnęła ducha. Nie musiałem go odprowadzać czy otwierać szerzej bramy – zaświaty same się o niego upomniały. Cokolwiek podkarmiało go energią, nie wystarczało, by mógł się oprzeć eterowi. Błądł coraz bardziej, tracąc energię do walki, której nie mógł wygrać. Schody wzywały.

Pozostałe duchy cofnęły się, gdy tylko się zorientowały, że ich kumpel jest już zaledwie wspomnieniem. Zbiły się w stadko i ich nuty mieszały się w kakofonię. Kłęby pachnącego szalwią białego dymu ostrzegały, co je czeka, jeśli skrócą dystans. To był blef – nie potrafiłem zagrać melodii dla każdego z nich, nie od razu, one jednak nie miały o tym pojęcia. O tym, że jadę na rezerwie mocy, też wiedziałem tylko ja.

Odetchnąłem. Mieliśmy trochę czasu, nim pakuła się wypali, a im wróci odwaga. Nie miałem więcej kadzideł.

Katia zrobiła niepewny krok, a potem drugi. Pręt w jej wyciągniętej dłoni drżał niczym różdżka radiestety. Mijała nagrobki, szczęśliwie oddalając się od duchów. Miała przymknięte oczy, więc pilnowałem, by nie wpadła na nagrobek czy nie potknęła się o jeden z betonowych cokołów. Z każdym krokiem oddalaliśmy się od głównej bramy. Moja przyjaciółka przystanęła dopiero przy ciągnących się wzdłuż wschodniego muru świeżych grobach. Spojrzałem na daty na tabliczkach przytwierdzonych do drewnianych krzyży i wzdrygnąłem się. Groby nie były świeże. Nie powinny być. Miały od sześciu miesięcy do trzech lat. Po prostu rodziny nie postawiły jeszcze pomników. A jednak ziemia była poruszona, dostrzegłem luźne grudy zamiast uleżanej gliny. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że groby były wyraźnie wklęsłe. Złamano zasady – nic dziwnego, że harmonia została zachwiana.



– Możesz sprawdzić, czy mają lokatorów? – zapytałem.

– Mogę. Ale nie wiem, czy o tej porze to dobry pomysł. – Obejrzała się przez ramię. Duchy przepływały jak pijane między nagrobkami, jakby sztuczki z przenikaniem były poniżej ich godności. Może savoir vivre świata duchów nakazywał omijanie cudzych kamieni nagrobnych.

„O tej porze”? To wszystko trwało dłużej, niż sądziłem – dochodziła dwudziesta trzecia. I naprawdę powinniśmy związać stąd tyłki przed godziną duchów.

– Jakie mamy opcje? – zapytałem.

– Najprostszym sposobem byłoby poproszenie lokatora, żeby wstał i powiedział „Aaa”. Ale z taką kolejką kandydatów na ciało wolałabym nie ryzykować. Wrócimy za dnia. Ale to nie wygląda zbyt dobrze, Witkacy.

Posłała mi spojrzenie chirurga, który chwilę temu operował kogoś z twojej rodziny, a teraz prosi, byś usiadł, bo musicie porozmawiać.

– Myślisz, że ktoś ukradł ciała? Albo je ożywił?

– Może. Ale nie tylko ciała można ukraść z grobu. I nie jest to ani trochę mniej makabryczne.

Nie załapałem. To nie był mój departament. Moim było czterdzieści duchów, które najwyraźniej chciały nas otoczyć. Za wiele. Byłem osłabiony, szalwia dopalała się w smętnej smużce bardziej białego niż błękitnego dymu i słyszałem tylko kakofoniczny szum. Może bym się nie bał, gdybym miał u swego boku psychopompa z prawdziwego zdarzenia. Ale miałem sępa. W poprzednim wcieleniu musiałem być tyranem serwującym na obiad niemowlęta.

– Musimy iść – szepnąłem.

Potrząsałem nadgarstkiem, a dzwonki znów podchwyciły melodię, która tłukła mi się w głowie. Wiedziałem jednak, że to nie wystarczy. Byłem zbyt zdenerwowany i słaby, by wejść we właściwy trans, nawet gdybym się zdecydował na otwarcie bramy na oścież.

– Boczne wejście – zdecydowałem.

Katia nie protestowała. Biegliśmy wąską alejką do małej furtki wychodzącej na drugą stronę cmentarza. Modliłem się w duchu, by nie była zamknięta. Widać w tym życiu jeszcze sobie dość nie nagrabiłem. Furtka ustąpiła z głuchym zgrzytem i już krok poza granicą cmentarza poczułem, że część ciśnienia znika.

– Dzięki. – Katia ścisnęła moją dłoń.

– Nie masz za co dziękować. Byłem do dupy. Gdyby się na nas rzuciły, z moim poziomem mocy wiele bym nie wskórał. Potrzebuję skrótu.

– Przy tobie były całkiem kulturalne. Nie rzucały przedmiotami, nie ciskały we mnie obelgami, były zaskakująco ciche.

– To też mnie niepokoi. Zwykle gęby im się nie zamykają. Co zakneblowało je wszystkie naraz?

– Dowiemy się. A potem sam zdecydujesz, czy tęsknisz za nawijkami o tym, kto „TO” zrobił wszystkimi tymi „przekaz mojej rodzinie, że ich kochałem”.

Jej uśmiech nie był w stanie przyćmić bladości, która wpełzła na jej twarz jeszcze na cmentarzu. Nawet nie musiałem pytać, jak jest źle. Coś działało na duchy jak kocimiętka, a ja nie wiedziałem, co to jest. Tak ścisłe połączenie naszych departamentów, na jakie się zanosilo, nie wróżyło nic dobrego. Niewykluczone, że kłopoty są zaraźliwe i wkrótce zapłacimy podatek od przyjaźni z Dorą Wilk.

## Rozdział VIII

– No powiem ci, zaimponowałeś mi!

Głos sępa był ostatnim, co chciałem usłyszeć po wejściu do mieszkania.

Rzuciłem kluczyki, komórkę i portfel na stolik kawowy. W pokoju unosił się zapach stopionego sera, sosu pomidorowego i pieczarek. A raczej wspomnienie zapachu zaplątane w puste pudło po pizzy w rozmiarze impreza. Głód związał mi trzewia na kokardkę. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy mam w kuchni cokolwiek do jedzenia. A nawet jeśli miałem, czy warto zakładać, że tak pozostało? Wspomnienia z czasów akademika stały się nad wyraz żywe. W lodówce zostało niewiele więcej poza światłem. Pstryknąłem włącznik czajnika.

Sęp zadomowił się u mnie już w pełni i teraz rozwalony na łóżku popijał piwo. Z mojej lodówki. W moim swetrze i moich spodniach – widać miał fundusze na kupowanie wypasionych kurtek, ale na spodnie już zabrakło. Wolałem się nie zastanawiać, czy pod spodem ma moją bieliznę, czy nie ma nic. Nie wiem, co było bardziej odpychającą perspektywą.

– Myślałem, że jesteś niedojdą i pustelnikiem, a tu dwie dzierlatki na zakładkę... Poruszył brwiami z sugestią, za którą chciałem dać mu w mordę. – Ta starsza niczego sobie, ale ta młódka, jaki żrebaczek, te oczyska jak u króliczka... I wychować sobie można taką, bo nie nasiąkała tymi wszystkimi dyrdymałami o równouprawnieniu...

Usłyszałem trzask, a dopiero po chwili poczułem lepkość i pieczenie w dłoni. Odkręciłem kran i wsadziłem poranioną rękę pod zimną wodę. Jednocześnie drugą zebrałem w szmatkę odłamki szklanki i wyrzuciłem do kosza pod zlewem. Względnie czystą ścierką owinąłem dłoń. Odwróciłem się do sępa, siląc się na spokój.

– Czytałeś klasykę? – zapytałem chłodno.

– Coś konkretnego? – Zamrugał zaskoczony.

– „Sokół” Boccaccia, taka niewielka nowelka, znasz może?

– Może? Skąd ta zmiana tematu?

– Ważne, żebyś pamiętał morał.

– A jaki był morał?

– Że jeśli kogoś kochasz, ptak może skończyć w rosole. I wierz mi, skoro da się uwarzyć rosół z sokoła, to tym bardziej da się ugotować sępa. Zbliź się do mojej córki, a skończysz jako przyczyna niestrawności.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, szukając sygnału, że żartuję. Bezowocnie. Dawno nie byłem tak śmiertelnie poważny. I pierwszy raz poczułem się jak ojciec. Dość przytłaczający moment.

– Spoko, nie ma się co ciskać – mruknął. – Żartowałem, nie?

Kłamał. Ale najważniejsze, że załapał przekaz.

– I żeby była jasność: jeśli zamierzasz tu dziś spać, to na pewno nie jako facet i nie w moim łóżku. Może to cię zmotywuje do szukania mieszkania – dodałem, korzystając z tej ulotnej chwili, kiedy czułem się niczym Clint Eastwood w „Bрудnym Harrym”.

– Kto by chciał z tobą spać – burknął jak nadąsany nastolatek. Wolałem nie myśleć, ile faktycznie ma lat.

Woda w czajniku zabulgotała i włącznik odskoczył z cichym kliknięciem. W ciszy, która zapadła między nami, zabrzmiało to niemal jak wystrzał. Lubię ciszę. Jest mocno niedoceniana we współczesnej kulturze białych szumów. Zalałem chińszczyznę w kubku i znów poczułem się jak studenciak w akademiku. Po Clincie Eastwoodzie nie został ślad.

## Rozdział IX

Czekała na mnie na parkingu, naładowana energią jak piorun kulisty. Jedną z tych rzeczy, o których nie rozmawialiśmy nawet w czasie trwania związku. „Jak uzupełniasz braki?” to dość intymne pytanie, zwłaszcza jeśli twoja magia jest tak blisko związana ze śmiercią. Ja z moim chłeptaniem eteru miałem całkiem spokojne życie, Ti łądowała się wiatrem i seksem, co też nie czyniło tego jakoś przesadnie nieprzyjemnym. Katia mogła nie mieć tyle szczęścia, więc skoro nie zaczynała tematu, nie pytałem.

Spiorunowała mnie wzrokiem, kiedy ruszyłem w stronę jeeпа.

– Weźmiemy mój – powiedziała kategorycznie.

– W twoim nie ma miejsca na nogi – zaprotestowałem.

– W twoim nie ma pasów. I szyby. I hamulca ręcznego. I boję się nawet pytać, czego jeszcze – odparła, podchodząc do swojego auta.

Kobiety lubią, by ich auta były małe. Może to kwestia parkowania. Może nie mają potrzeby, by cokolwiek sobie udowadniać.

Zaparkowała nieopodal bocznej furtki, przy straganach ze zniczami i wieńcami. Nie obawialiśmy się świadków – wiedzieliśmy, że niemagiczni nic nie zobaczą, a nawet jeśli zobaczą, nie zapamiętają.

Tym razem nie widziałem duchów, nie było ich ani przed moim mieszkaniem, ani tu. Mogło je odpędzić światło słoneczne, ale wątpiłem, by tak było – w końcu potrafiły snuć się w deszczu w biały dzień. Ich dzisiejsza nieobecność była raczej szczęśliwym, choć zastanawiającym zbiegiem okoliczności, i raczej dowodziła, niż przeczyła teorii, że ktoś stał za ich pojawieniem się.

Katia szybko odnalazła zapadnięte groby. Przybrała ten poważny i skupiony wyraz twarzy, tak inny od figlarnego „cywilnego”. Postawiła skórzaną torbę na sąsiednim nagrobku i wyciągnęła z niej zamszowy pokrowiec. Pręciki różnej grubości, głównie miedziane, leżały schludnie ułożone, przytrzymywane zaprojektowanymi w tym celu pętelkami. Wybrała jeden, grubszy od kciuka, z ołowianym pierścieniem w połowie długości.

Uklęknęła, nie bacząc na to, że może sobie pobrudzić jasne spodnie, na każdym z rozpulchnionych kopczyków uklepała ziemię i narysowała niewielki krąg, a następnie czubkiem pręcika wypisała na nich pojedyncze symbole. Wstała i otrzepała kolana, po czym na gliniastej ścieżce wyrysowała wokół siebie krąg ochronny.

Poszedłem w jej ślady. Nigdy nie kłóć się z nekromantą, który na cmentarzu uznaje, że krąg jest konieczny. Zwykle Katia tylko wzruszała ramionami i zaczynała śpiewać; jeśli coś próbowało podejść za blisko, uderzała w wysoką nutę i wymierzała szturchnięcia pręcikiem niczym staroświecka nauczycielka wymierzająca klapsy linijką. Nekromanci nie przejmują się przesadnie zasadami BHP. O wiele trudniej ich zabić niż szamana.

Katia pochyliła się nad krawędzią kręgu i miedzianym prętem narysowała trzy strzałki o podwójnym grocie. Wyprostowała się i znów nastąpiła w niej ta przemiana. Zapomniałem, że ma na sobie błękitne dżinsy i kalosze, że jest zupełnie współczesną dziewczyną. Impuls mocy spłynął z pręcika, przebiegł po krawędzi okręgu i zamknął ją w bezpiecznym polu ochronnym. Wyciągając przed siebie pręcik niczym różdżkę, zanuciła. Było w jej melodii coś smutnego, jakby tęsknota i przywołanie, któremu – żywy lub martwy – nie potrafiłbym się oprzeć. Nie wyszedłem z kręgu tylko dlatego, że jakaś część mnie wiedziała, że to nie mnie przywołuje. I serce mi krwawiło z żalu, że to nie na mnie czeka.

Magia wzrastała, powietrze naelektryzowało się tak bardzo, że słyszałem ciche wyładowania elektrostatyczne, kiedy włosy Katii uniosły się wokół jej głowy, upodabniając ją do Meduzy. Strzałki na ziemi rozżarzyły się światłem. Strużki fioletowej poświaty przepelzały z nich, aż zalała ona każdy z trzech podejrzanych grobów. Przez chwilę nic się nie działo poza pulsowaniem fioletu. A potem ziemia pod naszymi stopami się zatrzęsła. Katia zaciskała powieki i nie przestawała nucić, miedziany pręt drżał, jakby z trudem utrzymywała go w dłoni. Z grobów dochodziły chrobot i szuranie, jakby panowie Sejniak, Dmowski i Kamiński obcasami wyglancowanych na pogrzeb butów szorowali dna trumien. Nie czułem ich dusz ani duchów, ale nie miałem wątpliwości, że są w grobach. Katia najwidoczniej również, bo

przestała śpiewać. Ledwie przebrzmiała ostatnia nuta, magia zaczęła słabnąć.

Katia wyszła z kręgu z westchnieniem ulgi, jak jedna z tych kobiet, które ściągają stanik, kiedy tylko przekroczą próg własnego mieszkania. Nie lubiła kręgów, bo choć dawały ochronę, jednocześnie oddzielały ją od Matki Ziemi. Porównała kiedyś ten stan do sytuacji, kiedy po kąpieli masz wodę w uszach i kiedy przez ułamek sekundy boisz się, że tracisz słuch i wszystkie dźwięki pozostaną stłumione, aż wszystko zaleje cisza, której nic już nigdy nie rozproszy.

Zatarła wyrysowane symbole i strzałki.

– Są w trumnach, nikt ich nie próbował ożywiać – potwierdziła.

– Do teraz – dodałem.

– Do ożywiania było jeszcze całkiem daleko. Bez ofiary na pewno nie wywołałabym z grobów trzech nieboszczyków jednocześnie i raczej nie w świetle dnia. – Uśmiechnęła się skromnie. – Ale te groby są zbezczeszczone, ktoś ukradł ziemię. Poza tym czuję ślady magii.

– I nie masz na myśli kucyków i chochlików? – upewniłem się, bo ogromne pokłady jej pobudzonej mocy wciąż uniemożliwiały mi dostrzeżenie jakichkolwiek śladów. Jeszcze uczyłem się filtrowania.

– Coś ciemnego. Wymagającego ofiary.

Spojrzałem pod nogi. Nawet gdyby ktoś zarznął tu stado kur, nie byłoby widać śladów krwi na tle rdzawego blocka.

– Nie tutaj, nie wyczuwam śladów po rytuale, ale niedaleko. Połączenie między grobem i ziemią nie zostało zerwane.

– Czy wyjdę na ignoranta, pytając, po co komu ziemia z grobów?

– Właśnie nad tym się zastanawiam. Sama jej używam, żeby wytworzyć esencję grobową... ale potrzebuję jej niewiele, woreczek śniadaniowy raz w miesiącu. Tu brakuje jakichś trzystu kilogramów. Po co komu tyle grobowej esencji? – spytała bardziej siebie niż mnie, nerwowo przechadzając się między pomnikami.

Kiedy Katia była zdenerwowana, nie mogła stać. Nie chodziła na siłownię, nie biegała. Jej obłądna figura była wynikiem tego, że jako nerwowa choleryczka każdego dnia robiła całe kilometry. Trzy kroki w jedną stronę, energiczny obrót, trzy kroki w drugą.

Pełne wiadra esencji grobowej i stada duchów wyłazące z każdego kąta. Czy tylko mnie to wszystko łączy się w bardzo niepokojącą całość?

– Co może przyciągać duchy jak kocimiętka? – zastanawiałem się głośno, spoglądając na problem z mojej perspektywy.

– Myślisz, że to ma coś wspólnego z tym brakiem ziemi? – zapytała, przystanąwszy.

– Jeśli zbezczeszczenie grobów i stada duchów na cmentarzu nie są ze sobą powiązane, to dość dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz?

– Zbliży się nów – stwierdziła. – Idealny czas na stworzenie esencji grobowej. I to mnie niepokoi jak cholera.

– Trzysta kilo esencji i stado duchów na speedzie? Rozumiem twój niepokój.

Widziałem w życiu dość filmów, by rozpoznać nadciągającą katastrofę. Coś zwabiało w okolice duchy, coś tworzyło bebeszaste anomalie, wszystkie one pasły się pozyskaną Bóg wie jak energią – w takiej ilości, że z pewnością będzie mieć to swoje konsekwencje – a cmentarz był zdesakralizowany. Za kilka dni ktoś może wejść w posiadanie kilkuset kilogramów esencji grobowej. Jedna szczypta tej substancji materializuje ducha na tyle, by stał się namacalnym zagrożeniem. Po niedawnym spotkaniu z upiorem nie tęskniłem za stworami, które jedną ręką potrafią sponiewierać dorosłego faceta.

Mogliśmy optymistycznie założyć, że wyrojenie duchów i potencjalna ogromna ilość esencji nie mają wspólnego mianownika. Ale czy po tym wszystkim, czego doświadczyliśmy w ostatnim czasie lub obserwowaliśmy, bo doświadczała tego Dora, stać nas było na graniczący z naiwnością optymizm? Wszystko to wyglądało groźniej niż filmowe wersje apokalipsy z zombie w roli głównej, bo ducha – nie

mówiąc już o takiej liczbie duchów – nie jest szczególnie łatwo poćwiartować.

– Sprawdzę, czy to jedyne groby, które zostały naruszone – mruknęła Katia, zmieniając pręcik na nowy.

Ten poprzedni wciąż obłożony był zaklęciem, którego użyła do wywołania lokatorów trumien, i machanie nim nad grobami nie byłoby najmądrzejsze. W domu oczyści pręciki solą lub bursztynem. Tak, Katia zawsze była przygotowana, nawet jeśli oznaczało to, że jej torebka waży tonę. Czyste pręciki nosiła w pokrowcu. Użyte wrzucała luzem na dno torby.

Nucąc, przechadzała się między nagrobkami. Teraz, kiedy wiedziała, czego szuka, już po kilku odśpiewanych tonach wyłapała dysonans. Szybko przeszła do kolejnego grobu, tym razem podwójnego pomnika małżeńskiego. Między dwiema dziwnie asymetrycznymi częściami grobu rozciągała się szeroka na nieco ponad pół metra płaszczyzna lastryko, a na niej leżały równiutko ułożone wyrwane z ziemi bratki. Poza tym płyta była czysta. Trudno wybrać kilka wiaderek ziemi i nie porozsypywać jej dookoła. A to oznaczało, że ktokolwiek ukradł ziemię, nie tylko poukładał wyrwane rośliny w rzędki, ale i zamiótł powierzchnię płyty. Część po lewej stronie pozostawała nietknięta – kwiatki i ziemia były na swoim miejscu.

– Zauważyłaś, że każdy z naruszonych grobów należy do faceta? Nie wydaje ci się, że łatwiej byłoby wykopać po wiaderku z każdej z komór, niż kopać pół metra w głąb? – spytałem.

– Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

Miałem swoje podejrzenia. Sądziłem, że za wszystkim stoi kobieta. Ten, kto ukradł ziemię, posprzątał po sobie, ułożył równiutką rabatkę z wyrwanych bratków. Nie pasowało mi to zupełnie do faceta. Może taki z nerwicą natręctw zrobiłby coś takiego, ale wtedy byłoby schludniej. Na krawędzi pomnika zauważyłem kilka grudek ziemi, a na ścieżce kolejne. Nie powiedziałem tego jednak głośno, bo Katia zapewne uznałaby, że wyciągam wnioski na podstawie stereotypów, a w kwestii porządków powinno panować równouprawnienie. Nie mówię, że nie powinno, po prostu moje doświadczenie wskazuje, że najczęściej jest zgoła inaczej.

Metr od pomnika zauważyłem ślad wąskiego bieżnika odcisnięty w błocie. Nieduże i pojedyncze kółko – spore obciążenie, sądząc po głębokości śladu. Kilka metrów dalej, tuż przy odcisku kółka, znalazłem trochę rozsypanej ziemi.

– Taczka? – zgadywałem.

Trop prowadził do ogrodzenia. Dłuższe boki cmentarza, zbudowanego na planie prostokąta, ogradzały stare, ale mocne przęsła płotu z masywną, odlewaną bramą od frontu i podobną, choć mniejszą furką na tyłach. Krótsze boki były nowsze. Ten na lewo był ceglany murem postawionym względnie niedawno na prośbę mieszkańców osiedla sąsiadującego z cmentarzem – widać memento mori przy porannej kawie było bardziej depresyjne niż mur tuż za oknami. Ten na prawo był typowym przykładem prowizorki – na przechylających się drewnianych słupach luźno wisiła pordzewiała siatka. Kiedyś był tu solidny kamienny murek, ale wapień zaczął się sypać i zagrażał pomnikom stojącym tuż obok, rozebrano go więc i zastąpiono siatką. Miała być rozwiązaniem tymczasowym, ale jak wiele tymczasowych rozwiązań w tym kraju została na długo. Teraz zupełnie nie spełniała swojej funkcji, bo ktoś poprzecinał jej pordzewiałe oczka. Luźne końce rozcięcia rozłożono tak szeroko, że taczka mogłaby przejechać swobodnie. Przerwanie ogrodzenia wyjaśniało, dlaczego duchy bez przeszkód wchodziły i wychodziły przez bramę. Nie przypadkiem cmentarze się grodzi – fizyczna bariera pozwala osadzić zaklęcie przytrzymujące wszystko, co chciałoby wejść czy wyjść.

Na wilgotnym asfalcie widać było ślady ubłoconej taczki, ale po kilku metrach trop się urwał. Wydawał się prowadzić do pobliskich szeregowców. Do którego? Nie miałem pojęcia. Podzieliłem się z Katią swoją frustracją.

– Jest coś, co mogę zrobić, ale musisz mi osłaniać tyły, bo będę cholernie odsłonięta na atak. Tego zaklęcia nie mogę użyć w kręgu, bo to się mija z celem – oświadczyła z typową dla siebie determinacją.  
– Jeśli pojawią się duchy, zajmiesz się nimi?

Zakląłem. Wciąż byłem słaby. Przydałby się skrót.

– Możemy z tym poczekać dobe?

– Nie, nów jest za blisko. Jeśli ktoś produkuje setki kilogramów grobowej esencji, mamy mało czasu.

– Zrobię, co mogę – zapewniłem.

Miałem nadzieję, że nie będą to jedne z tych sławnych „ostatnich słów”. Moja eksdziewczyna była dość trudna w pożyciu i bez nawiedzenia.

## Rozdział X

Kiedy Katia powiedziała, że zakłęcie pokaże „martwe rzeczy”, nie spodziewałem się takiego rezultatu. Nie jest to coś, nad czym się zastanawiam każdego dnia, ale otacza nas więcej śmierci niż życia. Śmierć jest wszędzie dookoła, choć zwykle umyka naszej uwadze, dyskretna i niewygodna.

Poświata rozświetlała okolicę jak choinkowe światełka w smutnej fioletowej tonacji. Ta bijąca od martwych roślin i owadów była delikatna, fiołkowa, ale już martwy kot w krzakach miał ciemniejszą aurę śmierci. Człowiek, wedle Katii, jarzyłby się ciemnym fioletem, a im świeższe byłoby ciało, tym bardziej bakłażanowy miałoby kolor. Tak, użyła słowa „bakłażan” w odniesieniu do koloru.

Cmentarz za nami otaczała luna, w której pulsowały różne odcienie fioletu. Wyraźnie było widać, w którym miejscu cmentarza znajdowały się starsze groby – sprzed kilkudziesięciu czy kilkunastu lat – a gdzie zupełnie świeże. Nadmiar fioletu w nieoczekiwanych miejscach był rozpraszający. Bałem się spojrzeć na własną rękę z obawy, że jarzy się bladofiołkowym epitafium dla martwych komórek skóry.

Szliśmy chodnikiem biegnącym wzdłuż żałośnie lichego ogrodzenia i szukaliśmy śladów. Co kilka metrów na pociemniałej kostce brukowej jarzyły się jagodowe okruszki cmentarnej ziemi – naznaczonej śmiercią na tyle mocno, by na poziomie magicznym zawsze już różniła się od ziemi z parku czy ogródka.

– Patrz – powiedziała Katia.

Gdyby to była gra w „znajdź niepokojąco złowrogi element na obrazku”, wskazałbym palcem bez wahania.

Przy ulicy stało sześć ogrodzonych płotem domków szeregowych, każdy z własnym ogródkiem z tyłu i wąskim płachetkiem trawnika od frontu. Wszystkie budynki były otynkowane na ten sam bladożółty kolor, ale drzwi każdego pomalowano inaczej – od granatu przez zielony po brąz w kilku odcieniach. Jeden z szeregowców otaczała gęsta jagodowa poświata – zdawała się obklejać całą jego fasadę i ścieżkę między furtką a schodkami na ganek, nie przekraczała jednak granicy wyznaczonej przez żeliwne ogrodzenie.

– Za dużo tego, żeby mieć nadzieję, że właśnie wybiła karaluchy w piwnicy i zaniedbuje rośliny w doniczkach.

– Nie wiem, co ma w piwnicy, ale z całą pewnością jest to bardzo martwe. Albo tam są szafy pełne trupów, albo ktoś tu uprawia magię śmierci – oświadczyła Katia.

Przecięła ulicę i pchnęła furtkę. Idąc za nią, poczułem, jakby po drugiej stronie ogrodzenia powietrze było gęstsze, bardziej lepkie, przesycone smrodem rozkładu i czymś jeszcze... czymś, co przywodziło mi na myśl rozgrzane kable elektryczne, takie, na których zaczyna się topić izolacja. Gdyby ogrodzenie nie działało jak szczelny krąg, sąsiedzi już dawno złożyliby skargę. Nie po to płacili takie kwoty za metr kwadratowy, by na ich tarasach śmierdziało rzeźnią.

Im bliżej byliśmy schodów na ganek, tym wyraźniejszy stawał się zapach zepsutej krwi i tłuszczu.

– Czy to jest ten moment, kiedy wzywamy posiłki? – szepnąłem Katii do ucha.

– Masz rację! Ktoś tu się zabawia magią śmierci, wezwijmy nekromantę! – prychnęła, wymieniając

pręcik na świeży.

Napiąłem się, bo nadciągały kłopoty. Oto spod schodów wytoczyła się na nas przeszkoda w postaci zwalistego faceta.

Miał twarz niczym wykutą z kamienia przy użyciu motyki, wydatne czoło i zapadnięte głęboko oczodoły upodobiały go do małpy. Łysy, szary, o niezbornych ruchach, przypominał ogłuszonego ogra, kiedy wyciągał ramiona w naszą stronę z niezrozumiałym warczeniem. Może dostałby angaż w horrorze, ale raczej nie byłaby to rola wymagająca czytania scenariusza. Jego matowe oczy wskazywały, że lokal jego czaszki jest niezamieszkały.

Katia odsunęła mnie ze swojej drogi, kiedy odruchową ją osłoniłem.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała, mierząc w pierś zombiaka miedzianą różdżką.

Zanuciła zaklęcie, kilka prostych dźwięków – zabrzmiały jak magiczny odpowiednik szlagierów oazowych, skomponowanych z wariacji na temat gitarowych chwytów C i A. Widać od zaklęć nie wymaga się oryginalności, wystarczy, że są skuteczne. To było.

W jednej chwili jego ciało zwiotczało, jakby wyłączono mu zasilanie. Osunęło się po ścianie budynku, a Katia puściła wiązanek przekleństw, kiedy ulatująca z niego ożywiająca iskra rozgrzała miedź tak, że poparzyła jej palce.

Pochyliłem się nad bezwładnym ciałem. Wyglądało dziwnie. Wiedziałem już zombie i ożywieńce, ale ten był inny. Teraz gdy Katia odebrała mu iskrę, zdawał się pograżać w rozkładzie. Jego skóra z każdą sekundą była bardziej sypka. Gdybym dotknął jego bulwiastego nosa, zapewne rozkruszyłby się pod moim palcem.

– Co to jest, do cholery? – wyrwało mi się z zaskoczenia.

– Golem – odpowiedziała Katia krótko.

– Czarna magia? – upewniłem się.

– Wystarczająco czarna, żeby to był problem. Jest ich więcej – dodała, wsłuchując się w coś, co dla mnie było tylko szumem liści poruszanych wiatrem. Ona wciąż słyszała wibracje ziemi będące odpowiedzią na śpiew.

Wszedłem po schodach i pchnąłem drzwi do ganku. Jeden – zero w meczu szaman kontra policjant – szamanów nikt nie pyta o nakaz. Katia szła pół kroku za mną, skupiona, z pręcikiem w zaciśniętej dłoni. Nastawiłem się na różne rzeczy, nawet te najbardziej makabryczne, z siedzibą krwawej sekty ghuli na czele.

Nie byłem przygotowany na to, co zastaniemy.

Dom wyglądał, jakby wybuchła w nim księżniczkowa bomba. Kokardki, kwiatki, koronki, falbanki wypełniały każdy centymetr przestrzeni. Ściany zdobiły portrety kociąt i gwiazd filmowych w tanich ramkach, z przyklejonymi na szybkach serduszkami. Korytarz otwierał się z jednej strony na kuchnię z częścią jadalną, z drugiej na pokój, który właścicielka zapewne nazywała salonem. Właścicielka, bo trudno mi było sobie wyobrazić, by jakikolwiek facet wytrzymał takie natężenie słodyczy. Ale może nie doceniałem męskiego rodu.

W kuchni, pomalowanej na kolor halloweenowej dyni, przy sosnowym stoliku zastawionym porcelaną w różyczki siedziały dwa golem. A przynajmniej próbowały siedzieć, bo jeden z nich był dość posunięty w rozkładzie i osuwał się na krześle jak worek kartofli, a jego twarz wyglądała, jakby przeszedł udar – mięśnie odmawiały posłuszeństwa, a policzki i kąciki ust opadały coraz bardziej, upodabiając go do smutnego buldoga. Drugi był w niewiele lepszym stanie, z głową opadającą na pierś wyglądał jak pasażer pociągu, który przysnął w bardzo niewygodnej pozycji. Obaj ubrani byli w przypadkowe sztuki odzieży, niepasujące na nich rozmiarem i kolorem. Wyglądali jak strachy na wróble po napadzie na ciucholand.

Przeszedł mnie dreszcz, gdy nagle jeden z nich drgnął i sięgnął po pustą filiżankę w różyczki. Zaciskając nieforemne palce na delikatnym uszku, uniósł ją na wysokość ust w sposób jakby podpatrzony

u małych dziewczynek wyprawiających przyjęcie dla lalek. Zawsze gdy myślałem, że w moim nowym życiu uchwyciłem już definicję „dziwności”, działo się coś takiego.



Wycofałem się na korytarz. Katia stała w milczeniu na progu salonu. Przed telewizorem, na rozłożystej pluszowej kanapie, siedział kolejny golem. Był w jeszcze gorszym stanie niż pozostałe – jego lewe ramię odpadło na wysokości barku i leżało bezwładnie na siedzisku. Nie przeszkadzało mu to lub nawet tego



nie zauważył, wpatrzony w mecz na ekranie. Dźwięk był wyciszony. Nagle golem wyrzucił w powietrze prawą rękę w geście, który mógłby wyrażać radość, gdyby nie to, że twarz umarlaka była całkowicie obojętna i sflaczała. Spojrzałem na ekran – nie padł żaden gol. Ani wtedy, ani trzydzieści sekund później, kiedy golem powtórzył ten gest. Mógłbym się założyć, że zanim odpadła mu lewa ręka, unosił w ten sposób obie.

Byli w różnych stadiach rozkładu. W powietrzu czułem wyraźny słodkawy odór trupiego wosku i zgnilizny.

– Bawi się nimi w dom, w życie – szepnęła Katia ze zgrozą.

– Oni mają jakąś świadomość? – zapytałem, bo myśl o uwięzieniu w takim gnijącym, rozpadającym się ciele była przerażająca.

– To tylko manekiny ulepione z grobowej ziemi i animowane czarną magią. Nie mają woli, nie mają inteligencji, robią, co im kazała, o ile to nie jest zbyt skomplikowane.

Jednocześnie unieśliśmy głowy, słysząc jakiś stukot, dobiegający z piętra nad nami. Bez słowa ruszyliśmy na górę.

Na wąskiej klatce schodowej, ze ścianami pokrytymi sosnową boazerią, zapach rozkładu był silniejszy. Czyżbyśmy się właśnie zbliżali do czegoś, co biło na głowę to, co zobaczyliśmy na parterze?

Uchyliłem pierwsze z trojga drzwi. Okno w sypialni zasłaniały grube zasłony w kwiatowy wzorek, ciemność rozpraszały tylko cztery świece osadzone w masywnym świeczniku stojącym na szafce nocnej. Duże łóżce przykryte było kapą i zarzucone licznymi poduszkami w kilku rozmiarach. Między nimi rozkładał się kolejny golem. Spośród tych, które dotąd widzieliśmy, prezentował się zdecydowanie najgorzej. Spod miękkiej gliny, z której kiedyś ulepiona była twarz, wystawał drewniany stelaż. Nie wiem, czy zasłony i świece miały stworzyć romantyczny klimat, czy tylko ukryć niedostatki amanta.

Za kolejnymi drzwiami była łazienka, pusta. Widocznie nie każda scenka z życia zasługiwała na odegranie przy użyciu golema. Może i dobrze, bo chyba nie chciałem wiedzieć, jak dokładnie nasza poszukiwana odtwarza męską anatomię.

Trzecie drzwi prowadziły do sporego pokoju. Także tu zasłony były zaciągnięte, a źródłem światła było kilkadziesiąt świec i lamp naftowych. Nawet w ich pełgającym miękkim świetle widziałem dość, by poczuć skurcz żołądka. Pod jedną ze ścian stał niski ołtarz okryty czarnym sukniem i zastawiony naczyniami ofiarnymi. W metalowych, szklanych, drewnianych i kamiennych misach leżało kilkanaście truchel w różnym stopniu rozkładu – czasami były to same kostki, bielejące między zetłętym futerkiem czy piórami, czasami posoka wciąż była świeża i spływała po krawędziach misy na obrus. Na grubej warstwie folii malarskiej przed ołtarzem leżało kilka większych ofiar – królików, myszy laboratoryjnych i szczurów. Weszliśmy głębiej, nastawiając się na więcej makabry.

Prawie potknąłem się o wyciągnięte nogi golema, który półleżał na podłodze, oparty plecami o ścianę, z głową zwieszoną na piersi. Zgubił iskrę na tyle dawno, że Katia nie zawracała sobie nim głowy, całkowicie skupiona na jego stwórczyni.

Kłęczała na płachcie grubej folii, na której usypany był kopiec czerwonej gliny. Ugniatała ją palcami jak ciasto i lepiła kolejną humanoidalną wersję faceta idealnego. Bo gdzieś w głębi duszy wiedziałem, czemu to robi. Ten dom powiedział mi o niej więcej, niż chciałem wiedzieć. Nie zwróciła na nas uwagi, skupiona na zwilżaniu gliny, z której lepiła kolejny nierealistyczny sześciopak. Nieobecny spojrzaniem przebiegła po pokoju i brudną dłonią odgarnęła z twarzy kosmyki włosów, znacząc policzek smugą ziemi.

– Zostaw to – poprosiła spokojnie Katia. – To już koniec.

Kobieta uniosła głowę. W jej szeroko otwartych wodnistobłękitnych oczach dostrzegłem zaskoczenie. Wyglądała tak, jakby sekundy dzieliły ją od zasłonięcia dzieła własnym ciałem, ale tylko mocniej zacisnęła palce na glinie i powiedziała:

– Nie robię nic złego!

Sama w to nie wierzyła. Jej policzki oblały się rumieńcem i odwróciła wzrok.

– Powiedz to tym zwierzakom. – Katia wskazała stertę trucheł.

Kobieta podążyła spojrzeniem za jej gestem. Opuściła nisko głowę, a brązowe kosmyki zasłoniły jej twarz. W szlochu, który wyrwał jej się z piersi, było coś rozpaczliwego. Nie sprawiała wrażenia przesadnie poczytalnej, co tylko potwierdzało podejrzenia, jakich nabrałem po wizycie na parterze.

– Może następny mi się uda... będzie idealny... będzie mnie kochał i nigdy nie odejdzie. – Wybuchła płaczem, objęła się ramionami i zaczęła kiwać do przodu i do tyłu.

– Gdyby prawdziwą miłość i idealnego faceta dało się znaleźć na cmentarzu, już dawno nie byłabym sama. – Katia poklepała kobietę po plecach w geście pocieszenia. – W tych kwestiach żywi radzą sobie znacznie lepiej. Czasami kiepsko, ale wciąż znacznie lepiej niż umarli.

Kobieta patrzyła na Katię z miną skrzywdzonego szczeniaczka. Zero agresji, za to mnóstwo łez i powieki spuchnięte od płaczu. Mops z atakiem kataru siennego.

– Byli dla mnie mili – szepnęła cicho.

Katia nie bawiła się w subtelności.

– Ale zaczęli się rozkładać po dwudziestu czterech godzinach. To trochę za szybko, żeby zbudować związek. I nie mieli za grosz rozumu, a to tylko pozornie zaleta – stwierdziła moja była, puszczając mi oko.

– Co teraz będzie? Co ze mną będzie?

Animatorka golemów spoglądała z niepokojem to na mnie, to na Katię, jakby nie wiedziała, które z nas jest dla niej większym zagrożeniem. W tej kwestii Katia była dużo bardziej kompetentna.

Uczyłem się nowych reguł. Na przykład tego, że choć w moim odczuciu kwalifikowała się na leczenie w szpitalu psychiatrycznym, to w rzeczywistości magiczne skierowanie jej do specjalistycznego ośrodka byłoby poważnym błędem. Umieszczanie kogoś nawet tak zaburzonego jak ona, ale władającego choćby niewielką magią między bezbronnymi ludźmi – chorymi psychicznie czy nie – to proszenie się o katastrofę. Na przykład o kolejny nawiedzony psychiatryk, jedno z setek skażonych magią i szaleństwem miejsc – pokłosie czasów sprzed ustanowienia odpowiednich reguł. Katia potrafiła ocenić jej stan, a przede wszystkim poziom jej poczucia winy. Na to, co robiła ta kobieta, w ludzkim kodeksie nie ma paragrafu.

Mowa ciała wystarczyła, by animatorka zorientowała się, kto tu dowodzi. Wpatrywała się w nekromantkę z tym ufnym oddaniem, jakie widywałem u osób silnie wierzących, gdy klęcząc pod świętym obrazem, czekały na strumień łaski.

– Zobaczymy. Zależy, czy przekroczyłaś granicę ofiary, po której nie masz szans na łagodny wyrok – Katia odwleka decyzję.

Gdy do kobiety dotarło, co właściwie sugeruje Katia, gwałtownie pokręciła głową.

– Nie zabiłam nikogo, żadnego człowieka! Tylko gryzonie i ptaki – zapewniła.

– I króliki – dorzuciła Katia. – Za szybko się rozkładali, myślałaś, że większa ofiara utrzyma ich dłużej przy życiu?

– Tak, ale nie stać mnie było na kozę czy owcę – szepnęła.

Nekromantka skrzywiła się i spojrzała mi w oczy. Wiedziałem, co chce mi przekazać: mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy ją teraz. Eskalacja była nieunikniona – im większa ofiara, tym lepsze golemy. Nie miała oporów przed zabijaniem ssaków i choć ptaki czy gryzonie raczej nie przepchną człowieka na ciemną stronę, to zaczyna on niebezpiecznie balansować na jej granicy. Pokusa, by sięgnąć po potężniejszą moc i złożyć większą ofiarę, unosi swój węzowy łebek. W końcu posuwasz się dalej, bo potęga uzależnia i oszalała. Animatorka miała dodatkową motywację – dla niej ofiara była niewiele znaczącą opłatą za szansę spełnienia marzeń o miłości. Nie zabiła kozy czy owcy, bo nie było jej na nie stać, a nie z powodu oporów natury moralnej. A jeśli wpadłaby na pomysł porwania dziecka? Przecież miałyby je za darmo. Czy nie warto poświęcić cudzego bachora dla spełnienia własnych marzeń?

Normalny człowiek udzieliłby jednoznacznej odpowiedzi, ale normalność nie była mocną stroną animatorki.

Katia nie słuchała żalów kobiety, która choć zdawała sobie sprawę z porażki eksperymentu, wciąż łudziła się, że gdyby to czy tamto zrobiła lepiej, to może następny okazałby się jej ideałem... Podeszła do ołtarza, ukłękła się w palec i uroniła do ofiarnej misy kilka kropel własnej krwi. Zanuciła zakłęcie i już po chwili bezwładne ciało golema wstało z podłogi, a następnie, powłóczęc nogami, zrobiło krok w jej kierunku. Animatorka patrzyła zazdrośnie na naczynie. Jedna kropla krwi Katii miała więcej mocy niż to, co osiągnęła dzięki dziesiątkom ofiar z gryzoni. Podejrzewałem, że gdyby Katia zdecydowała się ulepić golema, byłby tak doskonały, że przeszedłby kontrolę u Anity Czarny i rozwiązywał krzyżówki.

– Zejdź po schodach i poczekaj tam na mnie – powiedziała, pokazując palcem kierunek. Poszedł. Na schodach zadudniły ciężkie, nieregularne kroki.

Katia podeszła do płachty folii, na której leżał na wpół uformowany kształt ludzkiej sylwetki. Położyła dłoń na wysokości piersi, przez chwilę słuchała z przymkniętymi oczami i westchnęła z frustracją.

– Nie ożywiła go jeszcze, a ja nie będę składać ofiary tylko po to, żeby łatwiej go było odprowadzić na cmentarz. Dasz radę to zanieść? – zapytała.

Zgarnąłem brzegi folii, formując całość w tłumok. Ważył sporo więcej niż ja. Widać nie interesowali jej szczupli mężczyźni, bo uparcie lepiła ich na kształt zapaśników.

– Na pewno gdzieś ma taczkę, więc tylko zniosę to na dół. – Stęknąłem, unosząc toból i z trudem zarzucając go sobie na plecy. Ugiąłem się nieco, ale jakoś dawałem radę.

Katia uśmiechnęła się szeroko.

– Widzisz, a mówiłeś, że będziesz tylko robił za ochroniarza.

– Jasne, nie doceniałem swoich możliwości jako tragarza – parsknąłem i ruszyłem w stronę schodów.

Animatorka zaczęła protestować, ale kiedy doskoczyła do mnie z pazurami, wyczerpała zapas cierpliwości mojej przyjaciółki. Katia sprawnie chwyciła kobietę, wykręciła jej ramię do tyłu i przytrzymała, a gdy nieszczęśnica przestała się szarpać, zaprowadziła ją do łazienki. Związała jej na plecach nadgarstki paskiem od szlafroka i zatrzaskała drzwi. Założenie pieczęci na zamek zajęło jej mniej niż minutę. Wrzaski ucichły. Błoga ciszę przerywało tylko szuranie golema, który krok po kroku schodził po schodach.

– Posprzątajmy ten bałagan, ona nigdzie się nie wybiera – stwierdziła Katia, wzdychając z ulgą.

Związała golemu zakłębieniem posłuszeństwa. Szły za nią na cmentarz jak gąski za gęsią mamą. Prowadziłem taczkę z tobołem ziemi i szczątkami golema z kanapy, który całkiem się już rozpadł i nie był w stanie dojść na miejsce o własnych siłach.

Sami odnaleźli swoje groby. Katia miała rację – więź nie została przerwana. To zresztą zgubiło animatorkę golemów. Gdyby zabrała ziemię dalej od cmentarza, na tyle daleko, by zerwać grobową magię, nie znaleźlibyśmy jej. Ale wtedy znacznie trudniej byłoby jej ożywić golema – równie dobrze mogłaby próbować ulepić sobie idealnego faceta z ziemi ogrodowej. Coś za coś.

Cztery golemu w zaawansowanym stadium rozkładu stały przed Katią, czekając na jej rozkazy. Kazała im się rozebrać, a ja odwróciłem wzrok. Nie był to przyjemny widok. Moje retoryczne pytanie o dokładność anatomiczną doczekało się odpowiedzi. I wolałbym jej nie znać. Gołe golemu pomaszerowały do swoich grobów i ułożyły się we wgłębieniach. Przetransportowałem z taczki kawałki golema i toból, rozkładając je w miejscach, gdzie ubytek ziemi był wyraźny. Lokatorzy nie powinni się dąsać, jeśli ją pomieszałem. Na tym etapie życia warto docenić każde urozmaicenie rutyny.

Katia zaczęła śpiewać zakłębienie – słodką i przepełnioną spokojem kołysankę mającą uspić golemu na wieczność. Rozsypały się jeden po drugim. Z powstałych kopców ziemi wyciągnęliśmy drewniane kołki, służące golemonom za szkielety. Wraz z kłębem śmierdzących trupim woskiem ubrań rzuciłem je na taczkę. W swojej przepastnej torbie moja towarzyszka znalazła szpulkę czerwonego szpagatu, przydatnego przy niektórych zakłębieniach. Od wytrzymałości nici zależało całkiem sporo, więc Katia nie sięgała po

półśrodki i zamiast nici miała na podorędziu sznurek. Związałem przerwana siatkę w kilku miejscach, tak by odbudować ciągłość kręgu. Następnego dnia dozorca miał to naprawić dokładniej, Katia wysłała mu już w tej sprawie esemesa. Nie powinno do tego dojść – każdy cmentarz miał swojego opiekuna. Tyle że Barabasz, który był przypisany do tego miejsca, rok wcześniej zapadł na trupią gorączkę i wysłał śmiertelnicze zombie pluja, który próbował ją zabić. Katia musiała zlikwidować obu – nekromantę i jego dzieło. Teraz, póki stanowisko opiekuna nie zostało obsadzone, odwiedzała ten cmentarz regularnie, upewniając się, że wszystko jest na swoim miejscu.

– Poproszę Gardiasza, żeby wreszcie przydzielił tu kogoś na stałe – mruknęła. – Za dużo czarnej magii sprawi, że cmentarz będzie skażony na lata.

Odprawiliśmy taczkę na podwórze animatorki. Zadarłem głowę, czując na sobie jej spojrzenie. Patrzyła przez małe łazienkowe okienko. Wyglądała jak zjawa.

– Co z nią będzie?

– Sąd. Najprawdopodobniej obserwacja w sanktuarium, potem pewnie stała izolacja w azylu. Jeśli Gardiasz znajdzie dowody, że skłamała nam w kwestii ofiar, sam wymierzy jej karę.

Katia westchnęła ciężko i pokręciła głową. Wystukała na komórce esemesa ze zgłoszeniem. Gardiasz lub jego ludzie pojawią się tu za jakiś czas i dokończą zadanie. Myśl, że nas już tu wówczas nie będzie, uznawałem za ze wszech miar pocieszającą.

Ostatni raz przeszliśmy przez bramę cmentarną. Katia upewniła się, że wszystko jest już w porządku. Wyglądało na to, że owszem – ochronny krąg wyznaczany przez ogrodzenie działał i powoli zaczynało się odbudowywać charakterystyczne dla nekropolii pole energetyczne. Wiedziałem, że dla pewności trzeba będzie posłać po kapłana, by ponownie poświęcił ziemię, lub poczekać do najbliższego pogrzebu, który też spełni taką funkcję.

Na cmentarzu znów mogły hasać tylko te duchy, których doczesne szczątki leżały tu w depozycie. Bebeszaści zniknęli, cała reszta snującej się pod moim domem kompanii wciąż krążyła pod bramą, ale trzymała dystans, wyraźnie zdezorientowana.

Katia zachwiała się i potknęła. Złapałem ją za łokieć, chroniąc przed upadkiem.

– Wciąż je widzisz? – zapytałem.

– Co? – Uniosła głowę i spojrzała na mnie niezbyt przytomnie.

Wyglądała na zmęczoną. Jej jasna zwykle skóra teraz była niemal przejrzysta i widziałem naczynka krwionośne na skroniach i pod oczami.

– Martwe rzeczy. Wciąż je widzisz?

– To potrwa jakiś czas, kilka godzin, może więcej, bo korzystałam z silnych zaklęć. Ten kawałek mnie, który jest połączony ze śmiercią, wypłynął tuż pod powierzchnię. To trochę rozpraszające, będziesz musiał prowadzić mój samochód. – Skrzywiła się niechętnie, bo jej zdaniem gorszym kierowcą niż ja była tylko Dora.

Gdy szliśmy w kierunku auta stojącego na parkingu przed solidną bryłą firmowego wieżowca po drugiej stronie ulicy, zatrzymała się gwałtownie.

– Widzisz to? – zapytała.

– Coś konkretnego? – Choć patrzyłem w to samo miejsce co ona, widziałem tylko popękane płyty chodnikowe i kałuże.

Schwyciła mnie za rękę. Włoski na skórze stanęły mi dęba, kiedy przebiegła po niej iskra nekromanckiej magii. I nagle to zobaczyłem.

## Rozdział XI

Spomiędzy płyt chodnikowych wyłaniała się pulsująca srebrem linia wydzielająca szarawe opary, jakby pęknięcie sięgało do wnętrza ziemi.

– Nie dotykaj tego – szepnęła, domyślając się, co chciałem zrobić. – To bardzo zła magia. Zostawmy samochód, muszę wiedzieć, gdzie to się kończy.

Potknęła się o wystającą krawędź chodnika jak krótkowidz bez okularów. Miała szeroko otwarte oczy, jakby wciąż widziała więcej niż ja, ale niekoniecznie w naszym wymiarze. Może tak było. Wziąłem ją pod ramię i poprowadziłem wzdłuż linii, w stronę szpitala. Duchy podążały za nami, utrzymując bezpieczną dla nich odległość. Nie spodziewałem się tego, co miałem za chwilę zobaczyć. Nagle Bulwa zasłużył na miano najlepiej poinformowanego faceta w okolicy, a to nigdy nie wróżyło dobrze.

Po zmroku linia była widoczna nawet wyraźniej. Z każdym krokiem robiło się nieco bardziej szaro, tak jakby magia linii wysysała światło dnia. A może to moja wyobraźnia, doładowana fioletową poświatą wszechobecnej śmierci, kazała mi tak sądzić?

Im bliżej byliśmy szpitala, tym duchy za nami stawały się bardziej skłonne do kontaktu, jakby zyskiwały odwagi z każdym pokonanym przez nas metrem. Nie atakowały, ale wyraźnie skracały dystans. Nie miałem jednak pojęcia, czy to szpital, czy tajemnicza linia, wzdłuż której podążaliśmy, wpływała na ich zachowanie. Zaprzagnąłem powrócić do czasów, kiedy wiedziałem o moim świecie dostatecznie dużo, by nie czuć tej cholernej dezorientacji. Nie wiedziałem wszystkiego, pewnie, ale to, o czym nie miałem pojęcia, nie czaiło się w mroku gotowe pożreć moją duszę.

Niemal spodziewałem się, że linia dobiegnie do szpitala i zniknie za ogrodzeniem. Gdy gładko zakręciła w ulicę Świętego Józefa, zostawiając za sobą szpital, domyśliłem się, gdzie naprawdę się kończy. Przecież wszystko na to wskazywało. Minęliśmy Dom Pielgrzyma, internat, a potem rozgrzebaną budowę akademickiego ośrodka sportowego. Jeszcze kawałek dalej linia znów odbiła w bok, omijając miasteczko studenckie, akademiki i OdNowę.

Parking przed moim blokiem jarzył się jak wewnątrz wulkanu albo magiczny odpowiednik Las Vegas. Magia wylewała się każdą szparą spękanego asfaltu, każdą luką między kostkami brukowymi. W jej szarofioletowym blasku duchy wyglądały jak tanie efekty specjalne w niskobudżetowym filmie, za to bebeszaści byli jeszcze bardziej upiorni – ich wnętrzości i rany połyskiwały teraz świeżą krwią.

Katia nic nie powiedziała, zacisnęła tylko wargi tak mocno, że pobieleały. W jej oczach widziałem chęć mordu silniejszą niż kiedykolwiek podczas naszego związku. Ścisnęło mnie w dołku.

– Nie mam z tym nic wspólnego, przysięgam – zapewniłem.

Posłała mi to na wpół nieobecne spojrzenie morderczej walkirii.

– Wiem, Witkacy, wiem. Nie byłbyś do tego zdolny, nie zabiłbyś tylu stworzeń, tylu ludzi... – powiedziała głucho.

– To czarna magia, prawda?

– Z tych najczarniejszych. Musimy powiadomić Dorę.

– A potem?

– Wiemy, gdzie linia się kończy. Teraz trzeba się dowiedzieć, gdzie się zaczyna, póki odczuwam skutki uboczne zaklęcia i mogę ją zobaczyć. Nie dam rady rzucić go jeszcze raz tego samego dnia. Ale teraz... muszę do łazienki – dodała.

Może i była nekromantką na ścieżce wojennej, ze spojrzeniem wypełnionym całą tą śmiercią dookoła nas... ale nigdy nie traciła bliskiej więzi ze swoim pęcherzem. Na swój sposób podniosło mnie to na duchu. W dniu, w którym zapomnieliby o tym, że chce jej się sikać, wiedziałbym, że kłopoty ją przerastają. To jeszcze nie było dziś, więc wciąż istniała dla nas nadzieja.



Zamknęła się w łazience. Donośne trzaśnięcie drzwiami było jedynym komentarzem do jej stanu emocjonalnego. Wybrałem numer Ti, ale usłyszałem tylko, że abonent jest czasowo niedostępny. Była w Thornie albo wciąż w Trójprzymierzu. Albo zapomniała naładować komórkę, co zdarzało jej się całkiem często, odkąd większość czasu spędzała w miejscach, w których nie było zasięgu.

Kolejną osobą, którą chętnie bym powiadomił o potencjalnych kłopotach, był sęp, mój nieszczęsny opiekun. Niewykluczone, że mógłby spłacić wyjedzone z lodówki zapasy czy moje ubrania, które sobie bez pytania przywłaszczył. Mógł się okazać przydatny – i właśnie dlatego nie było go w okolicy. Nie ma jak praktyczne myślenie.

Jeśli byłem zdany na siebie i Katię, która chwiała się na nogach, bo zakłęcie porządnie dało jej w kość, zostawało mi tylko jedno. Wyciągnąłem z szuflady zapas skrótów, a niebieskie żelowe kapsułki zagrzechotały o szklaną buteleczkę. Zostały już tylko trzy. Po więcej musiałbym jechać do szamana z Trójprzymierza, który zapewne z ochotą posłuchałby o tym, jak mi poszła inicjacja i którą kość mam podwójną. Po moim trupie. Być może dosłownie.

Połączyłem dwie kapsułki i popiłem resztką zimnej porannej kawy. Pierwszy zawrót głowy przyszedł już po kilku sekundach. Czułem się wykończony, a moje zasoby dawno się wyczerpały. Ta część mnie związana z szamaństwem i zaświatami sięgnęła łapczywie do bramy, uchylając ją na tyle, by eter przesączał się wartkim strumyczkiem, wnikał w moje żyły i dawał mi lepszego kopa niż jakikolwiek narkotyki, którego próbowałem. A próbowałem niemal wszystkiego. To właśnie był ten impuls i haj, za którymi tęsknił mój mózg, zanim się dowiedziałem, kim jestem.

Opadłem na kolana, czując potężny zawrót głowy. Eter dawał mojemu ciału dodatkowy ciężar i gdybym odsyłał teraz jakiegoś gagatka, oderwałbym się od ciała i wraz z duchem ruszył w kierunku bramy, ale potem ciało niczym kotwica przywiódłoby moją duszę w bezpieczną skorupę śmiertelnej powłoki. Przynajmniej tak to wyglądało w teorii. Zdawałem sobie sprawę, że dopóki nie przejdę inicjacji, będę trochę jak uszkodzona bateria – ładująca się na pół gwizdka i zbyt szybko tracąca energię. Ten kawałek mnie, który był kiedyś ćpunem na ścieżce wiecznego eksperymentu, nie mógł się nie zastanawiać, jak mocny byłby eterowy kop po inicjacji, skoro już teraz kontakt z zaświatami rozrywał mi neurony w błękitnych fajerwerkach. Oparłem czoło o dywan i oddychałem głęboko, by uspokoić karuzelę w mojej głowie. Właśnie dlatego zwykle brałem mniejszą dawkę i popalałem ziele, które łagodziło i spowalniało przyswajanie eteru. Teraz jednak czułem się tak, jakbym zacisnął zęby na nagich kablach pod napięciem.

Odgłos wymiotów był tym, co mnie faktycznie ocuciło. I to nie ja rzygałem, dzięki bóstwom wszelakim, ale ktoś za drzwiami mojej łazienki... Katia... Nieco nieźbornie, odpychając się dłońmi od dywanu, zdołałem wstać. Ostrożnie podszedłem do białych drzwi i zapukałem. I jeszcze raz, kiedy jedyną odpowiedzią okazała się kolejna fala torsji.

– Katia, wszystko dobrze? – spytałem i znów zastukałem, tym razem natarczywie.

Nie odpowiedziała. Przez chwilę słyszałem tylko ciszę – co było lepsze niż odgłos wymiotów – potem dźwięk spuszczenia wody i wreszcie kliknięcie zamka w drzwiach.

– Może nie wszystko dobrze, ale już nieco lepiej. – Odchrząknęła.

Jej uśmiech był tak fałszywy jak platynowa płyta Rolling Stonesów, którą próbował mi opchnąć jeden paser w zamian za przymknięcie oka na jego interesy. Jej skóra była bladozielonkawa, na czole skropił się pot, a kiedy odkręcała kurki przy umywalce, drżały jej ręce. Umyła twarz i wypłukała usta.

– Dostrzegam konkretne zalety naszego zerwania – oświadczyła, wycierając dłonie w mały ręcznik.

– Myślałaś o naszym związku, obejmując muszlę klozetową? Jestem wzruszony.

– Właśnie w tym rzecz. Gdybyś wciąż był moim facetem i byłbyś świadkiem mojego wymiotowania, byłoby mi strasznie głupio. Cała ta rozkminka, czy jeśli próbuję cię pocałować, to czy stanie ci przed oczami właśnie taki obraz... A teraz? Mogę z całym spokojem stwierdzić, że już jest lepiej, i nie przejmować się tym, co sobie pomyślisz. A całować cię i tak nie zamierzam.

W jej uśmiechu wreszcie pojawiło się coś prawdziwego.

– Mogę się poświęcić dla dobra sprawy, skarbie. Jestem odporny. Zbyt wiele razy budziłem się w kałuży wymiocin, żeby ostało się we mnie jakieś wielkie obrzydzenie.

– Widzisz? Gdybyśmy wciąż byli parą, na pewno byś mi się do tego nie przyznał.

Kolejny szczerzy uśmiech był wart tej odrobiny dumy, jaką złożyłem na ołtarzu ofiarnym.

– Gdybym podejrzewał, że dzięki temu poczujesz się lepiej, mógłbym się poświęcić. Zależy, jak oszacowałbym ryzyko.

Przez chwilę walczyła ze sobą, ale w końcu parsknęła śmiechem.

– Dobrze, musisz mi teraz wyjawic, jak wyglądałoby twoje szacowanie ryzyka w takiej sytuacji. Pokaż mi trybiki twojego pokręconego umysłu!

– Wiesz, musiałbym się zastanowić, co bardziej cię przygnębi: to, że wymiotowałaś przy swoim chłopaku, czy to, że masz żalostnego faceta, który ma za sobą takie doświadczenia. Może masz rację i wybrałbym odgrywanie rycerza w białej zbroi, trzymał ci włosy i zapewniał, że jak tylko wypłuczesz usta, możesz mnie całować i nawet się nie wzdrygnę.

Śmiała się. Mogłem być do dupy w wielu kwestiach, ale zawsze potrafiłem ją rozbawić. Jeśli ktoś by mnie pytał, to właśnie była moja recepta na krótkoterminowy sukces. Może nie ostateczne zwycięstwo, ale hej – Katia wytrzymała ze mną znacznie dłużej niż jakakolwiek roślina doniczkowa czy domowe zwierzę. Wliczając w to wodnego żółwia, który wcale nie był tak długowieczny, jak twierdził facet w zoologicznym.

Oparła się plecami o pokrytą płytkami ścianę i westchnęła.

– To od czarnej magii. Wchłonęłam jej zbyt wiele i organizm się bronił przed zatruciem. Gdybym nie puściła pawia, moja aura próbowałaby ją wchłonąć i nikomu by to nie wyszło na zdrowie – wyznała.

Obserwowała spod rzęs moją reakcję, jakby spodziewała się, że to, co powiedziała, wyda mi się bardziej odpychające niż festiwal torsji.

– Nie jesteś tak do końca Białą Czarownicą z Zachodu, co?

– Gdybym wciąż była twoją dziewczyną, na pewno byś o to nie zapytał... Nie ma białych nekromantów, Witkac. Ta magia jest płynna. Od fioletu płynnie przechodzi w czerń. Ty decydujesz, jaką ofiarę złożysz, jaka potęga cię zadowoli.

– Ale ty nie składasz ofiar.

– Nie składam. Jestem pasożytem. Gdyby nie Dora, może by mnie kusiło... tyle że ona nie kupiłaby tekstu, że „panuję nad tym i zabiję tę kozę tylko troszkę”. Może zresztą dziś byłaby bardziej elastyczna, po tym wszystkim, co ją spotkało w ostatnich miesiącach, ale kiedyś była panną „moralny kompas”. I to mnie uratowało. Gdyby nie ona, pewnie skończyłabym jak większość poznanych przeze mnie nekromantów: z trupią gorączką w oczach, cuchnąca śmiercią i czarną magią, ożywiająca trupy dla zabawy i raz w miesiącu czyszcząca ołtarz z zaschniętej skorupy krwi. To Dora w kółko powtarzała, że sami decydujemy o swoim przeznaczeniu i magia, jaką nosimy, nie jest determinantem, a jedynie okazją. To od nas zależy, jak ją wykorzystamy.

– I znalazłaś swoją niszę?

Kiwnęła głową.

– Sprzątam po nekromantach reprezentujących ten odłam, do którego nie chcę należeć. Wyksztąpiłam swoją nić porozumienia z Matką Ziemią, które wydaje się sprawiać jej przyjemność, skoro pozwala mi rozwijać umiejętności i łąduje nieprawdopodobną siłą. Po drugiej stronie taka ilość mocy jest dostępna, tylko jeśli złożysz liczne i duże ofiary. Staram się nie pograć w domenę śmierci bez reszty, drugą stopą stoję więc w domenę sprawiedliwości. Czasem, jeśli nie możesz zrobić nic mądrego, robisz to, co właściwe... – Wzruszyła ramionami, wciąż niepewna.

Więcej razy, niż mogła zliczyć, doznawała odrzucenia ze względu na rodzaj przynależnej jej magii – począwszy od matki, a skończywszy na paru byłych, którym nekromancja nie przeszkadzała w uprawianiu

z nią seksu, ale którzy odzyskiwali „kręgosłup”, kiedy przychodził czas na poważne deklaracje czy przedstawienie jej rodzinie. Kończyli znajomość, często nie szczędząc jej bolesnych słów. Opowiedziała mi o tym jeszcze przed naszym zerwaniem, zdziwiona, że nie zagrałem kartą „różnic magicznych nie do pogodzenia”. Dla mnie była doskonała, niezależnie od magii, jaką władała. To ja nie dorastałem do tej doskonałości. Budziłem się u jej boku z myślą, że nie mogę jej dać tego, na co zasługuje. Chciałbym się kiedyś stać mężczyzną, który byłby jej godny.

– To ma sens. Nie rozumiem tylko, dlaczego umniejszasz to, co robisz, nazywając się pasożytem.

– Bo dosłownie pasożytuję. Nie odprawiam rytuałów, które dałyby mi moc, jak na uczciwego nekromantę przystało. Nauczyłam się wchłaniać energię z cudzych zaklęć. Jest jak melodia, która we mnie wnika i zostawia dźwięki w kościach. A to ma swoje bardzo konkretne reperkusje.

– Jeśli to czarne zaklęcie, szkodzi ci?

Pokręciła głową.

– To nie tak. Nie będę kłamać, Witkacy. Jest mi bliżej do czarnej strony niż tobie czy Dorze. Ta magia nie jest dla mnie ciałem obcym, po prostu nie chcę, żeby była jedynym, co składa się na moją aurę, więc próbuję utrzymać jakąś równowagę. Ale moje szkolenie obejmowało pełne spektrum czarnej magii. Z Białą Czarownicą z Zachodu nawet nie chodziłam do jednej klasy.

– W moim grimuarze nie było tego zaklęcia, które stworzyło spiralę – zauważyłem, pozornie bez związku.

– W moim było.

– Gdybyś nie była biegła w czarnej magii, błąkalibyśmy się bezradni. Z mojej perspektywy nie ma nic złego w uczciwej dawce dywersyfikacji. Ale znów po tylu latach u boku Ti mogę mieć wypaczone spojrzenie.

– I jak ona nie zawsze wiesz, od kogo się trzymać z daleka?

– Czy z kim chodzić na randki.

– Jej to w sumie wyszło na dobre, nie uważasz?

– Niezgorzej. Nie ma więc powodu, żeby szukać dziury w jej logice, prawda?

Pokręciła głową z uśmiechem. W takich ulotnych momentach rozumiałem, co przyciąga tych wszystkich popaprańców do Ti. Pokusa całkowitej akceptacji i lojalności jest nie do odparcia. Każdy z nas w głębi duszy boi się, że jeśli się odsłoni, jego bliscy uciekną z wrzaskiem. Ti nie wrzeszczy. Ti przytula i pyta, czy chcesz, by skopała komuś tyłek w twoim imieniu.

– Musimy iść wzdłuż linii, Witkacy – powiedziała Katia po chwili. – Dzwoniłeś do Dory? Ktokolwiek za tym stoi, będziemy potrzebowali wsparcia.

– Mam spluwę – przyznałem, nieco speszony.

Jakiś czas temu odebrałem swojego walera PPK z depozytu w szufladzie Anity. Przeleżał tam nawet dłużej niż moje prawo jazdy. Nigdy nie lubiłem broni palnej, a kiedy zbyt często bywałem pod wpływem różnych substancji, panicznie się jej bałem. Nie czułem presji, przez lata mając za partnerkę Dorę Wilk, jednego z trzech najlepszych strzelców w województwie. Teraz, bez partnerki u boku, należało wziąć odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo w swoje ręce. Odebrałem broń, poszedłem kilka razy na strzelnicę, by sobie wszystko przypomnieć – także to, że jeśli chcę trafić, muszę celować w korpus. Ale i tak w większości policyjnych przypadków nie chodziło o umiejętności strzeleckie, ale o samą zastraszającą obecność broni w twoich rękach.

– Możesz mieć zbyt zajęte ręce i zmysły, żeby po nią sięgnąć. – Katia pokręciła głową. – To jest właśnie ten moment, gdy potrzebujemy naszej szalonej przyjaciółki. Nie mam pojęcia, co spotkamy na drugim końcu spirali, ale nie spodziewam się niczego dobrego. Ktoś, kto włada taką magią, nie zechce przyjąć nas ciepło i zapewnić, że skoro nam to przeszkadza, to od dzisiaj zajmie się zielarstwem i dojeniem krów. Mili ludzie nie potrafią stwarzać takich rzeczy. A do niemiłego wolę iść z Dorą niż bez niej.



Miała rację – jeśli będę musiał odesłać wszystkie duchy kręcące się wzdłuż linii, to desperacko potrzebowaliśmy wsparcia. Dodatkowa osoba osłoniłaby Katię, gdy ja kursowałbym niczym rakietą na trasie ziemia – zaświaty. Raz jeszcze wybrałem numer Ti. Tym razem usłyszałem sygnał oczekiwania, a potem wiązaną przekleństw, rumor i znów przekleństwo. W końcu moja przyjaciółka podniosła z podłogi telefon i powiedziała:

– Hej, Witkacy, co tam? Jakies postępy z biednym dzieckiem, które już odkłada na operację plastyczną nosa?

– Bardzo śmieszne!

Odruchowo pogładziłem mój garbek na nosie. Miałem nadzieję, że Kurczaczek nie fantazjuje o położeniu swojego pod skalpel i młotek.

– Daję cię na głosnomówiący, jest ze mną Katia – wyjaśniłem.

– O!

Było to nieznośne i pełne oczekiwania „o!”. Gdyby ta dziewczyna nie była tak dobrym detektywem, sam namawiałbym ją, by została swatką. Dla niej zawsze w powietrzu unosiła się jakaś miłość. Nie mówię, że tak nie jest – po prostu ja nazywam to pyłkami. Łzawią mi od nich oczy i kicham jak szalony.

– Dora, wrzuć tryb namiestniczki – Katia z miejsca ucięła wszelkie domysły. – Mamy poważny problem.

– Skala?

Natychmiast spoważniała. Jestem pewien, że w głowie zaczęła inwentaryzację broni, którą ma przy sobie.

– Między cztery a pięć. Tak myślę, niewiele wiemy poza tym, że to cholernie czarne zakłęcie, do tego przynajmniej w jakimś stopniu wymierzone jest w Witkaca.

Ti warknęła. Całkiem wilczo. Po kilku dniach ze stadem nie było w tym nic dziwnego.

– Nic mu nie jest – uspokoiła ją nekromantka – i dopilnuję, żeby tak zostało. Ale będziemy potrzebowali wsparcia.

– Za czterdzieści minut będę w Toruniu.

– Nie dojedziesz z Gdańska do Torunia w czterdzieści minut – zwróciłem uwagę na oczywistość.

– Jestem na autostradzie, mijam zjazd na Grudziądz. Czekaście na mnie.

– Rekonesans musimy zrobić szybciej, póki trwają efekty uboczne mojego zaklęcia. Dam ci znać, gdzie masz nas łapać, i jeśli się uda, poczekamy, dobrze?

Słowa Katii wycisnęły z gardła naszej przyjaciółki pełne frustracji westchnienie. Obstawiałem więcej niż jeden mandat za przekroczenie prędkości. Stado dało jej zdecydowanie za szybki samochód. Może był to bardzo sprytny zamach na problematyczną Alfę...?

– Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła – poprosiła.

– To akurat nie ogranicza puli głupich rzeczy, przez które wszyscy zginiemy, prawda? – zripostowałem.

– Nie bądź taki dowcipny, Witkacy. Są stwory, które zaczynają przekąski od tych z poczuciem humoru.

– Nie ma takich stworów – powiedziałem zdecydowanie, choć przyznaję, że spojrzałem na Katię w nadziei, że to potwierdzi. Wzruszyła ramionami i zrobiła dziwną minę. Właśnie takie sytuacje motywują mój zapał do nauki i czytania magicznych ksiąg i leksykonów. Sytuacje, w których coś próbuje mnie zabić, też mają wpływ na mój pęd do wiedzy.

Zostawiłem sępowi notatkę na stole, nie spodziewając się cudów, i wepchnąłem do plecaka cały arsenał magicznych utensyliów i kadzideł. W progu cofnąłem się po tamburyn. Ostatnio rozważałem używanie go w sytuacjach, kiedy dzwonki na bransoletce okazałyby się zbyt delikatne. W obecnej sytuacji było trudno o lepszy moment do testów praktycznych.

– Usiądź na chwilę – poradziła Katia. – Cofnąłeś się i jeśli nie usiądziesz, będziesz miał pecha.

Nie wierzyłem przesadnie w pecha, teraz jednak nie zamierzałem zwiększać ryzyka poważnego spierdolenia. Usiadłem na szafce na buty i policzyłem do trzech.

## Rozdział XII

W ciemności prawie się o niego potknąłem. Żarówka przy wejściu była stłuczona, a on nie rzucał się w oczy. Kłęb szmat skulony u podnóża schodów, po bezpieczniejszej stronie ochronnego kręgu. Zerwał się z betonu i zaczął wyrzucać z siebie coś na kształt chaotycznej przepowiedni.

– Odliczanie trwa, przyjacielu, tik-tak, tik-tak, coraz szybciej ciemność zjada światło, płaczą martwe dusze, a Kościana Wiedźma się śmieje, tak głośno...

Oddychał chrapliwie, a w jego oczach płonęło czyste szaleństwo. Żrenice szerokie, białka przekrwione, gałki oczne poruszały się frenetycznie. Niewykluczone, że całkiem odleciał. Niewykluczone też, że zrobił dokładnie to, co obiecał mi kilka godzin wcześniej, i poszedł wzdłuż spirali. Wczoraj raczej przychyliłbym się do pierwotnej hipotezy i zignorowałbym gadanie nawalonego jak latawiec Bulwy, ale wczoraj nie wiedziałem o spirali. On wiedział, widział ją. Bez zaklęcia Katii, bez wspomagania. Widział i mógł dotrzeć do jej źródeł znacznie szybciej niż my.

– Gdzie jest źródło, Bulwa, pamiętasz? Gdzie jest Kościana Wiedźma? – zapytałem, przytrzymując jego głowę, by choć na chwilę złapać z nim kontakt wzrokowy.

Wydawał się roztrzęsiony, nie potrafił się skoncentrować. Wciąż oglądał się na boki i za siebie, jakby się spodziewał, że ktoś czyha na niego w ciemności. Może faktycznie wziął coś silniejszego niż denaturat, ale to nie znaczyło, że nic nie widział i nic nie wie.

– Bulwa, przysięgam, nic po ciebie nie przyjdzie. Ale muszę znaleźć Kościaną Wiedźmę, żeby ją unieszkodliwić.

– Zniszczyć spiralę! – krzyknął Bulwa i w tej jednej chwili dostrzegłem w jego oczach przebłysk przytomności.

– Tak, zniszczę spiralę.

– One nie odejdą, nawet jak zniknie... – Znów dygotał.

– Odeślę je, będzie jak dawniej. Powiedz mi, gdzie się zaczyna spirala? Gdzie jest Kościana Wiedźma?

Wskazał mi kierunek. Niewiele mi to dało, skoro Wiedźma raczej nie kryła się w moim śmietniku.

– A adres? Zapamiętałeś coś z tego miejsca?

Pokręcił głową strapiiony.

– A pamiętasz, jak tam trafiłeś? Co mijasz?

Przytaknął i opowiedział mi, jak szedł Świętego Józefa, koło cmentarza przy Żwirki i Wigury, minął Dworzec Wschodni i bulwar Filadelfijski, potem obserwatorium i ruszył Chełmińską. Przeciął Legionów i trafił na ulicę małych domków, gdzie dzieci bawiły się na placu zabaw, a w oknach były krasnoludki, kwiaty i muchomory. Naprzeciwko była „szkoła dla dorosłych ludzi w garniturach”. Spirala z jego opowieści była nieregularna, lecz jeśli wyznaczyć okrąg, zaczynając od Balonowej, gdzie mieszkałem, przeciąć Żwirki i Wigury, dworzec i bulwar (logiczne, skoro zaklęcie było bezradne wobec płynącej wody)... To mi wystarczyło. Znałem jedną ulicę, przy której naprzeciwko wyższej szkoły znajdowało się przedszkole z placem zabaw zaraz za ogrodzeniem.

– Wiesz, gdzie jedziemy? – zapytała Katia, z dystansem obserwując wymianę zdań moją i Bulwy.

Skinąłem głową i znów skupiłem się na kupce nieszczęścia z okruchami apokalipsy w oczach.

– Bulwa, może lepiej, żebyś się na dziś schował, co? Podrzucę cię do ośrodka albo wpuszczę do piwnicy, jeśli piłeś, co ty na to?

Nie chciałem, by dostał w kość tylko dlatego, że ma zwiększoną wrażliwość na magię. Pokręcił głową. Wstał, odepchnął się od ściany i po prostu odszedł chwiejnym krokiem, nie oglądając się za siebie.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Podążanie za słowami szaleńca?

– Alternatywą jest śledzenie spirali i krążenie za nią po mieście. Poza tym nie wiem, czy wcześniej

skutki uboczne twojego zaklęcia nie rozwieją się zupełnie. Już teraz widzę ją znacznie słabiej.

Spojrzała na wciąż jarzący się parking przed moim blokiem. Odpływająca od niego linia była jaśniejsza, mniej wyrazista, zdawała się znikać w szparach między chodnikowymi płytami.

– On nie jest szaleńcem. Jest jednym z nas, ale miał mniej szczęścia – dodałem ciszej.

– Tacy jak my też mogą być szaleńcami, Witkacy. Ale masz rację, warto się przekonać. Jeśli się nie uda, możemy spróbować jeszcze raz poczarować jutro. Jedziemy twoim samochodem – rzuciła.

Jak to? Przecież nienawidziła mojego samochodu. Kiedy o to zapytałem, wyjaśniła:

– Zapowiada się kiepski wieczór i noc. Takie z zaklęciami i agresywnymi duchami. Twojemu pojazdowi nic już nie zaszkodzi, moje składki na OC i AC poszybowałyby w kosmos.

Nawet nie zapytałem, dlaczego ma w poważaniu wysokość moich składek, skoro oboje wiedzieliśmy, że nikt przy zdrowych zmysłach nie ubezpieczyłby mojego jeepa. Jej pragmatyzm był nieco przerażający, ale dzięki temu zwykle wychodziła cało z opresji. Nie sposób nie doceniać takiego talentu w naszym świecie.

– Uważaj na szkło, wciąż może być na siedzeniu – oświadczyłem, wsiadając.

Szarpała chwilę za klamkę, ale ta wyraźnie się zacięła. Sięgnęła przez wybite okno i otworzyła drzwi od środka.

– Widzisz, całkiem praktyczne. – Wyszczrzyłem się, kiedy ostrożnie umościła się na siedzeniu.

– Podobnie jak kłapa na tyłku w kalesonach zapinana na guziki, ale nikt mi nie wmówi, że bez tych aspektów rzeczywistości ludzkość nie miałaby się lepiej – mruknęła zirytowana.

Może to wcale nie ów niepowtarzalny styl mojego auta ją drażnił, ale niewygoda. Pod grubym kocem w kratę na siedzeniu były gołe sprężyny. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i mój wehikuł odpalił już za trzecim razem. Zanotowałem w pamięci, żeby się zająć akumulatorem. Katia tylko przewróciła oczami. Może ja i moja była dziewczyna znaliśmy się całkiem nieźle, są jednak rzeczy, których nie zrozumie nigdy. Moja relacja ze Złomkiem była jedną z nich. Nie byłem ślepy, był rękem i motoryzacyjną ruiną, ale był mój. To jak kibicowanie drużynie piłkarskiej, która wieki temu została mistrzem Polski, ale za twojego życia nie zdołała tego powtórzyć i teraz ciągnie się w ogonie tabeli. Rozsądek podpowiada, by dać sobie spokój. Serce mówi, że to test wierności.



Ulica Dekerta, choć leży w środku miasta, ma urok podmiejskich uliczek – niby rzut kamieniem na Starówkę, a jednak między nielicznymi niewysokimi blokami, szkołą i przedszkolem stoi mnóstwo niewielkich domów jednorodzinnych i bliźniaków. Nie ma tu okazałych willi i mercedesów niemieszczących się w garażach na trzy stanowiska. Dekerta to kwintesencja drobnomieszkańskiego dobrobytu – jednopiętrowy dom otynkowany na baranka, wyłożony kostką brukową podjazd, dziesięcioletni volkswagen albo škoda, ogródek ze skalniakami, który nigdy nie widział architekta terenów zielonych. Dziś brakowało tylko dzieci na rowerkach, ale to pewnie kwestia późnej pory i lodowatego wiatru.

Nawet gdyby pełgająca linia spirali zniknęła, znaleźlibyśmy ten dom bez problemu. Myślałem, że to gęsta śmiertelna aura posiadłości animatorki była nieprzyjemna, ale najwyraźniej musiałem przekalibrować skalę.

Otoczająca posesję bańka ochronna mogła trzymać smród z dala od nosów sąsiadów, ale nie nekromantki i szamana. Zapach śmierci, rozkładu i czarnej magii wiercił w nozdrzach i sprawiał, że mój żołądek zachowywał się jak po zjedzeniu bigosu w dworcowej kantynie. Tuż za ogrodzeniem kłębiło się coś na kształt mgły, która nie maskowała jednak wymyślnych zaklęć antywłamaniowych.

– Wiesz, kto tu mieszka? – zapytała Katia szeptem, jakby sama atmosfera tego domu kazała jej ściszyć głos.

Pokręciłem głową i sięgnąłem po telefon. Ktoś na posterunku szybko mógł mi to sprawdzić, choć niewiele to zmieniało. Kimkolwiek był właściciel, wkrótce zniknie na dobre, grzęznąc w Gardiaszowej maszynie sprawiedliwości. Katia przytrzymała moją rękę, zanim przyłożyłem słuchawkę do ucha.

– Ja chyba wiem... Widzisz, w co układa się mozaika na ścianie?

Dom – prosta piętrowa bryła z garażem przyklejonym do jednego z boków, balkonem biegnącym wzdłuż jednej ze ścian i dobudowanym gankiem, do którego prowadziły betonowe schodki – był klasykiem wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Frontową ścianę zdobiła mozaika z odłamków płytek ceramicznych, denek od butelek, a nawet kawałków płyt CD i strzępów aluminiowych puszek. Całość krzyczała estetyką lat 1989–1992, pierwszym zachłyśnięciem się kolorem po przemianie ustrojowej i swobodą obywateli w kreowaniu własnej przestrzeni po dziesięcioleciach zdobywania pozwoleń na cokolwiek. Sam motyw mozaiki nie był skomplikowany i nawet bez oświetlającej wejście żarówki zdołałbym w nieregularnych kształtach odnaleźć założenia „artysty”.

– Róża? Naprawdę myślisz, że to jej dom?

Katia tylko przytaknęła z posępną pewnością. Wyjęła mi z dłoni telefon i wybrała numer Ti, która odebrała po pierwszym sygnale, zapewniając, że już prawie czuje aromat płatków kukurydzianych unoszący się nad toruńską fabryką Nestle. Katia przedstawiła jej zwięzłe najnowsze informacje, podała adres i poradziła ruszyć tu dupę jak najszybciej, bo mamy wyjebane w kosmos kłopoty. Jej słowa. Ja byłbym bardziej powściągliwy – może: „Pospiesz się albo już po nas” oddałoby moją ocenę sytuacji.

Próbowałem sobie to wszystko poukładać. Spirala zwabiająca duchy pod mój dom, czarna magia i ofiary po jednej stronie, a po drugiej Róża – dobiegająca pięćdziesiątki, zażywna matrona, brunetka z upodobaniem do dramatycznych gestów i kwiecistych sukienek. Trudno było mi zaakceptować fakt, że w wolnych chwilach, kiedy nie skubała naiwniaków z forsy, zajmowała się najbardziej cuchnącym odłamem czarnej magii, a nasz ciągnący się miesiącami spór, który dla mnie był uporczywą pierdołą, ona chciała rozwiązać za pomocą morderstwa. Bo przecież taki był cel zaklęcia, dlatego spirala kończyła się pod moim domem, dlatego napędzała energią wszystkie napotkane duchy. Szaman, zwłaszcza taki przed inicjacją, ma swoje ograniczenia. A ona najwyraźniej postarała się, bym spotkał na swojej drodze więcej, niż byłem w stanie połknąć.

Róża mieniła się medium. Była to zaledwie połowa prawdy. Owszem, widziała duchy, ale nie potrafiła się z nimi komunikować. Nie słyszała ich, co nie przeszkadzało jej „przekazywać ostatnich słów zmarłych” ich rodzinom – oczywiście za odpowiednią opłatą. O ile wiedziałem, nie umiała ich przywołać, ale widać odpowiednio silnym zaklęciem była w stanie wywabiać te, które przebywały w okolicy. Nie kojarzyłem wcześniej ich nienaturalnego milczenia z niedoskonałością magii Róży. Ignorowałem ją, nie traktowałem jako poważnego zagrożenia – ot, histeryczne babsko, które błędnie widziało we mnie konkurencję. Zmyliła mnie wizerunkiem telewizyjno-kiermaszowej wróżki. Trzymałem się na dystans, bo odkąd pojawiłem się na radarze nadprzyrodzonych, mieliśmy na pieńku. Po szkoleniu musiałem zgłosić Starszyźnie swoje umiejętności (takie przepisy) i to ujawnienie się ściągnęło mi na głowę stukniętą „tańczącą z duchami”, pachnące paczulą babsko bełkoczące w duchu New Age o swoich unikalnych i błogosławionych przez Boginię relacjach z duchami. Chciała mieć wyłączność na duchy, bo oznaczało to wyłączność w zyskach. Ja nie miałem ze swojej pracy ani złotówki, dorabiałem się na duchach wyłącznie migreny, ale ona z nich żyła. Czy raczej – żyła z duchowych przekrętów, które z powodzeniem stosowała od dwudziestu lat. A gdy zostałem zmuszony do ujawnienia jej przekrętu, nie przyjęła tego dobrze.

Jeśli to ona odpowiadała za aurę śmierci i smród rozkładu, oblewanie się olejkiem paczulowym miało więcej sensu, niż wszyscy zakładaliśmy. Wrażliwe nosy magicznych cierpiały tak bardzo, że większość z nas próbowała wstrzymać oddech w jej obecności. Na przykład Dora zieleniała i była na skraju

omdlenia – tak bardzo starała się nie wciągnąć powietrza przesyconego gęstą i duszącą wonią. I dlatego właśnie nikt nie wyczuł nic więcej.

Na podwórku za domem przykuł moją uwagę jakiś ruch. Wychyliłem się, by zobaczyć coś więcej, ale gdy tylko poła mojej kurtki dotknęła spawanego z blaszanych prostokątów ogrodzenia, rozległ się wysoki dźwięk, od którego rozszczękały się wszystkie okoliczne psy.

Miałem ułamek sekundy, by zarejestrować fakty. Zakłęcie ochronne posesji uwzględniało moją osobę. Róża spodziewała się mnie i była przygotowana. I to nie smutni panowie z firmy ochroniarskiej mieli odpowiedzieć na alarm... Nagle duchy były wszędzie i atakowały z zażartością, której pozazdrościłyby im pitbulle tresowane do walk psów.

– Witkacy... – jęknęła Katia.

A potem nastał chaos.

Z każdej strony napływały duchy i upiory. Pulsująca martwą energią i agresją wściekłość napierała na nasze aury. Zimno przenikało mnie do kości, jakby zjawy wyssały każdą cząsteczkę ciepła na bożym świecie.

Chciały naszych ciał, a jeśli nie mogły ich mieć, usatysfakcjonowałyby je ich zniszczenie. Nic poniżej naszej agonii nie byłoby wystarczające, by ukoić jątrzący się w nich gniew. To też było jak odcisk palca Róży – to jej magia je karmiła, to jej aura wzmacniała ich byty do formy wystarczająco realnej, by teraz szarpały mnie za włosy.

Katia skuliła się, zaciskając palce na medaliku z pieczęcią chroniącą ją przed opętaniem, ale nie była w stanie powstrzymać duchów przed szarpaniem jej za włosy, popychaniem i obłąkańczym piszczeniem do uszu.

Były silniejsze od poltergeistów. Blacha ogrodzenia wyginała się pod ich naciskiem, kosz na śmieci poszybował w naszą stronę i o włos uniknąłem nokautu. Wyły potępieńczo i piszczały tak głośno, że brzęczały mi plomby w zębach i krwawiły uszy. Nie było innego wyjścia, jak tylko wręczyć im nakaz eksmisji z tej płaszczyzny rzeczywistości. Nim jednak zdążyłem się zasłonić, spadł na nas deszcz ostrych odłamków asfaltu i poczułem spływającą po twarzy strużkę krwi. Odwróciłem się do Katii.

– Szybko, odeślij je! Resztą się zajmę! – krzyknęła.

Zajmowała się śmiercią od dawna, ale ponad czterdzieści duchów w bardzo złych nastrojach przerastało jej wyobrażenie o dobrej zabawie w piątkowy wieczór.

– Odsuń się tak daleko, jak tylko możesz – powiedziałem i przystąpiłem do działania. W końcu byłem szamanem. Nierozsądne i straceńcze działania mam wpisane w podwójną helisę.

Opadłem na kolana i szarpnięciem otwarłem komorę plecaka. Do miedzianej misy wlałem całą butelkę poświęconej nafty i podpaliłem. Płomień buchnął błyskawicznie, liżąc mi dłoń. Swąd przypalonych włosów mieszał się z nieznosnym smrodem coraz mocniej bijącym z podwórka Róży. Woreczek z ziołami przywołania wrzuciłem w płomień i po chwili przez zapach nafty przebił się łagodny aromat cyprysowego drewna, chmielowych szyszek i liści laurowych. To było lepsze niż świece, bo te łatwo byłoby zgasić. Po trzydziestu sekundach ogień zmienił kolor na różowawy. Magia ziół uaktywniła się.

Duchy straciły zainteresowanie Katią, teraz cała ich uwaga koncentrowała się na mnie. Tak właśnie miało być. Skronie pulsowały mi melodią, która musiała zostać odegrana. Uderzałem w skórzaną membranę tamburynu, czując nadchodzący trans – szybciej niż kiedykolwiek, ale też nie było czasu na grę wstępną. Blaszane talerzyki pobrzękiwały coraz szybciej przy akompaniamencie dzwoneczków z bransoletki. Kiwałem się, całym sobą stawałem się tym pulsującym rytmem, który miał odesłać wszystkie duchy i upiory.

Po chwili usłyszałem jeszcze jeden dźwięk, odbijający moją melodię echem i ją wzmacniający. Bulwa pojawił się nieoczekiwanie i kucnął między mną a Katią. Potrząsał puszkami po piwie wypełnionymi grochem albo kamykami, wyraźnie trzymając rytm. Jego aura objawiła się ciemnopomarańczową poświatą, tworząc barierę między duchami a nekromantką. Wyraźnie był tu po to, by ją chronić – szalony

Don Kichot puszką pełną grochu chciał bronić Dulcynei przed złymi duchami. Nie nabijam się. Sam byłem uzbrojony w tamburyn i miskę z naftą. Właściwie byliśmy siebie warci.

Nie miałem czasu na uchylanie bramy, na smużki eteru, na odprowadzanie delikwentów z czułością matki po raz pierwszy wiodącej pociechę do przedszkola. Nie znałem ich imion, więc wiedziałem, że nie mogę przeprowadzić tradycyjnego odesłania, poza tym nawet po skrócie nie miałem dość energii, by zajmować się każdym z osobna. Zwłaszcza że reszta raczej by wówczas nie przystopowała.

Melodia, która dźwięczała mi w kościach, była twardym roszczeniem, żądaniem, by brama się otworzyła na oścież i była, choćby przez najbliższe minuty, bezwzględnie posłuszna mojej woli. Przetoczył się burzowy pomruk, a jasne błyskawice eteru przecięły niebo. Bramy zadrżały i zaczęły się uchylać. Dymu było coraz więcej. Miękkie kłęby, podsycane zaklęciem, mieszały się ze smużkami eteru i nasycaly zwabione nim duchy, naznaczając je jako przynależne do innego świata. To wciąż nie wystarczało, nie ze spiralą pasącą je energią, ale byłem znacznie bliżej celu niż jeszcze przed chwilą.

Duchy stawały się coraz wyraźniejsze, z każdą sekundą bardziej namacalne i rzeczywiste. Nie przenikało ich światło, nie były przejrzyste. Otaczały mnie ciasnym kręgiem, nieco oszołomione ziołami i melodią, która schwyciła ich istotę. Bił od nich taki chłód, że po wszystkim spodziewałem się znaleźć na ciele ślady odmrożeń.

Teraz albo nigdy. Ich agresję wytłumił zapach szaławii i błękit eteru. Podręcznik początkujących szamanów nie przewiduje takich sytuacji. Klasyfikowały się one pod oznaczenie gwiazdką i adnotację w rodzaju: „Jeśli natkniesz się na coś takiego, spierdalaj i niezwłocznie wezwij silniejszego szamana”. Taa, jasne, akurat mieli zjazd absolwentów w okolicy! Szczęśliwym trafem nie poprzestawałem na lekturach obowiązkowych i czytałem także te uzupełniające i podręczniki dla wyższych klas. Taki mały fetysz cierpiącego na bezsenność i chroniczne niedoinformowanie szamana.

Jedno zaklęcie mogło załatwić ten problem. Wprawdzie jeśli bym je spieprzył, nie byłoby odwrotu, ale i tu skończyły mi się plany awaryjne.

Obecność Bulwy dodawała mi otuchy. Potrafił ochronić Katię, przynajmniej do przyjazdu Dory.

Zanuciłem pierwsze słowa zaklęcia. Autor grimuaru odradzał używanie go, ponieważ było nieprecyzyjne, miało sporo skutków ubocznych i nie dawało się kontrolować. Ale było też jedynym, które mogło sobie poradzić z kilkudziesięcioma duchami naraz. Co prawda nie próbowały mnie w tym momencie rozszarpać, ale wiedziałem, że liście laurowe, które działają na nie uspokajająco, wkrótce się dopalą.

Słowa pasowały do rytmu, który wygrywałem na tamburynie, miały to samo energiczne i hipnotyzujące metrum. Cała moja magia, cała energia, jaką miałem w ciele, cały eter, jaki wchłonałem po zażyciu skrótu, były mi potrzebne, by skończyć inkantację. Tylko one mogły sprawić, by mojego oddechu nie zdławił wiatr, który wpadł nagle w wąską przestrzeń ulicy. Huk otwieranych na oścież bram zaświatów wypełnił mi uszy, a jego echo rozdzwoniło się w kościach. Wiatr gwałtownie przybrał na sile, kiedy w bezbarwny wir wkręciły się błękitne smugi eteru. Kilka sekund później zatańczyło wokół nas błękitnawe, lodowate tornado – wokół mnie, klęczącego przy płonącej wciąż misie i wygrywającego monotonny i hipnotyzujący rytm na tamburynie, i wokół nich, całkiem już namacalnych duchów zaczarowanych melodią szczurów. Kołysały się z przymkniętymi oczami i nie wydawały się bardziej agresywne od teletubisiów, ale to mogło być przejściowe. W każdej chwili mogły się znudzić i przyłożyć mi przez łeb łopatką. Niektóre wydawały się budzić z transu w zetknięciu z zimnym podmuchem eteru, ale ten już je miał w swojej mocy, zakotwiczył się w ich zagęszczonych emanacjach i naznaczał je piętnem zaświatów, które reagowały na fakt otwarcia bram magnetycznym przyciąganiem.

Tym razem między materialnym „tu” a bramą nie widziałem szklanych schodów czy brukowanej drogi. Połyskujący pasmami eteru wir porywał kolejno duchy i unosił je w stronę uchylonych wrót niczym w filmach dokumentalnych o tornadach, choć zamiast wciąż żywych i przerażonych krów wokół osi wiru obracały się duchy mężczyzn i kobiet. Nie było wśród nich bebeszastych, ale liczyłem, że Bulwa zajmie

się nimi w takim stopniu, w jakim wymagało tego bezpieczeństwo Katii.

Te, które szybciej zorientowały się w sytuacji, przywarły do mnie, zamykając mnie w zbitej lodowatej masie ektoplazmy i starając się wycisnąć ze mnie ostatni oddech. Lód pokrył mi usta, krew gęstniała i czułem, jak spada mi ciśnienie. Lodowate palce wbijały się w moje plecy i przesywały zamarzające ciało. Szarpałem się jak ryba uwięziona w zamarzniętym jeziorze. Ostatnie, co usłyszałem, zanim wir pochwycił lawiny ektoplazmy, a z nią moją duszę, był śmiech. Moja dusza była przymarznięta do tych, których odsyłałem. Zacerpnałem eteru, licząc, że mnie rozpozna, odeśle do ciała, skoro przekroczenie progu nie było mi przeznaczone, ale bałagan był zbyt duży, a wir zbyt gęsty. Zakłęcie nie działało selektywnie – miało po prostu przerzucić bałagan na drugą stronę bramy. Resztą mieli się martwić Przedwieczni.

Moje ciało osunęło się głucho na asfalt, upuszczony tamburyn, pobrzękując, potoczył się w kierunku krawężnika. Katia wykrzykiwała moje imię, jakby było cudownym zaklęciem odwracającym bieg zdarzeń. Płomień w naczyniu zgasł. Ja również.

## Rozdział XIII

Ledwie przekroczyliśmy próg, wyczułem ich pełne niecierpliwości oczekiwanie i ekscytację, która nie wróżyła mi zbyt dobrze. Jeszcze ich nie widziałem. Nie spodziewali się, że przyjdę, nie rozwinęli czerwonego chodnika, nie wystawili powitalnej kompanii, ale już wiedzieli, że jestem po drugiej stronie bramy. I mieli mnie w garści.

Kłęby mgły spowijały mroczny krajobraz limbo. Użyłem znaku widzenia, bo choć niewiedza potrafiła być kojąca, to wolałem widzieć, jak się do mnie zakradają.

Martwa kraina z wulkanicznym gruzem pokrywającym wyschniętą ziemię rozciągała się jak okiem sięgnąć. Powietrze przesycił zapach spalenizny i kwaśny odór starej krwi. Było suche jak ziemia pod moimi stopami, z nisko unoszącym się pyłem, jakby pogorzelsko jeszcze do końca nie wygasło. Niebo przysłaniały ciemne chmury, niczym kurtyna odcinająca dostęp światła. Wydawać by się mogło, że mgła powinna się wiązać z wilgocią, ale nie ta tutaj – ta była jak opary, które nie wróżyły długiego życia w zdrowiu i pomyślności.

Szeroka na kilka metrów rzeka lawy dzieliła krajobraz na dwie części. Drugi brzeg wybrzuszał się we Wzgórze Wisielców. Tam, gdzieś za martwym lasem, mieściła się – jeśli wierzyć źródłom – siedziba Przedwiecznych.

Nie zrezygnowali ze standardowych straszaków. Na gałęziach martwych drzew wisały poskręcane i zmumifikowane ciała, a ich kołysaniu się towarzyszyło ciche skrzypienie sznura. We mgłę rozbrzmiewało echo jęków potępionych dusz. Monochromatyczny krajobraz przywodził na myśl niemieckie kino ekspresjonistyczne z lat trzydziestych – schematyczne, jakbym sam miał sobie wyobrazić resztę, a przez to mniej prawdziwe.

Czy współcześni ludzie, wychowani na horrorach klasy B, wciąż reagują strachem na taką scenografię? Zdałem sobie sprawę, że nie czuję prawdziwej grozy. Widziałem wystawę prac Beksińskiego – były bardziej przerażające od tego, co stworzyli Przedwieczni. Może właśnie świadomość, że to kreacja, obraz nałożony na faktyczne zaświaty, sprawiała, że nie mogłem się przestraszyć. Nie naprawdę. Nieostre wspomnienia szamańskich snów podpowiadały mi, że w tej krainie jest więcej kolorów i życia, niż chcą mi pokazać twórcy tych dekoracji. Skupiłem się na czymś innym, by nie ożywili dla mnie obrazów Beksińskiego tylko po to, by poczuć kwaśny odór mojego strachu. Moje ciało mogło leżeć na ulicy po drugiej stronie bramy, ale dusza traktowała to jako ograniczenie, którym nie zamierzała się przejmować.

Wprawdzie miałem problemy z poruszaniem się, ale krztusiłem się dymem, jakby wypełniał mi płuca ciężkim osadem.

Duchy straciły zainteresowanie mną. Ogłuszone eterem zbiły się w stadko, a strażnicy sztuka po sztuce wyławiali je i prowadzili w głąb zaświatów, do przeznaczonych im miejsc. Obciążone skórą szkielety widziałem już podczas poprzedniej wizyty, ale dziś towarzyszyli im nowi. Może potrzebowali posiłków przy sporej grupie duchów nieprzyzwoicie upasionych energią z zaklęć Róży. Chyba wolałem mumie.

Jeden z upiórów, które wyszarpały mnie z ciała, został wyłuskany przez mężczyznę w szarej szacie, całkowicie pozbawionego twarzy. Nie miał oczu, ust, uszu czy nosa. Był niedokończoną rzeźbą leniwego bóstwa, które upewniło się, że żadna z trafiających tu dusz nie spotka w okolicy bramy kogoś, kto mógłby się zlitować, usłyszawszy smutną historię, i pozwolić im wrócić. Nie przerażały mnie mumie czy wisielce, ale z tym tu wolałem nie wchodzić w bliższą znajomość.

Próbowałem się dyskretnie wycofać i nie ściągać na siebie jego uwagi. Chciałem tylko wrócić do ciała, które gdzieś tam nabawiło się nowego guza. Miałem prawo oczekiwać szczęśliwego zakończenia. Zrobiłem, co do mnie należało.

Żyłem nadzieją, bo – choć niezdarnie – mogłem się już przemieszczać. Szedłem chwiejnie, a poziom mojej koordynacji ruchowej przywodził wspomnienie pierwszych piw wypitych w młodym wieku. Krok po kroku oddalałem się od duchów i strażników. Resztki mgły rozplływały mi się między palcami. Nadzieja umarła z cichym skomleniem.

Brama była zatrzaśnięta, z realnego świata nie przepływał najmniejszy przesmyk światła. Szamani po inicjacji nie przejmują się takimi detalami, ich imię wpisane jest w zaklęcie chroniące bramę, mogą ją otwierać z obu stron. Ja potrafiłem otwierać ją tylko z realnej strony – to, wraz z widzeniem duchów i złudzeniem, że mam nad nimi władzę, stanowiło o tym, że jestem szamanem. Ale kraina śmierci, zaświaty czy, jak nazywałem to miejsce po ostatniej wizycie, kraina stukniętych praojców i ich piekielnego kota, nie była moim światem. Wiedziałem, że dopóki nie przejdę inicjacji, nie porachuję kości, nie udowodnię, że mam tę, która ich interesuje, będę tylko niezbyt mile widzianym gościem z tymczasową przepustką. Wciąż jednak uważałem inicjację za zbyt wysoką cenę za wieczysty bilet w obie strony i klucz elektroniczny do miejsca, w którym bywać nie zamierzałem. Tyle że kiedy dostałem się tu na gapę, istniało spore prawdopodobieństwo, że trafi mi się skrupulatny kanar.

Z każdą sekundą zbliżało się głucho dudnienie, coś między burczeniem w brzuchu a początkami trzęsienia ziemi. Odwróciłem się w kierunku, skąd wydawał się dochodzić dźwięk, choć prawa fizyki były tu zbyt zwichrowane, bym skusił się na obstawianie.

Duchy, które przyprowadziłem, też musiały to słyszeć. Zbiły się w ciaśniejszą grupkę i bez protestu odchodziły ze strażnikami, nawet nie próbując negocjować.

Cóż, nie miały powodu do obaw – to coś szło tu po mnie. Odruchowo pomasaowałem mostek na wspomnienie ciężaru, który na nim spoczywał, kiedy dopadła mnie bestia. Wywołałem wilka z lasu. A dokładniej: kota, którego dziwnie prehistoryczna sylwetka wyłoniła się spomiędzy drzew wisielców. Z głuchym dudnieniem mknął po spękanej, wypalanej ziemi, by jednym prężnym sussem przesadzić strumień lawy. Był teraz na odległość jednego kłapnięcia potężnej szczęki, ledwie domykającej się ze względu na rozmiar i liczebność wypełniających ją zębów. Smród resztek pożywienia gnijących mu między zębami zmieszany z parującą wonią mokrego od potu futra drażnił nozdrza. Kot wbijał we mnie pomarańczowe, głęboko osadzone ślepie. Nienawidziłem tej bijącej z nich morderczej inteligencji. Obiecywała ból i niekończące się przedłużanie agonii. Dla niego to było osobiste: szrama wzdłuż pyska, kończąca się tuż pod ślepiem, jasno przypominała, dlaczego ma ze mną na pieńku. Pamiątka, którą zostawił mu po sobie sęp, pasowała jak ulał do złośliwego grymasu malującego się na jego pysku. Jego ekspresja była czytelna i całkiem ludzka, jak na bestię. Chciał mnie rozszarpać. Powoli, bo jak każdy kot tego świata pragnął pobawić się żarciem. Miałem być dość żywy, by dostali w swoje ręce coś więcej niż truchło. Ale nie zamierzali pozbawiać kota zabawki. Prolongata była krótka.



Skradał się niespiesznie, bijąc ogonem o ziemię, a ja mogłem policzyć wszystkie pręgi i cętki na jego grzbiecie. Masywną szczękę wypełniały długie, żółte kły, jak u tygrysa szablozębnego – ostre brzytwy wygięte do spodu, by łatwiej przychodziło mu wyrwanie kawałka mięsa.

Nie uciekałem. Pościg by mu się spodobał, a nadmiar jego adrenaliny nie wyszedłby mi na dobre. Monstrum zataczało wokół mnie coraz mniejsze kręgi, aż w końcu szorstkie futro otarło się o moją nogę. Prawdziwa ironia losu – byłem nie dość materialny, by otworzyć bramę, ale wystarczająco, by dało się mnie poszarpać i pokaleczyć.

Jeśli nie zrobiłby tego olbrzymi kot, pozostawali jeszcze oni – orszak maszkar w zwierzęcych czaszkach na głowie oraz futrzanych i pierzastych narzutkach na żyłastych ciałach, malowanych kolorowymi farbami w plemienne wzory. Wciąż znajdowali się daleko, ale ich magia już lizała mój kark. Do uszu docierało furkotanie piór, wstążek i kościanych koralików przyczepionych do ich kosturów.

Koteczek nie atakował, dopóki Przedwieczny nie dał mu sygnału. Widocznie mieli za sobą dość wspólnych randek, by opracować spójny i zrozumiały dla obu stron system znaków. Uniesienie ręki musiało oznaczać: „Idź na całość”, bo to właśnie zrobił kot. W ułamku sekundy potężny węzeł mięśni i ścięgien powalił mnie, dociskając łapami do ziemi i wpychając nos w szyję, jakby śmierzącym żarem naznaczał miejsce, którego chciał posmakować.

– Sęp, do kurwy nędzy, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję!?! – wrzasnąłem w panice, gdy bydlę zaczęło mnie ciągnąć w stronę lawy.

Widać sygnał Przedwiecznego nie oznaczał „zeżryj”, tylko „aportuj” i koteczek szykował się, by przewlec mnie przez plującą ogniem toń. Kto wie, może spiekę się na skwarek, może dostanie po nosie za uszkodzenie zabawki. Zapierałem się piętami i pięściami, ale było to równie skuteczne jak moralny protest ciastka pożeranego w napadzie głodu.

Kot dowlókł mnie do samej krawędzi lawy i prychnął sfrustrowany. Najwidoczniej nie wszystko sobie zaplanował, a ja byłem za duży, by mógł skoczyć, trzymając mnie w pysku. Warknął w stronę Przedwiecznych, jakby chciał się poskarżyć.

Stali po drugiej stronie, nie kryjąc już swoich mrocznych sylwetek w cieniu drzew obwieszonych wisielcami. Mężczyzna z przodu miał na głowie czaszkę byka czy bizona, z półmetrowymi rogami sterczącymi po obu stronach łba. Większość twarzy skrywał cień, wyraźne były tylko czarne tatuaże – sześć prostych kresek biegnących od dolnej wargi przez brodę i splezających na szyję oraz dwa wyczernione trójkąty, po jednym przy każdym kąciku ust. Z szerokich jak u tura ramion spływał płaszcz z futrzanym kołnierzem. Reszta powierzchni okrycia ozdobiona była szarpkami ze skór i płótna, przyszytymi dość gęsto i sprawiającymi wrażenie skłębionych kudłów, tak że optycznie poszerzały sylwetkę. Wyglądało to jak archaiczna wersja snajperskiego maskowania. Kostur Przedwiecznego okręcony był w górnej części brązowym futrem, a na rzemykach zwisały mniejsze czaszki, wyglądające na kozie. Gdy strażnik uderzył kijem o ziemię, czaszki stukały o siebie jak kastaniety.



Kobieta po jego prawicy wyglądała na całkiem młodą. Z jej czarnymi jak atrament włosami kontrastowała czaszka obciągnięta lisim futrem; na ramieniu spoczywała puszysta kita. Przedwieczna, szczupła i prosta jak trzcinka, przyglądała mi się z tą mieszaniną ciekawości i obrzydzenia, którą zwykle widziałem na twarzy gapiów na miejscu śmiertelnych wypadków drogowych. Na swój niepokojący

sposób była atrakcyjna – z mocno wysklepionymi kośćmi policzkowymi i kanciastą żuchwą, nieco zbyt dużym nosem, którego grzbiet zdobiły wytatuowane czarne kropki. Rządek takich samych kropek biegł tuż poniżej krawędzi dolnych powiek kobiety. Na podbródku wytatuowaną miała czerwoną kropkę. Zupełnie nie wiedzieć czemu, przeszło mi przez myśl, że to ślady po ostatnim posiłku. Nie miała płaszcz jak jej towarzysz, ale rodzaj tuniki z lisiego futra i obszywanice za kolana, zdobione po bokach frędzlami. Przedramiona i ramiona pokrywały plemienne rysunki, ale coś w nich sprawiało, że nie mogłem prześledzić wzoru, bo oczy same gubiły linie, które rozmywały się w pamięci.

Zamiast kostura trzymała łuk i pęk strzał. Gdy przechyliła głowę, by mi się przyjrzeć, aż lisi ogon zsunął jej się z ramienia, miałem wrażenie, że szuka miejsc na moim ciele, w których chciałyby umieścić swoje groty.

Trzecim straszakiem na szamana był starszy, nieco przygarbiony i pomarszczony mężczyzna z ptasią czaszką na głowie. Jeśli była prawdziwa, a ci tu raczej nie lubowali się w rekwizytach z włókna szklanego, miałem przed sobą dowód na to, że gdzieś żyją lub żyły monstrualne kruki. Jego pomarszczona twarz pomalowana była w pasy czerwoną i białą gliną, suchą już i popękana. Efekt był upiorny. Mężczyzna był nagi, jedynie przyrodzenie ukrywał w rodzaju tykwy, przywiązanej do bioder rzemieniami zakończonymi pękami czarnych piór. Pierś i brzuch, niczym spękany pancerz, pokrywała czerwona glina. Na końcu prostego kija, który trzymał mężczyzna, siedział kruk, całkiem przeciętnych rozmiarów.

Nie odzywali się. Po prostu patrzyli na mnie i pozwalali, by ich stylowa wywołała u mnie w pełni uzasadnione przerażenie. Owszem, bałem się – ale ten strach nie byłby nawet odrobinę mniejszy, gdyby mieli na sobie garnitury i garsonki. Poza tym swego rodzaju ulgę przyniosła świadomość, że nie ma tu tych, którzy próbowali mnie pochwycić poprzednio. Może nie trafiłem jeszcze do biuletynu „Trudne przypadki w zaświatach” i ci tutaj nie wiedzą, że jestem na czarnej liście.

Kot wciąż dociskał mnie łapami do podłoża, kiedy Rogaty wypowiedział zakłęcie i dotknął końcem kostura wrzającej lawy u swoich stóp. Zastygła przy akompaniamencie wrzasków uwięzionych w niej dusz. Nie wzruszyło go to zupełnie. Powoli postawił stopę na powierzchni twardej jak tafla lodu. Jego towarzysze ruszyli za nim, bez pośpiechu sunąc w moim kierunku. Dobiegł mnie szum piór, stukot kości i chrzęst rzemiennych podeszew.

Kot ustąpił, kiedy tylko postawili stopy na naszym brzegu. Skulił się pod spojrzeniem Krukogłowego i cofnął o kilka kroków. Na pożegnanie prychnął mi obietnicą bolesnej śmierci.

Na jakimś poziomie musieli się ze sobą komunikować, bo wymieniali spojrzenia jak bliscy przyjaciele riposty.

– Nie masz znaku, synu – powiedział w końcu Rogaty.

– Nie masz ducha opiekuńczego, synu – dodał Krukogłowy.

Spojrzałem na kobietę, bo tylko ona jeszcze nie wytknęła mi moich braków, ale ta wyszczerzyła pomalowane na brunatnoczerwony kolor zęby i powiedziała:

– Masz kłopoty, synu.

Pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Sporo nieścisłości w waszych słowach – powiedziałem, siląc się na spokój.

Lisica uniosła brwi, a Krukogłowy zastukał w podłoże kosturem, aż kruk wydał z siebie dźwięk zaskakująco przypominający szyderczy śmiech.

– Nie chcę znaku, więc go nie mam. A ducha i owszem, mam, po prostu ma inne zajęcia. Kłopoty to nic nowego, więc trudno się nawet przejąć.

– Kimże jest twój duch opiekuńczy? Podaj mi jego imię albo wyrwę ci język za kłamstwa – zagroził Krukogłowy.

Taaa, to był ten moment. Pan Przeworzy raczej nie przejdzie, prawda? Nie przypadkiem to przebrzydłe ptaszysko nie podało mi imienia. Znając je, mógłbym je przywołać. Ale z imionami u magicznych jest śmieszna sprawa – przeważnie mają więcej niż jedno. Ti na przykład nosi aż kilka,

a każde wiąże się z jakąś częścią jej osoby albo pełnią przez nią funkcją. I tylko ja mówiłem na nią Ti. To był wyznacznik naszej przyjaźni. Sęp też miał pełnić konkretną funkcję, ale się migał. A ja mogłem go nazwać, skoro była między nami ta nić niespisanego kontraktu.

– Feliks Sęp. Tak właśnie go nazywam – zaimprovizowałem.

I jeśli przeżyję, tak właśnie będę robił. Jak mu się nie spodoba, będzie mógł mi skoczyć. Gdyby mi się przedstawił, nie miałbym teraz kłopotów.

– Przywołaj go, jeśli jest twoim duchem opiekuńczym – zaproponowała Lisica. Złośliwy uśmiech nie wróżył mi najlepiej.

– Sęp, leniwa dupo, to jest ten moment, kiedy udowadniasz, że nie pozwoliłem ci wyżerać mi zawartości lodówki na marne! – krzyknąłem ze złością.

Fatalistyczna część mnie szacowała moje szanse na wyjście z tego żywym. Jeszcze nie grozili. W hierarchii dupków poprzednio spotkani Przedwieczni stali wyżej, ale prawo jest prawem, a ja byłem po niewłaściwej stronie.

Potężny hałas rozbił pełne napięcia oczekiwanie. Brzmiało to tak, jakby ktoś kopniakiem otworzył bramę zaświatów, i gotów byłem obstawiać, że tak właśnie było. Szelest skrzydeł i dziwnie gardłowe wrzaski zapowiedziały nadejście mojego towarzysza, który już po chwili z wdziękiem, jakiego nie miał, stojąc na ziemi, kołował po czerwonym niebie tuż nad głowami Przedwiecznych. Kot rozpoznał go natychmiast i prychnieniem, syczeniem i głuchym pomrukiem z głębi trzewi sygnalizował, jak bardzo nie cieszy go ponowne spotkanie. A gdy zobaczył, że ptaszysko pikuje w jego kierunku, po prostu czmychnął. Jednym susem przesadził zastygłą lawę i zniknął, podkulając ogon, za linią drzew. Wtopił się w ciemność jak cień.

Skrzydła sępa miały ogromną rozpiętość – beżowo-biało-szare upierzenie z tej odległości wyglądało jak pasy bojowe wymalowane na jego szerokiej piersi. Mała główka zwieńczona niebieskosinym dziobem kiwała się na bezwłosej szyi, kiedy opadał niżej i niżej, płynnie zmieniając kształt, aż podłóża dotknęły całkiem już ludzkie stopy w rzemiennych sandałach. Spodziewałem się zobaczyć tę postać, która wychylała się w moim mieszkaniu zza drzwi lodówki – potargane ciemnoblonde włosy i gębę zbyt przystojną, by mi to mogło wyjść na dobre, skoro kręcił się w pobliżu mojej byłej kobiety i mojej tak bardzo nieletniej córki. Tymczasem przede mną stał wielki chłop z łysą głową – tylko kępka włosów na potylicy zwinięta w sztywny od łożu węzełek sterczała z lśniącej powierzchni jego czaszki. Szeroką pierś pokrywały wiry czarnych tatuaży, schodzących aż do krawędzi przepaski biodrowej ze sztywnej skóry i wyłaniających się poniżej, na udach i kolanach. Gapiłem się na te tatuaże, by uniknąć spojrzenia na twarz. Było w niej coś tak nieludzkiego, że Przedwieczni wyglądali przy nim jak członkowie wspólnoty mieszkaniowej na Rubinkowie. Zbyt ostre rysy przywodziły na myśl hybrydę człowieka i ptaka, choć to po tacie ptaku dziecina odziedziczyła więcej. Haczykowaty nos, głęboko osadzone oczy, ostro odznaczające się pod skórą oczodoły i górna i dolna szczęka były niedopasowane, ale żaden ortodonta na ziemi nie byłby w stanie zrobić nic z tym tyłozgryzem. Kimkolwiek był, nie był człowiekiem. Gdy się zorientował, że się na niego gapię, kości pod skórą jego twarzy zaczęły się przesuwac niby kostka Rubika. Gdy zastygły na powrót, miał twarz, którą znałem, a każdy pozór obcości maskował leniwy uśmiezek drobnego cwaniaczka. Nieźle, ale co zobaczyłem, tego nie mogłem „odzobaczyć”.

Przedwieczni nabrali ochoty na zachowanie pewnego dystansu. Zwłaszcza Lisica miała taką minę, że podejrzewałem, iż najwygodniej byłoby jej, gdyby między nią a sępem była odległość pozwalająca jej wystrzelić z łuku.

– Feliks Sęp? – Rogaty kipiał sarkazmem.

– Tak mnie nazwał, tak jest – wyszczerzył się mój ziomalski miłośnik MTV.

– Wiesz, że to nie potrwa wiecznie – zaznaczył Krukogłowy.

– Wiecznie nie, ale wystarczająco długo, żeby dało się znieść jajo, co, staruszku?

– Kto zniesie, to zniesie – prychnęła złośliwie Lisica, nie spuszczać sępa z oka.

Jej dłoń bezwiednie odnalazła w fałdach tuniki rękojeść noża. No proszę, ta dwójka miała za sobą jakąś historię. Co za ulga – choć raz to nie ja byłem tym, którego kobieta chce dźgać tępym nożem, by bolało bardziej.

– Pomartwimy się innym razem, nie? – Mrugnął do niej zawadiacko. W odpowiedzi otrzymał kolejne gniewne prychnięcie.

– Staniesz tu z nim następnym razem – oświadczył Rogaty twardo.

– Będzie trzeba, to stanę, ale to jeszcze nie dziś – odparł sęp, wzruszając ramionami.

Odsunęli się, tak po prostu. Minutę później byli już po drugiej stronie znów wartkiego i bulgoczącego strumienia lawy.

– Zbieraj tyłek, zanim wystawią nam mandat za złe parkowanie – rzucił mój opiekun tonem, który sugerował, że choć on by nie zapłacił, to ja bym beknął.

– Kim ty, do cholery, jesteś? – szepnąłem.

Jego spojrzenie stwardniało, jakby na sekundę wychynał z niego drapieżnik, którym bez wątplenia był.

– Nie zadawaj pytań, jak długo nie jesteś gotów na odpowiedź – oznajmił i się odwrócił, wyraźnie sygnalizując, że to koniec tematu. A że sam nie miałem wielkich szans, by się stąd wydostać (o ile nie rozwalił bramy na dobre), nie naciskałem.

Prowadził mnie pewnym krokiem człowieka, który topografię zaświatów ma w małym palcu. Kilka minut później staliśmy przy bramie, nietkniętej i bez skazy. Tym razem nie miał dzioba, którym mógłby zastukać, ale wystarczyło, że przyłożył dłoń do gładkiej płaszczyzny drzwi, a magia go rozpoznała. Światło rozbłysło na połączeniu jego skóry i stali, rozjarzyła się siatka cienkich jak włos linii magicznych i na framudze mogłem dostrzec kilkanaście imion. Tuż nad dłonią mojego opiekuna pojawiło się nowe – Feliks Sęp – a następnie przepłynęło wzdłuż włosowatej linii na górną belkę framugi, gdzie ulokowało się między innymi, nieaktywnymi obecnie imionami. Po paru sekundach światło i imiona zniknęły, a drzwi po prostu uchyliły się przed nami.

– Powoli – mruknął sęp. – Tym razem jesteś pełen eteru, ale szok może cię znokautować, a twoja dama na dole potrzebuje asysty.

Ile czasu minęło na dole? Nie miałem pojęcia, ale zmroziło mnie, gdy sobie wyobraziłem, co mogło spotkać Katię, gdy ja bawiłem się z piekielnym kociakiem i resztą zwierzołastastry. Skoczyłem.

– Kiedyś cię to zabije – warknął sęp.

– Będziemy się o to martwić później – odparłem.

Nie potrafiłem przyspieszyć – zamiast spadać jak ołowiana kulka, dryfowałem w powietrzu niczym liść na wietrze.

– Z tym podejściem nie pożyjesz długo, ale jest szansa, że te kilka dni, które masz przed sobą, będą całkiem przyjemne. – Mój opiekun zaśmiał się i płynnie przyjął ptasią formę.

Nie mógł mnie po prostu poholować w dół, to byłoby zbyt proste. Musiał zakrzywionym dziobem stukać mnie w głowę czy kark i krążyć nade mną z bardzo głupim wyrazem dzioba. Dopiero kilka metrów nad ziemią pchnął mnie mocniej, aż z impetem zanurzyłem się we własnym cieple, które nagle wydawało się nieco przyciasne. Łapiąc powietrze jak wyciągnięta na brzeg ryba, siadłem, by w tej pozycji walczyć z zawrotami głowy i buntującym się żołądkiem.

Sęp majestatycznie opadł obok mnie i zrobił dwa koślawe kroki niczym kulawa kaczka. Ten kontrast był całkiem zabawny, ale uznałem, że poczekam z żartami z niego do czasu, aż w moich wspomnieniach zatrze się wygląd, który przybrał na potrzeby rozmowy z Przedwiecznymi. Po chwili na powrót przyjął ludzką formę – znów miał na sobie dzinsy, jasną koszulkę i skórzaną kurtkę z logo na plecach.

Zza ogrodzenia Róży dobiegały niepokojące hałasy i krzyki. Dźwignąłem się na kolana i wyciągnąłem rękę do sępa, prosząc, by pomógł mi wstać. Po tej pozacielesnej podróży z moim błędnikiem wciąż nie było najlepiej.

– Nie przesadzasz? Nie jestem lokajem – prychnął oburzony.

– A moje mieszkanie nie jest noclegownią.

– Jaki wrażliwiec... – odrzekł, ale pomógł mi wstać.

Hałasy dobiegające z domu Róży – dudnienie i odgłosy tąpnięć – nasilały się. Ziemia przenosiła falę wibracji i czułem je w swoich kościach. Niezbyt przyjemne.

– Idziesz? – zapytałem, obracając się w stronę sępa. Już go nie było.

## Rozdział XIV

Na ulicy nie było żywego ducha. Te prawdziwe odesłałem, a opary magii Róży i zaklęcie osłaniające dom odstręczały żywych, którzy czując się nieswojo, nabierali ochoty na dłuższy spacer zupełnie gdzie indziej. Kilku bebeszastych snuło się wzdłuż linii wciąż promieniującej magią, ale nie wydawali się szczególnie czymkolwiek zainteresowani. Widać i duch może być zombie.

Bulwy i Katii nigdzie nie zauważyłem. Grzechotka z puszki i grochu leżała przy krawężniku, pozginana tak, jakby zbyt silna ręka zacisnęła się na niej bez śladu czułości. Ulga, jaką poczułem na widok samochodu Dory, była ogromna. Kawaleria przybyła. Spirala wciąż istniała, kłopoty się nie skończyły, ale w takim towarzystwie łatwiej o wiarę, że wszystko będzie dobrze. Kiedyś.

Ti zaparkowała fatalnie, ale tak bywa, gdy robisz z samochodu taran. Przodem opierał się o częściowo wyrwaną z zawiasów bramę wjazdową na posesję Róży. Na kierownicy i szybie nie było śladów krwi, więc zakładałem, że zrobiła to umyślnie, a nie wpadła w łapy bebeszastych. Wyminąłem auto i wspiąłem się po wiszącej już tylko na dolnym zawiasie bramie. Zaklęcia zwykle gromadziły się na klamkach i progach, więc przeskoczyłem, nie dotykając ich.

Zaledwie dwa kroki w głąb podwórza mówiły mi więcej o magii Róży, niż chciałbym wiedzieć.

Smród na jej terytorium był niewyobrażalny – mieszanina kostnicy w upalny dzień po tygodniowej awarii prądu, wysypiska śmieci i kompostownika. Oddychałem ustami, ale niewiele to pomagało. Wrażliwszy żołądek wyrzuciłby się na lewą stronę, mój ograniczył się do skurczy i nadprodukcji kwasu, który podchodził do gardła i palił przełyk. Sam zapach wystarczyłby Starszyźnie jako dowód na to, że Róża parała się czarną magią. Oczywiście gdyby którykolwiek z nich zamierzał się tu w tej chwili pofatygować. Gardiasz, który podejrzanie wiele uwagi poświęcał w ostatnim czasie mojej osobie, w przypadku Róży całkiem zawałił z rozpoznaniem.

W powietrzu unosiły się ślady starcia, które miało miejsce pod moją nieobecność. Strzępy czegoś organicznego i definitywnie od dawna martwego pokrywały trawnik przed domem. Wyłapywałem wibracje magii Katii. To, co ją zaatakowało, przekonało się, że nie należy zadzierać z uroczymi nekromantkami. Kobiety takie jak ona winny budzić prawdziwą trwogę w sercach wrogów. Z troski o stan paznokci dopracowała do perfekcji wszelkie zaklęcia, które pozwalały jej mierzyć się z wyzwaniem z bezpiecznej odległości kilku metrów. Miała za wiele klasy, by się szarpać z zombie – ona mu po prostu śpiewała kołysankę i wyrывała z piersi iskrę życia. Jej fach był brudny i niezbyt estetyczny, ale nie pozwoliła, by ją to ograniczało. Dwie, może trzy istoty z krainy śmierci już się o tym przekonały – na trawniku wałały się kawałki kończyn. Odkąd widziałem, co potrafi moja była, dziękowałem losowi, że jest po tej właściwej stronie.

Poruszałem się powoli, krok za krokiem, by nie wpaść w jedną z pułapek, którymi Róża usiała swoje terytorium. Spodziewała się mnie na tyle, by uwzględnić mnie w zaklęciu na furtce, i miałem podstawy, by sądzić, że nie byłaby zbyt zadowolona, gdyby wiedziała, że chodzę i oddycham, a moje kończyny wciąż są przytwierdzone we właściwym miejscu. Była kobietą czynu, czego dowodziło istnienie spirali.

Użyłem znaku widzenia. Na odcinku piętnastu metrów znalazłem dwie pułapki, z zetknięcia z którymi

raczej nie wyszedłbym żywy. Poświęciłem kilkanaście sekund na oznaczenie ich, na wypadek gdybyśmy opuszczali to miejsce w pośpiechu. Rzadko ulegam podszeptom intuicji, ale dziś krzyczała tak głośno, że niemal spodziewałem się, iż zza budynku wyskoczy na mnie smok czy inne stworzenie z piekielnej hordy.

Dom był odpychający. I z jego energią, i z samym budynkiem coś było cholernie nie tak. Esencja Róży skazała to miejsce nieodwracalnie. Klęby ciemnej magii napierały z każdej strony. Nie czułem tego nawet w Thornie, gdzie powietrze skrzyło się od magii. Jedno z mnóstwa wciąż aktywnych zaklęć mogło odpowiadać za to, że nigdzie nie widziałem Ti i Katii. Kolejne mogły mnie zabić, zanimbym je odnalazł.

Nigdy nie przepadałem za tymi momentami mojej pracy w policji, kiedy musiałem wyciągać broń i powierzać życie własne i mojej partnerki refleksowi i celności, z którymi różnie u mnie bywało. Teraz, w nowym fachu, takie sytuacje zdarzały się znacznie częściej i bywały gorsze, bo refleks, celność czy dowolny kaliber niewiele mogły wskórać wobec magii, która umacniała się przez lata czy nawet stulecia. Moja wciąż uczyła się chodzić i nie mogła zasnąć bez smoczka.

Gdyby chodziło tylko o mnie, odwróciłbym się na pięcie i z bezpiecznej odległości przyglądał Gardiaszowi, który radziłby sobie z problemem brutalnie i zapewne skutecznie. On i jego ekipa zastraszających kumpli daliby radę Róży, bez dwóch zdań, zapewne musiałbym jednak wystosować w tej kwestii podanie, a oni rozpatrywaliby je tygodniami. Tymczasem gdzieś tam w środku były moje przyjaciółki, które nie mogły sobie pozwolić na luksus czekania na odsiecz. Ich bezpieczeństwo zależało od tego, czy stchórzę. I choć mógłbym stchórzyć, nie mógłbym z tym żyć. Za długo przyjaźniłem się z Dorą Wilk.

Dom otaczała wyłożona popękkanymi kostkami brukowymi ścieżka, która za węglem rozdzielała się na dwie odnogi. Jedna biegła do przeszklonego ganku, druga w głąb posesji, gdzie stał garaż i coś, co mogło być tylko budynkiem gospodarczym albo prywatną kaplicą. Gdybym parał się czarną magią, nie chciałbym jej pod swoim dachem i miejsce obrzędowe urządziłbym poza domem, ale Róża nie musiała być tak wrażliwa.

Przez chwilę stałem i nasłuchiwałem. Jak na złość wszystko ucichło. Raz jeszcze użyłem znaku widzenia i zmrużyłem oczy. Wtedy dostrzegłem czerniące się w podłożu linie, niczym pęknięcia sięgające aż do piekła. Spomiędzy krawędzi parowała ciemna energia, od której włoski stawały dęba.

Koło domu plecionka linii była gęstsza, sięgała aż do pulsujących ciemnością fundamentów. Linie rozbiegały się promieniście po podwórku, by przy ogrodzeniu zlać się w ciemną fosę otaczającą posesję. To ona zasilala spirale, która brała swój początek przy bramie, by zataczać kręgi po całym mieście i zakończyć się pod moim mieszkaniem. Jakich ofiar wymagało zaklęcie produkujące takie ilości czarnej energii? To miejsce kipiało od mocy, a starczało jej jeszcze na zasilanie spirali. Nawet jeśli Róża sięgała po sprzężenie zwrotne, a spirala zwracała plecionce na podwórku energię niczym magiczne dynamo, rytuał, który zapoczątkował ten cykl, musiał być upiorny. Taka moc wystawiała wysokie rachunki, a w ramach napiwku zabierała twoją duszę.

Odpowiedź na wszystkie pytania musiała znajdować się w domu. Ti i Katia zapewne też. Niedawne łomoty umilkły i zapadła przytłaczająca cisza. Żadna z moich przyjaciółek nie należała do cichych. Nie przeceniając swoich możliwości bojowych, wiedziałem, że mnie potrzebują. Ostrożnie pchnąłem drzwi wiodące na ganek. Nic nie wybuchło mi w twarz. Dzięki ci, losie, za małe szczęścia.

Dla Róży czarna magia z pewnością nie była hobby czy zajęciem pobocznym, które można było ukryć przed znajomymi z koła gospodyń wiejskich. Ściany i podłoga w domu pokryte były inskrypcjami i symbolami, które pozwalały jej gromadzić więcej magii, niż komukolwiek wyszłoby to na zdrowie. Kuchnia za uchylonymi drzwiami nie wyglądała jak miejsce, w którym gotujesz rosół – raczej warzysz eliksiry, w których skład wchodzi zakazane substancje. Kamienny blat stojącej pośrodku wyspy pokrywała łuszcząca się kałuża zbrązowiałej krwi. Może śniadanie przygotowywała sobie gdzie indziej. Albo od dawna nie potrzebowała jedzenia.

Gwałtowny wstrząs pchnął mnie na ścianę. Dom drżał w posadach. W bajkach oznaczałoby to, że

wszedłem do jednego z tych domków na kurzej łapce, która teraz tupie nerwowo. Na szczęście w prawdziwym świecie takie rzeczy nie istniały. A przynajmniej miałem nadzieję, że nie istnieją. Mogły być opisane w podręczniku, który wciąż czekał, aż do niego zajrzę. Ściany zadrżały po kolejnym głuchym tąpnięciu. Rumor upadających przedmiotów i tłuczonego szkła był dziwnie stłumiony, jakby zakłęcie maskujące pozostało częściowo aktywne. Ten dom tylko pod pewnymi względami był domem. Płaszczyzny nakładały się, ale pozostawało napięcie, które wprawiało zmysły w drżenie. Był jak pokrywka na garnku z gotującą się wodą. Chciałem być bardzo daleko stąd, kiedy wszystko wykipi.

Odłamki szkła i luster chrzęściły mi pod podeszwami. Uczucie, że coś jest nie w porządku, potęgowało się z każdym krokiem. Ten dom powinien być znacznie mniejszy. Z zewnątrz wyglądał jak typowy domek jednorodzinny, sto dwadzieścia metrów kwadratowych, nie więcej. Coś zaburzało perspektywę przestrzeni i nie była to jedna z tych architektonicznych sztuczek polegających na pomalowaniu ścian w jasne kolory i obwieszeniu ich lustrami. Korytarz, którym szedłem, zdawał się nie kończyć. Uchylałem kolejne drzwi, szukając śladu dziewczyn, ale znalazłem tylko łazienkę, wbudowaną w ścianę szafę, która raczej nie była portalem do obcej krainy, i wypełniony kłopotami pokój gościnny, zagracony i zakurzony tak bardzo, że od wizyty ostatniego gościa musiały minąć lata.

Wciąż ani śladu życia. Nienaturalna cisza. Może i Róża była milczkiem, znałem swoje towarzyski – gdyby od zachowania całkowitego milczenia zależało, czy będą miały dach nad głową, wiodłyby koczowniczy i hałaśliwy żywot pod mostem. Poza tym Dora nie zwykła załatwiać spraw po cichu, zwłaszcza gdy walczyła o życie, a Katia, jeśli była wściekła, również potrafiła uraczyć otoczenie sporą liczbą decybeli.

Cisza była bardzo złym znakiem. Równie fatalnym było to, że nie miałem pojęcia, gdzie, u diaska, jestem. Jeśli nie trafiłem do Tardis – a bynajmniej nie czułem się Doktorem – albo nie leżałem wciąż nieprzytomny na ulicy, a wszystko, co widziałem, nie było urojeniem... mogłem być gdziekolwiek, lecz raczej nie w Toruniu. Domy w realnym mieście nie wyglądają na zewnątrz na jakieś sto metrów kwadratowych, by w środku kryć ich dobrze ponad trzysta. Z zewnątrz dom był piętrowy, ale w środku nie widziałem żadnych schodów na wyższą kondygnację. Korytarz był za długi i kręciłem się w kółko jak w pieprzonym labiryncie. Wymacałem w kieszeni fiolkę ze słoną wodą i opróżniłem ją jednym łykiem. Smak był obrzydliwy i zbierało mi się na wymioty, jednak już po trzydziestu sekundach poczułem działanie soli. Zakłęcie, które wziąłem na klatę, przekraczając próg, traciło władzę nad moją percepcją. Dom wciąż był za duży, ale zniknęły dezorientacja i panika. Korytarz nie był już niekończącą się przestrzenią rodem z koszmaru – u jego końca wyrastały dwuskrzydłowe drzwi. Uchylone. Za nimi panowała absolutna ciemność. Gdy się zbliżyłem, w nos uderzył mnie ciężki zapach mokrego futra, moczu i starych książek.





Wymacałem włącznik i po pokoju rozlała się sina poświata bijąca od świetlówek. Róża musiała mieć coś przeciwko dostępowi światła dziennego do tego pomieszczenia, nie było tu bowiem nawet jednego okna. Pokój miał kształt wydłużonego prostokąta. Ściany, sufit i podłoga pomalowane były na jednolity

bordowy kolor, tworząc złudzenie ciasnego pudełka, choć pomieszczenie miało dobre trzydzieści metrów kwadratowych. Zdrowie psychiczne Róży nigdy dotąd nie było kwestią tak dyskusyjną.

Sporo można było powiedzieć o właścicielce tego domu, wnioskując po tym, jak urządziła ten pokój. Otóż Róża lubiła czytać i dręczyć zwierzęta. A może, wnikając w problem głębiej – lubiła potęgę, a cena nie grała roli. Przy jednej ścianie stał wypełniony woluminami rząd regałów z wiśniowego drewna. Podszedłem, by przejrzeć foliały i oprawne w skórę grimuary. Nie chciałem wiedzieć, czyja to skóra, ale na grzbiecie jednej z ksiąg zauważyłem tatuaż. Niewiele zwierząt je nosi. Nie mogłem się skoncentrować na literach, ale wbijałem wzrok w starannie zapisane strony, by oswoić się z tym, co jeszcze znajdowało się w pokoju. Przełykałem kwaśną ślinę, by nie puścić pawia. Wepchnąłem do plecaka dwa woluminy noszące wyraźne ślady użytkowania. To była moja definicja cennej książki. Grzbiet każdego z nich był pozałamany, między kartkami tkwiły skórzane zakładki. Było ich kilkadziesiąt. Jeśli Róża potrzebowała tych tomiszczy, by wywołać zamieszanie, powinienem poznać ich treść, jeśli chciałem posprzątać. Starszysza widziała to inaczej, ale nikt z nich nie plątał się tu ze swoją ofertą pomocy.

Podszedłem do przeciwległej ściany, zaciskając mokre od potu dłonie w pięści. Jeszcze do niedawna uważałem Różę za nieszkodliwe, odjechane na punkcie New Age babsko. To nie był New Age. Bezmiar okrucieństwa, którego się dopuściła, przewracał mi bebecchy. Chciałem się uszczypnąć i obudzić z koszmarne snu.

Na całej długości ściany piętrzyły się klatki. Jedna na drugiej, by zmieściło się ich więcej. Dwadzieścia dwa druciane sześciany, każdy niewiele większy od transportera dla kota. W każdej klatce widziałem zwierzęta, które nie powinny żyć. Dosłownie. Dawno powinny być martwe, bo nic nie mogło przeżyć takiego okrucieństwa – chyba że ktoś tu korzystał z czarnej magii. Skupiałem się na detalach. Skoblach. Tabliczkach z datami „przydatności do spożycia”. Powyginanych oczkach siatek. Dziwnemu osadowi na drucianych prętach. Byłe nie ogarnąć jednym spojrzeniem całości. Nie widzieć, co dokładnie im zrobiła. Postępowaliśmy tak, kiedy na miejscu zbrodni okazywało się, że ofiarą jest dziecko. Łatwiej się skupić na rozwiązanych sznurowadłach i pizamce ze SpongeBobem niż na roztrzaskanej głowie i plamach krwi. Ale jak wtedy, musiałem spojrzeć. Musiałem wiedzieć, co dokładnie oddawały jej te zwierzęta i co im zrobiła, tak by kończąc ich mękę, nie uczynić im większej krzywdy. Nie ich ciałom, bo tu poprzeczka zła była postawiona zbyt wysoko, ale może wciąż mogłem uratować ich ducha. Sięgnąłem po magię i zrobiłem z nią coś, czego nie chciałem. Znak widzenia ukazał przytłaczający poziom okrucieństwa Róży. Przełknąłem ciężko ślinę, walcząc z torsjami. Uciekłem spojrzeniem od zmasakrowanych ciał. Z każdej klatki spływał strumyczek ciemnej energii, na podłodze łączyły się w grubszy strumień i płynęły dalej, aż do jednych drzwi na korytarzu, za które nie zaglądałem. Może dlatego, że jeszcze chwilę temu ich nie widziałem. Objawiły się wraz z pulsującą czernią strumyczków. Uchyliłem je i zderzyłem się z całkiem materialną ciemnością. Strumyczek zasiliał membranę osłaniającą wejście do piwnicy. Całą framugę wypełniała błona, połyskująca niczym rozlana ropa naftowa. Zza niej dobiegały mocno stłumione echa dźwięków, może kłótni, ale nie rozpoznawałem głosów czy słów. To mogło wyjaśniać, gdzie się podziewały Ti i Katia. Jeśli nie było tu więcej zamaskowanych drzwi do ukrytych pomieszczeń albo metafizycznych schodów na tajemnicze wyższe piętra, musiały być w piwnicy. Ti nienawidzi piwnic, nienawidzi schodzić pod ziemię, ale zeszlaby, gdyby właśnie tam ukryła się Róża. Strach nigdy nie determinował jej decyzji.

Jeśli tam zeszlaby, błona, która twardo napinała się pod moimi palcami, nie mogła obrastać futryny. Nie była złudzeniem i nie planowała mnie przepuścić niczym hologramowe ekrany w filmach science fiction. Dora była paranoiczką, nie przekroczyłaby progu, gdyby coś zapowiadało, że będą miały odcięty odwrót. Zostawiłaby Katię na górze albo przepaliła membranę zakłębieniem. Bariera musiała się więc pojawić już po tym, jak zeszlaby na dół. Róża zastawiła pułapkę. A żeby zrobić to na odległość, potrzebowała źródła zasilania. I domyślałem się, co jest baterią.

Wróciłem do pokoju. Jeśli dobrze kalkulowałem, każde z uwieczonych w klatce zwierząt zasilano to

i Bóg wie ile innych zaklęć. Większość z kilkudziesięciu ofiar była w więcej niż jednym kawałku. Koty, psy, króliki miały rozplątane brzuchy i powyciągane serca, które mimo że leżały kawałek od ciała, z których je wyjęto, wciąż biły. Szybkie pulsowanie, jakby ciągle były na granicy paniki, wypompowywało z poszarpanych naczyń krwionośnych nie krew, bo ta już dawno spłynęła na dno klatki, ale ciemną energię. Zaklęcie karmiło się ich bólem, śmiercią rozłożoną na zbyt wiele rat. To było złe na tak wielu poziomach... Poodcinane głowy wciąż piszczały, połamane łapy wystawiały pazury, szukając czegoś, w co mogłyby się wbić. Wiedziałem już, że od tej pory moja bezsenność będzie jeszcze bardziej uciążliwa.

Obiecałem sobie, że jeżeli dożyję końca tej przygody, dowiem się, czy istnieje jakiś magiczny oddział PETA, który protestowałby przeciwko odprawianiu tak okrutnych magicznych rytuałów. Nic nie było wystarczającym usprawiedliwieniem, by zrobić coś takiego innej żyjącej istocie, nawet gdyby rytuał ratował życie samego papieża. To się musiało skończyć. A jeśli awaria zasilania zwabiłaby tu Różę... tym lepiej.

Zdjąłem plecak. Co mogło rozbroić zaklęcia Róży? W białych księgach dla grzecznych szamanów takie okropieństwa nie występowały – jakby brak wiedzy kiedykolwiek sprawdzał się jako ochrona przed złem! W księgach Róży zapewne znalazłbym jakieś wskazówki, ale czytanie ich byłoby zajęciem czasochłonnym i obarczonym ryzykiem. Darń wytrwale powtarzała mi podczas szkolenia: „Nie ulegaj pokusie zaklęcia ze strony szesnastej, jeśli nie wiesz, czy dwie strony później nie znajduje się ostrzeżenie, że zaklęcie jest bezpieczne, tylko jeśli rzucając je, stoisz jedną stopą w wannie, a w prawej dłoni trzymasz nadgryzione jabłko”. W tej przestrodze nie było przesady – magia potrafi być perfidna, podchwytliwa i roszczeniowa. Stare grimuary spisywali złośliwi magowie, zastawiając liczne pułapki na mniej doświadczonych potomków. Magiczne BHP wymagało, bym zanim cokolwiek zrobię, przeczytał całość. Każda księga zawiera swoje kodowanie, małe symbole, które łatwo przegapić, a które mogą informować, że zaklęcie zapisane jest wspak lub że trzeba pomijać co drugi wyraz. Rysunek na marginesie może oznaczać brakujący element albo być zmyłką. Moja magiczna edukacja sporo zawdzięcza mojej bezsenności, Ti i jej nieortodoksyjne i paranoiczne podejście do magii oraz jej użytkowników również okazały się przydatne. To ona nauczyła mnie też, że jeśli nie wiem, co robić, muszę improwizować i wierzyć, że będzie jak trzeba. Ta wiara była podstawowym ogniwem każdego rytuału.

Skoro nie uprawiamy magii ceremonialnej, nie musimy zawracać sobie głowy otoczką. O skuteczności magii decydują intencja i skupienie. Sami stwarzamy rytuał, nadając czynnościom symboliczne znaczenie. Gdybym chciał i wierzył, że potrafię to zrobić, otworzyłbym bramę zaświatów otwieraczem do konserw. Nie dlatego, że byłby to magiczny otwieracz do konserw, ale ponieważ nadałbym mu symboliczne znaczenie klucza do zaświatów. Magia!

Mógłbym wyciągnąć nożyczki i przeciąć czarne nici energii. Ti wyznawała definicję magii będącej przedłużeniem woli. Wszystko mogło być magiczne, jeśli z taką intencją było używane przez osobę uwarunkowaną genetycznie do stosowania magii. Dla Dory to było naturalne jak oddychanie. Dla mnie magia wciąż pozostawała nowym i czasem topornym narzędziem, do którego potrzebowałem instrukcji obsługi. Czuję się bezpieczniej, sięgając po znane mi rytuały, nawet jeśli dziś nadawałem im inne znaczenie. Zdecydowałem się na rytuał, który miał dwa tysiące lat i opierał się na wykorzystaniu składników usankcjonowanych tradycją. Gdybym nie był taką świeżynką, nakleiliby mi etykietkę konserwatysty. Ogień, sól i woda święcona – z nimi ryzyko, że moja intencja zagubi się między wersami, nie istniało.

Zapaliłem białą świecę i postawiłem w tym miejscu na podłodze, gdzie pojedyncze strumyczki łączyły się w jeden. Płomień przygasł prawie całkiem. Usypałem grubą warstwę soli w poprzek strumienia tuż za świecą. Sól szerniała, jakby nasączała się ciemnością zaklęcia, ale nie przepuszczała ciemnej energii dalej – szerszy strumień znikł niemal natychmiast, za to płomień świecy skoczył w górę na dobre

czterdzieści centymetrów, sycząc i trzeszcząc. Ogień spalał magię, ale nie likwidował zaklęcia. Odkręciłem plastikową butelkę z wodą święconą. Podszedłem do najbliższej klatki i mokrymi od święconej wody palcami zrobiłem znak krzyża nad poskręcany strzępem, który kiedyś był rudo-białym kotem. Zmówiłem modlitwę za zmarłych. Serce kota skurczyło się jeszcze raz i drugi, a potem opadło na dno klatki w bezruchu. Ciało zwierzęcia zwiotczało. Zwierzak był wolny. Nic więcej nie mogłem dla niego zrobić. Zwierzęta nie mają dość duszy, by dało się odprowadzać je w zaświaty; kiedy umierają, uwalnia się tylko niewielka porcja energii. Ciało, rozkładając się, domyka obieg materii w przyrodzie, uwolniona energia domyka obieg magii. Dlatego w czarnej magii sięgano po ofiary zwierzęce. Poświęciłem każdą klatkę znakiem krzyża i raz jeszcze zmówiłem modlitwę za zmarłych, tym razem za wszystkie ofiary Róży. Impuls energii był tak silny, że odepchnął mnie od klatek i przewrócił na plecy. Świeca zapełgała i zgasła. Odeszły, wszystkie. Gęsta od cierpienia atmosfera oczyściła się. Wciąż czułem zapach starej krwi i ekskrementów, ale stęchły odór zgnilizny, który kojarzyłem z czarną magią, słabł. Membrana zniknęła. Z piwnicy dobiegały odgłosy awantury.

Otworzyłem na oścież drzwi do piwnicy i zablokowałem je krzesłem przyciągniętym z pokoju. Jeśli ze środka zamierzało wypełznąć coś, co nie powinno się znaleźć w naszym świecie, drzwi i tak go nie powstrzymają, a gdyby zatrasnęły się one za moimi plecami, wyważenie ich przerastałoby moje możliwości. Przystąpiłem próg, ignorując krzyk intuicji. Wolałaby, żebym poszedł na piwo. Obiecałem, że po wszystkim ja i ona z pewnością się napijemy.

Schody zalewała ciemność. Żadnej żarówki, świecy czy pochodni osadzonej w kutyh uchwytach na ścianach. Płomyczek zapalniczki nie wystarczał, bym choćby zobaczył stopień pod swoimi stopami. Wygrzebałem z kieszeni klucze do samochodu – mała latarka w breloku dawała tylko minimalnie więcej światła, ale to zawsze coś. Tylko w filmach detektywi są dość bystrzy, by nosić przy sobie latarkę silną niczym halogen. Moja spoczywała w schowku w samochodzie.

Schodziłem ostrożnie. Stopnie były strome, o poślizgnięcie się i wywinięcie orła naprawdę nie było trudno. Po pokonaniu kilkunastu przekłębem – nie tylko dom wydawał się większy niż w rzeczywistości: te cholerne schody zdawały się prowadzić do samego piekła. Snop światła z latarki sięgał trzy, cztery stopnie do przodu, ale echo dźwięków dobiegających z dołu, zwielokrotnione przez pogłos, wydawało się bardzo odległe. Po trzydziestu, może trzydziestu pięciu schodkach coraz mniej mi to wyglądało na schodzenie do piwnicy, zwłaszcza że schodki nie były już betonowymi odlewami oklejonymi glazurą, ale wyglądały jak wyciosane w skale. Ścian nie pokrywała już biała farba – były teraz szarozółte, lekko wilgotne w dotyku i bardzo zimne. Nagle stopnie skończyły się. W ostatniej chwili zauważyłem kałużę rozlewającą się ciemną i połyskliwą plamą u podnóża schodów i przeskoczyłem ją sporym susem.

W słabym świetle nie byłem pewien, czy plama jest czarna, czy tylko tak wygląda. Dotknąłem jej powierzchni opuszkami palców i wzdrygnąłem się, czując, jak lepkie, śliskie i ciepłe jest to, co rozlewa się u moich stóp.

Wąskim snopem latarki próbowałem oświetlić pomieszczenie na tyle, by wiedzieć, gdzie iść dalej. Sufit był znacznie wyżej, niż sięgała plama światła. Po omacku odnalazłem ścianę. Chropowatość powierzchni pod opuszkami nie pozostawiała złudzeń – tu nie było żadnej piwnicy. Schody prowadziły do jakiejś jaskini i niech mnie strzegą bogowie podziemi, nie byłem w stanie stwierdzić nie tylko, czy ta jaskinia znajduje się w realnym świecie, ale też czy trafiłem do tego samego miejsca, do którego zeszły Ti i Katia.

Właśnie dlatego czasem nienawidzę magii. Jasne, z jednej strony jej istnienie mnie uspokoiło – jednak nie jesteś wariatem, Witkacy, naprawdę widzisz to, co widzisz. Z drugiej jednak nie mogę już być niczego pewny. Może drzwi na górze wyglądały całkiem normalnie, nie licząc membrany utkanej z czarnej magii, ale mogły być portalem do piekła. Znałem Różę na tyle, by założyć, że na szybkim wybieraniu w komórcę ma samego diabła i zna dyskretny skrót do jego spiżarni. Była żądna mocy i władzy, a piekło potrafiło spełnić takie pragnienia za odpowiednią cenę. Róża nie płaciła jej sama: zwierzęta – może nie tylko –

żyrowały jej pożyczki i płaciły mordercze procenty.

Zaryzykowałem.

– Katia! – krzyknąłem, nie żałując płuc.

Przez chwilę słyszałem tylko echo własnego zawołania, ale po paru sekundach odpowiedział mi kobiecy głos. Odbijał się od ściany, ale obstawiałem, że muszę skierować się w prawo. Szedłem ostrożnie, nie odrywając palców od chropowatej powierzchni. Ostatnie, czego chciałem, to chodzić tu w kółko, a snop latarki wystarczał akurat na tyle, bym widział, co mam pod stopami. Wyczułem krawędź otworu, który mógł być wejściem do tunelu. Tylko nie labirynt, pomodliłem się w duchu. To stamtąd dobiegał głos Katii.

Po kilkunastu krokach zobaczyłem światło. Powinno mnie to zmartwić, skoro szedłem tunelem, ale śmierć nie była tym, czym przesadnie bym się przejął. Martwy byłem bezużyteczny, więc bogowie zaświatów mieli swoje powody, by nie życzyć sobie mojej śmierci. Nie zdziwiłoby mnie, jeśli wypłuliby mnie za próg, gdybym się tam pojawił już całkiem martwy. Nagle usłyszałem głuchoe tąpnięcie i krzyk Ti. Przyspieszyłem.

## Rozdział XV

Wnętrze wysokiej pieczary rozjaśniały świece poustawiane na każdej płaskiej powierzchni i słup ognia strzelający wysoko ze stalowej beczki po oleju silnikowym. Gęsty smród czarnej magii mieszał się z aromatem spalanej nafty i tłustego dymu. Ta miejscówka nie miała wentylacji sprzyjającej takim zabawom. Na początku nie widziałem zbyt wiele, kłęby dymu mieszały się z ektoplazmą i tworzyły gęstą zasłonę, która otaczała Ti ciasnym kręgiem. Dopiero znak widzenia pozwolił mi zobaczyć upiory zawzięcie atakujące wiedźmę. Cięła mieczem wokół siebie, rzucała kulami energii, ale upiory wracały z zapalem akwizytorów kołder z owczej wełny. Żaden nie miał dość przyzwoitości, by krwawić. Ich widmowe ciała rozstępowały się gładko wokół ostrza, by zasklepić się w złowieszczą całość, gdy Ti przyciągała miecz do siebie. Pod naporem ich energii moja przyjaciółka cofała się. Chłód wydzielany przez upiory zamrażał jej aurę, teraz zbyt statyczną, by Ti mogła swobodnie czerpać z pokładów własnej magii. Po policzkach spływały jej strużki krwi z drobnych nacięć na czole i skroniach – upiory były na tyle niematerialne, by nie bać się miecza, lecz wystarczająco namacalne, by uszkodzić jej skórę. Paskudne połączenie, dlatego walka z ektoplazmą przerastała nawet najtwardszych. Ale jeśli były szamanami, nie musiały nawet być twarde – wystarczyło, że dysponowały magią.

Róża z bezpiecznej odległości, zza kurtyny tańczącego w beczce ognia przyglądała się tym, których przywołała. Na jej twarzy malowały się wyłącznie niezdrowa fascynacja i satysfakcja. Przebijałem się wzrokiem przez ektoplazmową mgłę i dym, szukając Katii. Leżała pod ścianą, z rozrzuconymi ramionami i krwawiącym czołem. Bezruch był dla Katii stanem tak nienaturalnym, że wściekłość rozpałała mi krew.

Niech mnie cholera, jeśli ktokolwiek będzie bezkarnie rozbijał głowy moim kobietom! I pewnie oberwałbym od Katii za to nazywanie jej w duchu „moją kobietą”, ale byłem gotów dobrowolnie poddać się jej karze, kiedy dojdzie do siebie.

Szamani mają kiepskie zastosowanie bojowe, ale potrafimy robić piekielnie dobry wywiad. Wskoczyłem między napastników, by znaleźć słaby punkt, który musiał umknąć Ti, skoro widziała tylko tyle, ile sami jej chcieli zmanifestować. Nie mogła ich zranić, bo nie byli ludźmi, nie byli też zombie, z którymi poradziłaby sobie Katia. Byli moją działką i istniała szansa, że skopię im tyłki, bo samo rozpoznanie stawiało mnie krok bliżej wygranej. Byli zbyt silni na duchy, ale na tradycyjne upiory zbyt niedookreśleni. Przy takiej dawce energii, jaką wpompowała w nich Róża, upiory byłyby niemal

doskonale materialnymi odbiciami osób, którymi niegdyś były, tyle że z nadprzyrodzonym blaskiem ektoplazmy. Ci tutaj nie mieli rysów indywidualnych i twarzy, byli płacy, jakby niedokończeni. Powołani do jednego – szarpania, warczenia, szczyrzenia zębów na Ti. Nie mieli jednak emocji, napędzała ich wściekłość Róży, nie ich własna. Schwyciłem za rękę pierwszego, który mi się nawinął, by się upewnić, że słusznie kombinuję.

Róża lubiła nie tylko stare książki i dręczenie zwierząt, ale i robótki ręczne. Patchwork potrafi być dziełem sztuki, lecz temu brakowało finezji. Mimo to jak każde dzieło odbijał duszę artysty. Było to koszarne gówno, nie sztuka, ale widząc, w jaki sposób je zrobiła, miałem pojęcie, jak je zniszczyć. Trudno zabić coś, co nie żyje, ale ektoplazmowe dziwadła nie są nietykalne. Nie dla szamana. Wyglądały imponująco, były jednak tylko podróbkami. Każdy z tych pseudoupiorów był napędzany przez kilka słabszych duchów, które w nim rezydowały. Takie stwory nie istniały w naturze, zrodziły się w chorym umyśle Róży. W teorii ona i animatorka golemów łąpały się pod ten sam paragraf, jako że obie wykroczyły poza naturalny porządek rzeczy. Tyle że dla mnie różnica była zasadnicza: Róża na pewno nie szukała miłości i towarzyszy do popołudniowych herbatek.

– Jak to cholerstwo zabić? – warknęła Ti, dostrzegając mnie między napastnikami.

– To już nie żyje. Róża to animuje – odkrzyknąłem. – Potrzebuję kilku minut.

Może nie miałem broni, ale miałem tamburyn i tonę determinacji.

Koncentrowałem się na wibracji, którą wyczułem, dotykając naczynia, zewnętrznej krawędzi patchworku. Nie mogłem ich odesłać od razu, ale zamiast kilku potężnych pseudoupiorów wolałem stado słabych duchów. Jeśli znalazłbym odpowiednią częstotliwość, stworzyłbym melodię, która byłaby niczym kontra dźwiękowa. Uderzyłem w membranę tamburynu, a w mojej głowie zrodziła się melodia, prosta i silna. Słowa zaklęcia wypływały z odmętów pamięci. W moich księgach nie było rozdziału o tym, jak stwarzać takich przystojniaków, ale kontrzaklęcie rozrywające ektoplazmowe szwy i owszem. W teorii odnosiło się do odrywania dusznych pijawek, które jak huby podczepiały się pod inne duchy i wysysały je do cna, ale mechanizm połączenia był podobny. Zaśpiewałem inkantację, uderzając w membranę. Dzwonki bransoletki brzęczały zgodnie z podzwanianiem talerzyków tamburynu. Każda kolejna nuta zagęszczała magię wkoło, aż twory Róży zaczęły się poruszać coraz wolniej i wolniej, jakby powietrze wokół nich zamieniło się w budyń. Jeden ze stworów zapulsował i rozsypał się niczym budowla z drewnianych klocków, a fala energii cisnęła mną o ścianę. Siła uderzenia wycisnęła mi z płuc całe powietrze, a ból przy oddechu sugerował, że pękło przynajmniej jedno żebro. Na chwilę umilkłem, potrząsając głową. W uszach mi dzwoniło, z nosa buchnęła krew. Nigdy nie lekceważył ambitnej kobiety, pomyślałem, zbierając się z podłogi. Tamburyn wypadł mi z dłoni i potoczył się gdzieś po dnie pieczary, ale wciąż miałem bransoletkę. Zresztą, znając już melodię, mogłem ją suce wygwizdać prosto w nos. Zagrzechotałem i zanuciłem.

Determinacja na twarzy Róży, kiedy szykowała kolejne zaklęcie, świadczyła o tym, że nie ceni wysoko zasad fair play i szans na rewanż nie rozdaje lekką ręką. Śpiewałem głośniejsze i mierzyłem się z wariatką spojrzeniem ponad kłębami jej tworów. Kiedy rozpadł się drugi z patchworkowatych upiorów, w jej dłoniach połyskiwała już niemal idealna kula energii. Jeśli rozbroję pozostałych, Ti ogarnie resztę, myślałem gorączkowo, gdy kula niemal oderwała się od rąk Róży, czerwona i pulsująca. Śmiercionośna. Róża miała swoje plany na finał, a ten zakładał, że będę martwy.

Odgłos wystrzału przetoczył się po pieczarze głuchym echem, aż zadrżały wiszące nad naszymi głowami ostre odłamki skał. Róża wyglądała na zaskoczoną, kiedy na jej piersi rozkwitł szkarłatny ślad. Szybko się otrząsnęła i ułożyła palce w znak ognia. Kolejna kula trafiła ją w czoło i zgasiła dla niej światło i magię. Jej ciała nie opuścił nawet strzęp duszy – najwidoczniej po prostu ją przehandlowała. Po co komu dusza, skoro ma szklane koraliki?

Dora schowała broń do kabury. Była niepodrabialna. Znalazła najszybsze rozwiązanie problemu, eliminując przyczynę, nie skutki. Jej efektywność czasami mnie niepokoiła. Jednak nie dziś.

– Ile można powtarzać, że ma się poddać? – spytała, wzruszając ramionami.

Spojrzeniem „który, kurwa, chce być następny?” powiodła po upiorach, ale te po utracie animatorki nie przejawiały ochoty do ataku. Rozpadały się w oczach, a uwolnione z naczyń duchy miały w sobie mniej agresji niż trzydniowe kociaki. Zbijając się w grupkę, patrzyły na nas z niepokojem, jak zakładnicy w czasie napadu na bank.

– Kto chce być odesłany? – zapytałem.

Zgłosiły się dwa, cała reszta okazała powściągliwość.

– Idźcie na górę. Kto chce być odesłany, niech poczeka, kto nie chce, niech zmyka. Tylko grzecznie, bo jeśli któryś narozrabia, znajdę go i nie będę pytał o zgodę na wykopanie tyłka do zaświatów – oświadczyłem, a one, jak stadko przedszkolaków na spacerze, w parach opuściły pieczarę. Po niedawnej agresji nie został ślad.

Musiałem przyznać, że Róża wykazała się pomysłowością. Potrzebowała rekinów, ale po co się męczyć polowaniem na rekiny, skoro można nałapać płotek i wpuścić je do naczynia, które wygląda jak rekin, kłapie zębiskami jak rekin i atakuje jak rekin?

Teraz większość z nich koncentrowała się na tym, by jak najszybciej wrócić na swoje terytoria. Pewnie marzyły o wyparciu wszystkiego, co widziały i przeżyły w ostatnich dniach. Wyszły z przygody cało, ale wciąż nie były bezpieczne. Nie mnie bały się najbardziej – ja mogłem je odesłać. Inne, silniejsze duchy mogły jednak wyssać je przez słomkę i ostatecznie unicestwić. W świetle zaświatowego prawa przebywały na cudzym terytorium nielegalnie. Róża, na którą mogły zwałać winę, właśnie przestała istnieć.

Miały niewiele czasu. Zakłęcie Róży i czarna spirala przyciągnęły je z różnych miejsc, różnych ulic i dzielnic. W każdej chwili mógł się pojawić prawowity gospodarz okolicy, który pozostawał przyczajony, tylko dopóki zagrażała mu Róża. Jeśli chciały się cieszyć względną swobodą, jaką gwarantował im obecny stan, musiały jak najszybciej przedostać się wzdłuż magicznych linii do miejsc, w których będą bezpieczne.

Dora podeszła do Róży, upewniając się, że tamta nie żyje. Normalnie byłby to nadmiar paranoi, ale nie w przypadku wiedźmy władającej czarną magią, dość sprytnej, by przed całym światem uchodzić za nieszkodliwe i mało uzdolnione medium. Zostawiłem Ti martwienie się o wszelkie środki ostrożności, jakie należało podjąć, z dekapitacją i spopieleniem włącznie.

Pochyliłem się nad Katią i delikatnie obmacałem tył jej głowy.

– Róża cisnęła w nią jakimś zaklęciem – wyjaśniła Ti. Wciąż buzowała złością. Wkrótce w naszym świecie synonimem głupca będzie ten, kto podniósł rękę na przyjaciół Dory Wilk. Przerazające, że gdy wykańczała jednego śmiałka, następny już stał w kolejce.

– Rozbiła jej też głowę o ścianę – powiedziałem, wymacując spory guz między ciemnymi lokami. Czaszka wydawała się jednak cała. Przekląłem, czując pod palcami wilgoć. Rozbita głowa i guz to za mało, by unieszkodliwić na tak długo nekromantkę. Katia mogła wyglądać jak delikatna panienka, ale przy niej to ja byłem kociakiem.

Użyłem znaku widzenia. Żółtawa plama na czole Katii nie wyglądała zdrowo. Zaciekała na skronie, śliska i zimna w dotyku. Nasączyłem chusteczkę wodą święconą i przetarłem skórę. Żółć zaczęła musować, jak woda utleniona w kontakcie z raną. Potarłem raz jeszcze i nie został po niej nawet ślad. Chusteczka wyglądała, jakbym zanurzył ją w oleju silnikowym.

– Lepiej, żeby była czysta... – szepnęła Katia, poruszając głową. Jej rzęsy załopotwały jak skrzydła motyla.

– Wiesz, że smarkam w rękaw, bo mi szkoda chusteczek. – Uśmiechnąłem się. Kolory szybko wracały jej na twarz. Porcelanowa laleczka nabierała ognia.

– Chciałabym wierzyć, że żartujesz... – Jęknęła, próbując wstać.

– Wiesz, że możesz mieć wstrząśnienie mózgu? Zemdląłeś na kilka minut – powiedziałem ostrożnie.



Zmierzyła mnie chłodnym spojrzeniem.

– Nie zemdlałam. Byłam ogłuszona zaklęciem, a to różnica. Nic mi nie jest – dodała. – Kilka siniaków, nie ma tragedii. Jeśli jednak wciąż będziesz marudził, może do niej dojść.

Pomogłem jej wstać i przytrzymałem, póki nie stanęła pewnie na nogach.

– Nienawidzę rzeczy, których nie można zabić – mruknęła Dora, omijając kałuże przypominające namoczone płyty żelatyny. Ektoplazma jest mało widowiskowa.

– Po to masz mnie. – Uśmiechnąłem się.

Z większością żywych i możliwych do zabicia istot, z którymi ona sobie radzi, ja przegrałbym z kretesem. Całkiem miłe są te momenty, kiedy byłem w stanie sprostać czemuś, czego ona nie potrafiła pokonać.

– Na przyszłość musimy opracować kilka szybszych metod. Myślałeś o noszeniu dyktafonu z nagraniami melodyjek? – spytała Dora ze swoim charakterystycznym uśmiechem.

Mogłem jej wyjaśnić, dlaczego to niemożliwe i dlaczego każdy duch miał swoją melodię, ale w sumie to nie był zły pomysł. Nie mogłem stworzyć uniwersalnej melodii odesłania, ale niech mnie, jeśli nie dałoby się skomponować melodii uspokajającej dla duchów – takiego głupiego jasia w nutach.

Upewniwszy się, że Katia i ja jesteśmy cali, Ti zajęła się oględzinami pieczary. Stała nieruchomo, z zamkniętymi oczami, skoncentrowana. Domyśliłem się, co robi. Widziałem to, jeszcze kiedy pracowała w policji i kiedy nie miałem pojęcia, kim jestem. Zbierała ślady, strzępy minionych emocji, które często gromadziły się na miejscu zbrodni. Patrzyłem, jak krew odpływa jej z twarzy. Mięsień na policzku drgał, kiedy zaciskała zęby.

Coś jeszcze kryło się w tych podziemiach. Albo Róża miała na koncie więcej, niż wiedziałem. Nie chciałem dokarmiać koszmarów szczegółami, po wyjściu stąd zamierzałem spróbować o wszystkim zapomnieć. To tylko praca. Ale dla Ti to było powołanie. Dla niej zabicie Róży niczego nie kończyło – musiała tu jeszcze posprzątać, upewnić się, że jej miasto będzie całkowicie bezpieczne. Nie chciałem jej zostawiać samej z brudnymi sekretami Róży, ale jakaś część mnie pragnęła czym prędzej opuścić te podziemia. Z Katią u boku.

Akurat w chwili, gdy o tym myślałem, nekromantka ścisnęła moją dłoń. Iskra jej magii przeskoczyła po skórze.

– Spójrz – szepnęła.

I widziałem. Martwe rzeczy połyskiwały niczym upiorne świetliki z Doliny Śmierci. Podeszedłem do ściany roztaczającej łunę fioletu. Rozebrałem murek z płaskich, luźno ułożonych odłamków skał. Wnęka w ścianie miała około metra głębokości i prawie dwa metry długości. Spoczywały w niej czyjeś szczątki: gładka czaszka z kosmykiem włosów na potylicy, długie i popękane wzdłuż kości udowe. Przy świetle świecy badałem resztę ściany. To było coś więcej niż kaplica – to były katakumby.

Ti podeszła i przez chwilę w milczeniu przyglądała się kościom.

– Nienawidzę zjawiać się na miejscu po fackie, gdy dla ofiar jest już za późno – powiedziała, czytając mi w myślach.

– Taka jest nasza rola. Łapiemy sprawców, czyli tych, którzy już popełnili zbrodnię. Oddajemy sprawiedliwość ofiarom, które same o nią nie zawalczą, bo nie mogą.

To były banały, ale takie banały pozwalały nam wstawać rano z łóżek i iść do pracy, w której stykaliśmy się z dużym i małym złem.

– Czy to naprawdę ma dla nich jeszcze znaczenie? Po śmierci? – zapytała Dora.

Jej głos był ochrypły, jakby coś ścisnęło ją w gardle. Anita Czarny zwykła mówić, że właśnie ta chryпка jest głównym przekleństwem policjantów. To właśnie ją próbują spłukać alkoholem. Aż przestają czuć cokolwiek. Z chrypką włącznie.

Chciałbym sprawić, by zniknął ten zimny cień z oczu Dory, ale każdy z nas ma swoje demony. Nie znałem odpowiedzi na wiele pytań, ale to akurat było z mojego podwórka.



– Brak sprawiedliwości zaprzęta ich głowę bardziej niż brak ciała, wierz mi. Mało który przychodzi narzekać na to, że nie żyje, za to co drugi chce powiedzieć, kto mu to zrobił. Zostają po nas pierwotne emocje: jeśli kogoś kochaliśmy, pragniemy mu to raz jeszcze powiedzieć, a jeśli kogoś nienawidzimy za to, że wszystko nam zabrał, chcemy, żeby jego dupa smażyła się w piekle.

– A my mścimy się za zmarłych.

Błysnęła tym niepokojącym uśmiechem, mogącym sugerować lekką niepoczytalność.

– Dokładnie. Gdybyś pojawiła się na progu Róży kilka miesięcy temu, nic byś nie wskórała. Nie było spirali, błakających się duchów i bebeszastych. Wszystko, co robiła, było ukryte głęboko pod ziemią. Nie miałaś podstaw do przeszukania, nie miałaś dowodów zbrodni. To nie „Raport mniejszości”, nie można kogoś osądzić i osadzić za fantazjowanie o morderstwie czy dysponowanie umiejętnościami pozwalającymi odbierać życie – pocieszałem ją w ten sam sposób, w jaki pocieszałem siebie w chwilach zwątpienia.

– Bogini, jak dużo słów! Witkacy, zbierałaś je na specjalną okazję? – Uśmiechnęła się, a jej spojrzenie stało się odrobinę cieplejsze.

– Specjalnie dla ciebie. Teraz wrócę do pomrukiwania i wzruszania ramionami.

Objęła mnie ciasno. Może i odeszła z policji, ale partnerstwo nie kończy się wraz z wygaśnięciem etatu jednego z nas. Przytuliła też Katię i szepnęła jej coś do ucha. Gdy nekromantka uspokajająco pokiwała głową, byłem niemal pewny, czego dotyczyło to porozumienie.

– Zajmiesz się tymi na górze? – zapytała Dora. – Muszę zgłosić to, co tu znalazłam, posprzątać wszystko, co nie powinno trafić w niepowołane ręce, i nadzorować przewiezienie ciała Róży do Thornu.

– Dopilnuj, żeby ją spalono, zanim wpadnie na pomysł powrotu jako zombie czy upiór.

– Mogłaby to zrobić? – Dora zmarszczyła czoło, patrząc na rozbryźnięty na ścianie mózg wiedźmy.

– Wymieszaj popioły z solą i wsyp do miedzianej urny. Władała kawałkiem naprawdę paskudnej magii, więc zachowaj wszelkie środki ostrożności. Poza tym pamiętaj, że tu jest więcej ofiar – dodałem.

Ti zacisnęła zęby.

– Znajdę ich wszystkich i pochowamy ich z szacunkiem. Masz moje słowo.

Nie chciałem zostawiać jej tu samej – z trupem wiedźmy i bogowie wiedzą iloma trupami poukrywanymi w ciemnych korytarzach. Domyśliła się, skąd moje wahanie.

– Miron i Joshua są w drodze, nie zdążyłam ich zabrać z Thornu. Przyjechałam prosto tutaj, gdy Katia w panice zadzwoniła, mówiąc, że padłeś trupem i nie oddychasz.

I tak piłeczka troski znów była na moim boisku. Patrzyła na mnie tym spojrzeniem, jakim matki prześwietlają nastoletnich synów podejrzewanych o pokątne spożycie alkoholu.

– Plotki o mojej śmierci były nieco przesadzone – powiedziałem z uśmiechem.

Dała spokój, choć zawisło między nami niewypowiedziane „jeszcze o tym porozmawiamy”. Przytaknąłem. Jako moja mentorka powinna otrzymać mój raport, choć oboje wiedzieliśmy, że nie nastąpi to dziś. Byliśmy zbyt zmęczeni, by przejmować się przepisami. Chciałem tylko zabrać stąd Katię i upewnić się, że naprawdę jest cała. Reszta mogła poczekać do jutra.



Katia stała przed klatkami z upiorną zawartością. Miała wilgotne oczy, krew odpłynęła jej z policzków.

– Tyle bólu, tyle śmierci, bo babsko chciało wyeliminować konkurencję... – szepnęła.

– Nigdy z nią nie rywalizowałem. Nie prosiłem się też o geny szamana – powiedziałem.

– Dla niej to nie miało znaczenia. Przecież nie przyszłyśmy tu z Dorą, żeby ją zabić, próbowaliśmy rozmawiać, ale nie była w nastroju. Nasłala na nas zombie i uciekła do piwnicy...

– To ta galareta na podwórku i przy schodach? – domyśliłem się.

– Nie miałam czasu odbierać im iskry i kłaść spać na cmentarzu. Po prostu oddałam ich ciała ziemi tam, gdzie stali. – Wzruszyła ramionami. – Pójdę po Buffy. Pomożesz mi je zakopać? Nie chcę, żeby ekipa przysłana przez Starszyznę wyrzuciła je na śmieci. Zasłużyły na szacunek i pogrzeb.

Przytaknąłem. Wolałbym nie musieć otwierać klatek i dotykać trupów, ale wtedy Katia zrobiłaby to sama. I przeżyłaby każdą sekundę. Większość nekromantów pozbywała się sentymentów i śmierć przestawała ich wzruszać. Jednak Katia pielęgnowała w sobie wrażliwość. To ją różniło od nekromantów przeżartych trupią gorączką – a także fakt, że nazwała swój szpadel Buffy. Miało to więcej sensu, niż pierwotnie myślałem. Kiedyś mi wyjaśniła, skąd takie imię dla jej podstawowego narzędzia pracy. Skoro Buffy Pogromczyni Wampirów mogła zachować swoją osobowość i dziewczęcy styl, kopiąc wampirze tyłki, ona mogła być sobą, kopiąc groby. Oglądanie Buffy za czasów nastoletnich pozwoliło jej zbudować własny wizerunek nekromantki. Do dziś regularnie robiła sobie powtórki wszystkich sezonów i miała podejrzenie dużo sentymentu do Spike'a, co na szczęście nie przenosiło się na jej sympatię dla Romana i jego świty.

W szafie na korytarzu znalazłem stertę bielizny pościelowej, ręczników i koców. Rozłożyłem największy na podłodze, a następnie kolejno umieszczałem na nim ciała i owijałem w białe, wykrochmalone kawałki płótna. Makabryczny stos tobołków rósł – w sumie naliczyłem ponad czterdzieści. Zawinałem rogi koca, a potem poszedłem do łazienki, gdzie dokładnie umyłem ręce, wymiotowałem wszystko, co miałem w żołądku, i znów umyłem ręce.

Katia zjawiała się, kiedy już doprowadziłem się do porządku. Chciałem udawać twardszego, niż byłem, choćby po to, by miała poczucie, że przy mnie może sobie pozwolić na słabość.

Grób, który wykopała w rogu podwórka, u stóp starego klonu, był głęboki na metr dwadzieścia i szeroki na dwa metry.

– Magia nekromanty, ziemia mnie słucha i kopię szybciej. Każdego dnia żałuję, że nie przypadł mi w genach jakiś weselszy kawałek magii – stwierdziła przybita.

– Tacy jak my też są potrzebni. Dora nie ze wszystkim sobie poradzi – odparłem i uśmiechnąłem się, widząc, że jej spojrzenie nieco się rozjaśniło.

Przez kilka minut pracowaliśmy w posępnej ciszy, układając tobołki na dnie grobu. Katia wyprostowała się, podpierając o trzonek Buffy.

– Wciąż nie rozumiem, jak Róża mogła ukrywać to wszystko przed Starszyzną. Tyle czarnej magii nie skumulowało się w trzy dni, ani nawet w kilkanaście miesięcy, a przecież wcześniej nikt o tobie nie wiedział!

Też o tym myślałem i nie miałem złudzeń.

– Byłem tylko pretekstem. Frustracja była starsza. Róża musiała planować to od lat. Praktykowała czarną magię, bo chciała mocy, której poskapiły jej geny. Siedziała w realnym mieście, odstawiała tą swoją paczulowo-newage'ową wersję nieszkodliwej wariatki... Kto by się nią przejmował? Uspiała czujność Starszyny. Wychyliła głowę, dopiero gdy uznała, że ma już dość siły.

Katia przytaknęła.

– Gdy kopałam grób dla zwierząt, wyczułam co najmniej trzy ludzkie ciała w okolicy. Stare, ale nie starsze niż dziesięć lat – wyznała.

– Ale w domu nie ma ludzkich ciał?

Z zewnątrz dom wyglądał tak niewinnie. Co jeszcze kryło się za jego progiem? Czy chciałem to wiedzieć? Jak właściwie powiększa się wielokrotnie wnętrze domu? Czy jest jakaś neutralna światopoglądowo wersja rytuału nadająca się do powiększenia kawalerki?

– Wyczułam tylko te z podziemi. Ale zombie były świeże, nawet dnia nie leżały w poświęconej ziemi. Nie zostało z nich wystarczająco wiele, żeby pozyskać ich tożsamość.

Przekląłem. Ktoś gdzieś czeka na powrót ojca czy męża, który obecnie jest kałużą żelatyny na

podwórku Róży.

– Sprawdzę listy zaginionych i przyniosę ci zdjęcia. Może uda nam się ich zidentyfikować.

Przytaknęła.

Ułożyłem w grobie ostatnie tobołki i Katia w milczeniu zasypała dół. Kiedy wyrósł przed nami niewielki kopczyk świeżej ziemi, raz jeszcze zmówiłem modlitwę za zmarłych – dla niektórych świętokradczą, ale jeśli ktoś na tym świecie zasłużył na spokój, to właśnie te umęczone zwierzęta, które wykorzystano w najbardziej okrutny sposób.

Następnie odesłałem dwa duchy, które czekały przed domem. Wyglądały na zmęczone i przerażone tym, co widziały u Róży, i wizja spokoju w zaświatach naprawdę przypadła im do gustu. Podały mi grzecznie swoje imiona i nazwiska, więc nie musiałem się nawet zbliżyć do bramy – po prostu ją uchyliłem, a eter przywołał tych, których uwzględniłem w zaklęciu.

Na ulicy nie było śladu po bebeszastych czy po mrocznej spirali. Wszystko, co Róża ożywiała własną magią, odeszło wraz z nią. Podniosłem puszkę wypełnioną grochem. Bulwa od lat żył na ulicy, poradzi sobie, uspokajałem sumienie, ale martwiłem się o starego pijusa, który widział więcej, niż mogło mu to wyjść na zdrowie.

– Po prostu odszedł, kiedy pojawiła się Dora – szepnęła Katia za moimi plecami. – Powiedział, że już go nie potrzebuję.

– Miał dziś swoją wielką chwilę. Jutro znów będzie bardziej szalony niż Kapelusznik, ale dziś był rycerzem, który bronił księżniczki.

Jak mało kto rozumiałem, że czasem myśl o księżniczce pozwala odpędzić koszmary. Może się jeszcze spotkamy z Bulwą, może nie wszystko było stracone, ale na to akurat nie miałem żadnego wpływu.

Na chodniku kilka metrów od nas zatrzymał się szkolny bus pomalowany na zielono, żółto i błękitno, z logo szkoły na masce. Wsiadający z niego anioł i diabeł w niczym nie przypominali gangu Scooby Doo, ale byli wsparciem, którego Dora potrzebowała.

Przekazałem im podstawowe informacje i patrzyłem, jak znikają w domu rodem z koszmarów. Gdyby to ode mnie zależało, spaliłbym budę do fundamentów. Niewykluczone, że Dora dojdzie do tych samych wniosków, a obecność jej pyra będzie miłym zbiegiem okoliczności.

– Mam dość na dziś – szepnęła Katia.

Objąłem ją ramieniem i zaprowadziłem do samochodu. Może i twierdziła, że czuje się świetnie, ale pamiętałem, że solidnie przydzwoniła głową w ścianę, i wolałem nie spuszczać jej z oka przez jakiś czas. Dobę, może dwie.

– Film i pizza? – zapytałem.

– Tylko jeśli do zestawu dorzucisz ciemne piwo i lody. – Uśmiechnęła się, opierając głowę o sterane siedzenie jeepa. Musiała być bardzo zmęczona, bo nawet się nie zająknęła o sprężynach przepychających się przez kraciasty koc i wpijających w jej pośladki.

## Rozdział XVI

Kiedy skręciłem w Balonową, z niepokojem rozejrzałem się po parkingu. Wydawało się, że po śmierci Róży i wygaśnięciu spirali bebeszaści byli wspomnieniem, ale jakiś wciąż mógł się plątać w okolicy. W świetle latarni dwa psy goniły się między metalowymi słupkami oddzielającymi parking od wąskiego chodnika. W ciszy rozbrzmiewały tylko odgłosy trącanych biało-czerwonych łańcuchów rozciągniętych między słupkami i dziarskie psie posapywanie. Przyjemne, żywe odgłosy. Nic martwego, żadnych ektoplazmowych dziwadeł w zasięgu wzroku. I dobrze, bo nie miałem sił na drugą rundę. Westchnąłem

z ulgą i przez chwilę opierałem się o kierownicę. Dzięki ci, losie, za te drobne wyrazy sympatii.

Wytoczyłem się z auta i okrążyłem je, by otworzyć drzwi Katii. Zwykle mogłaby mi dać po łapach za nadmiar dobrych manier, ale dziś wyglądała na kogoś, komu się przyda pomocna dłoń przy wysiadaniu z samochodu z wysokim zawieszeniem. Zsunęła się z siedzenia prosto w moje ramiona.

– Przepraszam – szepnęła – chyba mi zdrętwiała ta część mózgu, która odpowiada za bycie przytomną.

– Albo dostałaś po głowie bardziej, niż chcesz przyznać.

Przyglądałem jej się, szukając objawów wstrząśnienia mózgu. Źrenice miała równej wielkości, choć rozszerzone, tak że zlewały się z ciemnymi tęczęwkami. Miała to rozkojarzone spojrzenie kogoś obudzonego w środku nocy. Zinterpretowała moją minę zbyt szybko.

– Za dużo ratownika medycznego, za mało romantyzmu – powiedziała, uśmiechając się blado. Odepchnęła się od mojej klatki piersiowej. Chwiała się, ale stała samodzielnie. Jej sarkazm miał najwyraźniej osobne źródło zasilania, bo stwierdziła: – Winię za to sprzężyny w twoim aucie. Musiały ugniatać jakiś witalny punkt.

– Na twoim tyłku?

A niech mnie, ale zerknąłem. Gdyby mi pozwoliła, pewnie sprawdziłbym go dokładniejszym przeszukaniem. Zauważyła, że się gapię, i uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Nigdy nie wiadomo, gdzie się taki punkt ulokuje. Wędrują, żeby trenerzy krav magi nie mogli nauczyć swoich uczniów, jak w nie trafić i znokautować na amen – powiedziała całkiem poważnym tonem.

Parsknąłem. Była z siebie nad wyraz zadowolona.

Na schodach wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do pizzerii.

– Piwo i czekolada się znajdują? – zapytała z nadzieją.

– Tylko jeśli je tu wcześniej zostawiłaś.

– Jakbym kiedykolwiek zostawiała je bez opieki na dłużej – westchnęła. – Na początek wystarczy pizza. Noc wciąż młoda.

Obmacałem kieszenie, szukając kluczy. Spodnie, kurtkę, nawet kieszonkę na piersi. Nie było ich, po prostu zniknęły. Oparłem się czołem o drewniane drzwi, które dzieliły moje kości od fotela i herbaty.

Katia przez chwilę przyglądała mi się z lekką rezygnacją, a potem sięgnęła do torby. Wciąż miała swój komplet, który wcisnąłem jej jakoś na początku związku pod pretekstem potencjalnej konieczności podlewania potencjalnych roślin podczas mojego, a jakże, potencjalnego wyjazdu na delegację. Dla mnie był to krok w stronę poważnego związku, na który zasługiwała. Już wtedy wiedziałem, że nie oddam jej serca – nie w pełni – więc oddałem jej klucze. Przyjęła je z oporami. Możliwe, że wyczuła, jak się sprawy mają. A może już wtedy wiedziała, że zasługuje na kogoś lepszego. Nigdy nie użyła tych kluczy. Do dziś. Próbowwała przekreślić klucz w zamku, ale nawet nie drgnął. Zmarszczyła czoło.

– Zmieniłeś zamki? – zapytała.

Cień nieprzyjemnych podejrzeń wypłynął w tej samej sekundzie, w której uświadomiłem sobie, kto i kiedy mógł mi ukraść klucze. Nacisnąłem klamkę.

Stałem w progu, wpatrując się we włochaty tyłek mojego opiekuńczego ducha, który bzykał jakąś laską z burzą blond włosów rozrzuconych na poduszce. Na moim łóżku. W mojej pościeli.

Czekała nas, mnie i sępa, poważna rozmowa o granicach. Może nawet poproszę Ti o wsparcie. Potrafiła jednym spojrzeniem uświadomić całemu komisariatowi facetów, że opuszczona kłapa jest stanem, którego wszyscy w równej mierze pragniemy i do którego z własnej woli dążymy, więc może poradzi sobie i z sępem. Może. O ile sęp przeżyje to, że będzie próbował ją przelecieć – bo że będzie próbował, nie miałem wątpliwości. Jest za głupi, by tego nie zrobić. Westchnąłem ciężko. Sęp nie zareagował, ale dziewczyna uniosła głowę z poduszki i spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

– Do jutra masz zniknąć. Przed wyjściem upierz pościel – powiedziałem głośno. Sęp wciąż nie poświęcił mi cienia uwagi, ale dziewczyna energicznie kiwnęła głową. Przynajmniej miałem nadzieję, że ten gest był przeznaczony dla mnie, nie dla jej lubego jako znak, że jest na dobrej drodze i ma nie

przestawać.

Wzruszyłem ramionami i zamknąłem drzwi. Może i mnie uratował. Może był chuj wie jakim stworzeniem, które przestraszyło nawet Przedwiecznych w bezpośrednim kontakcie, ale to, do cholery, było moje łóżko, moje mieszkanie, moje życie! A on uczynił je źródłem zażenowania i wkurwienia.

– Kto to był? – zapytała Katia.

Jej twarz wyrażała wszystko – od szoku po zbyt wysoki poziom admiracji dla tego tyłka, którego nigdy nie powinna była zobaczyć.

– Jedziemy do ciebie. A po drodze kupimy coś więcej niż piwo.

– Dzwonimy do pizzerii, żeby zmienili adres dostawy? – zapytała i sama sobie odpowiedziała: – Ona może być głodna po wszystkim.

Tylko tyle. Już schodziła po schodach i prowadziła mnie do swojego autka. Kiedy moje życie zmieniło się tak bardzo, że moja była dziewczyna martwi się o żołądek panienki, z którą w moim łóżku bzyka się mój opiekuńczy duch? Nie chciałem wiedzieć. I szczerze? Chętnie jechałbym jeepem na siedzeniu pasażera, mając nadzieję, że sprężyna trafi mnie w ten punkt pozbawiający przytomności. W poprzednim wcieleniu musiałem być niezłym skurczybykiem albo przespać się z żoną mściwego bóstwa.



Dom Katii mieścił się na Wrzosach, w miłej i spokojnej okolicy. Kupiła rozpadającą się altankę działkową, rozbudowała ją i wyremontowała, a przede wszystkim sprawiła, że lokum stało się domem, nie tylko miejscem do spania i jedzenia (a i to nie zawsze). Coś, czego nigdy nie osiągnę w swoim mieszkaniu.

Kolory ścian, mebli i tkanin były w stylu Katii i właśnie z nią mi się kojarzyły – z dominującymi żółtym, pomarańczowym i czerwonym kontrastowały plamy śliwkowego fioletu i szmaragdowej zieleni. Odcienie były żywe, intensywne, nieco szalone, ale doskonale ze sobą współgrające i eleganckie, lecz nie na tyle, bym zdejmując buty, czuł się onieśmielony moimi frotowymi skarpetami.

Lubiłem spędzać u niej czas, zakopany w poduszkach, leżąc na kanapie na wprost telewizora. Nie wiem, jak to działa, ale czułem się u niej bezpieczniej niż gdziekolwiek. Chyba po prostu trudno mi przychodziło wyobrażenie sobie, by jakiegokolwiek potwory były na tyle głupie, by wbijać jej się na chatę i ryzykować uszkodzenie jednej z setki poduszek. Może w ramach ugody po rozstaniu dałbym radę ugrać prawo do widzeń...? Jeden weekend w miesiącu na tej kanapie?

Pizza dojechała wkrótce po nas. Jedliśmy, popijając ulubionym porterem Katii, i przez chwilę po prostu przeżuwaliliśmy, zbyt głodni i zmęczeni, by zmuszać się do rozmowy. Został ostatni kawałek i Katia spojrzała na mnie z tą psotną miną, którą doskonale znałem. Wykonałem gest oznaczający, że więcej już nie zmieszczę. Naprawdę miałem dość, a Katia rzadko mogła o sobie powiedzieć to samo.

– Niezły wieczór, nie? – zapytała, opadając na poduszki, którymi się obłożyłem. Może nie powinienem się z nimi rozstawać?

Ciepły i seksowny zapach jej perfum był niczym miłe wspomnienie intymności, którą dzieliliśmy.

– O co wam właściwie poszło? Tobie i Róży? Nie zrozum mnie źle, potrafisz wkurzać, ale żeby sięgać po czarną magię?

Jęknąłem i oparłem potylicę na miękkim zagłótku. Moja urocza gospodyni przysunęła stopą puf na kółkach, tak że znalazł się w zasięgu moich nóg. Spoglądała na mnie z tym filuterno-ciekawskim wyrazem twarzy. A skoro w tej rozgrywce stała u mego boku, miała prawo wiedzieć. Oparłem pięty na pufie. Katia nazywała to trybem kozetkowym. Czas na zwierzenia.

– Wiesz, na czym polegał biznes Róży? – zacząłem niechętnie.

– Była medium, tak słyszałam.

– Taaa, to jakaś wersja prawdy. Róża widziała duchy mniej więcej tak jak ty, po użyciu znaku widzenia czy esencji grobowej. Tyle że ich nie słyszała.

– Więc jak przekazywała bliskim „ostatnie słowa” ducha, skoro ich nie słyszała?

W odpowiedzi znacząco uniosłem brwi.

– A... czyli to był przekręt?

– Nie inaczej. Rodzina wzywała ją po śmierci bliskiej osoby. Czasami bliscy wyczuwali obecność ducha, czasami popychała ich do tego żałoba. Róża robiła seanse i nawijała im to, co chcieli usłyszeć. Oczywiście nie za darmo. Seanse były króciutkie, bo jej trzecie oko się męczyło, więc organizowano kolejne.

– Taki przekręt wymagał sporo odwagi! Oszukiwała ludzi, którzy znali się na magii – zauważyła Katia.

– Tak i nie. Kontakt z duchami nie jest popularną umiejętnością, łatwiej spotkać kogoś, kto cię podpali spojrzeniem, niż faktycznie pogada za ciebie z twoim dziadkiem.

– Rozumiem, że samo pojawienie się szamana w mieście było zagrożeniem dla jej interesów, ale przecież nie dałeś ogłoszenia w gazecie, nie?

– Gorzej. Któregoś dnia pojawiłem się na jednym z jej seansów i przekazałem bliskim zmarłego wszystko, co duch miał im do powiedzenia.

– Nie było to pozytywne przesłanie o świetle i tym, że Pan na nas czeka, by do piersi przytulić? – spytała, całkiem nieźle naśladowując emfaticzny sposób mówienia Róży.

– Oj, dziadunio miał sporo do powiedzenia, ale o świetle akurat niewiele. Głównie chodziło mu o to, że jego bliscy będą idiotami, jeśli zapłacą tej zachłannej babie choćby złotówkę. I że jeśli spróbują go trzymać z dala od domu, to przekonają się, że nie jest jakimś miłym duszkiem z kreskówki. Żeby moje słowa zyskały wiarygodność, dorzucił kilka wspomnień, których nie miałem prawa znać. Zrobiło to większe wrażenie niż: „Papa was bardzo kochał, cieszy się, że jesteście zdrowi i wciąż o nim pamiętacie. Prosi, żebyście karmili jego papugę i pomogli mu odejść. Za odpowiednią opłatą mogę mu to ułatwić, przeprowadzając rytuał przejścia”.

– Myślisz, że potrafiła uchylać bramę?

– A skąd. Nie odsyłała duchów, po prostu nakładała na dom zaklęcie ochronne.

– Ale jeśli duch nie był odesłany i nie mógł przebywać w domu...

– Tułał się. Rozwścieczając Radę, naruszając podział terytorialny, słabnąc.

– To okrutne... Odesłanie ducha daje mu nadzieję na życie w zaświatach.

– Rodzina za to właśnie płaciła. Ale Róża szła na skróty. Wyrzucone z domu duchy były młode, nie miały za wiele skumulowanej energii, tułaczka i brak powiązania z przestrzenią zwykle prowadziły je do obłędu. Ulice Thornu wypełniały całe stada stukniętych duchów. Zwykle nie stanowiły zagrożenia, ale jak wspomniałaś, to okrucieństwo.

– I pojawiłeś się ty?

– A gdzie tam. To one mnie znalazły. Duchy z Rady i dziadunio, który się do nich udał na skargę. Jego rodzina miała mnóstwo pieniędzy, więc Róża zorganizowała już kilkanaście seansów i przed „odesłaniem” planowała jeszcze drugie tyle, bo dziadunio był rzekomo bardzo rozmowny. Doszło do tego, że zdobyła jego pamiętniki, wydane zresztą na początku lat dziewięćdziesiątych. Uczyła się fragmentów i „przekazywała wiedzę wnukom”, które tylko kiwały głowami, bo dziadunio owszem, był w Szarych Szeregach i faktycznie miał problem z biodrem po upadku z konia. Przedłużała kontakt tak długo, że duch dziadka zorientował się, w czym rzecz, i postanowił szukać pomocy. Róża co jakiś czas wspominała o „odesłaniu”, a dziadunio nie zamierzał się nigdzie wybierać. Lubił swój dom, nikomu w nim nie wadził, nie był poltergeistem, więc dlaczego miałby opuszczać rezydencję, którą sobie zbudował?

– Trudno odmówić dziadkowi racji.

– Poza tym to przedwojenny, zasadniczy typ, bardzo opiekuńczy i skąpy. Nie podobało mu się, że ktoś naciąga jego rodzinę.

– Znów doskonale rozumiem dziadka. Pojawiłeś się u nich w domu i zdemaskowałeś jej przekręt?

– Dokładnie. Chciałem, żeby duchy dały mi spokój. Dziadunio przez kilka dni wisiał mi nad głową. Radni zgadzali się z nim, że jako szaman mam obowiązki wobec świata duchowego. Mnie nie pytali o zdanie. Trudno przesłuchiwać podejrzanego i udawać normalnego człowieka, gdy dwa duchy nie zamykają jadaczek i przenikają przez ciebie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Jak przyjęła to Róża?

– Och, wściekła się. Rodzina dziadka zareagowała ostrzej. Zagrozili jej procesem, jeśli nie odda im każdej złotówki. A potem opowiedzieli o oszustwie każdemu, kogo spotkali na ulicy. Plotka się rozeszła i podobno biznes zaczął podupadać.

– Nic tak nie szkodzi niektórym biznesom jak transparentność zasad – podsumowała Katia.

Przypomniałem sobie szczegóły starcia: ja kontra łopocząca tiulem i aksamitem pulchna kobieta cuchnąca paczulą. Wysokim głosem wykrzykiwała obelgi pod moim adresem, a ja czułem się trochę jak drań, bo była starszą panią. Wszedłem, nie przejmując się jej groźbami. Duch dziadunia został w rezydencji i cieszyłem się na myśl, że może wreszcie się wyśpię, bo nie będzie mi się wydierał do ucha. Różę zlekceważyłem. I, niestety, nie ja jeden. Może właśnie lekceważenie było kroplą, która przelała czarę goryczy i pchnęła ją na złą drogę?

– Nie spodziewałem się tego po niej. Wiedziałem, że jestem jej solą w oku, ale skala mojej przewiny i jej reakcji są niewspółmierne... – powiedziałem z wyrzutem.

– Dostała to, na co zasłużyła, Witkacy. Gdyby nie wasz spór, może wciąż byśmy nie wiedzieli, co kombinuje. Nie była nawet blisko zaplanowanego finału. Jak myślisz, po co potrzebowała tyle energii i duchów? Po co je gromadziła? I czemu twoja sygnatura była wpleciona w zaklęcie?

– Musiała się dowiedzieć, że mam na pieńku z Przedwiecznymi. Nie rozumiała, że gdyby mnie dopadli, i tak bym wrócił.

– Ale może nie byłoby cię wystarczająco długo?

Nie wykluczałem tego. Nie mieliśmy pewności, co właściwie szykowała.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz iść jej śladem – rzuciła lekko Katia, spoglądając na mnie spod grubych, ciemnych rzęs. Widząc moje zaskoczenie, prychnęła. – Chyba nie myślisz, że nie wyczułabym tego, co masz w plecaku. Emanuje magią, którą znam. I to nie jest twoja magia.

Westchnąłem. Ukrywanie czegoś przed zwykłą kobietą jest wyzwaniem. Przed kobietą o tak wyczulonych zmysłach... taaa, po co się w ogóle wysilam? Sięgnąłem po plecak i wyciągnąłem z niego dwa tomy: grimuar Róży i stare wydanie pograniczników. Różniło się od mojego w dość istotny sposób, jako że moje ocenzurowano, usuwając wszystko to, co było pokłosiem czarnej magii. W moim nie było bebeszastych, tu poświęcono im dwie i pół strony. Dość konkretna różnica. A różnice tego typu w praktyce mogą się sprowadzać do różnicy między życiem i śmiercią.

– Nie zamierzam używać czarnej magii, ale chcę wiedzieć, co spotykam na swojej ścieżce – wyjaśniłem.

Katia przez chwilę po prostu na mnie patrzyła.

– Witkacy, znam cię – uśmiechnęła się w końcu – nie złożyłbyś ofiary z własnych paznokci, bo nie chciałoby ci się ich zebrać po obcięciu. I masz rację: ja czy ty nie sięgniemy po ciemne zaklęcia. Ale są tacy, którzy to robią. I to my staniemy między nimi a naszymi przyjaciółmi. To do nas należy skopanie tyłków złoczyńcom. Żeby to zrobić, musimy mieć wiedzę. Ale będę mieć cię na oku. To jest pokusa, wiesz? Szepcze do twojej duszy, obiecuje potęgę i władzę, siłę, o jakiej nie śniłeś... Musisz być ostrożny.

– Nie mam nawet tego genu. No wiesz, tego od ambicji i głodu potęgi. Ja chcę spokoju. Szczytem moich marzeń jest teraz jedynie ułożenie sobie relacji z moją nastoletnią córką. Może z jej matką, choć na to nie postawiłbym złotówki.

Poklepała mnie po udzie.

– Nie martw się. Wymyśliłam, jak sprawdzić, czy Kurczaczek widzi duchy.

Wyprostowałam się zelektryzowany.

Katia przedstawiła mi swój plan. Brzmiał przewrotnie, ale miał szansę się powieść – o ile oczywiście Konstancja się zgodzi. Powinna – przecież chciała wiedzieć nawet bardziej niż ja. Przy jednym stole szalony szaman i trzy kobiety jego życia. Rosjanie napisaliby o tym duszny dramat egzystencjalny. Gdybym dorzucił do kompletu Ti, niewykluczone, że zamiast dramatu powstałby nowy film Tarantino. Instynkt samozachowawczy podpowiadał mi, że jeśli komuś się oberwie na takim spotkaniu, to mnie, ale jeśli mieliśmy szansę poznać prawdę, było warto. Katia, usatysfakcjonowana swoją rolą mózgu operacji, zażądała opłaty.

– A teraz opowiedz mi o tym gołym tyłku, który widziałam w twoim łóżku – zaszcebiotała, układając się wygodnie, z głową na moim udzie i nogami przewieszonymi przez podłokietnik.

– Błagam, tylko nie zacznij się z nim umawiać! – Przysłoniłem dłonią oczy, bo wizja ich razem wypalała mi się na siatkówce, grożąc trwałym uszkodzeniem wzroku.

– Jest na liście? – zapytała.

– Jakiej liście? – Nie byłem pewien, czy chcę znać odpowiedź.

– No wiesz, takiej liście, którą jako mój były facet, a obecnie przyjaciel masz prawo stworzyć i do której mogę, choć nie muszę się stosować. Dora na przykład na swojej ma Gardiasza. Oświadczyła, że jeśli kiedykolwiek się z nim umówię, nie chce mnie znać.

– Gardiasza? Czy chcę wiedzieć? – Skrzywiłem się na wspomnienie Pana Zaświatów. Miał to zimne spojrzenie kogoś, komu sprawia przyjemność torturowanie.

– Miałam kiedyś taką prawie niewinną ciągotę do bóstw związanych ze śmiercią. Wariacja na temat chłopaka z branży, który zrozumie mój fach i nie będzie oceniał.

– Łapałem się pod tę ciągotę? – zapytałem z ciekawości. Nasze odmiany magii były całkiem kompatybilne.

– Ty byłeś czystą słodyczą z melancholią w oczach. To nigdy nie było na zakazanej liście – wyszczerzyła się. – No ale nie odwlekajmy najważniejszego: co to za ciacho?

– Po pierwsze tak, jest na liście, skoro mówisz, że mogę ją mieć. Po drugie nie mam pojęcia, kim dokładnie jest, poza tym, że podaje się za mojego ducha opiekuńczego. Parę razy uratował mi życie, żeby potem uprzykrzać je na całego.

– Brzmi ciekawie. Poproszę więcej szczegółów.

Westchnąłem i opowiedziałem. Gdzieś między relacją na temat tego, co widziałem w zaświatach, a nadejściem świtu musieliśmy zasnąć. Obudziłem się zeszywniały. Katia, zwinięta w kłębek, opierała skroń o moje udo. Dopiero po kilku sekundach uświadomiłem sobie, że słyszę dzwonek telefonu.

## Rozdział XVII

Telefon nad ranem zapoczątkował ciąg zdarzeń, które doprowadziły mnie do poczekalni w izbie przyjęć. Czekałem, aż ktoś raczy zerknąć na zdjęcie rentgenowskie i opatrzy mi złamany nos. Zasnęta krew pokrywała mi brodę i koszulę. Możliwe, że miałem lekkie wstrząśnienie mózgu i wciąż nie łapałem ostrości widzenia... albo moja córka chodziła tak szybko, że jej sylwetka zamazywała mi się przed oczyma.

Czy zakładałem, że wszystko skończy się awanturą? Brałem to pod uwagę. Czy spodziewałem się, jak wielką? Nie bardzo. Moje życie wciąż miało tendencję do zaskakiwania mnie w najmniej oczekiwanym



momencie. A przecież powinienem się spodziewać, że ten dzień będzie jednym z tych, po których będę potrzebował flaszki wódki albo uderzenia w potylicę dość silnego, bym na jakiś czas stracił kontakt ze światem.

Ale wracając do telefonu: dzwoniła Dora, chciała się upewnić, że wszystko jest z nami w porządku. Uspokoilem ją, że mamy się świetnie, więc może śmiało wprowadzić nas w aktualności z przybytku Róży. Powoli zbliżali się do końca sprzątanania i z bałaganu wyłaniały się już pierwsze tabelki raportu dla Starszyny. Jedenaście trupów w piwnicy. Trzy świeższe zakopane na podwórku. Dowody na to, że Róża po cichu zajmowała się czarną magią od ponad dziesięciu lat. Gdyby nie wściekłość na mnie, prawdopodobnie nic byśmy o tym nie wiedzieli. Trafnie przewidzieliśmy przyszłość domu – musiał spłonąć. Ziemia była skażona, budynek przesiąknięty złem. Poza tym były tam portale do tych zakamarków rzeczywistości, w które mili ludzie nie zapuszczają się z własnej woli. Nie mogliśmy ryzykować, że jakaś stryjeczna wnuczka Róży odziedziczy dom i sprowadzi się z rodziną w trzewia bestii, która naznaczyła to miejsce. Przed końcem weekendu dom miał być wspomnieniem. Biblioteczkę Róży przetransportowano już do siedziby Starszyny. Dora nie zauważyła braku grimuarów, ja się nie zająknąłem na temat ich posiadania.

Kilka miesięcy temu, wkrótce po tym, jak dowiedziałem się o istnieniu magii i alternatywnego świata, znalazłem zwłoki młodej dziewczyny, do których doprowadził mnie na wpół oszalały duch ofiary. Zabił ją wampir, a tym samym ludzie stracili jurysdykcję, nawet o tym nie wiedząc. Dora wezwała Romana, księcia tutejszych wampirów, i wraz z nim przeprowadziła śledztwo. Byłem wkurzony i nieufny. Obawiałem się, że dziewczyna nigdy nie doczeka się sprawiedliwości, bo Roman zamiecie sprawę pod dywan. Jakaś część mnie zrywała się na Dorę, że staje po ICH stronie, przeciw nam, ludziom. Nawet jeśli żadne z nas człowiekiem nie było. Nie do końca. Te kilka miesięcy później wiedziałem już, że właśnie tak działa NASZ system – MY jesteśmy odpowiedzialni za zbrodnie NASZYCH. Ludzka policja nie zdołałaby sobie z nimi poradzić. Co pomyślałby patrol, odwiedzając dom Róży? Jak zakwalifikowano by jej czyny? Mogłaby zostać skazana za zabójstwa i męczenie zwierząt, ale co z duchami? Co z ich cierpieniem? Co z tymi, których wyciągnęła z ich terytoriów i stracili zbyt wiele energii? Co z bebeszastymi, którzy nigdy nie powinni istnieć, a których stworzenie było gwałtem na zmarłych? Co ze spiralą, której ciemna energia przez te kilka dni zachwiała poważnie równowagą mocy? Nawet gdyby Róża nie miała na koncie żadnych trupów czy zamęczonych zwierząt, złamała wystarczająco wiele przepisów magicznego świata, by podpadać pod najwyższy wymiar kary. Ludzki policjant, który stanąłby jej na drodze, skończyłby jako jeszcze jedna bateria zasilająca magię.

Spałem mniej niż cztery godziny, ale nadmiar filozoficznych rozważań nie robi dobrze na spokojny sen. Przykryłem kocem Katię, zwiniętą w kłębek jak kociak, i po cichu wyszedłem do kuchni. Zagotowałem wodę i zrobiłem sobie herbaty.

O jakiej porze wypada zadzwonić do kobiety, z którą nie dzielisz życia? Dochodziła ósma, ale była sobota, więc miała prawo pospać, jeśli nie musiała być na dyżurze w szpitalu, prawda? Przez prawie trzy minuty faktycznie się tym przejmowałem, a potem wybrałem numer. Odebrała po pierwszym sygnale.

– Powiedz, że nie zamierzasz odwołać waszego spotkania! – zażądała, opuszczając grzecznościowe formułki.

Nie tylko ja miałem kłopoty ze snem. Słyszałem w jej głosie zmęczenie. Przeżywała tę sytuację równie mocno. Bała się o naszą córkę. Bała się, że spierdołę i złamię małej serce. Mogła mówić to, co chciałem usłyszeć, ale mi nie ufała. Piotr, jej dawna miłość, spierdolił wszystko koncertowo. Witkaca, którym dziś byłem, właściwie nie znała. Obcemu facetowi położyła na dłoni serce swojej córki. Ścisnęło mnie w żołądku.

– Oczywiście, że nie zamierzam odwołać naszego spotkania – zapewniłem, szybko licząc dni tygodnia. Była sobota. Na dziś umówiłem się z Kurczaczkiem na zaczerpniętą z kolorowych magazynów akcję „poznajemy się krok po kroku”. U mnie w mieszkaniu. W którym zapewne wciąż baraszkuje

zdegenerowany moralnie sęp. Cholera.

Konstancja milczała, jakby spodziewała się, że teraz nastąpi „ale”, które będzie się sprowadzało do tego, że tak bardzo nie odwołuję, ale jednak to robię. Jedna z tych męskich akcji pod tytułem „coś mi wypadło”. Nie znałem Kurczaczka. I wciąż nie bardzo wiedziałem, co to właściwie znaczy być ojcem. Wprawdzie niezdrowe zainteresowanie sępa upewniło mnie w przekonaniu, że ojcowska nadopiekuńczość jest uwarunkowana genetycznie, ale cała reszta miała się dopiero poukładać w mojej skołatanej głowie. Podejrzenia Konstancji, że spierdołę, popychały mnie do złożenia solennej obietnicy, że tego nie zrobię. Po moim, kurwa, trupie. A i to niekoniecznie. Szamani dysponują wystarczająco dużym zasobem energii, by płynnie przejść w stan duchowy.

– Piotrze, coś się stało? – zapytała Konstancja po dłuższej chwili, przypominając mi tym samym, że kulturowo przyjęte jest mówienie do słuchawki, kiedy dzwonisz, a nie tylko dyszenie w nią, bo akurat podejmiesz w duchu niezłomne postanowienia.

– Wszystko w porządku – zapewniłem. – Czekam na Kurczaczka u mnie w mieszkaniu o piętnastej, tak jak się umówiliśmy. Dzwonię, żeby zapytać, co mała lubi jeść, bo będę robił jakieś zakupy.

– To dobry pomysł, widziałam zawartość twojej lodówki. A Kurczaczek... ona po prostu lubi jeść, nie jest wybredna. Choć dla pizzy mogłaby przekroczyć granicę prawa. Lubi ostre jedzenie. Sama ci powie. – Znow umilkła. – Jesteś pewien, że tylko o to chodzi?

– Nie, właściwie nie. – Westchnąłem. Nie było sensu odwlekać tego, co nieuniknione. Plan Katii miał ręce i nogi. – Myślę, że jeszcze dziś możemy się dowiedzieć, czy mała jest taka jak ja. Pomyślałem, że chciałabyś przy tym być.

– Czy to niebezpieczne?

– Nic ci nie będzie, to nie jest zaraźliwe.

– Cholera, Piotrze! Czy to jest bezpieczne dla naszej córki?

– Katia wie, co robi. To znacznie mniej inwazyjny sposób niż testy czy skanowanie przez Starszyznę.

– Katia wie, kim jest Kurczaczek? – zapytała cicho.

– Tak, i zanim pójdziesz tą ścieżką, uspokoję cię: więcej niż raz powierzyłem jej swoje życie.

Zgodziła się, choć nie tryskała entuzjazmem. Dziewczyny zrobiły na sobie mocne pierwsze wrażenie.



Na parkingu przed moim blokiem znow panowało niezdrowe ożywienie, tym razem jednak nie było spowodowane przez duchy. Schody do klatki zastawiała ciężarówka z logo firmy przeprowadzkowej na wielkiej pacy. Stadko tragarzy w roboczych ciuchach zniosło już z góry czyjś dobytek, zastawiając meblami, pudłami i pękatymi czarnymi workami schody i spory kawałek chodnika. Metodycznie pakowali je w trzewia ciężarówki, owijali płachtami gąbki i folii bąbelkowej i przypinali pasami do burt. Niby normalny widok, ale niepokój ścisnął mi żołądek. Z niejaką ulgą zauważyłem, że to nie moje meble stoją na chodniku. Przeskakując po dwa stopnie, dotarłem pod drzwi mojej kawalerki. Przekręciłem w zamku pożyczony od Katii klucz. Odruchowo przymknąłem oczy, spoglądając w głąb mieszkania. Na kanapie leżała pościel bez powłoczek. Z kuchni dobiegało mnie buczenie pralki. Na stoliku przy wejściu leżał pęk kluczy – ten sam, który sęp mi podwędził, kiedy pomagał mi wstać przed domem Róży. Po samym sępie nie było śladu. Uspokoili mnie to tylko częściowo.

Za kilka godzin moje mieszkanie miało przejść inspekcję wnikliwej nastolatki. Bardziej niż to, gdzie jest sęp, interesowało mnie, czy nie zostawił po sobie płynów ustrojowych i kompromitujących dowodów, z których musiałbym się tłumaczyć Kurczaczekowi. Sprzątałem jak przed nalotem Perfekcyjnej Pani Domu. Złapałem się na tym, że próbuję patrzeć na moje nieco spartańskie warunki okiem

piętnastolatki, ale szybko się otrząsnąłem. Są granice, których dorosły mężczyzna nie powinien przekraczać.

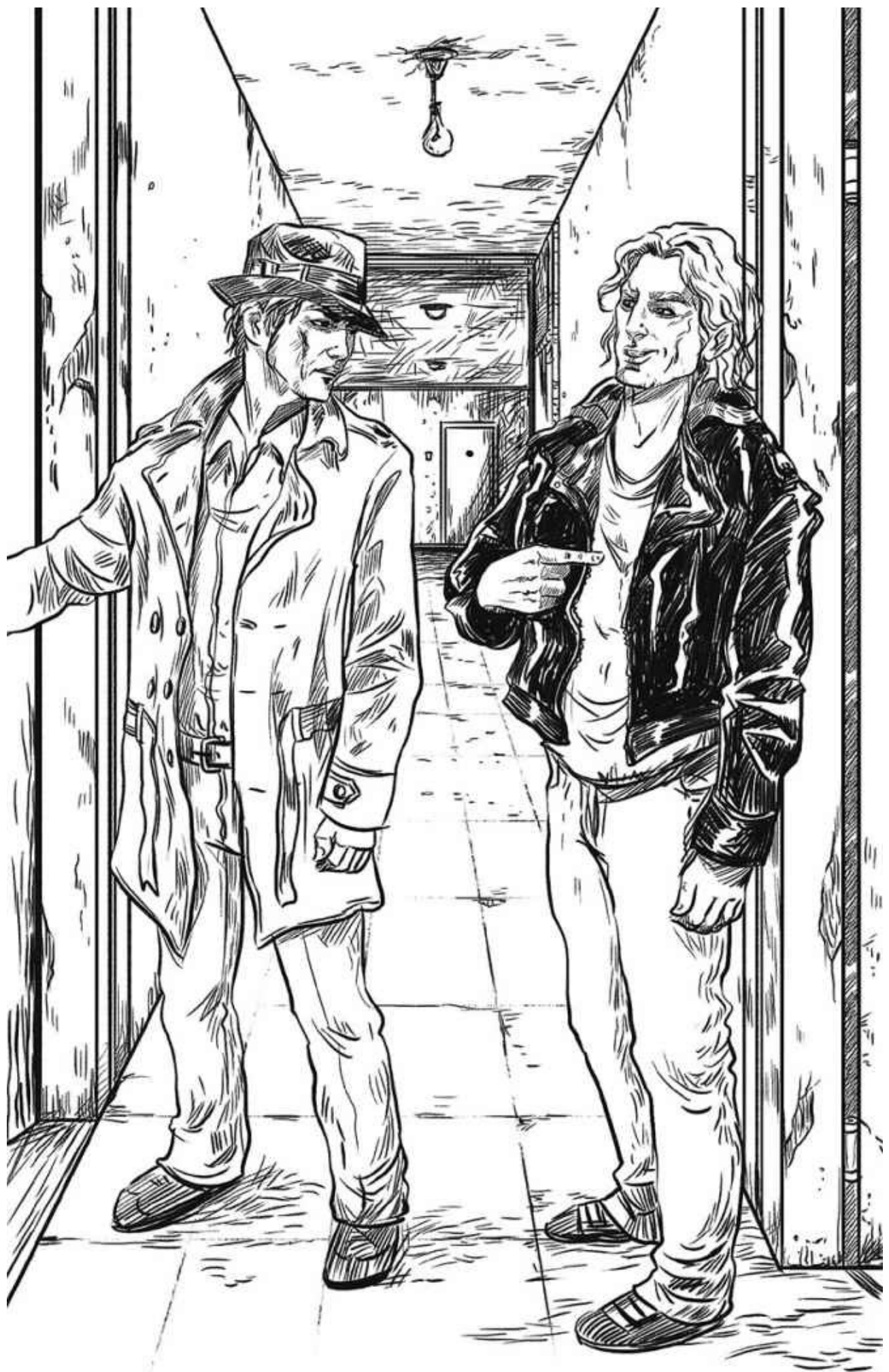
Gdy ogarnąłem wszystko na tyle, by wyglądało względnie przyzwoicie i nie całkiem obskurnie, ruszyłem na zakupy. Zwykle kupowałem te same produkty: chleb, coś do smarowania, słoiki z gotowymi gołąbkami i sosami, makaron, ryż. I jakieś mięso, na wypadek gdybym w nocy oglądał któryś z programów kulinarnych, po których czujesz, że musisz zmienić swoją dietę i przygotowanie domowego posiłku nie wykracza poza twoje możliwości. Nie zdarzało się to często. Dziś przez pół godziny krążyłem w dziale z warzywami i owocami, zastanawiając się, z czego będę w stanie przygotować cokolwiek. W końcu poszedłem na ławiznę i zapytałem ekspedientkę o radę. Wręczała mi sałatę lodową, pomidory, dymkę, awokado i grzanki z miną mówiącą: „Biedaku, znajdź sobie kobietę, która się tobą zaopiekuje... jestem wolna po dziewiętnastej”. Na oślep wrzuciłem do koszyka rzeczy z kategorii „normalni ludzie mają to w lodówce”. Nie chciałem, by moja córka myślała, że jestem abnegatem. Kiedyś się dowie, ale do tego czasu może już zdąży mnie pokochać i to nie będzie miało znaczenia. Żałowałem, że Katia musiała załatwić jakieś swoje sprawy i nie może mi pomóc, choć wiedziałem, że czułbym się żałośnie, prosząc ją o zrobienie zakupów.

Wnosiłem właśnie siaty po schodach, kiedy sęp dogonił mnie z tym głupawym uśmiechem wyrażającym bezbrzeżne samozadowolenie.

– Co ty tu robisz? – warknąłem, zastanawiając się, czy można zabić ducha opiekuńczego.

– Mieszkam – odpowiedział, nie tracąc dobrego humoru.

Nie zareagowałem na tę jawną prowokację, uznając, że po prostu nie wpuszczę go za próg, zatrzasnę mu drzwi przed nosem albo skrucę kark, jeśli będzie się opierał. Mógł sobie być bogowie wiedzą czym, ale nie będzie się kręcił wokół mojej córki. Dzierlatka, którą pukał w nocy w moim łóżku, była starsza od Kurczaczka nie więcej niż kilka lat. Widziałem zbyt wiele, by pozwolić mu podejść do mojej córki na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt metrów. Obiecałem sobie, że jeszcze dziś przewertuję grimuar w poszukiwaniu magicznego odpowiednika zakazu zbliżania. A jeśli będą potrzebne ofiary, trudno – złożę na ołtarzu wyleniałe ptaszysko.



Przyspieszyłem, przekładając siatki do jednej ręki. Drugą szukałem w kieszeniach kluczy. Szedł za mną, chichocząc. A potem jakby nigdy nic podszedł do drzwi mieszkania naprzeciwko mojego i otworzył zamek swoim kluczem.

Mieszkającego tam od kilku lat starszego pana właściwie nie znałem. Nie był specjalnie przyjacielski, co mi odpowiadało. Mijaliśmy się czasem na klatce, wymienialiśmy grzecznościowe uwagi o pogodzie. Ale to, że go nie znałem, nie sprawiało, że zasłużył na sępa.

– Nie możesz się tak po prostu włamywać do czyjegoś mieszkania – warknąłem.

– Ależ ja się nie włamuję. – Mrugnął do mnie z tą pełną arogancji pewnością siebie.

Błysk zrozumienia mnie oślepił.

– Co mu zrobiłeś?

– Zupełnie nic. Złożyłem uczciwą ofertę, z której skorzystał z radością.

– Nie da się kupić mieszkania w kilka godzin.

– Ale można je wynająć na kilka tygodni, póki formalności ze sprzedażą nie dojdą do skutku.

– Zapłaciłeś mu? Nie użyłeś sztuczek, żeby wierzył, że dostał zapłatę, choć trzymał w ręku plik paragonów z Tesco?

Sęp oparł się nonszalancko o framugę drzwi i powiedział:

– Nie jestem elfem. Antoni dostał zaliczkę wystarczającą, żeby zaklepać mieszkanie w Ciechocinku. Od dawna marzył o przeprowadzce. Gdy dostanie cały przelew, starczy mu jeszcze na wakacje w ciepłych krajach. Znacząco uprzyjemniłem mu jesień życia. Te cztery lata, jakie mu zostały, miną mu całkiem radośnie.

Nie skomentowałem stwierdzenia o czterech latach. Jeśli naprawdę wiedział, kiedy ktoś umrze, nie chciałem znać szczegółów. Nie dziś.

– Dlaczego? – zapytałem, bo to mnie interesowało bardziej niż rozkosze emerytury pana Antoniego.

– Powiedziałaś, że u ciebie nie mogę zostać, nie?

Wniosłem zakupy do mieszkania. Zamknąłem drzwi.

Dora czasem doprowadzała mnie do szału tym swoim: „Pomyślę o tym jutro”. Ale są chwile, kiedy wyłącznie takie podejście powstrzymuje cię od biegania z wrzaskiem po ulicach.



Nie spędzałem czasu w towarzystwie piętnastolatki, odkąd sam skończyłem szesnaście lat, a w mieszkaniu nie było tych wszystkich rozpraszaczy, które w miejscu publicznym pozwalają prowadzić niezobowiązujące pogawędki o dupie Maryny. Choć ten temat akurat średnio się nadaje na rozmowę z nastolatką. Może gdyby była chłopcem, to byłby czas na męskie ryty przejścia, ale dziewczęce ryty przejścia przerażały mnie bardziej niż to, co szykują dla mnie Przedwieczni. Przygotowałem film. „Sokoła maltańskiego”. Miałem do niego słabość. I kojarzył mi się z Konstancją, gdy w czerwonym przeciwdeszczowym płaszczu stanęła na moim progu z tą miną kobiety w opałach. Przez kolejne dziesięć minut zastanawiałem się, czy nie wyjdę na niereformowalnego wapniaka, proponując jej czarno-biały film z niespieszną akcją i spojrzeniem Humphreya Bogarta spod fedory. Może powinienem jej puścić coś nowszego? Lekko skonsternowany, wpatrywałem się w swoje filmowe zbiory. Właściwie niewiele miałem filmów młodszych od Kurczaczka. Jeśli to nie jest oznaką starości, to co nią jest?

Przyszła punktualnie. Wydawała się całkowicie spokojna. Wstawiła zapiekankę do piekarnika („musimy tylko podgrzać, mama zrobiła”) i krytycznym okiem spojrzała na siatki z zakupami. Zapomniałem ich wypakować. Wciąż oszczędna w słowach, wyjmowała kolejne produkty i chowała je do pustej lodówki. Zostawiła składniki na sałatkę.

– Normalnie nie kupiłbyś tych wszystkich rzeczy, prawda? – Uśmiechnęła się szeroko znad główki sałaty.

– Co mnie zdradziło?

– No sama nie wiem. Może to, że w lodówce miałeś tylko ketchup? A może to, że niewielu facetów mających w lodówce tylko ketchup kupiłoby kapary?

– Co to są kapary?

Uniosła mały słoiczek z brunatnymi kulkami. No dobrze, być może mnie poniosło.

– W sumie to się cieszę – powiedziała, płucząc sałatę.

– Lubisz kapary? – zapytałem z nadzieją.

– Mniej więcej tak jak oliwki i anchois, czyli wcale. Po prostu jeśli się zdenerwowałeś na tyle, żeby mieć atak paniki, to znaczy, że ci zależy, żeby nam wyszło.

– Przytłaczasz mnie. Jesteś za bystra. Szkoda, że nie poznałem cię, jak miałaś pięć lat. Wtedy choć przez chwilę mógłbym się łudzić, że jestem mądry i dorosły.

– W tym wieku potrafiłam już czytać. I chodziłam na karate.

Uśmiechnąłem się, widząc, co robi. Moja córka była cholernie bystrą dziewczynką.

– Masz jakiś sos do tej sałaty? – zapytała po chwili.

– Mam jakiś sos? – Spojrzałem bezradnie.

Zachichotała. Wyjęła ketchup.

Obejrzeliśmy filmy. Mój „Sokół maltański” chyba jej się nawet spodobał. Przynajmniej nie lamentowała, że jest do bani. Ona przyniosła „Underworld”. Trudno narzekać na film, w którym główna bohaterka biega w lateksowym kombinezonie ciaśniejszym niż rękawiczka... Wampiry i wilkołaki zupełnie nie przypominały tych prawdziwych, ale hej, skąd scenarzysta miał wiedzieć? Nie śledziłem fabuły zbyt dokładnie, bo wciąż czułem na sobie jej spojrzenie. Zerkała spod ciemnych rzęs dokładnie tak, jak robiła to jej matka. Współczułem chłopcom, którzy wkrótce zauważą jej urodę. Współczułem im z co najmniej dwóch niezależnych powodów. Byli bez szans.

– Chyba nie będziesz tym typem ojca, który wpędza swoje dziecko w permanentny stan zażenowania, prawda? – zapytała nagle, jakby czytała mi w myślach.

– Obawiam się, że nie. Nie rozwinąłem jeszcze niezbędnych umiejętności – powiedziałem poważnym tonem.

Spojrzała podejrzliwie.

– Jeszcze? O czym ty mówisz?

– Może o tym nie wiesz, ale wszyscy rodzice byli kiedyś normalnymi, fajnymi i lubianymi ludźmi. Mieli swoje życie, żarty i w ogóle. A potem pojawiło się dziecko.

– I wszystko zepsuło? – skrzywiła się.

– A gdzie tam. Zmieniło. Na skutek rewolucji, jaką są narodziny dziecka, rozpoczyna się ewolucja.

– Nie rozumiem cię! – oświadczyła oskarżającym tonem.

– To akurat dobry znak. Widać moja ewolucja już się zaczęła.

– Boję się poznać odpowiedź... ale w co ewoluujesz?

– W rodzica. Z tą ewolucyjnie wykształconą umiejętnością żenowania własnego dziecka.

– To się da zatrzymać?

– Raczej nie. Ale pociesz się, mam piętnaście lat w plecy. Zanim osiągnę pełnię umiejętności, minie kilka lat.

– Będę już pełnoletnia. Wystąpię o zakaz zbliżania.

– Do tego czasu to pokochasz.

– To brzmi jak opis syndromu sztokholmskiego.

– Dla psychologów. My, laicy, nazywamy to rodziną.

– Jesteś stuknięty.

- A ty dzielisz ze mną połowę genów.
- I to jest przerażające.
- Też tak uważam. Może połowa po mamie przeważy.
- A jeśli nie?
- Cóż, wychowam jak swoje.

Świadomość, że to ja jestem sprawcą tego obłąkańczego śmiechu i turlania się po kanapie, napawała mnie dziwną dumą. Nie miałem gwarancji, że będę dobry w tym całym ojcostwie, ale zaliczyłem jeden punkt i czułem, że to polubię.



Nie powiedziałem jej, dokąd idziemy, wiedziała tylko, że zjemy kolację z mamą i moją przyjaciółką. Spoglądała nieufnie na szyld wiszący nad drzwiami. Nawiedzony Dwór był restauracją serwującą tradycyjną polską kuchnię, lecz dla nas ważniejsze od menu było to, że faktycznie była nawiedzona. Oczywiście przed klientami niespecjalnie się tym chwalało. Nazwa była oczkiem puszczonej do takich jak ja, którzy wiedzieli, że duchy istnieją, i mogli zobaczyć rezydenta tego przybytku. Edward był dość starym duchem. Czterdzieści lat temu zmarł w tej restauracji, dławiąc się rybią ością. Od tamtej pory ryby zniknęły z menu, a Edward szwendał się po lokalu, wąchał cudze potrawy i wspominał błogie czasy, kiedy mógł jeść. Był typem smakosza. Gdybym go przywoływał i chciał skłonić do gadania, nie proponowałbym mu śliwownicy, ale sos holenderski albo wino. Miał skłonności do masochizmu, bo choć niemożność jedzenia doprowadzała go do rozpacz, nie mógł sobie darować oglądania ludzi rozkoszujących się smakiem serwowanych dań.

Zaprowadziłem Kurczaczka na piętro, do sali, którą Katia zarezerwowała dla nas na wyłączność. Właściciel lubił moją przyjaciółkę, a ponieważ jego żona była magiczna, wiedział dość, by dochować dyskrecji i nie zadawać zbyt wielu pytań, gdyby nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Katia i Konstancja siedziały przy stoliku, popijając wodę z wysokich szklanek wypełnionych kawałkami cytryny i listkami mięty. Sądząc po ich wyrazie twarzy, przydałoby im się coś znacznie mocniejszego. Może jednak wyjdzie z tego sztuka Czechowa.

Właściciel sam przyniósł zamówione wcześniej dania, jakby obawiał się wysłać tu kelnera. Atmosfera była napięta. Mógł nie wiedzieć, że to nie z powodu magii, którą wyczuwał w powietrzu. Po prostu Katia i Konstancja nie polubiły się od pierwszego wejrzenia. Nie kłóciły się, bo na to miały za wiele klasy, ale atmosferę przy stoliku można było kroić.

Konstancja się denerwowała. Skubała kawałek pieczywa czosnkowego i wyglądała na nieszczęśliwą. Katia starała się zachowywać neutralnie, lecz nie była przesadnie przekonująca. Kurczaczek dość podejrzliwie przeskakiwała spojrzeniem z jednej twarzy na drugą.

– Więc co? Sypiasz z moim ojcem? – zapytała buńczucznie, jednoznacznie obierając stronę. Nie znała Katii, ale skoro mama jej nie lubiła, ona też nie zamierzała.

Miałem coś powiedzieć o pytaniach, których się nie zadaje, ale zauważyłem, że Konstancja dyskretnie szczypie małą w udo.

– No co? – zapytała dziewczyna z pretensją.

Dawno nie ucieszyłem się tak bardzo na widok ducha. Edward, czując zapach przyniesionych nam dań, wychynął z ciemnego kąta z rozanielonym wyrazem twarzy. Szedł prosto na nas, zahaczając biodrem o róg stolika, który ku jego zaskoczeniu lekko drgnął. Właśnie dlatego Katia przyszła wcześniej. Dlatego musieliśmy mieć pełną kontrolę nad pomieszczeniem. Duch wszedł do kręgu, zamykając za sobą obwód. Esencja grobowa użyta przez Katię do skonstruowania granicy zaczęła na niego oddziaływać, dając mu

więcej materialności, niż doświadczył od lat.

Sztuczka z esencją grobową polegała na tym, że choć dawała duchom pozór materialności, nie wpływała na zmysły niemagicznych. Jeśli wszedłby tu normalny człowiek, nie zobaczyłby nic. Za to Dora, która zwykle nie widziała duchów, jeśli nie były z nią spokrewnione, widziałyby teraz Edwarda doskonale.

Istniało prawdopodobieństwo, że Kurczaczek nauczyła się udawać, że nic nie widzi. Ale o wiele łatwiej zignorować przejrzystą sylwetkę kołyszącą się w kącie pokoju niż na wpuł materialnego ducha, który próbuje tę materialność wykorzystać, by dostać się do twojego talerza. A właśnie to kombinował Edward.

Krążył wokół naszego stolika jak sęp wokół świeżej padliny. Był za blisko, by mogło to być komfortowe dla kogokolwiek, kto widział jego krągłe ciało w pasiastym swetrze parę centymetrów od swojej twarzy. Nachylił się nad blatem, wsadzając nos w wazę z zupą. Konstancja lekko zbladła i rozglądała się speszona. Czy tylko wyczuwała jakąś aberrację, czy go widziała? W szpitalu jej wrażliwość nie umknęła mojej uwadze. Jeśli w czasie ciąży lub porodu jej krew i krew dziecka się wymieszały, DNA mogło zmutować – nie na tyle, by uczynić ją magiczną, ale wystarczająco, by zwiększyć jej wrażliwość. Przynajmniej tak napisano w mądrych księgach.

Kurczaczek, nieporuszona, jadła zupę, lekko się pochylając i starannie przesuwając spodem łyżki o krawędź talerza, by nie uronić kropli. Ja miałem problem, by przełknąć choćby łyk. Nie z powodu Edwarda, który wisiał nam nad głową, ale dlatego, że cholernie wiele zależało od tego, jaki będzie wynik testu.

Właściciel restauracji cicho zebrał talerze, by już po chwili postawić przed nami półmiski z pierogami. Kurczaczek uśmiechnęła się do mnie swobodnie i energicznie zabrała się do swojej porcji ruskich. Konstancja zaczęła się odprężyć. Katia uśmiechała się pod nosem.

To był ułamek sekundy. Edward zanurkował ręką nad ramieniem Kurczaczka i próbował zgarnąć jej z talerza jeden z pierożków. Nie wytrzymała. Z całej siły wbiła widelec w jego siną i pulchną dłoń, odpychając go od swojego talerza. Moja córka miała swoje zasady dotyczące jedzenia i nie uważała za stosowne się nim dzielić. A już na pewno nie z obcymi, którzy nawet nie raczyli poprosić o pozwolenie.

Edward ryknął zaskoczony, dociskając do piersi bolącą rękę. Po raz pierwszy od czterdziestu lat nie tylko miał szansę dotknąć jedzenia, ale też czuł ból. Kurczaczek zignorowała jego wrzaski, wytarła widelec w serwetkę i nabiła na niego pierożek. Edward znosił wiele przez ostatnie dekady – fakt, że nie czuł smaków, że nie mógł jeść, że nie miał ciała – ale najwyraźniej nie był w stanie znieść tego, że jakieś dziewczysko dźga go widelcem i ignoruje jego pretensje. Próbował ją popchnąć, a ona po prostu na niego spojrzała i zaśpiewała cichutko: *Aaaa, kotki dwa, szaro-bure obydwu...*

Edward odskoczył od niej z krzykiem. Sekundę później w naszą stronę poleciały wszystkie drobne przedmioty stojące na stolikach dookoła nas – wazon z kwiatami, solniczki i pieprzniczki...

Może to był wynik esencji grobowej w jego systemie, może aż tak wystraszyła go groźba mojej córki – bo doskonale wiedziałem, że była to groźba – ale Edward właśnie zaczął się zachowywać jak poltergeist.





Wstałem, by go uspokoić, i w tym właśnie momencie poszybowały w moim kierunku dwie ciężkie donice. Zdażyłem się uchylić przed jedną. Drugą dostałem w twarz i poczułem złowrogie chrupnięcie chrząstki. Krew puściła się jak szalona. Kurczaczek skoczyła z krzesła i kopnęła ducha z półobrotu. Moja córeczka chodziła na karate już jako pięciolatka, pomyślałem z dumą, osuwając się na krzesło. Katia zanurkowała pod stół, gdzie znajdowała się krawędź okręgu, i przecięła jego ciągłość, by osłabić wpływ esencji grobowej. Edward w ułamku chwili przestał być duchem na sterydach i gdy próbował schwycić kolejną donicę, jego palce przeniknęły przez jej pękatą formę. Zaczął się wycofywać, właściwie oceniając swoje szanse przeciwko szamanowi, jego piekielnej córce, która mu dokopała, i nekromantce, która użyczyłaby nam esencji tylko po to, by Kurczaczek mogła dokopać mu raz jeszcze.

Dopiero teraz zauważyliśmy, że przy stole nie ma Konstancji, za to w nagłej ciszy, gdy Edward przestał się awanturować, wyraźnie słychać było dobiegający z łazienki szloch.

– Cholera! Mogłeś po prostu zapytać, a nie denerwować mamę! – krzyknęła z wyrzutem moja córka i pobiegła do łazienki.

Katia wyłowiła kostki lodu ze szklanki, owinęła je lnianą serwetką i przyłożyła mi kompres do krwawiącego nosa.

– I już wiesz.

– Wiem. I co dalej?

– To, co zawsze. Dasz radę, przyjacielu. To tylko nastolatka. Zawsze możesz dzwonić do Dory po rady. Ma spore doświadczenie z rozwydrzonymi szczeniakami.

– Ostatnio fantazjowała o obrożach rażących prądem.

– Daj Kurczaczkowi trochę czasu. Możesz jeszcze uznać, że to nie taki zły pomysł.

Dociskając serwetkę do wciąż krwawiącego nosa, rozejrzałem się po zdemolowanym pomieszczeniu. Edward skutecznie się schował, a bałagan, jaki zostawił, był koszmarny.

– Nie stać mnie na taki napiwek – powiedziałem z rezygnacją.

– To pokryje dług, jaki u mnie miał. Choć zapewne nigdy więcej nie pozwoli nam się tutaj pokazać.

– Jedzenie i tak nie było rewelacyjne – mruknąłem.

Konstancja i Kurczaczek wracały z łazienki całkiem spokojne. Konstancja rzuciła mi jedno spojrzenie i stwierdziła:

– Jedziemy do szpitala, natychmiast.

Mogłem protestować, ale nie zamierzałem odbierać jej komfortu, jaki czuła, przejmując kontrolę nad sytuacją, która ponownie mieściła się w jej zakresie kompetencji.

I tak właśnie znalazłem się na krześle w izbie przyjęć, ze złamanym nosem i prawdopodobnie wstrząśnieniem mózgu. Słuchałem, jak Konstancja kłóci się z pielęgniarką w dyżurce, że nie, nie jestem przypadkiem, który może poczekać. Kurczaczek wciąż nie przejawiała woli do rozmowy ze mną i wydeptywała swój maraton po korytarzu. A Katia siedziała obok i wysyłała esemesy do Dory, relacjonując jej przebieg spotkania. W którymś momencie podetknęła mi telefon, bym mógł przeczytać odpowiedź Ti: „Brzmi jak impreza u stada. Pogratuluj mu, właśnie dorobił się rodziny. Przetestuję obroże na moich, może i jemu się przyda”.

KONIEC TOMU I



# Aneta Jadowska

Nie interesują jej małe przyzwyczajenia – skoro już spełnia się dziecięce marzenia o pisaniu powieści, nie ma powodu, by się ograniczać. Tak powstała sześciotomowa seria o Dorze Wilk, toruńskiej poligancie-wiedźmie. Nie lubi bezczynności i nudy, więc kończąc prace nad heksalogią, już obmyślała kolejne powieści.

Czyta wszystko, co jej wypadnie w ręce, uwielbia seriale kryminalne i muzykę rockową. Byłaby dziś frontmanką kapeli rockowej, gdyby nie została obdarzona słuchem wystarczająco dobrym, by wiedzieć, że za grosz nie potrafi śpiewać.

Gdyby miała 9 żywotów jak kot, mogłaby zrealizować fantazje o zawodach idealnych: byłaby poligantką, dziennikarką, aktorką, szalonym naukowcem... Ale że na stanie posiada pojedynczy żywot, zajmuje się pisaniem, a jej bohaterowie przeżywają przygody, których starczyłoby na 9 żyć.



Książki Anety Jadowskiej  
wydane nakładem naszego wydawnictwa

Seria o Dorze Wilk:

1. Złodziej dusz
2. Bogowie muszą być szaleni
3. Zwycięzca bierze wszystko
4. Wszystko zostaje w rodzinie
5. Egzorcyzmy Dory Wilk
6. Na wojnie nie ma niewinnych

Dora i Witkac:

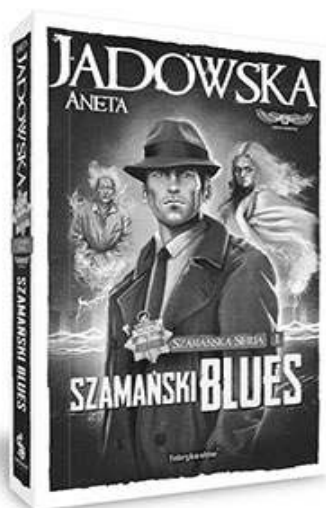
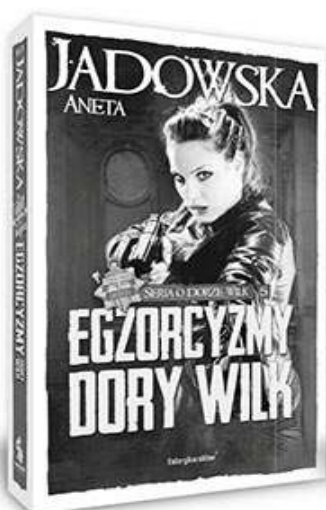
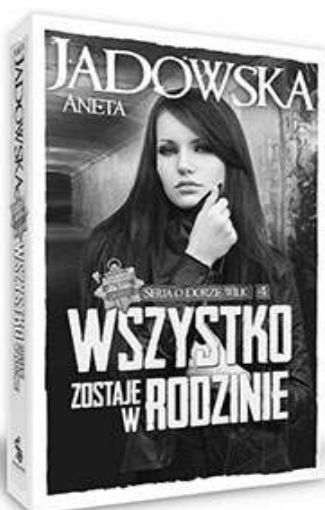
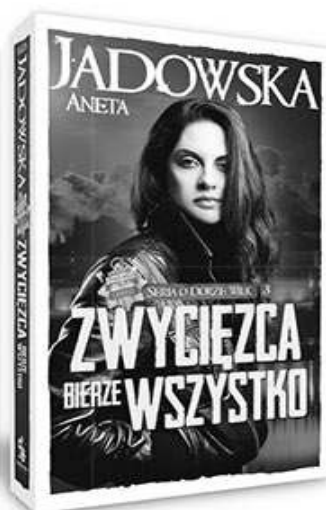
1. Ropuszki

## Szamańska Seria:

1. Szamański blues











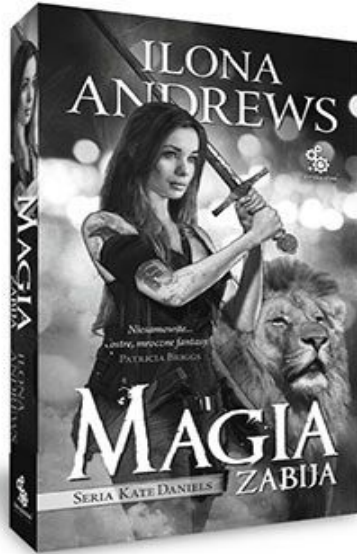
## **Martyna Raduchowska** **Czarne światła. Łzy Mai**

**Zaawansowane technologie, androidy, cyborgi, wszechobecna kontrola obywateli. Ludzkość zaczyna stosować przeróżne modyfikacje ciał oraz umysłów. Gdzie leży granica między maszyną a człowiekiem, życiem prawdziwym a cyfrowym?**

*Po trzech latach od najkrwawszej rebelii w historii New Horizon porucznik Jared Quinn wraca do służby w wydziale zabójstw. Nad bezpieczeństwem obywateli czuwa teraz Riot Shield – cybernetyczny stróż prawa. Szybko jednak nieuchwytny morderca zmusza śledczych do powrotu do tradycyjnych metod.*

*Quinn, zmagający się z traumatycznymi wspomnieniami i obsesyjną żądzą zemsty na Mai – syntetycznej ekspolicjantce, swojej dawnej partnerce – odkrywa, jak wiele łączy go z zabójcą. Od obłądu dzieli go już tylko krok...*





## **Ilona Andrews** **Magia zabija**

**Atlanta, nękana przez wojny między magią i technologią, nigdy nie była tak zabójczo niebezpieczna.**

Kate Daniels opuszcza Zakon Rycerzy Miłosiernej Pomocy, ale wciąż siedzi po uszy w paranormalnych problemach. A raczej będzie, jeśli przekona kogoś, aby ją zatrudnił. Rozkręcenie własnej działalności jest trudniejsze, niż myślała. Dodatkowo Zakon szarga jej dobre imię, a wielu potencjalnych zleceniodawców boi się narazić Władcy Bestii, który jest towarzyszem Kate.

Kiedy więc najpotężniejszy w Atlancie Pan Umarłych prosi o pomoc, dziewczyna natychmiast chwytą okazję, aby zarobić. Okazuje się jednak, że nie będzie to łatwe zadanie. Kate musi poradzić sobie z nim szybko, inaczej miasto i jej najbliżsi zapłacą najwyższą cenę...

copyright © by Aneta Jadowska  
copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., lublin 2016

wydanie i

isbn 978-83-7964-119-2

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

projekt i adiustacja autorska wydania Eryk Górski, Robert Łakuta

grafika na okładce oraz ilustracje Magdalena Babińska

projekt okładki black gear Paweł Zaręba

ilustracje Magdalena Babińska

redakcja Joanna Mika-Orządała

korekta Magdalena Byrska

skład oraz opracowanie okładki „Grafficon” Konrad Kućmiński

skład wersji elektronicznej pan@drewnianyrower.com

sprzedaż internetowa



zamówienia hurtowe

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

wydawnictwo

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)







# THORN UNIVERSE NADCHODZI ERA WITKACA

**K**ryzys zaliczony przed czterdziestką miał się objawiać idiotycznie szybkimi samochodami i nieprzyzwoicie ślicznymi kobietami. Zamiast tego w życiu Witkaca rozpleniły się magia i upiory, a przeszłość nieoczekiwanie powróciła. Cała w czerwieni, z bagażem kłopotów i tajemnic.

**N**oworodki umierają, duchy panoszą się bardziej niż zwykle i zło czai się na Witkaca w ciemności. Gdyby chociaż w zaświatach czekało coś miłszego niż rozwścieczeni i agresywni Przedwieczni...

**Ale nie czas na spacer w deszczu aleją gorzkich wspomnień. Los rzuca nowe wyzwania.**



Wyłączny  
dystrybutor



  
Polub  
fanpage  
Autorki



 [facebook.com/fabryka](https://facebook.com/fabryka)

Patroni medialni



SECRETUM.PL

Fantasy Book

